Boscy Śmiertelnicy

AMANDA M. HELANDER

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

AMANDA M. HELANDER

Boscy Śmiertelnicy

PRZEŁOŻYŁ MAREK SZPANOWSKI

YOU & YA

Tytuł oryginału: ***Divine Mortals***

Ilustracja i projekt okładki: *Piotr Wszędyrówny*

Redaktor inicjujący: *Arkadiusz Nakoniecznik*

Redaktor prowadzący: *Grażyna Muszyńska*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Natalia Popławska, Barbara Milanowska (Lingventa)*

Copyright © 2024 by Amanda M. Helander

All rights reserved. Originally published in the United States and Canada by Disney. Hyperion Books as Divine Mortals. This translated edition published by arrangement with Buena Vista Books, Inc.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2025

© for the Polish translation by Marek Szpanowski

ISBN 978-83-287-3742-6

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2025

Ten e-book jest zgodny z wymogami Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

You&YA
MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa
tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF sp.j., Bydgoszcz

Dla G-my i GP-a –
idealnej pary bratnich dusz

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
WYSTĘPUJĄ
PROLOG
CZĘŚĆ I WSCHODNIE SKRZYDŁO
1
2
3
CZĘŚĆ II ZAMEK
4
5
6
7
8
9
10
CZĘŚĆ III KULTYSTA
11
12
13
14
15

16
17
18
19
20
21
CZĘŚĆ IV BOGOWIE
22
23
24
25
26
CZĘŚĆ V CZARODZIEJKA
27
28
29
30
CZĘŚĆ VI KRÓLOWA
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42

43
CZĘŚĆ VII WYSPA W PRZYPŁYWIE
44
45
46
PODZIĘKOWANIA

WYSTĘPUJĄ

MONA ARNETT – wróżbitka
TASHA D'MILLIAR – czarodziejka
ELSIE TANNER – obywatelka

BOGOWIE PRZYPŁYWU

SEMYANADD – wilk, bóg ziemi
ONYAMARR – orka, bogini morza
IRINORR – kruk, bóg miłości
KORIMARR – żółwica, bogini wiedzy
WAYVADD – kot, bóg ego
VERIMALL – dzik, bogini przemocy
ELEDORR – ćma, bogini śmierci

RODZINA KRÓLEWSKA

KRÓL ISAAC Z DYNASTII ANGLINE – ostatni z królewskiego rodu

RADA KRÓLEWSKA

DELMAR WHITMAN – mistrz praktyków
CELIA RENFIELD – mistrzyni wywiadu
IN GAN – mistrz ceremonii
LUTHAR PENNA – mistrz wiary

GEORG OVERSEA – mistrz sprawiedliwości
OLIVIA LANE – mistrzyni wojny
TRISTAN SOPH – mistrz handlu

KRÓLEWSKA KOMPANIA PRAKTYKÓW

BERNADETTE BYERS – wróżbitka
ALICE JANIEUX – wróżbitka
JOHN HAWKES – wróżbita
FEN TELLERMAN – wróżbita
DANIEL CERVANTEZ – czarownik
JEFFREY TOOMBS – czarownik
PERCY UMBER – alchemik
TALIA'AH AHDUT – alchemiczka

PROLOG

Moje pierwsze spotkanie z Przypływem nastąpiło tuż po tym, jak zabiłam swojego brata. Miałam wtedy osiem lat.

Tuż przedtem byliśmy na zwykłej wieczornej przechadzce – w lecie spacerowaliśmy tak każdego dnia. Patrick stwierdził, że czas już wracać do domu. Oczywiście nigdy nie chciałam robić tego, co mi kazał; był ode mnie starszy o dwanaście lat i nie dawał mi o tym zapomnieć. Uciekłam więc, pobiegłam wzdłuż urwiska, które wznosiło się nad brzegiem morza, szczerząc krawędzie skał niczym płaskie, białe zęby. Brat gonił mnie, aż w końcu chwycił za koniec mojego szalika. Wyrywaliśmy sobie ten szalik tuż nad skrajem klifu.

Nie chciał odpuścić. Był przecież dużo starszy i silniejszy. Prosiłam go raz, drugi, trzeci, zaczęłam się wydzierać, ale dalej mocno trzymał swój koniec. Więc ja puściłam swój.

I wtedy on runął w przepaść.

Na początku nie wierzyłam własnym oczom. Sterczałam tam, a mój umysł prowadził rozmowę sam ze sobą. „Może ten klif nie jest aż tak wysoki, jak w twoich wspomnieniach. Może tylko się poobijał”. Uklękłam na szczycie urwiska, a serce waliło mi w piersiach tak mocno, że mało nie pękły mi żebra. Jak długo to trwało? Nie potrafiłabym powiedzieć. Z twarzą mokrą od łez modliłam się do Eledorr, bogini ćmy. Błagałam

ją o zbawienie. P r a g n ę ł a m umrzeć tak bardzo, jak chyba niczego jeszcze nie chciałam w swoim krótkim, opętanym przez czary życiu.

Bezruch trwał całą wieczność, aż w końcu podczołgałam się naprzód – tak jakbym chciała się zakraść niezauważona, podejrzeć z boku skutek tego okropnego czynu, który przecież popełniłam. Zmusiłam się jednak, by otworzyć oczy. Ciało Patricka leżało nienaturalnie wykręcone u podnóża klifu. Ciało mojego brata. To nie krew upewniła mnie, że nie żyje. To jego ciało – powykręcane, wygięte tam, gdzie nie miało prawa się zginać, bardziej przypominające potarganą kukiełkę niż człowieka. W dłoni ciągle ściskał mój szalik.

Zabiłam go. Bogowie na niskościach! Zamordowałam swojego jedynego brata.

Nic nie będzie już tak dobre, jak przedtem.

Nagle dostrzegłam coś kątem oka. Jakiś błysk między dwoma krzakami jeżyny. Jak za dotknięciem różdżki widok ten kazał mi wyrzucić z myśli ciało Patricka. Nogi trzęsły się pode mną. Tuż obok, zagnieżdżony w tej gęstwinie krzaków, przykuł moją uwagę zniekształcony, płaski skrawek przestrzeni, zawieszony na wysokości mojej piersi, połyskujący jak tafla wody w jeziorku. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałam.

Wydało mi się naturalne, że muszę w to wejść.

Nie poczułam nic, to było gładkie jak jedwab albo jak powietrze. Już prawie myślałam, że to tylko wytwór mojej wyobraźni. Ale potem zamrugałam, próbując się skupić, a wtedy liście przybrały nowy kształt – nie wyglądały już jak rzadkie, szeleszczące trawy, miotane wiatrem znad oceanu;

teraz były podobne do mocnych łodyg jakichś innych, nieznanych mi roślin. Były czymś na kształt gąbki, wilgotne i błyszczące jak wodorosty. Kręciłam się w kółko z rozdziawioną buzią, ledwo łapiąc powietrze.

Wszystko wokół mnie kołysało się jak wodne fale. Setki pierścieni światła odbijały się od każdej jodły, której igły okazywały się tak naprawdę delikatnymi wodorostami, od każdego skupiska podwodnej grzybni, falującej w niesamowitej pomarańczowej poświacie. Księżyc nade mną wyglądał jak bladoniebieska moneta – niewyraźny, trzęsący się na mrocznym niebie niczym spławik wędkarza na wodzie. Wszystko tonęło w słonawym zapachu morza.

Skóra na głowie zaczęła mnie swędzieć. Podniosłam ręce i odkryłam, że moje włosy się unoszą na kształt leniwie dryfującego pióropusza, tak jakbym znajdowała się na dnie jeziora. Mimo to byłam w stanie iść, a nie płynąć, i oddychałam wodą jak powietrzem.

Mogłam tylko założyć, że moja modlitwa o śmierć została wysłuchana. Dokonałam przejścia w domenę Przypływu, do królestwa siedmiu bogów, i teraz mogę podróżować na miejsce swojego ostatecznego spoczynku w ogrodzie zmarłych. Lub może była to jakaś zmyślna sztuczka demonów, której celem było zwabienie mnie w ich zaklęte rewiry, żeby mogły zaspokoić swój głód moim delikatnym sercem. Tak czy inaczej, poczułam wszechogarniającą ulgę.

Nie będę musiała wyznać matce tego, co zrobiłam.

Krajobraz Przypływu rozciągał się aż po horyzont. Gdzieś w oddali majaczył na wzgórzu niezgrabny, ciężki kształt. Zamek albo forteca. Był zbyt daleko, bym mogła to

rozstrzygnąć. Powędrowałam więc wytrwale ścieżką, brnąc przez wodorosty, które wyrastały mi pod stopami jak mgła, podczas gdy przed moimi oczami tkwił wciąż obraz martwego Patricka. Zacisnęłam mocno powieki, żeby z tej wizji pozostała już tylko rozmazana ciemnoczerwona plama, ale to nie pomagało. Nic nie pomagało.

Szłam tak już może minutę, a może cały dzień albo pół życia, gdy na ścieżce przede mną pojawił się jakiś kształt. Zbliżał się do mnie, wspinając się na niewielkie wzniesienie. Jego obraz stawał się ostrzejszy.

Był to nagi mężczyzna – przynajmniej po części. Dolna połowa jego ciała była ludzka, ale nad gołymi, umięśnionymi ramionami wznosiła się ogromna głowa kruka, a z muskularnej szyi groteskowo wyrastały lepkie, mokre pióra. Czarne oczy błyszczały, gdy stworzenie przekrzywiało głowę – był to zdecydowanie ptasi ruch, nerwowy i zarazem ciekawski. Istota zatrzymała się przede mną.

Powinnam się przerazić i jakaś część mojej świadomości rzeczywiście się bała. Ale jeszcze większa część była gotowa stawić czoło losowi.

– Czy ja umarłam? – odezwałam się.

– Nie. – Jego dziób się nie poruszał, ale słowa niosły się w toni wyraźnie niczym donośny dźwięk dzwonu.

Spojrzałam prosto w jego krucze oczy i zapytałam już spokojniej:

– Jesteś tutaj, bo zabiłam swojego brata?

– Nie, Mono – odpowiedział. – Jestem, ponieważ go kochałaś.

CZĘŚĆ I
WSCHODNIE SKRZYDŁO

1

Gdy zapalam świecę Patricka, słyszę głosy dochodzące z dołu.

To nic nadzwyczajnego. Rodzice często przyjmują gości, ja zresztą również. Dziś jednak nie mieli takich planów. W pośpiechu porządkuję swój salonik: układam tomy poezji z Deveneaux, rzucam bezładnie pałętające się pończochy i wstążki na stos za kredensem, tak że zostają uwięzione między meblem a różową, pokrytą adamaszkiem ścianą. Róż jest nie do końca w moim guście, ale po dziesięciu latach wpatrywania się w te ściany pewnie doznałabym wstrząsu, gdyby ich kolor się zmienił.

Mam wrażenie, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. Jeden długi, zamglony dzień, który trwa od wypadku. Tak właśnie mówimy w domu Arnettów: „wypadek”, nic więcej, nigdy nie wspominając w tym kontekście żadnego imienia. Tak jakby pewne słowa wypowiedziane wspólnie i na głos mogły przekształcić wypadek w coś znacznie gorszego.

Z zamyśloną miną zaciągam zasłonę wokół ołtarzyka mojego brata. Jest tam coś w rodzaju skromnej ekspozycji: trochę świec, miseczka ze świętą wodą morską. W centrum ołtarzyka błyszczy miedziany token modlitewny. Ozdabia go wizerunek ćmy – to symbol Eledorr, bogini śmierci. Nadal mam wątpliwości co do wyboru patronki tego ołtarza. Eledorr

prowadzi dusze do ogrodu umarłych, ale nigdy nie odniosłam wrażenia, by uważała się za opiekunkę na dłuższą metę.

W każdym razie mam nadzieję, że się za nią nie uważa. Mam nadzieję, że Eledorr będzie się trzymać z daleka, z bardzo daleka od mojego brata.

Gdy tylko pokój dzienny zaczyna wyglądać przyzwoicie, mogę poświęcić uwagę swojemu wyglądowi. Moje włosy koloru słomy opadają w schludnych lokach, które zbieram wstążką na karku. Naciągam fiszbinowy gorset pod sukienką, aż dopasowuje się ciasno na moich piersiach. To zwykle pomaga w kwestii napiwków.

Gdy tylko kończę układać się na leżance, drzwi się otwierają. Do pokoju wchodzi moja matka, prowadząc procesję uzbrojonych mężczyzn. Moja maska opada. Spotkałam już klientów wszelkiego rodzaju, ale jeśli którykolwiek z nich nosił broń, zachowywał przy tym więcej dyskrecji. Czy przyszli mnie aresztować? Może moja reputacja oszustki w końcu mnie dopadła. Na kolanach układam drżące dłonie, a twarz ukrywam za maską dość obojętnego rozbawienia.

– Mono, kochanie, masz gości – mówi matka. Wzdrygam się, słysząc wysiłek w jej głosie. Powinna była wysłać kogoś z personelu. Dwa piętra schodów to wyzwanie nawet dla tych, których kolana nie skrzypią przy wchodzeniu na górę.

– Dziękuję – odpowiadam, gdy zamyka za sobą drzwi, a wraz z ich trzaśnięciem o futrynę moje mięśnie mogą się wreszcie rozluźnić. Nienawidzę otwartych drzwi. Od czasu, gdy miałam osiem lat.

Z powrotem skupiam uwagę na mężczyznach pod bronią. Ich dowódca ma dwadzieścia kilka lat i spogląda na mnie spod burzy rudych włosów. Jest z nim czterech gwardzistów – stoją sztywni jak deski, ubrani w czarno-złote barwy króla Isaaca. Być może to najemnicy z Gildii Czerwonego Dzika lub królewscy strażnicy pożyczani z zamku Selledore. Przy biodrach mają długie miecze. Staram się nie patrzeć, nie myśleć o tym, jak łatwo mogliby mnie pociąć na kawałki. Ale przecież nie zrobiłam nic złego. Chyba że...?

Taaak, to jest właśnie problem – ja zawsze czuję, że zrobiłam coś złego. W każdej minucie, każdego dnia.

– Ekhem. Dzień dobry, panno Arnett – mówi dowódca drżącym głosem, jakby nie mógł zdecydować, czy ma być wyniosły, czy pełen szacunku. – Nazywam się Ryan Parsons. Hmm. Tak. Jestem asystentem mistrza praktyków w zamku Selledore.

Moje plecy prostują się jak strzała. Jednak nie mam kłopotów. Jestem rekrutowana.

Mistrz praktyków sam nie jest magiem, lecz rekruterem, menedżerem i czasem jeszcze workiem treningowym dla elity magów. Zastanawiałam się, czy kiedyś zacznie węszyć w moich stronach. Zyskałam sobie pewną reputację. Oczywiście to, na ile ta reputacja jest dla mnie korzystna, zależy od tego, kogo się zapyta. Nie mogę obwiniać swoich krytyków i sceptyków. To ja sama mam dar, by przeprowadzać magiczne odczyty zakochanych, jak je nazywa Irinorr.

Kiedyś mnie to martwiło. Naiwnie myślałam, że jeśli będę używać swojej magii w dobrym celu – by łączyć bratnie dusze

– może okaże się to godnym zadośćuczynieniem za grzechy mojej przeszłości. Zamiast tego byłam wyśmiewana. Tylko garstka ludzi przychodzi do mnie ze szczerą chęcią poznania swojej prawdziwej miłości. Reszta traktuje moje wróżby jak pokaz w podrzędnym cyrku. Cóż, jeśli mam być klaunem, to lepiej przyjąć tę rolę bez sprzeciwu.

– Jakąż to usługę mogłabym wyświadczyć samemu mistrzowi? – pytam, unosząc brwi.

Parsons odpowiada, zestresowany:

– Mała de... demonstracja to wszystko, czego oczekujemy.

Marszczę czoło i przyglądam się im uważnie. Cokolwiek jest ich celem, nie zamierzają mi zaszkodzić. To dodaje mi pewności; nadaję swojemu głosowi bardziej sarkastyczny ton.

– No cóż, atrakcja dnia, nieprawdaż? Pięciu dżentelmenów chodziło po mieście, znudzili się i postanowili wpaść na wróżbę?

Jeden z ochroniarzy robi dziwną minę, ni to rozbawioną, ni zakłopotaną. Szybko taksuję go wzrokiem. W swoim życiu takich jak on spotkałam niewielu, za to sporo dżentelmenów z wyższych sfer. Wiem, jak się noszą. Szkielet formalnej drętwoty przykryty kompleksem wyższości. Ten „gwardzista" ma to w małym palcu. Jest młody – bardzo młody – ale mnie to nie zwiedzie.

– Najuprzejmiej prosimy... – mówi Parsons. Jego policzki są tak czerwone, że to cud, że ma jeszcze w ciele choć trochę krwi. Współczuję mu, bo zaczynam rozumieć, o co tu chodzi.

– Dobrze – mówię z uprzejmym skinieniem głowy. – Będę potrzebować od was jakiegoś przedmiotu. – Parsons zaczyna grzebać w kieszeniach, ale zatrzymuję go. – Nie od ciebie. Od

niego. – Wskazuję brodą ochroniarza, który zwrócił moją uwagę.

Moje przeczucie się potwierdza, gdy zamiast pospiesznie wykonać polecenie lub spojrzeć na przełożonego, ochroniarz prostuje się i pyta:

– Dlaczego ode mnie?

Niewinnie odpowiadam:

– Bo zawsze chciałam przygotować wróżbę dla mistrza praktyków.

Podczas gdy pozostali stoją w ciszy, on przez długą chwilę patrzy mi w twarz, oceniając. W końcu pyta:

– Skąd wiedziałaś?

Moje serce drży, pełne ulgi; miałam rację.

– Cóż, nosisz się waść jak ktoś, kto myśli, że jest ważny.

Mój staranny dobór słów nie umyka jego uwadze – widzę, jak wargi wykrzywia mu ledwie dostrzegalny grymas.

Delmar Whitman, mistrz praktyków, jest przystojny, choć nie w ostentacyjny sposób, ma kasztanowe włosy i ciemne, bardzo ciemne oczy. Jego skóra jest blada jak u uczonych albo kapłanów – albo u osób przez długi czas zamkniętych w domu, a włosy ma starannie obcięte. Nawet jego strój gwardzisty wygląda na czysty i odprasowany. I nie jest dużo starszy ode mnie, a sama przecież mam zaledwie osiemnaście lat. Gdy został mianowany mistrzem praktyków, wybuchł mały skandal, bo wytknięto mu jego młody wiek i brak doświadczenia. Ale do służby w radzie Angline wybrał go osobiście król Isaac, wbrew obiekcjom innych mistrzów.

Sprawa tygodniami była tematem plotek na przyjęciach wyprawianych przez moich rodziców.

– Cokolwiek się nada, mistrzu Whitman – zachęcam go. – Chustka, kosmyk włosów. Tylko nie buty, proszę. Butami się nie zajmuję.

Z lekkim wahaniem mistrz wyciąga miecz i idzie w moją stronę. Kładzie go na moich uniesionych dłoniach. Pozostali mężczyźni patrzą jak zahipnotyzowani. Ostrożnie ważę w dłoniach ciężkie ostrze. Mistrz Whitman cofa się, zachowując surową minę i niezłomną postawę.

Ledwo dostrzegam, jak budzi się we mnie artystka. Pomrukując, zbliżam rękojeść miecza do twarzy i zamykam jedno oko, by przyjrzeć się ostrzu. Moja wiedza o mieczach jest oczywiście równa zeru, ale wyobrażam sobie, że wyglądam teraz na niezwykle dociekliwą.

Nie zdziwiłabym się, gdyby on oczekiwał, że przeprowadzę swoją specjalną wróżbę o zakochanych, ale to robię tylko na życzenie.

– To nie jest twój miecz, mistrzu Whitman – ogłaszam. Nie potrzebuję zresztą magii, by to wyczuć. – To rapier stanowiący element galowej zbroi, wziąłeś go razem z resztą swojego uniformu. Podałeś mi go, bo myślałeś, że nie będę w stanie uzyskać z niego twojej przepowiedni. – Spoglądam mu w oczy. – Ale byłeś w błędzie.

Whitman sztywnieje, a na moich wargach pojawia się uśmieszek. Mam go. Adrenalina buzuje we mnie, to samo podniecenie, które czuję zawsze, gdy wykonuję wróżbę. Czysta radość z posiadania przewagi. W tej jednej chwili mam

władzę nad czyimś losem. Nie nad własnym – nigdy nad własnym. Ale to jest niemal równie dobre.

Beztrosko przyglądam się ostrzu.

– Mistrzu Whitman, użyłeś zmyłek na tylu poziomach, że zaczynam się zastanawiać, czy nie masz czegoś do ukrycia.

– Może po prostu nie chciałbym, aby moja prywatność została naruszona. – Jego ton jest szorstki.

Stara się emanować autorytetem, ale nie jestem pewna, czy to działa. Za tą fasadą i młodzieńczą twarzą musi kryć się strach taki sam jak mój. A może to tylko życzeniowe myślenie; może nie chcę być jedyną osobą w tym pokoju, która udaje. Przeczucie mi podpowiada, że jesteśmy zamknięci w walce oszustów – a ten, kto pierwszy okaże słabość, przegra.

– Więc zamiast tego zasłaniasz się swoim biednym pomocnikiem? – Krzyżuję nogi i robię niezgrabny zamach mieczem. To coś waży pewnie z tonę. Parsons wpatruje się szeroko otwartymi oczami w czubek ostrza, zaciskając szczękę. – Czy mistrz zawsze tak cię traktuje? Mam nadzieję, że dostajesz odpowiednią zapłatę.

– Po prostu wygłoś przepowiednię, proszę – wtrąca ostro Whitman. To może być łatwiejsze, niż się spodziewałam. Fakt, że ten klient przedstawia sobą najpiękniejszy widok, jaki widziałam od dawna, sprawia, że moja satysfakcja jest o wiele większa. Ma twarz, która mogłaby stać się obsesyjną fascynacją jakiegoś rzeźbiarza.

Otrząsam jednak głowę z tych myśli i staram się skupić na mieczu. Starannie badam go dotykiem, sprawdzam wyważenie – nie jak wojownik, lecz jak wróżka. W końcu

opieram jego sztych na dywanie i trzymam go pionowo, dwoma palcami na rękojeści. Mężczyźni patrzą, wstrzymując oddech. Wiem, na co czekają, wiedziałam to od momentu, kiedy Parsons poprosił o demonstrację. Chcą sprawdzić, czy plotki są prawdziwe.

Czy Mona Arnett potrafi odczytać przyszłość bez żadnych przeznaczonych do tego narzędzi? Bez luster, kart, bez magicznych run? Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

Pozwalam mieczowi upaść na podłogę.

Upada w lewo. Wszyscy przez chwilę wpatrujemy się w niego. Marszczę brwi i chwytam się za brodę, zastanawiając się nad kolejnym krokiem. Nie wiem, co się teraz stanie – lub raczej wiem równie mało, jak moi widzowie. Nigdy nie wiem, dopóki odpowiedź do mnie nie przyjdzie.

To tylko jedna z wielu rzeczy, które sprawiają, że jestem zupełnie inna.

Cała magia w świecie ludzi, jak głosi tradycja, opiera się na runach – starożytnym języku bogów. Niezależnie od tego, czy są malowane na kamieniach do wróżenia, czy wyryte w miedzi, by nadać zaklęciom moc – magia, która podtrzymuje naszą cywilizację, nie byłaby możliwa bez tych tajemniczych symboli i magów, którzy nimi manipulują. Tak przynajmniej nauczał mnie Irinorr. Nie mam zbyt wielkiej wiedzy o runach, ale nie muszę jej mieć. Jestem z innej bajki.

Inni wróżbici potrafią prowadzić skomplikowane odczyty, używając run, ale nie potrafią wywróżyć imion, miejsc ani konkretnych wydarzeń. W większości przypadków powracają z niczym – poza ciszą. Ci wróżbici są w r a ż l i w i na magię jak ktoś, kto ma ucho do muzyki, ale sam nie umiałby niczego

zaśpiewać. Ich magia pochodzi z nexusa Opalvale – więzi, która łączy naszą krainę z Przypływem. Nie zostali obdarzeni przez bogów jak ja.

Irinorr wyróżnia mnie spośród innych. Bóg kruków, patron miłości. Opiekun ubogich, słabych, pozbawionych praw. W baśniach często ratuje dzieci porwane przez zbyt gorliwe demony, aby nie zostały ugotowane i zjedzone. Irinorr uratował także mnie, choć nie przed demonami. Ocalił mnie przede mną samą. Związał się ze mną, gdy sięgnęłam dna upadku, gdy moja zdrada wobec Patricka była całkiem świeża. Obdarzył mnie magią, której nikt inny nie mógłby posiąść: darem wskazywania śmiertelnikom ich bratnich dusz. Magią, która wymagała tylko intuicji i mojego wyjątkowego, wrodzonego połączenia z Przypływem.

Wybrał mnie spośród wszystkich śmiertelników.

Ale prawda jest taka, że Irinorr nie wybrał mnie dlatego, że byłam tego godna. Zrobił to, ponieważ go potrzebowałam – a mój patron, mój bóg, jest w wyjątkowym stopniu opiekuńczy.

Zatrzymuję się. Jeśli będę za dużo myśleć o Irinorze, nostalgia za domem mnie przygniecie. Jeszcze tydzień lub dwa, zgaduję, zanim uzna, że jestem gotowa wrócić do Przypływu. Tam, gdzie moje właściwe miejsce.

Wracam do wróżby i oto coś niepokojącego zakrada się do moich myśli. Wydaje mi się właściwe, bym przykucnęła i posłuchała miecza. Podciągam spódnice i nachylam się ku ostrzu. Ta wróżba będzie wyzwaniem, ponieważ miecz nie należy do Whitmana. Ale miał go ze sobą podczas podróży z zamku. Dwie godziny kontaktu. Powinnam coś wyczuć.

Wreszcie – jest tam coś. Coś ledwie słyszalnego. Miecz mówi, szepcze zimnym, jedwabistym głosem, wplatając słowa do moich uszu. Nachylam się bliżej.

I zanurzam się w wizji.

Przez falujący zgiełk napływają do mnie obrazy. Lecę w powietrzu przez Opalvale. Nad bagnami i deltami, nad mostami z ciemnego kamienia, rozpiętymi ponad słonymi jeziorami. Widzę łukowate kształty tych mostów zwieńczone magicznymi latarniami, jak błyszczą zielonym światłem przez mgłę. W swojej wizji przelatuję nad powozem turkoczącym po brukowanych uliczkach. Skręcam na wschód, w kierunku małej wioski, o kilka mil od Selledore – miasteczka na bagnach zbudowanego na kamieniach i drewnianych palach, wznoszącego się ponad mokradłami, gdzie, jak powiadają, demony morskiej soli bogini Onyamarr czają się, prześladując dzieci, które zapuściły się za daleko. Do chatki z wyszorowanymi drewnianymi ścianami. Otwieram drzwi.

Wiedza wchodzi we mnie nagle.

Za każdym razem pojawia się w ten sam sposób – nagłe zrozumienie, jakbym odpowiedzi miała zawsze i wystarczyło je tylko odblokować. Moja magia jest bardziej instynktem niż sztuką. Podążam za impulsem, a on wskazuje mi drogę.

Podnoszę głowę.

– Channice – mówię. – Antony, Michael i Joanne. Troje żyje, ale Joanne zmarła w niemowlęctwie. Twoi rodzice...

– Dość – przerywa mi Whitman przez ściśnięte gardło. – Wystarczy.

Reszta wpatruje się we mnie oszołomionym, pełnym podziwu wzrokiem.

– Czyżby? – Wracam na swoje miejsce i wygładzam spódnice, całą swoją wolę wkładając w to, by nie brzmieć zbyt pewnie. – Jesteś osobą publiczną, mistrzu. Mogłabym poznać imiona twoich braci i sióstr z wielu różnych źródeł.

– Nie Joanne – mówi, przecierając ręką zarośniętą twarz. Czy udało mi się go wytrącić z równowagi? – Czy możesz powiedzieć coś więcej? Pokazać wizję przyszłości?

– Nie – odpowiadam, nie tracąc rezonu. W rzeczywistości pewnie mogłabym, gdybym musiała. Ale nie czuję się zbyt komfortowo z przepowiadaniem przyszłości. Ma ona wiele dróg, które się rozgałęziają i splatają, a ja nigdy nie wiem, którą wybrać. Irinorr obiecuje, że pewnego dnia nauczy mnie, jak to rozpoznawać.

– To bardzo wygodne – mówi Whitman.

– Cieszę się, że tak uważasz, panie. Nie chciałabym sprawić kłopotu członkowi królewskiego dworu.

Whitman marszczy brwi i pochyla się, by podnieść miecz. Kiwa głową w kierunku Parsonsa i reszty gwardzistów; ci zaś wychodzą przez drzwi, zostawiając mnie sam na sam z Whitmanem, który siada w wiklinowym fotelu naprzeciwko mnie.

Jest jedna rzecz, której jestem pewna: mistrz praktyków nie przyjechał tutaj po pokaz. W moich ustach pojawia się kwaśno-gorzki posmak. Zakładam ręce na skrzyżowane kolana i udaję, że słucham z radością.

– Piękny dzień – mówi Whitman, wskazując na rozświetlone słońcem okno. Odruchowo patrzę w tamtą

stronę. Kiedyś miałam grube, aksamitne zasłony, które zasłaniały widok, ale moja matka kazała służbie je usunąć. Rodzaj terapii ekspozycyjnej. – Może porozmawiamy na zewnątrz, w ogrodzie?

Przechodzi mnie dreszcz. Jego ton zdaje się bardzo przemyślany, jakby to był test.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, panie, dlaczego po prostu tego nie powiesz? – odpowiadam, udając słodycz tak przesadnie, że sama siebie przyprawiam o ból zębów.

Badawczo przygląda mi się w milczeniu, a ja patrzę na niego wprost, bez wahania. Nie mogę pozwolić, by wyszły na jaw moje lęki, gniew ani tysiące pytań, które krążą mi po głowie.

– Podobno nigdy nie opuszczasz tego domu – mówi Whitman.

Obserwuje moją twarz, szukając jakiegoś drgnięcia histerii, jakiegoś neurotycznego błysku – jak każdy, kto porusza ten temat. Moja twarz traci wyraz, a kończyny drętwieją. Na chwilę przenoszę się z powrotem na tamtą skalistą krawędź, patrzę w dół z zawrotnej wysokości i widzę czarną krew, połamane nogi i martwą, bezwładną postać, która prawie mogłaby być moim bratem, gdyby tylko zmrużyć oczy.

Nie zdradzając nic ze swoich myśli, kręcę głową.

– Nigdy nie opuszczam tego skrzydła domu.

– Od jak dawna?

– Od ósmego roku życia – odpowiadam, zerkając w bok i modląc się, by nie zauważył błysku w moich oczach.

Pierwszy raz, gdy rodzice wyciągnęli mnie na zewnątrz po wypadku, płakałam, aż zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałam na trawę. Tyle już lat minęło, odkąd ostatni raz spacerowałam po białych klifach wybrzeża czy odwiedzałam portowe miasto Selledore, gdzie jadłam gotowane małże, po kilkanaście na raz, albo stałam w deszczu tylko po to, by poczuć krople na twarzy. Nie potrafię wytłumaczyć – sama tego nie rozumiem. To nie tak, że chcę żyć w ten sposób.

Ale taka właśnie jestem. Nie ma sensu nad tym płakać.

Whitman poprawia mankiety swojej szorstkiej tuniki. Podejrzewam, że nie jest przyzwyczajony do ubioru zwykłego człowieka.

– Jeśli pozwolisz, pani, powiem, że wydajesz się wyjątkowo dobrze zsocjalizowana. Jak to możliwe, skoro nigdy nie wychodzisz i nie widujesz świata?

Uśmiecham się złośliwie.

– Z pewnością zauważyłeś, panie, że to świat przychodzi do mnie.

Wyraz twarzy Whitmana pozostaje neutralny. Nie sądzę, by mu zależało na mojej osobie, choć stara się to ukryć. To nie powinno mnie zaboleć, ale boli. Najwidoczniej zamierza mnie o coś prosić – o jakąś dużą przysługę.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad wyjściem stąd? – pyta.

– Nie, naprawdę nigdy o tym nie myślałam. – To w zasadzie szczera odpowiedź. Nigdy nie miałam pokusy, by wrócić do świata śmiertelników. Z drugiej strony – w mgnieniu oka uciekłabym do Przypływu. To jedyne

miejsce, w którym czuję się u siebie. Kraina, gdzie nic nie może mnie zranić.

Ale Irinorr nigdy by mi na to nie pozwolił. Uważa, że to niebezpieczne. Dziwne – bo od śmierci Patricka to właśnie Przypływ jest jedynym miejscem, w którym czułam się bezpieczna.

Whitman pochyla się do przodu, opierając dłonie na kolanach.

– A gdyby ci zaproponowano stanowisko w Królewskiej Kompanii Praktyków?

Taka propozycja, wypowiedziana na głos, odbiera mi dech. Królewska Kompania Praktyków – najznakomitsi magowie z całego kraju, służący ojczyźnie i jej trzynastu prowincjom, chroniący i rozwijający interesy Opalvale. Whitman ma zapewne wielu jasnowidzów w swoich szeregach – alchemików, czarowników z ich urokami i tarczami – ale nie ma nikogo takiego jak ja. Powinnam czuć się wniebowzięta i bez wahania przyjąć ofertę.

I może bym się cieszyła – w innym życiu. Może skakałabym z radości i dziękowała siedmiorgu bogom za tę szansę. Ale w tym życiu jestem Moną Arnett, dziewczyną, która zabiła swojego brata, która nigdy nie opuszcza domu. Ta dziewczyna nie ma przyszłości.

– Ach, mistrzu Whitman – wzdycham, mając nadzieję, że zabrzmi to lekceważąco. – Gdybym chciała być w twojej stajni, już bym w niej była.

Mięsień na jego szyi napina się.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś potraktowała tę ofertę poważnie – odwarkuje. Psuję jego starannie ułożony plan.

Och, jaka szkoda. Musi mieć dużo do udowodnienia – młody i niedoświadczony. – W tej chwili mamy tylko ośmioro członków. Zgadniesz, ilu ludzi odrzucam co tydzień? – Nawet nie próbuję się domyślać, więc odpowiada sam: – Dziesiątki.

– To miłe.

Parska śmiechem i siada sztywno wyprostowany.

– A dla ciebie to brzmi jak dowcip?

– No cóż, raczej tak – mówię, przykładając w zamyśleniu palec do ust – choć swoim wykonaniem całkiem go spaliłeś.

Siedzimy w martwej ciszy przez kilka długich sekund. Wiem, że nonszalanckie lekceważenie królewskich magów może zostać uznane za bluźnierstwo. Magia nie jest w Opalvale tematem do żartów – to najwyższy obowiązek religijny, o ile ktoś jest do niej zdolny. Jest darem bogów dla ludzkości, uwiecznionym w boskich runach, który należy czcić poprzez jego rozsądne używanie.

Być może nikt nie rozmawiał z mistrzem równie szczerze od bardzo dawna. Ale czemu miałabym się przejmować jego opinią? Nie jestem dwórką z Selledore, zabiegającą o względy członków rady Angline, obstawiającą zwycięstwa i porażki ludzi mojego stanu, używając reputacji jak waluty. Jakkolwiek ważny jest Whitman, nie ma szans mnie ukarać za to, że mówię otwarcie w moim własnym domu. Bo co niby mógłby mi zrobić? Dać klapsa?

To by nawet było ciekawe.

Whitman odchrząkuje. Na moich policzkach pojawia się rumieniec na myśl, która przemknęła mi przez głowę. Nie jestem żadnym zawstydzonym maleństwem – nie po rodzicielskich, pełnych blasku przyjęciach, które oferowały

tak wiele okazji. Seks to zabawa – prosta, podlegająca mojej kontroli. Ale mistrz Whitman nie jest kimś, o kim powinnam fantazjować. Jeśli już, jest raczej moim wrogiem.

Z drugiej strony, nie wzgardziłabym uwiedzeniem wroga, gdyby sytuacja tego wymagała.

– Skupmy się na konkretach – mówi. – Wybierz się ze mną do zamku. Zobaczysz, jak wyglądają twoje komnaty, poznasz królewskich magów. A potem, jeśli nadal nie będziesz zainteresowana, nigdy więcej nie będę cię niepokoił. – Opuszcza podbródek, rzucając mi surowe spojrzenie. – Jeśli jednak odmówisz, wyślę pana Parsonsa, by niepokoił cię codziennie, aż zmienisz zdanie.

Krzywię się. Dlaczego tak bardzo mu zależy, żebym dołączyła do Kompanii? Jedyny powód, który przychodzi mi na myśl, to moje wróżby dla zakochanych. Mam moc, której nie posiada nikt inny – potrafię odczytać imię prawdziwej miłości dowolnej osoby, jej bratnią duszę, tę, z którą jest jej pisane spędzić życie. Wszystko oprócz adresu zamieszkania i mapy dróg, które do niej prowadzą.

Dlaczego jednak mistrz Whitman miałby wierzyć w moją moc, skoro ludzie o wiele bardziej naiwni od niego uznawali mnie już za oszustkę?

Może po prostu potrafi to wyczuć. W końcu widział prawdziwą moc setki razy. Przez chwilę czuję w piersiach przypływ radości. Jakież to byłoby osiągnięcie – potwierdzenie od Królewskiej Kompanii Praktyków, najwyższej instancji w sprawach magii w Opalvale.

Nadal jednak nie rozumiem, w jaki sposób moje odczyty zakochanych mogłyby być użyteczne dla Whitmana czy dla

króla.

To i tak nie ma znaczenia. Nigdy nie będę mogła opuścić tego domu.

– Zapewniam cię, mistrzu, że jesteś czarujący jak mało kto – odpowiadam. – Ale nie interesuje mnie ten wasz magiczny klubik.

Jego rysy tężeją, wyraz twarzy staje się surowy.

– Dobrze. Zatem zobaczymy się, gdy zdecydujesz się zerwać z takim głupim nastawieniem.

– Przepraszam, że nie mogłam być bardziej pomocna, mistrzu Whitman. – Wyciągam rękę po pożegnalny pocałunek i rzucam mu znaczące spojrzenie.

Ignoruje moją rękę, wstaje, a jego usta stają się wąskie jak brzytwa.

– To dla mnie ważne, panno Arnett. I zaczynam dostrzegać, w jakie gry się tu pani bawi. Zapewniam, że ja gram, aby wygrać. Bez względu na cenę.

Rzuca mi ostatnie, niezadowolone spojrzenie i wychodzi.

Opadam na leżankę i wzdycham teatralnie kilka razy, dopóki do pokoju nie wchodzi moja matka. Ma na sobie delikatną, półformalną suknię szlafrokową, której koronkowy brzeg muska podłogę. Chyba założyła ją na przyjęcie. Siadam, przybierając zdegustowaną minę.

– Mamo, powinnaś uważać na te wyprawy schodami. To nie jest dobre dla twoich kolan.

Opuszcza się na leżankę obok mnie. Końce jej rzadkich, srebrzystych włosów zawijają się przy aksamitnym kołnierzu. Pachnie różami i wodą morską – jak zawsze.

– Gdybyś zeszła na dół, nie musiałabym się męczyć.

Ton jej głosu jest obojętny, ale wyczuwam w nim gorycz. Od ósmego roku życia jestem dla rodziców wyłącznie ciężarem. Stałym symbolem śmierci Patricka – bolesnym wspomnieniem w ludzkiej postaci. Gdybym mogła być do czegoś przydatna, może to złagodziłoby całe upokorzenie. Ale nie mam nic do zaoferowania. Oczy mnie pieką; mrugam, by pozbyć się tego uczucia, zanim matka je zauważy.

– Czego chciał ten pomocnik mistrza? – pyta.

Kłamstwo wyślizguje mi się z ust.

– Och, panicznie potrzebuje wróżby. Jest jakaś dziewczyna, którą chce zdobyć.

– Rozumiem. – Matka marszczy brwi, a jej delikatne usta wykrzywiają się w grymas. – A kiedy zamierzasz spróbować wróżby dla siebie?

– Spróbować czego?

– Nie udawaj. Wróżby o twojej bratniej duszy. – Jej ton jest tak stanowczy, że mógłby przesuwać meble niczym oficer żołnierzy podczas musztry.

Moje spojrzenie staje się puste. Całuję jej włosy i opadam z powrotem na szezlong, zasłaniając oczy dłonią.

– Wszystko ze mną w porządku, dziękuję – mówię, a głowa zwisa mi teraz nad podłogą.

Matka chce, żebym zrobiła własną wróżbę zakochanych, a potem wyszła z domu i go znalazła. Moją bratnią duszę. Czasem wątpię, czy ktoś taki w ogóle istnieje. Na pewno nie każda osoba na świecie ma tego specjalnego, jedynego wybranka losu. Nawet jeśli gwiazdy wybrałyby mi bratnią

duszę, czy chciałabym o tym wiedzieć? Co by to dało? Przecież nie umiałabym z tego natychmiast skorzystać.

A jednak moja matka chyba wierzy, że sama wiedza mogłaby mi pomóc.

O ile w ogóle w to wierzy. Często się zastanawiam, czy po prostu mnie obłaskawia – potakując moim rojeniom o nadprzyrodzonej mocy tylko po to, by uniknąć kłótni. Mój ojciec nigdy nie porusza tych tematów. Wiem, że woleliby, żebym żyła jak inne dziewczyny w moim wieku – chodziła do szkoły, poznawała nowych ludzi, spędzała czas jak zwyczajna nastolatka. Tymczasem teraz rodzice mają przeze mnie związane ręce. Radzą sobie najlepiej, jak potrafią, starają się zrozumieć.

Jednak każdy kiedyś dojdzie do granicy własnej cierpliwości.

Moja matka już dawno straciła energię.

Czuję ciepło jej dłoni na kolanie, gdy podnosi się, by odejść.

– Kocham cię, Mono.

W jej głosie nie ma cienia aprobaty. Zaciskam powieki.

– Ja też cię kocham.

Może po prostu matka chce, żebym wyszła z domu. Albo uważa, że jakaś forma szczęścia może na mnie czekać gdzieś tam, na świecie.

Nie kupuję tego.

Dlaczego miałabym kiedykolwiek opuścić wschodnie skrzydło domu? Mam tu wszystko, czego potrzebuję.

I wszystko, na co zasługuję.

2

Whitman dotrzymuje słowa. Parsons, mistrz pomocnik, pojawia się u moich drzwi nazajutrz, a potem każdego kolejnego dnia w tym tygodniu. Piątego dnia widzę wyraźnie, że naciski Whitmana się nasilają. Parsons jest spocony, nerwowy i nalega bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Rozkazano mi, abym nie wracał do zamku bez ciebie, pani – oznajmia już od progu salonu.

Leżę na kanapie, wpatrzona w sufit, z niesmakiem wciągając powietrze. Żyrandol z olejnymi lampami, zawieszony pod złoconym medalionem, mruga do mnie ospale.

– Nie mogę uwierzyć, jak ten człowiek cię traktuje. To przerażające. Powiedz mistrzowi Whitmanowi, że jeśli tak bardzo mnie chce, niech przyjdzie tu osobiście i zaciągnie mnie za włosy. I użyj dokładnie tych słów, bardzo proszę...

– Ależ ja nie mogę wrócić...

– Nie pozwól, by cię zastraszał – mówię, wstając, i podchodzę do Parsonsa. Stanowczo ujmuję go za ramiona, obracam i wypycham na korytarz. – Ktoś musi mu się w końcu postawić.

Z trzaskiem zamykam drzwi i wracam na kanapę, na której zwijam się w kłębek.

Cała ta sytuacja to katastrofa. Chciałabym podzielić się z Irinorrem wszystkimi denerwującymi szczegółami, ale ostatnio za często odwiedzałam Przypływ i nie otrzymałam jeszcze sygnału, że jest to dla mnie bezpieczne. Nie mogę też porozmawiać o tym z rodzicami. Od dawna nie zaprzątam im głowy swoimi problemami – nie od tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy opowiedziałam im o Przypływie, zaraz po śmierci Patricka. Uznali to wtedy za halucynacje wywołane traumą. Przypływ jest jak opowieść, mówili. Wydaje się prawdziwy w twoim sercu i umyśle, ale nie jest miejscem, które można by naprawdę odwiedzić. Przynajmniej nie przed końcem życia i przejściem za zasłonę – do ogrodu umarłych, gdzie czekają ci, którzy odeszli.

Popołudnie przecieka mi przez palce. Co jakiś czas zapadam w lekką drzemkę. W porze kolacji ktoś puka do drzwi. Podskakuję, a moje serce przyspiesza, gdy Agatha, moja służąca, wchodzi do pokoju.

– Masz kolejnego gościa – oznajmia, unosząc brwi. – Wygląda na ważnego.

Moje tętno znowu przyspiesza. Proszę ją, żeby go wprowadziła. Gdy wraca, czai się za nią sam Whitman, a na jego twarzy maluje się wściekłość. Ubrany jest w czarny mundur mistrza, z wysokim kołnierzem i złotymi epoletami, a przez środek jego piersi biegnie rząd lśniących guzików. Żołądek przewraca mi się z niepokoju, ale jednocześnie czuję irracjonalne podekscytowanie. Chwilę później przypominam sobie, dlaczego on tu jest, i entuzjazm znika bez śladu.

– Mistrzu Whitman – witam go radośnie, jakby był starym przyjacielem, który przyszedł w odwiedziny. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Jego maska formalności nie opada. A może to wcale nie maska? Może mięśnie twarzy odpowiedzialne za uśmiech zanikły mu już od lat nieużywania.

– Powiedziano mi, że chcesz rozmawiać ze mną osobiście.

– Tak, faktycznie. Co ci zajęło tyle czasu?

– Wierz lub nie, mam obowiązki. A biorąc pod uwagę obecną sytuację, mam pełne ręce roboty. Dlatego byłbym wdzięczny, gdybyś przeszła do rzeczy.

O „sytuacji" słyszałam już od ojca – handlowca z Gildii Pieprzników. Sady czarodrzewu w całym Kręgu niszczy jakaś botaniczna choroba. Jak dotąd nikt nie utracił dostępu ani do świateł z magicznego soku, ani do alchemicznej medycyny, ale wszystko zmierza w tę stronę.

To niesie ze sobą inne znaczenia – dla przesądnych to pierwsza jaskółka proroctwa o Wzbierającej Fali. Najpierw wysychające sady, potem odrodzenie siedmiu demonicznych klanów, a w końcu martwi, którzy zaczną przechadzać się pośród żywych, aż sam Przypływ niczym pęknięta tama przebije zasłonę rzeczywistości i pochłonie świat.

Niezbyt kusząca wizja.

– A więc? – pyta Whitman, zachęcając mnie gestem. – Co takiego ważnego chciałaś mi powiedzieć?

Teraz, gdy już tu jest, dostrzegam lukę w swoim planie: nie mam go. Nie sądziłam, że Whitman rzeczywiście się zjawi. Zaczynam improwizować.

– Chciałbyś zostać na kolację? – pytam.

Patrzy na mnie bez mrugnięcia. Twarz oblewa mi rumieniec.

– Jeśli zostanę – mówi – zgodzisz się wrócić ze mną do Selledore?

Nie. Nie pójdę z nim. Nigdy. Ale trybiki w mojej głowie zaczynają się obracać. Whitman mi się podoba – nie w jakimś głębokim, filozoficznym sensie. Podoba mi się jego twarz i ciało, które się z nią łączy. To może być moja ostatnia szansa, żeby spędzić z nim choć odrobinę czasu. Moje myśli płyną dalej, niosąc obrazy wszystkiego, co może się wydarzyć, gdy młoda dama zostaje sama w domu z przystojnym, zamyślonym gościem.

– Może się zastanowię – odpowiadam śpiewnie. – Może. Jeśli zostaniesz.

Zaciska zęby.

– Dobrze.

Udaje mi się nie uśmiechnąć zbyt głupkowato.

– Kolacja dopiero o ósmej. Możesz zostać na noc, jeśli tak będzie ci wygodniej.

– W porządku – mruczy.

– Zejdź na dół i znajdź Deacona. On się tobą zajmie – mówię, unosząc brwi i patrząc na niego spod rzęs. – Chyba że wolisz spać w moim pokoju?

Na chwilę zamiera, jakby nikt nigdy wcześniej nie zaproponował mu czegoś podobnego. W jego oczach pojawia się cień paniki. A mój żołądek coraz bardziej się zaciska. Czy właśnie zrobiłam z siebie idiotkę?

– Nie – mówi sztywno. – To się nie stanie. Nigdy.

No cóż, to wystarczająco jasna odpowiedź. Tłumiąc zażenowanie, przybieram spokojny wyraz twarzy.

– Twoja sprawa. To była tylko sugestia – rzucam, zmuszając się do sztywnego uśmiechu. – Więc porozmawiasz z Deaconem o pokoju gościnnym, dobrze?

– Zrobię to. – Odwraca się, ale nieruchomieje z ręką na klamce. Maskę formalności ma już z powrotem na twarzy. – Ufam, że nie marnuje pani mojego czasu, panno Arnett.

Patrzę na niego niewinnymi, szeroko otwartymi oczami – głównie po to, by nimi nie przewrócić.

– Oczywiście, mistrzu.

Może miałabym wyrzuty sumienia, gdyby nie był taki upierdliwy.

Czekając na kolację, nie zaznaję spokoju. Staram się nie myśleć zbyt wiele. Czytam poezję. Podsypiam. W głowie wciąż odtwarzam swoją żenującą propozycję. Próbuję też napisać list do rodziców – ten sam, który zaczynam od dziesięciu lat słowami: „Kochani Matko i Ojcze, przepraszam", ale nigdy nie mogę pójść dalej.

Kiedy udaje mi się otworzyć sklejone powieki, orientuję się, że opieram twarz o biurko do pisania. Pocieram bolący kark, próbując ogarnąć sytuację – musiałam zasnąć. Przez moje uszy przemyka dźwięk przypominający cichy wiatr. Rozglądam się, rozmasowując spięte mięśnie u podstawy czaszki.

Przy oknie stoi jakiś mężczyzna.

Krzycząc, zrywam się z krzesła i upadam na ścianę. Jak on się tu dostał? Strach ściska mi żołądek. Czegokolwiek chce – oddam to bez wahania. Nie jestem wojowniczką. Chcę tylko przeżyć. Unoszę ręce w poddańczym geście.

Intruz zbliża się. Jego skóra, ubranie – wszystko w nim jest wyblakłe, niemal przezroczyste. Lśni w księżycowym świetle. Z opuszki palca jego jednej ręki kapie woda, tworząc kałużę na podłodze. W drugiej trzyma czerwoną chusteczkę.

Nie. To nie chusteczka. To szalik.

Patrzę mu w twarz. Jest owalna, blada, skóra zwisa w fałdach, oczy są zapadnięte, otoczone posiniaczoną skórą. Rozpoznaję go. Nie mogłabym zapomnieć, nawet gdybym chciała.

„Panika" to za słabe słowo, by oddać uczucie, które zaciska mi gardło. Zjawa robi krok naprzód. Szukam oparcia na ścianie, jakby mogła mnie ochronić.

– Patrick – szepczę.

Nie odpowiada. Nie daje żadnego znaku. Zbliża się szurającym krokiem. „Uciekaj!", krzyczy głos w mojej głowie. Ale przecież to mój brat – albo jakaś jego wersja. Nie widziałam go od dziesięciu lat. Dziesięć lat tęsknoty, modlitw o jego przebaczenie. Nie potrafię oderwać wzroku.

Jest już niemal na wyciągnięcie ręki. Muszę wybrać: uciekać czy stanąć twarzą w twarz z losem. Patrick rzuca się naprzód, twarz ma pozbawioną wyrazu, ramiona uniesione. Zamykam oczy i uskakuję w bok.

Ale jestem zbyt wolna. Zderzamy się. Jest twardy, niewiarygodnie realny. Jego ciało oplata moje. Już chwyta mnie za przedramiona. Jego dotyk – wilgotny, letni – przypomina Przypływ. Spoglądam w jego szeroko otwarte, wściekłe oczy. Nigdy nie widziałam go takim za życia.

Chwyta mnie za podbródek, zmusza, bym spojrzała mu w twarz. Nie ma w niej śladu rozpoznania. Odsłania zęby. Jego

ręka zaciska się na mojej szyi, ściskając ścięgna tak mocno, że niemal miażdży mi tchawicę. Łapiąc oddech, wbijam paznokcie w jego dłoń.

Popycha mnie gwałtownie. Upadam na podłogę, kaszląc. Lądуję na biodrze. Próbował mnie zabić. Mój własny brat. Ale nie mam czasu na rozpacz – muszę przetrwać. Zrywam się na kolana.

Patrick góruje nade mną. Gniew w jego oczach słabnie. Wygląda, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje. Ale blokuje wyjście. Może przez przypadek, może celowo. Jestem uwięziona.

Szukam rozwiązania. Tylko czy ono istnieje?

Może byłoby łatwiej, gdyby mnie zabił.

I wtedy widzę to – błysk w powietrzu, po jego stronie. Okno na Przypływ. Pojawia się czasem samo z siebie. Rzadko. Zwykle wtedy, gdy jestem naprawdę zdesperowana.

Patrząc w oczy Patricka, prostuję się. Jego wilgotne spojrzenie śledzi każdy mój ruch.

Ruszam przed siebie, mijam go i skaczę – na główkę, wprost w Przypływ.

Kurczowo tuląc się do grudek ziemi, zaciskam powieki.

– Co się dzieje, dziecko? – pyta głos.

Zerkam przez przymknięte powieki. Klęczę na wąskiej ścieżce wiodącej przez niziny Przypływu. Nad moją głową

rozciąga się purpurowe niebo, białe gwiazdy przypominają pajęczą sieć. Łagodne prądy ocierają się o moją sukienkę. Irinorr stoi przede mną, a jego olbrzymia krucza głowa pochyla się w dół, wyrażając zmartwienie.

Widok jego postaci przynosi mi natychmiastową ulgę – choć nie taką, jakiej bym pragnęła.

– Coś się stało – mówię do niego, z trudem łapiąc oddech. – Widziałam Patricka, ale on... on był... martwy.

Irinorr rozważa moje słowa w milczeniu, nie poruszając ani jednym piórkiem.

– Widziałaś jego śmiertelną duszę?

– Nie wiem, chyba... – Drżę cała, oplatam palce lokami i ściskam je mocno.

Nigdy nie wierzyłam w duchy. Niektóre pisma twierdzą, że dusze niewiernych nie zaznają życia przyszłego – są zmuszone błąkać się po świecie śmiertelników. Czysta fikcja. Według słów Irinorra wszystkie dusze, bez wyjątku, odchodzą do ogrodu umarłych – niezależnie od tego, ile tokenów modlitewnych pozostawiły na ołtarzach za życia.

Ale to nie ma sensu. Patrick był pobożny. To on dwa razy w tygodniu zabierał mnie do kaplicy w południowym Seaward, kiedy moi rodzice byli już zbyt słabi. To on czytał mi *Mity o Słońcu, Księżycu i Burzy*. On pocieszał mnie w nocy, tłumacząc, że cienie za oknem nie mogą mnie zranić, jeśli zasnę z tokenem pod poduszką. Nowa fala łez pulsuje mi pod powiekami.

Irinorr siada obok, nagi jak zawsze, choć jego ciało nie wzbudza we mnie niepokoju – bardziej przypomina rysunek

anatomiczny. Wypuszczam powietrze. Jego obecność koi mnie bardziej niż jakiekolwiek słowa.

Nie zawsze tak było. Na początku przerażało mnie jego czarne spojrzenie i długi, tępo zakończony dziób. Wyglądał jak ożywiony marmur – czarno-biały, nierzeczywisty. Ale już wtedy, pierwszego dnia w Przypływie, był dla mnie łagodny. Właśnie dlatego wróciłam. To wtedy wziął mnie pod skrzydła jako swoją ulubioną śmiertelniczkę. Powiedział – i wiele razy to powtarzał – że zawsze będzie mnie kochał bez względu na to, co zrobiłam i kim jestem.

– To trochę niepokojące – mówi w końcu Irinorr. – Jeśli śmiertelne dusze przechodzą do twojego świata, to znaczy, że do gry wchodzą większe siły.

Wzdrygam się. Moje serce na chwilę zamiera.

– Jakie siły? – Myśli natychmiast pędzą mi ku umierającym sadom czarodrzewu, ku legendzie o Wzbierającej Fali. Według niej armie demonów mają przyjść przed tym, jak martwi wstaną z grobów. Ale może autor się pomylił?

– Nie mogę stwierdzić, co może być przyczyną – odpowiada Irinorr.

Ulga, choć niepełna, wlewa się we mnie. Gdyby apokalipsa już się zaczęła, bogowie byliby pierwszymi, którzy by się o tym dowiedzieli.

– Muszę skonsultować się z pozostałymi sześcioma.

– Czy Patrick wróci? – pytam cicho. O ile wiem, jego duch wciąż czai się w moim pokoju. – Próbował mnie udusić, Iri. Myślę, że mnie nienawidzi.

Irinorr trzaska dziobem, zmartwiony.

– Może poza Przypływem nie jest w pełni sobą. Duchy śmiertelników w ogrodzie umarłych są bardziej świadome siebie.

Podczas gdy on rozmyśla, wpatruję się w zarośla z wodorostów. Nad ich falującymi pasmami przelatuje – albo przepływa – ławica srebrnych ryb. Woda czy powietrze? Przypływ często zachowuje się jak jedno i drugie jednocześnie. Irinorr kiedyś powiedział, że to nie woda ani powietrze – to magia.

Gdzieś tam, dalej, demony kryją się w swoich norach. Dawniej – zanim siedem klanów rozdzielił konflikt o runy i magię – drogi Przypływu należały do nich. Teraz rzadko wychodzą z ukrycia, choć widywałam ich zwiadowców. Zawsze z daleka. Zawsze, gdy Irinorr był przy mnie.

– Może jest sposób, by zapewnić ci bezpieczeństwo – mówi w końcu. – Ale nie spodoba ci się.

Chwytam jego lodowate ramię.

– Zrobię wszystko, co trzeba. Po prostu mi powiedz.

– Naturą śmiertelników są przyzwyczajenia, nawet po śmierci. Duch Patricka jest związany z twoim domem. Być może nie potrafi przekroczyć jego murów.

Czyli zawsze będzie mnie znajdował na wschodnim skrzydle.

– A co z moimi rodzicami? – pytam, czując skurcz w żołądku. – Czy przyjdzie po nich?

– Jak byś ich broniła, gdyby to zrobił?

Milknę. Ma rację. Mogę tylko mieć nadzieję, że Patrick skupi swoją nienawiść wyłącznie na mnie. Chwytam się za

skronie i przeklinam w myślach.

– Nie ma sensu, byś tam zostawała – dodaje Irinorr. – Będziesz bezpieczniejsza gdzie indziej. Gdziekolwiek. Dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

– Przecież nie mogę! – odpowiadam ostrzej, niżbym chciała. Irinorr doskonale wie, że nie wychodzę ze wschodniego skrzydła. – Nie mam dokąd pójść.

– Mono. – Spogląda na mnie z delikatnym wyrzutem. – Wiem, że zaproszono cię do zamku Selledore.

Oczywiście, że wie. Irinorr czuwa nade mną. Powinnam była się domyślić, że nic się przed nim nie ukryje. Ale to, co sugeruje, brzmi nierealnie. Czyż nie?

Może to wcale nie byłoby takie złe – pójść do zamku. Po prostu inny pokój, w innym wielkim domu. Lecz gdy wyobrażam sobie, że wychodzę na świeże powietrze, na światło słoneczne – mój żołądek ściska się boleśnie. Nie. To nie jest opcja. Wypieram ten obraz z głowy, moje ciało od razu się rozluźnia. Musi być inny sposób.

– A nie mogłabym zostać z tobą? – pytam.

Czarne oczy Irinorra przesuwają się w bok. Rozpoznaję ten wzrok. Wiem, co go powstrzymuje – moja najmniej ulubiona zasada: nigdy nie zostawaj zbyt długo w Przypływie. Magia tego miejsca potrafi rozerwać śmiertelną duszę, jeśli przebywa w niej zbyt długo. Potem przychodzi śmierć.

To takie niesprawiedliwe. Ileż nocy spędziłam na modlitwach, płacząc w złożone dłonie, błagając, by los pozwolił mi zostać w Przypływie na zawsze? Irinorr upiera się, że to niemożliwe. Prosiłam go o wyjaśnienia tyle razy, że straciłam rachubę. Mówił, że odpowiedzi i tak mnie nie

pocieszą. Ale to mnie nie powstrzymuje. Wciąż rozmyślam. Jak to by było – zniknąć w Przypływie? Zbudować dom z dryfującego drewna i wodorostów, kraść jedzenie z piwnic w świecie śmiertelników, czytać poezję aż do późnej starości?

– Nie – mówi Irinorr. – Nie możesz zostać w Przypływie.

Moje nadzieje znów rozsypują się w pył, choć nie mam prawa być rozczarowana – w końcu znałam odpowiedź.

– Ale przecież...

– Przepraszam, Mono. To nie jest bezpieczne dla ciebie.

– To powrót do domu nie jest bezpieczny!

– Nie sugeruję, byś tam wracała. – Unosi moją brodę palcem, zmuszając mnie, bym spojrzała mu w oczy. – Nie ma dla ciebie lepszego miejsca niż zamek Selledore. Jeśli się mylę co do twojego brata – jeśli wciąż cię będzie ścigał – przynajmniej będą tam królewscy magowie. Może zdołają cię ochronić, dopóki nie dowiemy się, czym to wszystko było spowodowane.

– W jaki sposób, Iri?! – krzyczę, unosząc ręce. – Jak ktokolwiek może mnie ochronić przed kimś, kto już nie żyje? Przed kimś, kogo nie da się zranić? – Zwijam się, jęcząc z frustracji.

– Ćśśś... – mruczy uspokajająco Irinorr, głaszcząc mnie po plecach. Gdy na niego spoglądam, uśmiecha się smutno swoimi wielkimi, czarnymi oczami.

– Moje dziecko, to nie jest prośba – mówi. – To polecenie. Musisz to zrobić.

Siedzę bez ruchu, osłupiała. Nigdy nie sprzeciwiłam się swojemu patronowi. Ale opuścić dom po raz pierwszy od

dzieciństwa? To brzmi nierealnie, nawet jako myśl. Wpatruję się w szorstki piasek, próbując zrozumieć to, co usłyszałam. Gdzieś głęboko wiem, że Irinorr ma rację. Zamek to szansa. Głupio byłoby jej nie wykorzystać.

Cóż zresztą mam do wyboru? Nie mogę powiedzieć „nie" Irinorrowi.

– Rozumiesz mnie, Mono? – pyta, choć to wcale nie brzmi jak pytanie.

Z kamienną twarzą kiwam głową. Czuję w sobie nienawiść, ale też rozumiem. Rozkaz to rozkaz.

Irinorr pochyla ptasią głowę i klepie mnie po ręce.

– Naradzę się z innymi. Kiedy będziemy mieli odpowiedzi, poślę po ciebie.

Odwracam wzrok. Patrzę w pustkę obok. Otwarcie okna z tej strony Przypływu nigdy nie kończy się pomyłką – zawsze odsyła cię w to samo miejsce bez względu na to, jak daleko zapędziłaś się w tym świecie.

Podnoszę rękę, by wyczarować portal do domu, ale serce bije mi tak mocno, że się zatrzymuję. W chwili, gdy przekroczę granicę, Patrick będzie czekał. Gotów, by zaatakować.

– Życz mi szczęścia – szepczę.

Irinorr nie odpowiada, ale czuję jego wspierającą obecność.

Okno rozkwita przede mną, tuż przy koniuszkach moich palców. Wstrzymuję oddech i przechodzę przez nie.

Salon pojawia się wokół mnie – cichy, ciemny. Nie zatrzymuję się, by sprawdzić, czy Patrick tu jest. Biegnę do drzwi i potem dalej, szybciej niż kiedykolwiek wcześniej,

ślepo, na oślep, w jedynym możliwym kierunku: na zewnątrz, byle dalej, w stronę wielkich schodów.

Czuję pulsowanie w szyi, tętno w nadgarstkach i w brzuchu, kiedy pędzę przez ogromny, ciemny hol – widok, którego nie oglądałam od dziesięciu lat. Nie zatrzymuję się, aż docieram do zachodniego skrzydła. Otwieram kolejne pokoje gościnne, jeden po drugim, w końcu trafiam na zamknięte drzwi. Uderzam w nie pięścią, głośno i rozpaczliwie.

Drzwi otwierają się. Po drugiej stronie stoi Whitman, jego oczy robią się ogromne na mój widok.

– Dobrze – dyszę, trzymając się za bijące serce. – Pójdę.

3

Nigdy w życiu nie byłam tak zdenerwowana.

Najgorsze jest to czekanie. Stoję bez ruchu, podczas gdy służba krąży tam i z powrotem, pakując moje rzeczy. W kościach czuję lodowaty dreszcz, myśląc, że Patrick może zjawić się w każdej chwili. Boję się tego, co nadejdzie. Nie dlatego, że z odwagą staję naprzeciw lękom – po prostu uciekam przed jeszcze większymi.

Nie żeby Irinorr zostawił mi w tej sprawie wybór. Czasami chciałabym mieć w sobie tyle odwagi, by się mu sprzeciwić. Ale potem przypominam sobie martwą twarz Patricka i jego rękę na moim gardle. Pocieram ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka. Muszę sobie powiedzieć jasno: pozostanie tu nie wchodzi w grę.

Czekam z rodzicami w dawno nieużywanej sali we wschodnim skrzydle. Przytłumione światło lamp naftowych odbija się od obrazów i złoconych fryzów, które wznoszą się i opadają pod sufitem. Ściany pokrywają wąskie, pełne detali panele, zwieńczone łukowatymi tynkami – wszystko to potęguje we mnie klaustrofobię. Czuję, jak świat mnie przytłacza.

Do pokoju wchodzą Whitman z Parsonsem i spoglądają na naszą milczącą, skuloną trójkę. Smętnie tu jak na pogrzebie.

Psuje ją mój ojciec, unosząc ramiona w geście powitania.

– Oto i on! Mężczyzna, który wyciągnął moją córkę z domu!

Ojciec zawsze tak żartuje. „Kiedy wyjdziesz za mąż? Kiedy w końcu przestaniesz nam zawadzać?" To jego sposób radzenia sobie z bólem – z tym niezręcznym, duszącym poczuciem, że żyje pod jednym dachem z zabójczynią własnego dziecka. Ha, ha, ha.

– Lepiej sprawdzę, czy moje rzeczy są gotowe – mówię ponuro. – Spotkamy się na dole.

Gula rośnie mi w gardle. *Na dole.* Te słowa sprawiają, że całe moje ciało się spina. Czuję piekący ból.

Biegnę do swojej sypialni. Chcę po prostu uciec od rodziców. Od dziesięciu lat modlą się o ten dzień – dzień, w którym się ode mnie uwolnią. To stara rana; nie powinna już boleć. Udaję więc, że nie boli.

Parsons idzie obok mnie, potem skręca przy schodach, by przygotować powóz. Whitman oczywiście nie potrafi się powstrzymać i podąża za mną.

– Jeszcze tu jesteś? – szepczę pod nosem, gdy wchodzi za mną do ciemnego pokoju.

Z drugiej strony, w wykuszu, zasłony powiewają jak blade, smukłe sylwetki duchów. W ustach całkiem mi wyschło. W ciemności wyraźnie widzę twarz Patricka.

– Mogę jakoś pomóc? – pyta Whitman.

Taa. Jakby mu zależało.

Opierając się o toaletkę, nalewam sobie z kryształowej karafki trochę whisky – na dwa palce – i wypijam ją jednym

haustem. Nie powinnam pić w tym pokoju, ale przekonałam pokojówkę, żeby przemyciła mi butelkę. A mówiąc „przekonałam", mam na myśli „wyjęczałam".

Obok tworzącego się kręgu kondensacji leży mój token modlitewny do Irinorra – mała, miedziana blaszka. Mam ją od dziesiątych urodzin. Tokeny rozdawane są przez kapłanów za datki lub przysługi, żeby można je było zostawić w kaplicy, prosząc bogów o wstawiennictwo. Ale modlitwy nie zawsze są wysłuchiwane. Bogowie słuchają tylko wtedy, gdy chcą.

Podnoszę token i ściskam go tak mocno, że zaczyna mnie boleć dłoń. Kątem oka patrzę na Whitmana.

– Żeby było jasne: idę tylko po to, byś dał wreszcie spokój biednemu Parsonsowi. I mam nadzieję, że dostanie miesiąc urlopu. Płatnego.

Parsons posyła mi nieuchwytny półuśmiech.

– Czyżby?

– To jeden z moich warunków. – Nalewam sobie jeszcze jedną whisky. – Przypuszczam, że jesteś z siebie zadowolony.

– Powinienem być?

– Wygrałeś, prawda? – mamroczę.

Jak inaczej to powiedzieć? Walczyliśmy, a ja się poddałam.

Jego twarz staje się dziwna. Nie triumfuje. Patrzy na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy. Jakby zobaczył kogoś zupełnie innego.

– To, o co cię proszę, jest trudne. Wiem o tym.

Wlewam kolejną porcję whisky do szklanki. Mówi szyfrem – ale jasnym dla mnie. Teraz, kiedy zobaczył moją słabość, pojawia się współczucie. Wypijam ostatniego szota,

odstawiam z brzękiem szklankę i zamykam oczy. Czuję się gorzej niż kiedykolwiek, ale też wystarczająco pijana, by zrobić to, co trzeba.

– Jedźmy do zamku – mówię, przechodząc obok Whitmana do drzwi.

Moi rodzice czekają w przedsionku. Kryształowy żyrandol migocze nad naszymi głowami, światło odbija się od wypolerowanej podłogi i alabastrowych pilastrów. Mrugam w tej nagłej jasności. Nad drzwiami wejściowymi wisi świeża gałązka sosny, zawieszona przez jednego z bardziej przesądnych służących – próba odpędzenia demonów.

Whitman stoi z boku, gdy moi rodzice żegnają się ze mną.

Ojciec zarzuca mi ramiona na szyję, to płacząc, to śmiejąc się jak idiota. Kiedy się cofa, jego miejsce zajmuje matka. Twarz ma miękką, kochającą – i przez to przerażającą. Wyciąga dłoń, by owinąć sobie lok moich włosów wokół palca.

– To będzie dobre – szepcze. – To będzie dobre dla ciebie.

Rozumiem. To będzie dobre dla niej, dla ojca, dla pamięci Patricka. I nienawidzę myśli, że nie potrafię się z tego cieszyć.

Nagle czuję dotyk na ramieniu. Drżę i odwracam się. To Whitman. Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę – nie zniecierpliwiony, ale jakby rozumiał moją nerwowość. Jakby wiedział, że muszę to po prostu zakończyć.

Spoglądam na rodziców.

– Czy moglibyście teraz pójść na górę?

Nie trzeba ich przekonywać. Kilka stłumionych „kochamy cię” i już znikają na schodach. Słyszę, jak ojciec szlocha

gdzieś wyżej. Z twarzą wilgotną od potu odwracam się do Whitmana.

– Otwórz drzwi, proszę – mówię, starając się, by zabrzmiało to stanowczo.

Skłania głowę, zaskakująco uległy, i podchodzi do drzwi. Kładzie dłoń na klamce. Ciągnie.

Uderza mnie wilgotny, ciężki podmuch powietrza. Unosi się zapach – zapach z zewnątrz. Mokre liście. Zroszona ziemia. Otwarta przestrzeń. Przede mną wznosi się czarna, łukowata pustka.

– Wszystko w porządku? – Whitman kładzie mi rękę na łokciu.

Wzdrygam się i odrzucam jego dłoń.

– Nie.

– Co mogę zrobić?

Serce bije mi tak szybko, że zaraz eksploduje – wiem to na pewno. Co za sposób na śmierć: próba przejścia przez drzwi.

– Nie dam rady – mówię ze świszczącym oddechem. Moja pierś jest zbyt napięta. – Nie dam rady. Nie mogę.

– Nie spiesz się.

Połykam ślinę.

– Po prostu… Po prostu mnie popchnij.

– Nie zamierzam cię popychać – mówi urażony. – Mogę cię zanieść.

Żołądek podchodzi mi do gardła i po raz setny tego wieczoru czuję wstyd.

– Nie. Połóż rękę na moich plecach i… i popchnij mnie.

Nie odpowiada. Ale po chwili między łopatkami czuję nacisk jego dłoni. Delikatnie, ale stanowczo prowadzi mnie do przodu, w stronę progu.

Oto portal do innego świata.

CZĘŚĆ II
ZAMEK

4

Robię trzy kroki w ciemność, po czym znów całkowicie opanowuje mnie lęk.

Chciałabym pobiec do powozu, ale moje nogi drżą. Fragmenty trawnika wirują i migoczą mi przed oczami, nie dając spokoju. Droga przede mną wybrukowana jest ciemnym, szlifowanym kamieniem. Po bokach rozciągają się ogrody, duszne od zapachu mchu i ostrych, starannie przyciętych różanych krzewów, czających się w ciemności. Z nocnego nieba spływa na mnie puste światło księżyca.

Jak to wyjaśnić?

Czy kiedykolwiek zawiodłaś kogoś, kogo kochasz? To głęboki, dojmujący wstyd, strach, przerażenie, że to coś – ta nikczemna, żałosna parodia człowieka – to właśnie ty. Że to w tobie czai się zdolność do zniszczenia wszystkiego, co ważne. Nie przez chciwość, ambicję ani złe zamiary – ale przez czysty brak charakteru. Przez słabość. Bez względu na to, jak bardzo się starałaś, nigdy nie potrafiłaś ich uszczęśliwić. Nigdy nie miałaś nad niczym kontroli.

Wszystko wiruje. Wysuwam ręce, żeby złapać równowagę, ale opadam na jedno kolano. Robi mi się niedobrze. Bezwładna. Bezużyteczna. Coś podchodzi mi do gardła i walczę z tym odruchem. Powinnam się wstydzić, ale nie mam już godności. Nie mam nawet resztek dumy, które

można by zhańbić. Wsparta na rękach i kolanach, wymiotuję na chodnik.

W uszach czuję głośny szum krwi. Ktoś coś mówi, może krzyczy na mnie, a może to tylko omamy. Głowa wydaje się zbyt ciężka. Próbuję się podnieść, chcę najbardziej na świecie pokazać, że mogłam opuścić dom w każdej chwili, że to zawsze był mój wybór.

Czyjaś ręka dotyka mojego ramienia. Wata, która zatykała mi uszy, powoli się rozpuszcza. Słyszę głos Whitmana.

– Dasz radę dotrzeć do powozu? – Jego słowa brzmią niespokojnie, jakby nie był przygotowany na taki scenariusz.

W odpowiedzi pochylam się i znów wstrząsają mną torsje. Nie jestem na tyle przytomna, by czuć się upokorzona. To przyjdzie później. Ponownie czuję dłoń na ramieniu i zaraz wzdrygam się, jakby miał palce z rozgrzanego żelaza.

– W porządku – jąka się. – Zaraz cię podniosę.

Z trudem powstrzymuję odruch wymiotny, gdy wsuwa jedną rękę pod moje plecy, a drugą pod kolana. Opadam bezwładnie jak szmaciana lalka, gdy się prostuje. Krzyczę w myślach, wściekła, domagając się, żeby mnie postawił. Ale moje oburzenie pozostaje uwięzione w bezwładnych szczękach. Włosy mam mokre od potu.

Parsons trzyma otwarte drzwi powozu, gdy Whitman wchodzi do środka i kładzie mnie na ławce. Usiłuję odpełznąć, aż w końcu opieram się o przeciwległą ścianę. Serce wali mi w piersi jak szalone. Stopniowo uświadamiam sobie obecność innych – zamkowych gwardzistów. Whitman siedzi sztywno obok mnie. Mam nadzieję, że już żałuje swojej decyzji.

Powóz rusza z mocnym szarpnięciem.

Od tej chwili świadomość opuszcza mnie i co jakiś czas powraca. Za oknem przesuwają się obrazy: sylwetki wiejskich domów na tle gwiaździstego nieba, wysokie linie drzew, kaplica w stylu prowincji północnej, o lekko nadkruszonej, kamiennej fasadzie. Po godzinie przekraczamy pierwszy wiszący most, który łączy delty przecinające Opalvale. Zamykam oczy i nie otwieram ich, dopóki koła powozu nie zadudnią o kamienny próg. Dotarliśmy do miasta. Do Selledore.

Mój umysł nagle tonie we wspomnieniach: wonny kalejdoskop przypraw, gwar rozmów, śmiechy i kłótnie, dźwięk ryntyjskich dzwonów modlitewnych w południowej dzielnicy, zmieszany z hymnami Ashclaud z zachodu. Nie byłam tu od dzieciństwa.

Pamiętam jedzenie. Kiedy ojciec zajmował się interesami z Gildią Pieprzników, Patrick zabierał mnie do sklepików, do ulicznych handlarzy, do kawiarni. Sprzedawcy częstowali mnie kandyzowanymi persymonami i karmelkami, dopóki Patrick nie kazał im przestać. Przez większość czasu zachowywał się bardziej jak mój ojciec niż brat. Zawsze był w pobliżu – karcił mnie za zabawy z farbami olejnymi matki, za wrzucanie tokenów modlitewnych do studni. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pomaga mnie wychowywać, bo rodzice nie dawali rady. Byłam ich „późną niespodzianką".

Wkrótce wyrastają przed nami mury dzielnicy zamkowej, czarne i złowrogie. Latarnie z tęczowym połyskiem zaklętego soku wyrastają z ozdobnie skręconych, żelaznych słupów. Przejeżdżamy pod łukowatą bramą i zwalniamy aż do zatrzymania. Gęsta cisza wypełnia wnętrze powozu. Czekam, aż Whitman coś powie.

Wyciąga rękę. Kulę się, a on podsuwa ją jeszcze bliżej. Uderzam go w ramię. Podjęłam decyzję: nie wysiadam. Nie opuszczę tego powozu.

– Nie – mówię drżącym, ale donośnym głosem. – Nie idę.

Przez chwilę panuje milczenie. Czuję na sobie chłodny żar spojrzeń Parsonsa i gwardzistów z naprzeciwka.

– Chcesz wrócić do domu? – pyta tonem, który ma brzmieć jak podchwytliwy. Wciska łokieć w oparcie ławki i odwraca się w moją stronę. Jest spokojniejszy niż wtedy, gdy zemdlałam.

Nie potrafię podjąć decyzji, nie umiem działać. Nigdy nie powinnam była opuszczać wschodniego skrzydła.

– Nie mogę się ruszyć – wypluwam z gardła te koślawe słowa, a tuż za nimi czuję gorący posmak wstydu. Całe to udawanie, pozory siły – roztrzaskane w jednej chwili.

Whitman znowu wyciąga rękę. Odsuwam się, ale z niespodziewaną zręcznością chwyta moje dłonie. Szarpię się i wiję jak złapane w pułapkę zwierzę. Ale trzyma mnie mocno, aż w końcu opadam z sił.

– Oddychaj – mówi. Jego oczy błyszczą w przytłumionym świetle, skupione na moich. Ton ma spokojny, jakby robił to już nie raz. Bolałoby mniej, gdyby krzyczał. – Przetrwaj to, a będzie po wszystkim. Kilkaset metrów do zamku. Tylko tyle.

Kurczę się, wtulona w ścianę powozu. Chciałabym zniknąć. Ale wiem, że wyjdę z tego powozu, tak czy inaczej.

– Pod jednym warunkiem – mówię zachrypniętym głosem. – Nigdy więcej o tym nie rozmawiajmy.

Zatrzymuje się na moment, po czym przytakuje.

Pochylam głowę. Całe moje ciało drży.

– Będziesz musiał… Chyba musisz mnie wyciągnąć siłą.

Whitman marszczy brwi, ale nic nie mówi. Rzuca spojrzenie na Parsonsa, który posłusznie wyskakuje z powozu i trzyma szeroko otwarte drzwi. Na zewnątrz pada lekki deszcz, przypominający mokrą mgiełkę. Powietrze pachnie jednocześnie słono, świeżo i staro. Strach zaciska się wokół mojej klatki piersiowej – nie mogę złapać tchu.

– Ruszaj – syczę do Whitmana.

Nie trzeba mu powtarzać. Szarpnięciem zrywa mnie z ławki. Moje nogi odmawiają posłuszeństwa, ale gdy się już dotoczę do schodków powozu, nie mam wyboru – muszę iść.

Whitman opuszcza mnie na rozmokniętą trawę. Nad nami rozciąga się stalowoszare niebo, pełne rozmytych chmur i odległych gwiazdozbiorów. Zamek Selledore góruje nad wszystkim jak olbrzym w ciemności. Wieże i blanki wznoszą się w niebo, potężne i nieprzystępne. W świetle latarni z zaklętego soku masywne, kamienne bloki błyszczą jak mokry piasek.

– Chodź – mówi Whitman, prowadząc mnie naprzód. Oczy otwierają mi się szeroko z niedowierzania.

Brniemy przez zamkowy dziedziniec jak w błotnistej mgle. Brudna woda wsiąka w trawę, a potem w materiał moich pantofli. Whitman i Parsons prowadzą mnie do wejścia zamku, mijając strażników przy bramie. Przechodzimy przez ogromne, mosiężne drzwi, przypominające masywne sztaby, i wchodzimy do głównego holu. Znowu jestem we wnętrzu.

Ale to wnętrze jest obce, przytłaczające – labirynt z łupka i piaskowca. Wzdłuż ścian biegną wytłaczane, miedziane płyty, ciepłe, przebarwione od blasku zaklętych lamp. Wysoko

nad głową rozpościera się sufit, bogato rzeźbiony i pokryty błyszczącymi freskami z nagimi, muskularnymi postaciami. Demonami. Jeśli dobrze rozumiem, to przedstawiciele dwóch klanów – dziki i wilki, Verimall i Semyanadd – pogrążeni w krwawej walce na śmierć i życie.

Przytłoczona, skupiam wzrok na posadzce. Gdy docieramy do stromych schodów, wspinam się, nie patrząc w górę. W końcu Whitman chwyta mnie za łokieć i wprowadza do ciemnego pokoju. Gdzieś po drodze gubimy Parsonsa. Biegnę do najbliższego krzesła i opadam na nie, obejmując się ramionami i zaciskając powieki.

– Lepiej? – Głos Whitmana dochodzi z bliska.

Otwieram oczy, gotowa skarcić go za udawanie troski. Zamieram.

Jesteśmy w moim salonie.

Szczegóły się różnią. Wiklinowe krzesło jest za wysokie. Skóra na szezlongu ma trochę inny odcień. Ale różowa tapeta z adamaszku jest idealna. Pokój jest chłodny jak spiżarnia. A mimo to – czuję się jak w domu.

– C-co to jest? – jąkam się, zbyt oszołomiona, by wpaść w panikę.

– Twoje apartamenty.

– Zrobiłeś to wszystko w tydzień? Po jednym spojrzeniu na mój pokój?

– Widać moją rękę, prawda? – Jest wyraźnie zadowolony z siebie.

Rozglądam się z rozdziawionymi ustami.

– Robi wrażenie, mistrzu Whitman.

– Czy to pomoże z tęsknotą za domem?

– Zobaczymy – mruczę. To wszystko zależy od Patricka. Irinorr powiedział, że mogę uciec od mojego brata, opuszczając dom. Ale jak jego duch w ogóle mnie znalazł? Duchy nie powinny robić tego, co zrobił Patrick – wracać do świata śmiertelników, nawiedzać żywych. Próbować zabić swoje siostry.

– Co zobaczymy? – naciska Whitman.

Opadam na krzesło i pocieram oczy nadgarstkiem.

– Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam.

– Na stoliku nocnym jest dzwonek. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Kwatery służby są na końcu korytarza. – Krąży po pokoju, zapalając lampy olejowe alchemiczną zapałką. Rozbłyskują jasnym, wesołym światłem. Trzeba mu przyznać, że nieźle udaje, jakby scena z powozu nigdy się nie wydarzyła. Dotrzymuje słowa. – Jutro zaczynamy wcześnie.

– Nie mogę się doczekać – parskam zmęczona. – Sam zresztą liczysz na pewno na przekonujące przedstawienie.

Patrzy na mnie obojętnie i strzepuje płomień zapałki.

– Czy mógłbym dostać odrobinę uznania za to, co już zrobiłem?

– Powiedziałam, że to robi wrażenie.

– Mogę zrobić o wiele większe, jeśli zajdzie potrzeba, panno Arnett.

Patrzę na niego z uniesioną brwią. Przestępuje z nogi na nogę.

– To znaczy… w swojej roli, jako mistrz praktyków – dodaje.

– Jasne – wzdycham z opuszczoną głową.

Whitman waha się chwilę, po czym siada naprzeciwko mnie.

– Czy coś by to zmieniło, gdybym powiedział ci, dlaczego cię potrzebuję? – pyta ze zmarszczonym czołem.

Czy coś by to zmieniło? Wątpliwe. Ale skoro Whitman chce mówić, nie zamierzam go powstrzymywać.

– Być może.

– Rozumiesz, że nie możesz tego nikomu powtórzyć? Nawet swojej rodzinie?

Ha, ha, jakby mi na tym zależało. Wypuszczam powietrze i przytakuję. Whitman skłania głowę, jakby pieczętując nasz pakt, i pochyla się bliżej. Zauważyłam, że robi tak, gdy sądzi, że ma coś interesującego do powiedzenia.

– Król Isaac jest bardzo chory – mówi. – Choroba kości. Lekarze twierdzą, że ma rok życia, może mniej.

Marszczę brwi. Wiedziałam z rozmów na przyjęciach, że Isaac jest chory, że jego ród zanika, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak mało czasu mu zostało. Isaac jest ostatnim z rodu Angline. Wszystko zaczęło się od serii wypadków sto lat temu, potem była plaga. Przypadki niepłodności co jakiś czas… Szeptało się o klątwie – jak to zwykle bywa.

– W obecnej sytuacji – mówi Whitman – linia sukcesji jest niepewna. Isaac chce to naprawić. Chciałby się ożenić i spłodzić dziecko.

– Świetnie. Ale co to ma wspólnego ze mną?

Whitman wciąga powietrze, głęboko i powoli. Stara się zachować cierpliwość.

– To niepewny czas na zamku. Duża część Kompanii to nowi rekruci. A ja jestem… nowy na stanowisku. – Spogląda w dół, jakby otrzepywał coś z kolana, ukrywając twarz. – Król chce użyć Kompanii, by znaleźć sobie narzeczoną. To oszczędziłoby czas. Ostatnim razem, gdy pobierali się rodzice Isaaca, negocjacje małżeńskie z Dworem Kręgu trwały czternaście miesięcy. Ale nie jestem pewien, czy proces będzie uczciwy. Podejrzewam, że niektórzy jasnowidze zostali przekupieni. Nie mogę tego jednak udowodnić. – Pochyla się bardziej. – Ale ty możesz wskazać prawdziwą miłość Isaaca. Jeśli ją znajdziemy, król na pewno wybierze ją ponad fałszywe kandydatki. Potrzebuję, byś złożyła przysięgę jako królewska magini. A po zaprzysiężeniu wskazała bratnią duszę Isaaca.

Moja brew drga. Przychodzi mi do głowy irytująca myśl.

– Właśnie skojarzyłam – mówię – że mogłeś przynieść parę królewskich spodni do mojego domu i pozwolić mi zrobić wróżbę na miejscu.

– To nie takie proste. Rada nie przyjęła mojego pomysłu z entuzjazmem. Wiedzą, jaką masz reputację; nie uważają cię za wiarygodną. Mam nadzieję, że to się zmieni, gdy cię poznają.

Ach, więc wreszcie – ten protekcjonalny ton, do którego już się przyzwyczaiłam. Whitman może i jest młody, może ma otwarty umysł, ale dla reszty rady mistrzów króla Isaaca jestem tylko oszustką.

Policzki płoną mi ze wstydu, więc zakrywam twarz ramieniem.

– Jestem bardzo zmęczona, mistrzu. Chciałabym teraz odpocząć.

– Oczywiście. Proszę o wybaczenie. – Wstaje. – Nie musisz podejmować decyzji od razu. Zastanów się spokojnie.

Ignoruję go wystarczająco długo, by zrozumiał przekaz.

– Przyjdę po ciebie rano – mówi, zanim drzwi zamkną się z trzaskiem.

Jest późno, ale w głowie kłębią mi się myśli. Prześladują mnie wspomnienia z przejażdżki powozem – rozpamiętuję swoje słowa, zachowanie. W tle migocze i płonie duch Patricka, nie pozwalając mi zapomnieć. Jęczę i prostuję plecy. Potrzebuję czegoś, co mnie odciągnie.

Przez chwilę badam apartamenty – moje pierwsze poza wschodnim skrzydłem. Są tu trzy małe pokoje: salon, sypialnia i łazienka z własną wanną na lwich łapach.

Zatrzymuję się przy wypolerowanej komodzie z kasztanowego drewna w salonie. Na blacie leży gruby plik papierów, wyraźnie niepasujący do reszty. Whitman musiał go tu zostawić przez pomyłkę. Zaciekawiona, unoszę okładkę i zaglądam do środka. Na pierwszej stronie widnieje coś w rodzaju dossier, z ilustracją uroczej młodej kobiety w rogu. Arkusz wypełniony jest informacjami: imię, wiek, rodowód. To szlachcianka niższego stanu z Ashclaud, która – jeśli gwiazdy się odpowiednio ułożą – może kiedyś zostać królową. Według notatek król Isaac spotkał ją raz, mniej więcej rok temu.

Przeglądam kolejne strony – więcej raportów, same szlachetnie urodzone kandydatki. Whitman zbiera dane o potencjalnych narzeczonych dla Isaaca. Musi przygotowywać plan awaryjny na wypadek, gdybym się nie

sprawdziła. Przygryzam wargę, poirytowana. Czy to naprawdę zbyt wiele oczekiwać, by ktoś wreszcie mi zaufał?

Odkładam plik, żałując, że w ogóle tam zajrzałam, i idę zwiedzić sypialnię. Większość przestrzeni zajmuje szerokie, miękkie łóżko na rzeźbionej drewnianej ramie, przykryte stertą koców i poduszek. Na stoliku nocnym, obok miski z poświęconą wodą morską, leży stos modlitewników i świętych ksiąg. Moje palce muskają *Mity Słońca, Księżyca i Burzy*. Żółknący papier marszczy się pod dotykiem. *Mity* zawierają przypowieść – lub przepowiednię, zależnie od interpretacji – o Wzbierającej Fali. Siedem armii demonów. Zmarli wśród żywych. Ostateczna fala Przypływu, która zmiecie świat śmiertelników. Zawsze mnie to przerażało, gdy byłam dzieckiem.

Decyduję się nie korzystać z łóżka. Wracam na wiklinowe krzesło naprzeciwko drzwi. Drzwi zawsze mnie niepokoiły – jakby mogły mnie wessać niczym prąd morski. Siedzę w ciemności, wpatrzona w wypolerowaną framugę.

Nic się nie dzieje. Próg mnie nie wciąga. Duch Patricka się nie pojawia. Po chwili zamykam oczy i czekam, spodziewając się najgorszego.

Pukanie do drzwi.

Otwieram oczy z przerażeniem. Przez okno wpada jasne światło.

Przecierając oczy, podchodzę chwiejnym krokiem i otwieram drzwi. To tylko Whitman – ubrany i czujny. Zerkam na swoją pomiętą spódnicę, odgarniam włosy z twarzy.

Lustruje mnie wzrokiem od góry do dołu.

– Spałaś w ubraniu?

– Chyba tak – mówię z niedowierzaniem.

Niesamowite. W ubraniu. Jeśli Patrick mnie odwiedził, nie raczył mnie obudzić. Chichoczę w zaciśniętą pięść. Whitman przygląda mi się uważniej.

Ruchem ręki zapraszam go do środka i ruszam w stronę bagaży w kącie. Jedna pończocha zsunęła mi się na kostkę, loki mam potargane, wstążka się rozwiązała.

– Nie, nie – odpowiada zbyt szybko.

Odwracam się. Patrzy, skrzyżowawszy ramiona, na moją odsłoniętą nogę. Odchrząkuję. Jego spojrzenie natychmiast spotyka się z moim.

– Coś zwróciło twoją uwagę, mistrzu Whitman? – pytam z przekąsem, klękając przy bagażu i uśmiechając się pod nosem.

Więc jednak nie jest całkiem odporny.

Whitman nie raczy odpowiedzieć. Cofa się do drzwi.

– Wyślę kogoś, by się tobą zajął. Spotkajmy się w holu, gdy będziesz gotowa.

Zastygam.

– Spotkajmy się… po co?

– Konferencja magów.

W wystudiowany sposób unosi brew. Brzmi jak wyzwanie.

Chwytam rączkę walizki. Konferencja praktyków. Oczywiście. Po to mnie zaprosił – bym zwiedziła zamek, poznała innych magów. Tymczasem wszystko, o czym myślę,

to jak się czułam w powozie – i że nigdy więcej nie chcę tak się czuć.

– Nie jestem dziś w najlepszej formie – mówię, unosząc podbródek z przesadną godnością. – Przekaż magom moje pozdrowienia.

Policzki płoną mi tym mocniej, im dłużej Whitman milczy.

– W porządku – mówi w końcu. – Dziękuję, panno Arnett.

Zamyka za sobą drzwi. Marszczę brwi, sceptyczna.

To było zbyt łatwe.

Mimo mojej odmowy wkrótce zjawia się służąca o imieniu Elizabeta, by pomóc mi się ubrać. Wygląda jeszcze młodziej ode mnie, może na szesnaście, siedemnaście lat. Serce bije mi mocno, gdy zapina mój gorset. Nie jestem dumna ze swojego zachowania, ale to kwestia przetrwania. Nie mogę znowu przejść tymi korytarzami. Poza tym przeciąganie pobytu w zamku jest w moim interesie. Tak samo jak unikanie żądań mistrza – dopóki Irinorr nie da znać, jak mam postąpić z Patrickiem.

– W której części zamku jesteśmy? – pytam Elizabetę, gdy zaciska gorset.

Czarnowłosa, filigranowa dziewczyna przerywa sznurowanie bielizny.

– W skrzydle praktyków, panienko. Pokoje pozostałych magów są w pobliżu. Oczywiście, teraz wszyscy są na konferencji.

– To konferencja praktyków?

Znów szarpie za sznurki, kradnąc mi oddech.

– Tak. Spotykają się trzy razy w tygodniu, by omawiać bieżące sprawy.

Zerkam na nią przez ramię i patrzę, jak pracuje. Spuszcza wzrok, a jej twarz jest napięta od emocji, których nie potrafię rozszyfrować. Na cienkim, srebrnym łańcuszku wisi naszyjnik z małą fiolką. Woda morska. Dziewczyna należy więc do pobożnych.

Gdy jestem już ubrana, Elizabeta zostawia mnie samą, bym mogła kontemplować nadchodzący czas. Nie wiem, kiedy Whitman wróci. Niecierpliwie tęsknię do kolejnej wizyty w Przypływie, do spotkania z Irinorrem – lecz jeszcze po mnie nie posłał. Pośpiech niczego nie przyspieszy, jeśli nie jest gotowy. Co może tak długo omawiać z resztą Siódemki? Im dłużej zwlekają, tym poważniejsza musi być sytuacja. Może nie Wzbierająca Fala, ale coś naprawdę groźnego. Coś poza moim zasięgiem.

Zaskakuje mnie kolejne pukanie, więc z niechęcią patrzę w stronę drzwi. Jak długo mogę zwlekać, zanim Whitman znajdzie strażnika gotowego je wyważyć?

Lepiej go nie testować. Z głębokim westchnieniem otwieram.

Po drugiej stronie stoi Whitman ze stertą papierów pod pachą. Skłania głowę.

– Wiem, jesteśmy spóźnieni. Przepraszam.

Marszczę nos. Spóźnieni na co? Wtedy za jego plecami zauważam orszak elegancko ubranych dworzan. Przechylam głowę na bok.

– Co to m…

– Konferencja praktyków. Dziś postanowiliśmy wypróbować nowe miejsce. – Whitman wchodzi do pokoju, zmuszając mnie, bym się cofnęła. Jego towarzysze podążają tuż za nim. Dziewięć osób właśnie rozsiada się w moim salonie – na sofie, na krzesłach. Niektórzy, z założonymi rękami, podpierają ściany. To muszą być magowie. Wśród nich, rzecz jasna, Parsons, jak zwykle z miną zagubionej wiewiórki.

– Cudownie – mówię sztywno, nie kryjąc oburzenia. Whitman wygrał tę rundę, choć nie zamierzam tego przyznać. A teraz mam w salonie stadko królewskich magów.

Whitman obchodzi sofę i chwyta za jej oparcie.

– Panno Arnett, oto Królewska Kompania Praktyków. A to – wskazuje na mnie dłonią – jest właśnie Mona Arnett.

Nagle podnosi się młoda kobieta. Mrugam, zaskoczona.

Ma na sobie bogatą, szafirową suknię, kontrastującą z hebanowym kolorem jej skóry. Splecione włosy tworzą kok na czubku głowy. Rysy kobiety zastygają, jakby zamrożone w szoku.

Jej reakcja zaskakuje zarówno mnie, jak i Whitmana.

– Hmm, skoro już się przedstawiamy... – mówi mistrz, wskazując na stojącą dziewczynę, jakby to ona pierwsza się zgłosiła. – To Bernadette Byers. Wróżbitka, podobnie jak ty.

Patrzę na nią chwilę dłużej.

– Bernadette Byers – powtarzam jak echo.

Z ust wyrywa mi się cichy śmiech. Nie jestem pewna, czy to ulga, czy niepokój. Znajome oblicze – a raczej nazwisko –

powinno mnie pocieszyć. Ale to wszystko nie ma najmniejszego sensu.

Byers i ja mierzymy się wzrokiem, jakbyśmy miały zaraz stoczyć pojedynek. Jej okrągłe oczy błyszczą. Jest przestraszona – i ma ku temu powód. Może obie mamy.

Mistrz Whitman udowodnił, że się myliłam. W jego szacownym gronie królewskich magów tylko siedmiu nie wyróżnia się niczym szczególnym.

W przeciwieństwie do Bernadette Byers – ją bogowie wyraźnie obdarzyli łaską.

5

Zapada cisza. Gdzieś w oddali tyka zegar, a ten dźwięk odbija się echem niczym kroki.

– Więc… wy się znacie? – odzywa się magini stojąca pod ścianą, ciemnooka kobieta o brązowej skórze i akcencie typowym dla Bagien.

Ja i Byers przerywamy nagle pojedynek spojrzeń, jakby zdjęto z nas zaklęcie. Ale jest już za późno. Wymiana ognia trwała zbyt długo. Wszyscy to zauważyli.

– Nie – mówi Byers, ścierając z twarzy oznaki rozpoznania. – Nigdy wcześniej nie spotkałam tej dziewczyny.

Wszystkie spojrzenia kierują się na mnie. Opieram się o framugę drzwi i krzyżuję ramiona – uniwersalny gest mówiący: „odczepcie się". Żadna z nas nie chce tego roztrząsać, zwłaszcza publicznie.

– Nie znam jej – rzucam z lekkim wzruszeniem ramion. – A co?

Nikt nie odpowiada. Byers, nieco nieufnie, siada z powrotem.

Whitman robi pauzę, gdy wszyscy zajmują miejsca, po czym przedstawia resztę królewskich magów. Kilku z nich to srebrnowłosi weterani, lecz większość nie wygląda na

starszych niż dwadzieścia kilka lat. Niektórzy, jak Bernadette Byers, sprawiają wrażenie rówieśników mojej nastoletniej pokojówki. Mistrz wspominał, że większość magów to nowi rekruci – nie sądziłam jednak, że „nowi" oznacza „ledwo wyrośli z wieku dojrzewania". Czy całym zamkiem rządzi zgraja dzieciaków?

Whitmanowa kompania młodych magów to prawdziwy miszmasz: wróżbici rzucający kamienie runiczne, by przewidywać przyszłość, i zaklinacze tworzący amulety z runami. Runy – pierwsze pismo bogów – są potężne, ale po tej stronie Przypływu ich moc jest ograniczona. W samym sercu Przypływu każdy mag mógłby odnaleźć runę pełną mocy. W świecie śmiertelników tylko zaklinacze potrafią tchnąć w runy magię. To talent wrodzony, ujawniający się w dzieciństwie – tak jak u wróżbitów zdolność do przepowiadania. Mówiąc prościej: wróżbici czytają runy, zaklinacze je piszą.

Dwoje najstarszych magików to alchemicy – najrzadszy rodzaj. Łączą wrodzoną zdolność do magii z latami nauki i praktyki w manipulowaniu sokiem zaklęć.

Jak samo Opalvale Kompania jest mieszanką kolorów skóry, rysów twarzy i akcentów. Miasto od pokoleń przyciąga imigrantów, a dwór królewski – dzięki powiązaniom z Siódemką – skupia ludzi ze wszystkich narodów Dworu Kręgu. Choć większość mieszkańców to wciąż biali i blondwłosi – jak król Isaac czy ja sama – w elitach, takich jak królewscy magowie czy rada Angline, różnorodność jest czymś naturalnym. Whitman wybierał według talentu, nie pochodzenia.

Gdy mistrz czyni honory, staram się nie odlecieć myślami, ale kątem oka próbuję uchwycić spojrzenie Byers. Patrzy nieruchomo przed siebie. W mojej głowie powraca to samo pytanie: co faworytka Korimarr robi w Królewskiej Kompanii Praktyków?

– Przejdźmy do rzeczy – mówi Whitman, wyrywając mnie z zamyślenia.

Mam nadzieję, że nie będę musiała brać w tym udziału.

Whitman tasuje bezładny plik papierów, po czym zaczyna:

– Panie Umber, ma pan raport dotyczący sadu Wetton?

Mag z plerezą długich, białych włosów – jeden z alchemików – odpowiada:

– Tak jest, panie. Mój zespół terenowy spotkał się ze zbieraczami soku zaklęć w zeszłym tygodniu. Plony są niskie na całej linii. Choroba dusi ich sady. Zalecają racjonowanie – i to już w przyszłym miesiącu.

To musi być ponura wiadomość, bo twarz Whitmana wykrzywia się w wyrazie zaniepokojenia. Inni też nie wyglądają na zadowolonych. Nie dziwi mnie, że Królewska Kompania Praktyków tak żywo interesuje się sadami soku zaklęć. Poza nexusem i runami nic tak nie potwierdza obecności bogów jak te drzewa. Mówi się, że ich korzenie przenikają zasłonę aż do Przypływu, nasiąkając jego mocą i nadając im właściwości, których nic innego nie potrafi wytłumaczyć.

– Krąży też sporo plotek – dodaje Umber. – O przyczynie tej plagi. Imię króla Isaaca padło już nie raz.

Jeśli wcześniej wyraz twarzy Whitmana był pełen napięcia, teraz wygląda niemal na udręczonego.

– Co mówią?

– Ludzie się boją dalszych wypadków, jeśli król umrze bezpotomnie. Mówią, że coraz trudniej pokładać wiarę w prawo Jego Wysokości do tronu, a to osłabia nexus. – Umber patrzy na Whitmana z naciskiem. – Nie możemy ignorować tej teorii.

– Niczego nie ignoruję – odwarkuje Whitman, a w jego głosie czuć defensywę. Czerwony na twarzy, próbuje się opanować. Gdybym nie znała prawdy, mogłabym pomyśleć, że to Umber tu rządzi, a Whitman jest właśnie karcony. – Wiedzieliśmy, że te plotki mogą się pojawić. Już się nimi zajmujemy.

Słuchając, zastanawiam się, czy „plotki" mogą być prawdziwe. Drzewa soku zaklęć czerpią energię z Przypływu, ale bez wsparcia ze strony nexusa pozostałyby uśpione, a sok – nieaktywny. Jeśli ludzie nie wierzą, że Isaac ma prawo rządzić, może jego więź z nexusem również osłabła.

Whitman masuje palcami skronie.

– Panno Byers, proszę, by zdobycie informacji o sadach Wetton stało się priorytetem. Cokolwiek uda się pani wyczytać o przyszłych plonach soku zaklęć.

Byers patrzy prosto przed siebie.

– Tak jest, mistrzu Whitman.

Dyskusja toczy się dalej: rutynowe sprawy – wzmacnianie obrony, planowanie ćwiczeń, negocjacje z Gildią Magów w sprawie stawek za doradztwo. Każdy z siedmiu bogów ma

kilka gildii działających w jego imieniu. Większość czarowników od dzieciństwa związana jest z Gildią Magów, poświęconą bogini Onyamarr – od momentu, gdy ich zdolności po raz pierwszy się ujawniają. Ja jednak nigdy nie potrzebowałam ani zasobów, ani edukacji, jakie gildia mogłaby mi zapewnić.

Spotkanie szybko dobiega końca, magowie podrywają się z miejsc i wychodzą, nie dając nawet cienia sugestii, że chcieliby zostać dłużej. Stoję przy framudze drzwi, obserwując, jak znikają jeden po drugim. Whitman, ostatni, spowalnia krok przy wyjściu, z wyrazem cichego triumfu na twarzy. Z poważną miną chwytam go za łokieć, przeciągam przez próg i zatrzaskuję drzwi. Nie mam ochoty słuchać jego chełpliwych uwag.

Gdy się odwracam, widzę, że teczka z raportami o potencjalnych narzeczonych, którą widziałam wczoraj wieczorem, zniknęła z komody. Whitman musiał ją zabrać przy wyjściu. Dziwne. Byłam pewna, że spróbuje mnie wypytać, czy tam zaglądałam.

Nie zdążyłam jeszcze usiąść na swojej sofie, gdy ktoś znów puka do drzwi. Warcząc pod nosem, odwracam się i otwieram – gotowa wygonić intruza. Ale za drzwiami stoi Bernadette Byers. Unoszę brwi. No dobrze, to już jakiś punkt wyjścia.

– Panno Byers – mówię z satysfakcją, wpuszczając ją do salonu. Układam się na sofie z ostentacyjną nonszalancją. Wreszcie gra, na której się znam: społeczny poker. – Jak miło, że postanowiła mnie pani odwiedzić.

– Wystarczy. – Tylko delikatne drgnięcie jej ust, pociągniętych oszałamiającą czerwienią, zdradza

jakiekolwiek emocje. – Musimy porozmawiać.

– O czym? O tym, że ukrywa pani swoje prawdziwe moce przed mistrzem praktyków? Czy o tym, że zataja pani swoją profesję przed Korimarr?

Prycha i odwraca wzrok, ale jestem pewna, że mam rację.

Znam Bernadette Byers tak samo, jak wszyscy śmiertelnicy podróżujący do Przypływu znają siebie nawzajem: bogowie po prostu plotkują. Siódemka uwielbia wymieniać się przechwałkami o niezwykłych, uzdolnionych ludziach, których wybrali na swoich podopiecznych – w końcu robią za ich mentorów, przewodników i opiekunów.

W przeciwieństwie do większości śmiertelników ci z nas, którzy widzą okna, mogą być szkoleni w wyjątkowych sztukach magicznych. Ja, jako ulubienica Irinorra, boga miłości we wszystkich jej formach, wskazuję bratnie dusze.

Bernadette Byers przepowiada prawdę.

– Jednej rzeczy nie potrafię zrozumieć – mówię. – Jak dokładnie pani to robi. Jak można trzymać sprawy w ukryciu przed boginią wiedzy? Gdyby Korimarr wiedziała o pani pracy jako królewskiej magini, każdy śmiertelnik odwiedzający Przypływ by o tym usłyszał.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym wreszcie odpowiada:

– Słyszałam plotki, że nigdy nie opuszczasz swojego domu.

Ignoruję tę prowokację, posyłając jej uśmiech tak ostry, że mógłby zranić palec.

– Mistrz Whitman nie wie, co potrafisz, prawda? – Jestem niemal pewna, że nie wie nic o jej zdolnościach – ani że

potrafi wróżyć bez użycia narzędzi, tak jak ja, ani że wyczuwa różnicę między prawdą a kłamstwem.

– Cóż z tego? Używam narzędzi wróżbity, to prawda, ale czy ktokolwiek na tym ucierpiał? – Choć słowa te są odważne, w jej ciemnych oczach dostrzegam cień wahania. – Rzucam kilka kamieni runicznych, spoglądam w lustro i nikt nie wnika głębiej. To lepsze, niż gdyby ludzie zaczęli roztrząsać szczegóły i kwestionować moc moich czarów. – Rzuca mi następne ostre spojrzenie.

Choć niechętnie to przyznaję, w jej słowach jest dużo racji. W umysłach większości śmiertelników magia działa tylko w jeden sposób: przez runy. Z trzech kanonicznych zestawów runów zachowanych przez wieki w Opalvale używa się tylko jednego – standardu Angline, liczącego ponad trzysta znaków i przekazywanego z pokolenia na pokolenie przez Gildię Magów i Gildię Kapłanów Szarego Wilka. Wyposażeni w takie cegiełki, wróżbici i czarownicy mogą tworzyć całe konstrukcje – mówić językiem magii.

Jak każdy język runy standardu Angline pozwalają na kreatywność, pomysłowość i akcent osobisty, ale manipulować nimi potrafią tylko ci, którzy mają wrodzoną więź z magią przez nexus Opalvale. A poza nimi są jeszcze przypadki wyjątkowe jak Byers i ja – my praktykujemy własne rodzaje magii.

– Ja przynajmniej robię ze swoich talentów dobry użytek – odbijam piłeczkę. – Ale gdzie jest twoje miejsce, Byers? Nie jesteś za młoda na zabawy w czarodziejkę?

– Za pięć miesięcy skończę osiemnaście lat – odpowiada ostro.

Prawie rok młodsza ode mnie. Wystarczająca różnica, by jej o tym przypomnieć.

– Naprawdę? Musiałaś poprosić o pozwolenie od swojej opiekunki czy już jesteś na tyle dorosła, by mieć porządnego przewodnika?

Wzdycha ciężko.

– Nie przyszłam tu, żeby się z tobą sprzeczać. Po prostu chciałam ci powiedzieć, że Korimarr nie wie jeszcze, że jestem w tej Kompanii, więc byłabym wdzięczna, gdybyś zachowała to dla siebie, dopóki sama jej tego nie powiem.

– Czemu wciąż jej nie powiedziałaś?

– To tak naprawdę nie twoja sprawa. – Patrzy teraz na mnie z góry. – Słuchaj, będzie całkiem w porządku, jeśli mnie zignorujesz i wrócisz do swojego złotego pałacu czy gdziekolwiek. Możesz robić to samo. Nie ma powodu, dla którego nie mogłybyśmy trzymać się od siebie z daleka.

Mimowolnie opuszczam ramiona. Wprawdzie mój plan był bardzo podobny, a jednak boli, że tak łatwo potrafiła mnie odepchnąć. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego jak ja – wybranego śmiertelnika. Może liczyłam, że będzie mi przychylna z natury, przez pokrewieństwo losów? Czuję się głupio, że tego oczekiwałam.

– To mi pasuje – mówię, krzyżując ramiona i odchylając się do tyłu. – Możemy więc zacząć od razu?

– Mnie też pasuje – powtarza jak chłodne, beznamiętne echo. Po czym wychodzi z pokoju.

Przyciągam kolana do piersi i je obejmuję. Nie mogę się doczekać powrotu do domu.

6

Mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie pojawił się dzisiaj po południu całkowicie niespodziewanie.

Przedstawił się jako mistrz Gan – choć to, że należy do mistrzów, mogłam od razu poznać po mundurze. Nosił się identycznie jak Whitman. Kolejny członek rady Angline, doradca króla Isaaca. Pochodzi z Diené, jest już przynajmniej w średnim wieku, a swoje czarno-srebrne włosy związał w krótki kucyk.

– W czym mogę pomóc, mistrzu? – pytam. Mimo woli pragnę zrobić dobre wrażenie – albo przynajmniej nie wyjść na dziecko. Gan emanuje autorytetem, a to mnie uspokaja.

– Właściwie to ja jestem tutaj, żeby pomóc pani, panno Arnett. Jestem mistrzem ceremonii na zamku – odpowiada łagodnym, ale donośnym głosem, zupełnie jak kapłan. – Chciałem porozmawiać o przygotowaniach do jutrzejszego wieczoru. Mój personel ma wymiary pozostałych magów, ale jeśli pobiorę pani miarę przed przybyciem modystki, będą mogli zabrać kilka próbek do przymierzenia.

Mózg mi zastyga, nie rozumiem jego słów.

– Modystka? – powtarzam. – Po co?

Gan patrzy na mnie pytająco, marszcząc brwi.

– Na ceremonię jutro. Gdy wróżbici ogłoszą narzeczoną króla Isaaca.

Ściskam pięści i próbuję wydusić choć jedno słowo.

– Ale kiedy… Co?

– Planuję tę ceremonię od tygodni. Myślałem, że pani o tym wie.

Zbieram siły i staram się uśmiechnąć, choć czuję, że się pocę, a pierś wydaje się zbyt ciasna, by pomieścić moje płuca.

– Mistrz Whitman jakoś nie wspomniał, że wszystko ma przebiegać aż tak szybko.

– Zapomniał? Dziwne. – Może mi się zdaje, ale ton Gana brzmi chłodno – jakby nie był fanem Whitmana. W takim razie jest nas już dwoje.

Biorę się w garść, przygryzam wargi i cierpliwie znoszę, gdy Gan pobiera moje wymiary, używając splecionego sznurka. Musi być sposób, żeby powstrzymać tę ceremonię – albo chociaż się z niej wyłączyć. Może wystarczy nieposłuszeństwo. Może za złe zachowanie po prostu odeślą mnie do domu.

Gan kończy pomiar szybciej, niż się spodziewałam. Kiwam mu głową na pożegnanie. Przez chwilę stoi z ręką na klamce, aż w końcu się odwraca.

– Muszę zapytać – mówi. – Te wróżby bratnich dusz, które, jak twierdzisz, wykonujesz… Jak często się sprawdzają?

Zaskoczona pytaniem, odgarniam niesforny kosmyk włosów za ucho. Oznaczanie bratnich dusz to delikatna sztuka. Czasem trzeba podać odpowiedź, której ktoś nie chce usłyszeć. Dobra wiadomość? Bratnie dusze nigdy nie są po

drugiej stronie świata – to zawsze ktoś z twojego otoczenia, teraz albo w przyszłości. Zła wiadomość? Nie ma żadnej gwarancji, że skończycie razem. To bardzo prawdopodobne, niemal obietnica. Ale jest też czynnik ludzki, który potrafi wszystko zrujnować – słabość, lęk, autodestrukcja.

– Trudno odpowiedzieć jednoznacznie – mówię do Gana. – Mogę wykonać wróżbę dla ciebie, jeśli chcesz.

– Nie jestem kawalerem – odpowiada stanowczo. – I wiem na pewno, że mój mąż jest moją prawdziwą miłością.

Choć trochę ze mnie szydzi, urzeka mnie ton jego riposty. Musi być cudownie kochać i być kochanym z taką pewnością. Próbuję sobie wyobrazić, jak to jest mieć bratnią duszę: spędzać razem każdą chwilę, rozmawiać do późna w nocy, wspólnie się śmiać, dbać o siebie, opiekować w chorobie albo w rozpaczy.

Właściwie… brzmi to jak coś, co mieliśmy z Patrickiem.

Coś ściska mnie w piersiach. Może to właśnie sprawiedliwość: unicestwiłam życie brata, więc teraz nigdy już nie będę mogła z nikim być naprawdę blisko.

Odkasłuję, by mój głos zabrzmiał pewnie.

– Cieszę się więc twoim szczęściem.

Gan przygląda mi się z uwagą. Przypomina mi w tym Irinorra. Podobna siła spojrzenia – pewna, przenikająca w głąb mojej duszy mięczaka i grzesznicy.

– Wydajesz się osobą z zasadami – mówi niemal z tęsknotą.

W tym miejscu urywa i wychodzi, pozostawiając w powietrzu niedopowiedziane pytanie: jak ktoś przyzwoity

może przeprowadzać takie tanie sztuczki? Udawać, że wskazuje bratnie dusze dla rozrywki i garści monet? Jak można z tym żyć?

Whitman musi czuć się naprawdę samotny, skoro promuje moje zdolności. Czy powinnam być mu za to wdzięczna? Jakoś nie potrafię. To przede wszystkim przez niego się tu znalazłam – wystawiona na drwiny i podejrzliwe spojrzenia. Ani myślę mu dziękować za rzucanie mi ochłapów dobrej woli.

Szczególnie że przecież chce mnie tylko wykorzystać.

Whitman wraca wieczorem, by sprawdzić, jak się czuję. Nie jestem gotowa – leżę na leżance w koszuli nocnej, próbując znaleźć wygodną pozycję, zasnąć i wyrzucić z głowy serię coraz głupszych wydarzeń od momentu przyjazdu do zamku. Jego pukanie wytrąca mnie z odrętwienia.

– Mistrz Whitman – wzdycham, gdy wchodzi. Jestem zmęczona walką, ale nie mogę pozwolić, by rządził moim życiem zza kulis. – Miałam dziś po południu wizytę. Mistrz Gan. Opowiedział mi fascynującą historię o ceremonii niespodziance, którą planujesz.

Nie ma nawet tyle przyzwoitości, by wyglądać na zakłopotanego.

– To była decyzja logistyczna. Łatwiej odwołać ceremonię w ostatniej chwili niż ją planować od zera.

– Ach… rozumiem – odpowiadam. – Więc ją odwołaj.

– Wciąż odmawiasz wykonania wróżby?

– Tak? – Wypuszczam powietrze. Czy naprawdę zrobiłam coś, co dałoby mu nadzieję, że zmienię zdanie? Na tym etapie trudno uwierzyć, że wciąż się łudzi. Co on tu właściwie robi? Przesuwam nogi na sofie, nagle aż nazbyt świadoma nagiej skóry pod sukienką, luźnych loków opadających na w połowie odsłonięte obojczyki.

To nie jest niemożliwe. Sama bym tak zrobiła na jego miejscu. Po nieudanej próbie perswazji... nic nie powstrzymałoby go przed przekroczeniem tych kilku dzielących nas stóp. Nikt by go nie zatrzymał, gdyby pochylił się nade mną, wplótł ręce w moje włosy, przyciągnął moje usta do swoich...

– Czy mogłabyś wyjawić, dlaczego nie chcesz tego zrobić?

Wyrwana z rojeń, wypowiadam pierwszą rzecz, która przychodzi mi do głowy:

– Po co miałbyś mnie potrzebować? Użyj któregoś z tych oszustów, których masz zatrudnionych na etacie.

Jego spojrzenie staje się twarde.

– Jestem pewien, że nie chcesz mnie obrazić, ale każdego ze swoich magów wybrałem osobiście. Potrafię rozpoznać fałszywkę.

– Nie wątpię, że są biegli w tym, co robią, mistrzu Whitman, ale oszczędź mi przykrości i nie porównuj mnie z tymi partaczami.

Krzyżuje ramiona.

– Może nie jesteś aż taką ekspertką od magii, za jaką się uważasz.

Moje wnętrzności płoną z gniewu. A chciałam uniknąć kłótni.

– Ach tak? Przypomnij mi więc, jaki rodzaj magii sam uprawiasz?

– Może sam nie rzucam czarów, ale studiowanie magii to moja praca od lat. Osoba z nieco mniejszym poziomem arogancji mogłaby to uwzględnić, zanim zacznie się wymądrzać.

Krążymy w kółko. To wyczerpujące. Z natury nie jestem wojowniczką – jestem osobą, która chce przetrwać. A przetrwać znaczy: wiedzieć, kiedy się poddać.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia, żeby otworzyć usta – mówię chłodno. – Będę to robić swobodnie, kiedy mi się spodoba. Ale… dobrze, przepraszam.

To go wytrąca z równowagi.

– Nie powinienem był mówić tak szorstko. – Pociera tył szyi. – Te dni są stresujące dla nas obojga.

– Stres? To przez to jesteś taki spięty? – Klepię poduszkę obok siebie. – Chodź, zrobię ci masaż.

Spogląda na mnie bez entuzjazmu.

– Nie mówisz tego poważnie, prawda?

– To tylko żart – rzucam, odwracając się, by ukryć podstępny rumieniec, zdradzający, jak bardzo kłamię. – Poza tym to ty wciąż odwiedzasz młodą damę pozostającą bez opieki w jej sypialni. Niektórzy mogliby powiedzieć, że to coś sugeruje.

– Spotykam się sam na sam z każdym ze swoich magów. Założyłem, że tu poczujesz się bardziej komfortowo.

To prawda. Lepiej nie naciskać dalej, na wypadek gdyby odebrał mi ten przywilej.

– Będzie, jak uważasz. Ale ustalmy jedno: nie zmieniam zdania. Znajdź innego jasnowidza.

– Spotkaj się chociaż wcześniej z królem Isaakiem.

Usta prostują mi się w wąską linię. Nie zamierzam robić tego, o co prosi Whitman, ale jeśli dalej będę go odrzucać, może mnie po prostu odesłać – z powrotem do Patricka. Muszę zyskać na czasie.

– Dobrze. Porozmawiam z królem, jeśli to dla ciebie takie ważne.

– Dziękuję. – Jego ramiona opadają z ulgą. – Zabiorę cię do sali obrad jutro rano.

Zastygam.

– Co? Nie, ja nie... nie chcę nigdzie iść. Przyprowadź go tutaj.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Lustruje mnie spojrzeniem, które zdecydowanie mi się nie podoba. – Robisz właściwą rzecz, panno Arnett.

Patrzę gniewnie znad wielbłądzich kształtów oparcia mojej sofy. To nigdy nie będzie moja specjalność – koronowanie królowych, kształtowanie królestw. Whitman drwi, prosząc mnie o to. A jeśli się zgodzę, reszta świata też będzie miała powód do śmiechu.

7

Poranek przychodzi dziwnie szybko. Elizabeta wpada do mojego pokoju tuż po świcie, by ubrać mnie w jedwabie i szyfony. Potem siadam na sofie, wyprostowana i gotowa. Czekając, czuję drżenie rąk. Pukanie do drzwi następuje po minucie.

Mistrz praktyków wchodzi do środka sam.

– Gdzie jest król Isaac? – pytam. Uczucie ulgi miesza się z zaciekawieniem. – Myślałam, że mam wskazać jego bratnią duszę.

Whitman opiera się o ścianę.

– Jeszcze nie. Musimy go najpierw przekonać o twojej wiarygodności. Jeżeli nasza perswazja coś da, królewskie weto obali decyzję rady i będziesz mogła przeprowadzić wróżbę.

Wzbiera we mnie niepokój, mroczna, trudna do uchwycenia obawa.

– Zróbmy to.

– Spróbuję zaprosić króla – mówi Whitman i wychodzi.

Zostaję sama na kanapie, przygotowując się na kolejne pukanie. Cała ta sytuacja jest dziwna. Negocjacje dotyczące królewskich małżeństw zazwyczaj przechodzą przez Dwór Kręgu dla państw członkowskich. Delegaci Kręgu biorą udział

we wszystkich decyzjach o randze politycznej, nie wyłączając związków małżeńskich władców. To zabezpieczenie, by jedno królestwo nie przejęło zbyt wielkiej władzy dzięki mariażom.

Ceremonia, która się zbliża, byłaby dużym odejściem od tej tradycji. A do tego ryzykownym – jeśli Whitman ma rację, że wróżbici zostali przekupieni. Ale kto odważy się sprzeciwić Isaacowi? Opalvale to najbardziej wpływowy kraj w unii bez względu na to, co głoszą artykuły założycielskie o równości wszystkich państw. Nexus to zbyt cenny zasób.

Kiedy w końcu słyszę pukanie, zrywam się natychmiast.

– Proszę wejść – wołam.

Krok w krok za Whitmanem wchodzą trzej strażnicy z przodu i dwóch z tyłu. Między nimi widzę mężczyznę, który musi być królem.

Isaac jest blondynem o pogodnych, chłopięcych rysach. Ma na sobie kasztanowy, aksamitny kaftan z błyszczącymi rozcięciami na rękawach i cienki złoty diadem na głowie. Cienie pod oczami zabarwiają jego bladą skórę, a chód ma lekko kulejący. Rzeczywiście – wygląda na chorego.

Zrywam się na nogi z dygnięciem. Tyle przynajmniej wiem – tego się zawsze oczekuje.

– Wasza Wysokość...

Szurając nogami, podchodzi do wiklinowego krzesła.

– Panno Arnett...

Jego głos jest przyjazny, ale pobrzmiewa w nim niezasłużona pewność, typowa dla ludzi, którzy nigdy nie usłyszeli słowa „nie”. Nie był przygotowywany do objęcia tronu – jego siostra, królowa Aliah, panowała przez dwa lata,

nim umarła na wyniszczającą chorobę. Korona spadła na niego niespodziewanie. Ale całe życie był rojalsem – tego się nie ukryje.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli usiądę – mówi. – Z zasady staram się nie stać zbyt długo.

Kim jestem, by mu zezwalać albo odmawiać?

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

Król Opalvale pochyla głowę w podzięce i opada na moje krzesło. Whitman i strażnicy ustawiają się pod ścianami.

– Mona Arnett... – zaczyna Isaac, jakby przedstawiał mnie na przyjęciu. – Powiedz mi coś o sobie.

Spoglądam na Whitmana. Kiwa zachęcająco głową.

– Wasza Wysokość zna już moje imię. – Składam spódnicę w równą harmonijkę. – Mieszkam w Seaward. Jestem młodsza z rodzeństwa. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

– Chciałbym poznać cię lepiej. Twoje pochodzenie, wykształcenie, zainteresowania. Masz jakieś hobby? Co robisz dla relaksu?

Rzucam mu uśmiech, który ociera się o drwinę.

– Lubię gorące kąpiele i długie spacery po plaży.

Nie powinno się drwić z króla – ale też powinien zadawać lepsze pytania. Isaac patrzy na mnie przez chwilę, potem zerka na Whitmana, który przybrał wyjątkowo neutralny wyraz twarzy.

Król odwraca się do strażników.

– Czy możecie zostawić nas na chwilę? – Z wahaniem kiwają głowami. Isaac macha dłonią. – Jestem bezpieczny. Mistrz Whitman mnie ochroni.

Nie wiem, czy żartuje. Strażnicy robią obrót i opuszczają pokój.

Król zapada się w krześle głęboko, skrzyżowawszy kostki. Wszelka forma i powaga odpływają.

– Zacznijmy od nowa.

Wygładzam spódnicę, śledząc wzrokiem jej zagniecenia.

– Wedle życzenia Waszej Wysokości.

– Słyszałem o tobie wiele – mówi. Po tonie słychać, że nie były to komplementy.

Przełykam obawy i próbuję się uśmiechnąć.

– Na przykład?

– Że twierdzisz, iż używasz magii bez run, bez żadnych narzędzi. Że pobierasz opłatę za wskazanie prawdziwej miłości, bez żadnych gwarancji co do czasu i sposobu, w jaki się pojawi. – Spogląda na Whitmana. – Że lubisz manipulować. Chciałbym więc usłyszeć twoje wyjaśnienie, dlaczego każdy wróżbita, z którym rozmawiałem, twierdzi, że nie da się przepowiedzieć człowiekowi jego bratniej duszy.

Nie ma wyjaśnienia, w które by uwierzył. Gdybym powiedziała, że moja moc pochodzi z więzi z Irinorrem, zamknęliby mnie w psychiatryku. Wybieram więc odpowiedź – unik.

– Może są zwyczajnie zazdrośni.

Whitman wtrąca się szybko – zapewne, by mnie powstrzymać.

– Rozmawiałem z każdym klientem pani Arnett, którego udało mi się znaleźć – mówi. Rzucam mu oburzone spojrzenie. Nigdy mi o tym nie wspomniał. – Nie wszyscy byli

zadowoleni z odpowiedzi, ale nikt nie uważał jej za oszustkę. A ja osobiście widziałem, jak demonstruje swoje umiejętności. Uznałem je za przekonujące.

– Jestem pewien, że tak – odpowiada Isaac, patrząc na mnie w sposób, którego nie potrafię rozszyfrować.

Nie interesuje mnie jego opinia o mojej magii. Tak naprawdę król mógłby rozwiązać wiele moich problemów, gdyby mnie odrzucił. Ale by zadowolić Whitmana i pozostać w zamku, muszę sprawiać wrażenie, że rozważam przyjęcie roli.

– Wasza Wysokość – mówię – najłatwiejszym sposobem, by to wyjaśnić, będzie przeprowadzenie wróżby na pański temat.

– Tak sądzisz? Myślisz, że to wystarczy?

Brwi Isaaca unoszą się w udawanym zaskoczeniu, ale w jego oczach błyszczy coś więcej.

– Jeśli Wasza Wysokość da mi szansę, sprawię, że zmieni zdanie. Potrzebuję tylko jakiejś rzeczy osobistej. – Podnoszę palec. – A co do mistrza Whitmana, to, muszę przyznać, jest to człowiek mocny jak ściana. Jego się nie da zmanipulować.

Po twarzy Isaaca przemyka półuśmiech.

– W porządku. Ale nie będzie to dla ciebie łatwe. Cokolwiek wyczytasz, musi to być coś, czego nie powiedziałem wcześniej nikomu.

Unoszę brwi.

– Czy na pewno?

Jego uśmiech się rozszerza. Wyraźnie sądzi, że mi się nie uda. Jego błąd.

Isaac zahacza palcem łańcuszek, ukryty pod kaftanem, i zdejmuje go przez głowę. Wisi na nim sygnet, noszony jak medalion.

– Kiedyś nosiłem ten pierścień wszędzie – mówi. Wyciąga dłoń z zakrzywionymi palcami. – Potem moje stawy uznały, że fajnie będzie spuchnąć jak winogrona. Zawsze mam go przy sobie, mimo wszystko. Czy to się nada?

– Powinno – odpowiadam, gdy podaje mi sygnet. Jest cięższy, niż się spodziewałam. Przyglądam się mu uważnie. Coś, czego nie powiedział nikomu?

Bez pośpiechu wsuwam pierścień na palec, jakbym przymierzała biżuterię w sklepie. Jest za duży. Whitman zaciska usta, ale król przygląda się z wyraźnym zaciekawieniem. Przykładam sygnet do ust i dmucham. Cząsteczki magii, podobne do srebrzystego pyłu, unoszą się i opadają mi na twarz. Wizja wypływa na powierzchnię myśli: ciemny, aksamitny pokój, pot, krzyki. Jakiś chłopiec płacze.

Zalewa mnie fala wiedzy. Pewność.

Siadam prosto.

– Wasza Wysokość, czy słowa: „Chciałbym oszczędzić ci tego samego losu” coś dla ciebie znaczą?

Krew odpływa Isaacowi z twarzy.

– Tak.

Oddaję sygnet. Isaac chwyta go drżącymi rękami, zakłada naszyjnik. Chowa go pod kaftanem, wciąż wyraźnie zaniepokojony. Może posunęłam się za daleko? Czasem nie rozumiem w pełni znaczenia swoich przepowiedni. Zwykle łapię się jednego tropu – jak „coś, czego nigdy nikomu nie

powiedział” – i wypowiadam to, co widzę. Cokolwiek oznaczała ta wizja, postawa Isaaca wyraźnie się zmieniła. Stał się bardziej spięty.

– To nie dowodzi, że potrafisz określać bratnie dusze – dodaje, choć kolor wraca mu już na twarz. – Nie unieważnię decyzji rady bez powodu.

– Jest prosty sposób, by to sprawdzić. Pozwól, że zrobię ci przepowiednię miłosną. Wtedy ją znajdziemy, a ty sam ocenisz.

Whitman rzuca mi szybkie spojrzenie. Może z dumą, a może z ostrzeżeniem – surowym: „Wystarczy”. Czasem trudno odczytać jego emocje.

Król drapie się po żuchwie i pochyla głowę w stronę Whitmana.

– Jesteś pewien? – pyta cicho. – To nie będzie popularna decyzja.

– Chyba że chcesz odwołać całą rywalizację – odpowiada Whitman, kiwając głową.

Czuję się jak podsłuchiwacz. Ta rozmowa nie jest dla moich uszu – ale wygląda na to, że przekonała Isaaca.

– W porządku – mówi, unosząc ręce. Udaje kapitulację, ale ton ma lekki, ramiona rozluźnione. Może nigdy się tym naprawdę nie przejmował. – Przekonałeś mnie. Dodaj Arnett do listy.

Mój żołądek robi fikołka – z dumy i frustracji jednocześnie. Rzadko zdarza mi się powiedzieć, że wykonałam zbyt dobrą robotę. Ale przecież nie obiecałam, że wykonam wróżbę.

Nawet jeśli Isaac się zgodził, Whitman nie może mnie do tego zmusić.

– Jestem zaszczycona, Wasza Wysokość – mówię. I niemal sama w to wierzę.

8

Whitman puka kilka minut przed startem przyjęcia.

Wpatruję się w zamknięte drzwi z wersalki, z kieliszkiem wina w dłoni. Puka ponownie, potem próbuje nacisnąć klamkę. Wcześniej jednak przekręciłam zamek.

Elizabeta ledwie kwadrans temu pomogła mi się ubrać. Wybrałam satynową suknię w odcieniu szarości – jak pióra czapli i burzowy ocean. Jasna tkanina podkreśla piegi na moich policzkach i nosie. Pozwoliłam się ubrać bez protestu – łatwiej było się poddać niż walczyć.

Ale teraz Whitman jest pod drzwiami, ceremonia lada chwila się zacznie, a ja nie mogę się z tym pogodzić. Trudno mi nawet samej sobie wyjaśnić, dlaczego tak bardzo mnie to przeraża. Wiem tylko, że nie mogę dołączyć do Królewskiej Kompanii. Jeśli złożę przysięgę – czy to oznacza, że będę tu uwięziona, w miejscu, gdzie nikt mnie nie chce?

Choć szczerze mówiąc… nie brzmi to znowu tak całkiem inaczej niż sytuacja w domu.

– Idź sobie! – warczę, dość głośno, by mnie usłyszał. Upijam kolejny łyk. Strużka wina spływa mi po brodzie. Już jestem pijana.

– Zaczynamy – brzmi stłumiona odpowiedź. – Wyjdź, proszę. Nie ma czasu na te twoje gierki.

– To żadne gierki! – bełkoczę, co trochę tłumi gwałtowność moich zaprzeczeń. – To ty grasz w gry, mistrzu Whitman. Ja tylko staram się nadążyć.

– Użyję klucza do pokoju, jeśli będę musiał.

– Proszę bardzo, spróbuj – odparowuję. Trzaskam kieliszkiem o stolik, wstaję i chwytam wiklinowy fotel. Przeciągam go do drzwi i klinuję pod klamką, starannie dopasowując. Nie otworzy ich.

Z drugiej strony zapada cisza. Potem – dźwięk metalu. Klucz skrada się do zamka.

– Nie dołączę do tego towarzystwa! – krzyczę. Wiem, jak się zachowuję – jak dziecko. Ale panika całkowicie przejęła nade mną kontrolę.

– Wchodzę.

Drzwi się nie poruszają. Fotel trzyma. Zwijam się z powrotem na szezlongu, oplatając kolana ramionami.

Kolejna minuta. Przekręcanie klamki, potem krzyk:

– Panno Arnett! Opóźnię ceremonię, jeśli mnie do tego zmusisz!

Mam dość. Zabieram kieliszek i idę do sypialni. Tam jest ciszej. Wskakuję do łóżka i zakrywam się po szyję. Kiedy się obracam, róg kołdry uderza w stolik nocny, strącając naczynie z wodą morską, która rozlewa się z głośnym pluskiem.

– O kurwa.

W poszukiwaniu chusteczki sięgam do szuflady. Klękam na podłodze i zaczynam wycierać plamę. Z podłogi unosi się zapach oceanu. Zatrzymuję się i unoszę chusteczkę do nosa.

Pachnie Przypływem. I moją matką – tylko bez róży. Zatapiam twarz w materiale.

Nie wiem, ile czasu mija, kiedy coś zaczyna syczeć. Opuszczam chusteczkę. Z salonu dobiega ostry, syczący dźwięk jak gwizdek czajnika. Ciekawość bierze górę, przechodzę więc na kolanach do drzwi sypialni. Po drugiej stronie widać, że z klamki wydobywa się stalowobłękitny dym. Sama klamka nie jest już klamką – to lepkie, półpłynne coś. Docieram na kolanach akurat w chwili, gdy metal spada na wiklinowy fotel. Syczenie cichnie. Drzwi otwierają się z hukiem, pchając fotel, który upada na bok.

W progu stoi Umber – jeden z alchemików – w okularach ochronnych i rękawicach. Jego długie białe włosy spięte są w kucyk, a spod roboczego fartucha wystaje elegancka dwurzędowa marynarka i staroświeckie pończochy. W prawej dłoni ściska pękaty pojemnik, z którego wydobywa się para.

– Jest twoja, mistrzu! – krzyczy, jakby na wpół ogłuchł od tych wszystkich syków.

Whitman zjawia się obok, ma czerwoną twarz. Nie wygląda na zachwyconego, że musiał prosić Umbera o pomoc.

– Ogromne dzięki.

Umber zsuwa gogle na czoło, odsłaniając czerwone ślady wokół oczu. Rzuca mi szybkie spojrzenie – skulonej, w błyszczącej sukni, z rozpostartą spódnicą wokół nóg.

– Do zobaczenia na miejscu – mruczy do Whitmana i znika.

Whitman podchodzi i patrzy na mnie z góry. W odruchu buntu odpowiadam mu spojrzeniem, nie ruszając się

z miejsca. Usta ma zaciśnięte, ale nie wygląda na rozgniewanego. Przynajmniej – nie na mnie.

– Dobry wieczór – mówię zdyszana. – Nie idę.

– Czemu więc się ubrałaś?

Zastygam, szukając odpowiedzi. Nie chcę robić wróżby dla Isaaca, ale nie chcę też opuszczać zamku. Nie chcę podejmować żadnej decyzji. Stoję więc bez ruchu jak drzewo zakorzenione w korycie rzeki, pozwalając, by prądy okoliczności przepływały wokół moich kostek. Pozwoliłam Whitmanowi zaplanować moją przyszłość. Pozwoliłam Elizabecie mnie wyszykować. Ale brak wyboru to też wybór – choć ryzykowny. Zapędziłam się w kozi róg.

– Nie mogę wrócić do domu – mówię cicho. – Ale też nie dołączę do Kompanii.

– Dlaczego? – pyta z autentycznym zaskoczeniem.

Pociągam nosem. Nie potrafię sformułować sensownej odpowiedzi. Ale kiedy wyobrażam sobie, jak składam przysięgę jako królewska magini, widzę Patricka w tłumie, uśmiechającego się z dziką dumą. Jak mam żyć pełnią życia, skoro Patricka już nie ma?

Wcieram łzę w policzek.

– Nie zasługuję na to.

Whitman przygląda mi się badawczo, próbując ocenić moją szczerość. W końcu wzdycha.

– Panno Arnett, zapraszam panią na ceremonię. Proszę tylko o wykonanie wróżby. Nie musi się pani zaprzysięgać, jeśli nie chce. Będziesz... na kontrakcie. A potem możesz wrócić do domu, kiedy tylko zechcesz.

Taka możliwość nie przyszła mi wcześniej do głowy.

– Czemu właściwie to robisz, mistrzu?

– Już ci mówiłem. Potrzebuję twojej przepowiedni bez względu na wszystko.

Śmieję się – krótko, pusto. Whitman oferuje mi wyjście, które jestem w stanie zaakceptować. Krótkie zanurzenie w dyskomforcie, a potem będzie po wszystkim. To chyba najlepsze wyjście, na jakie każde z nas mogło liczyć.

– Skąd mam wiedzieć, czy nie wycofasz danego słowa? – pytam.

– Będziesz, pani, musiała mi zaufać.

Unoszę brew, wciąż pełna wątpliwości. Przypomina mi się stare przysłowie: nigdy nie zawieraj umowy z demonem. Może Whitman nie jest demonem, ale od naszego pierwszego spotkania próbował mnie przechytrzyć. Mam złe przeczucie, że właśnie wygrał tę partię. Drzwi po drugiej stronie pokoju są otwarte – i ciągną mnie ku sobie jak prąd. Jak klif, z którego pragnę się rzucić.

– Dobrze – szepczę. – Umowa stoi.

Whitman się nie uśmiecha, ale jego twarz rozjaśnia ulga. Wyciąga rękę. Drżąc, chwytam jego dłoń.

Pomaga mi wstać i prowadzi w stronę drzwi. Zaciskam powieki. Dla mnie to jak skok w przepaść.

Idziemy korytarzami bez słowa. Czuję, jak przestrzeń mnie przygniata – jakby ściany nas obserwowały. Zaciskam dłonie w pięści i nagle uświadamiam sobie, że wciąż trzymam mokrą od wody morskiej chusteczkę. Przykładam ją do ust, wdycham znajomy zapach. Serce bije mi spokojniej.

Trochę bardziej opanowana, ale wciąż z pochyloną głową, idę niezgrabnie krok za krokiem. Chusteczkę wciąż trzymam przy ustach. Nie chcę wiedzieć, dokąd zmierzamy. Nie chcę myśleć o tym, co będzie. Jak długo mam tu zostać? I jaka jest etykieta królewskich imprez, jeśli chodzi o wymiotowanie na gości? Celować w niższe stany?

Kiedy wchodzimy do ogromnej sali, podnoszę wzrok.

Wysoko nad nami, przy sklepionym suficie, unoszą się lampiony z purpurową magiczną żywicą, świecące jak gwiazdozbiór. Kolumny ozdobione misternymi reliefami stoją w równych rzędach. Wszystko przypomina jaskinię przy ujściu rzeki – zatopioną nocą przez przypływ. Girlandy czarno-złotych róż opadają z sufitu jak nurkujące wróble.

Jest tu więcej ludzi, niż kiedykolwiek widziałam w jednym miejscu. Klejnoty błyszczą na nadgarstkach i szyjach jak świetliki w mroku; satynowe spódnice wirują, peleryny falują. Mocniej przyciskam chusteczkę do ust.

– Co to jest? – pytam Whitmana.

– Ceremonia. Największa impreza w Opalvale.

Dreszcz przebiega mi po plecach. Żołądek zamienia się w lód. Trudno się wycofać, gdy setki ludzi czekają na twoją współpracę.

– Kiedy moja kolej? – pytam, omiatając spojrzeniem dekoracje.

– Niebawem. Dam ci znać, gdzie masz iść. – Whitman wydaje się rozkojarzony. Patrzy ponad głowami tłumu. Wiem, co zaraz powie.

– Muszę się jeszcze naradzić z Isaakiem – mówi. – To potrwa tylko chwilę. Możesz do nas dołączyć, jeśli chcesz...

– Dam sobie radę. – Zastygam w obojętnej pozie. Nie chcę iść za nim. Nie chcę wyglądać, jakby ktoś musiał mnie prowadzić za rękę. Nawet jeśli to prawda.

Whitman rzuca mi ostatnie, irytujące skinienie głową i odchodzi.

Trzęsąc się od adrenaliny, mijam kelnerów z tacami wody morskiej i rozglądam się za kieliszkami koktajlowymi. Sięgam po szampana, kiedy dostrzegam Bernadette Byers po drugiej stronie sali. Jej suknia lśni głęboką czerwienią. Nie rozmawiamy, ale jej przepowiednia jest jedyną, której ufam poza własną. Jej magia, jak moja, pochodzi od bogów. Nigdy nie zawodzi.

Whitman wraca w tej właśnie chwili i kiwa w moją stronę.

– Zaczynamy.

Rzucam ostatnie spojrzenie ku wyjściu, a potem ruszam za nim.

Zbliżamy się do podestu z przodu sali, oświetlonego oślepiającym białym światłem. Tam już czeka Isaac – siedzi na wysokim, złoconym tronie, otoczony strażnikami. Przed nim ustawiła się drużyna wróżbitów Whitmana. W kulisach czeka mistrz Gan – zapewne to on poprowadzi ceremonię.

– Jesteś gotowa? – pyta cicho Whitman, prowadząc mnie za łokieć.

Wyszarpuję ramię z jego uchwytu.

– Trochę późno na to pytanie, prawda? – stwierdzam lodowatym tonem i wspinam się na schody, nie czekając na

odpowiedź. Słyszę, jak rusza za mną.

Whitman zajmuje miejsce po prawej stronie Isaaca, a ja ustawiam się przy wróżbitach.

Dołącza Byers, domykając skład. Królewska Kompania Praktyków ma w swych szeregach czwórkę wróżbitów: Byers, Janieux, Tellermana i Hawkesa. Zerkam na nich kątem oka. To kwintesencja drużyny Whitmana – młodzi, wyprostowani jak struny, poważni jak ława przysięgłych. Byers wygląda na wyjątkowo surową, nieporuszoną atmosferą podniosłego święta. Pozostali troje mają w kącikach ust cień zadowolenia, może nawet lekki uśmiech. Przeciwieństwo mojego zmieszania i wstydu, które czuję, stojąc przed królem.

A jednak dzieje się coś nieoczekiwanego. Gdy gorące światło lamp z purpurową żywicą pada mi na czoło, a tłum zaczyna napierać od tyłu, ogarnia mnie spokój. To tylko kolejny występ – jak każda z moich przepowiedni. Ściągam chusteczkę z ust i biorę głęboki oddech. Może dam radę.

Na scenę wychodzi mistrz Gan i ceremonia się zaczyna.

– Dziś zebraliśmy się, aby uczcić przepowiednię nowej żony króla! – ryczy Gan.

Jego głos wibruje od energii – jest zupełnie inny niż ten spokojny, kapłański ton, który słyszałam w swojej komnacie. Ma na sobie krwistoczerwoną pelerynę, obszytą ozdobnymi piórami kruka wzdłuż brzegu. Najwyraźniej jego publiczny wizerunek musi być wyrazisty.

Król Isaac reaguje uśmiechem na głośne oklaski. Jego oczy są bardziej zapadnięte niż wcześniej, głęboko osadzone w twarzy. U jego boku stoi Whitman, wyraźnie spięty, jakby spodziewał się nieczystej gry. Czy podejrzewa, że część wróżb

może być kupiona? Jeśli któryś z jasnowidzów zostanie przyłapany na przyjmowaniu łapówek, czy to Whitman poniesie konsekwencje? W końcu to on zatrudnił nowych członków Kompanii. Taka kompromitacja mogłaby go kosztować zaufanie innych mistrzów.

Pierwsza przed królem występuje Janieux. Jej kasztanowe włosy są misternie splecione w modny węzeł, usta pomalowała na różowo. Wygląda bardziej jak dama z towarzystwa niż magini. Powstrzymuję pogardliwy uśmiech, gdy wyciąga miedzianą tacę dźwięczącą od wróżebnych kamieni. Oczywiście wszystkie przepowiednie zostały przygotowane wcześniej – to fikcja, konieczna, bo narzędzia są kapryśne jak pogoda. Dzisiejszy spektakl to czysta formalność.

Po kilku rzutach runami jąka się lekko, robi pauzę i wreszcie wygłasza werdykt:

– Narzeczona króla będzie kobietą urodzoną w miesiącu z dwoma księżycami, o imieniu równie pięknym jak kwiaty i trzech piegach na wskazującym palcu prawej dłoni.

W tłumie wybuchają szepty. Czy opisuje kogoś znajomego? A może zdumiewa ich precyzja szczegółów? Wymieniam spojrzenie z Whitmanem. Jego wcześniejsze podejrzenia wracają jak dzwon – łatwo być szczegółowym, jeśli z góry zna się odpowiedź.

Następny występuje Hawkes z wielkim, srebrnym lustrem ozdobionym runami. Spoglądając w jego głębię, opowiada o pięknej kobiecie o ognistoczerwonych włosach i rodzicach, z których każde nosi podwójne imię.

Potem Tellerman, który wyciąga własny zestaw run i przepowiada, że przyszła panna młoda przybędzie do zamku w sprawach prywatnych, nieświadoma ceremonii, niosąc wiadomość osobie, której brak jednego z palców.

Zadziwiające. Czy przyszła królowa może być zwykłą dziewczyną?

Wychodzi Byers. Kłania się królowi, klęka, sięga po torbę z wypolerowanymi runami i rzuca ich garść na scenę. Spadają z łoskotem przypominającym ulewny deszcz. Byers robi krótką pauzę, jakby coś odczytywała.

– Narzeczona króla przybędzie przed Szarą Mszą – ogłasza donośnym, pewnym głosem – i będzie to osoba naznaczona przez bogów.

Przygryzam policzek. To jedyna przepowiednia, której ufam bez zastrzeżeń, ale nie mówi mi zbyt wiele.

Nadeszła moja kolej. Wychodzę lekko do przodu, chowając chusteczkę do kieszeni. Stres spływa ze mnie jak wosk – sama prawie się już roztopiłam. Tłum faluje od szeptów, gdy zbliżam się bez żadnych run ani lustra, bez teatralnych rekwizytów. Przed królem wykonuję przepisowy ukłon.

– Podaj mi swój miecz, panie – proszę cicho.

Isaac sięga po ceremonialny rapier, który ma u biodra, ale Whitman kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Po co to efekciarstwo? – mówi półgłosem. – Użyj jego rękawicy. Nie przyszłaś tu się popisywać, tylko wskazać królową.

– W czym problem, Whitman? – szepczę słodko. – Widziałeś przecież, co potrafię zrobić z mieczem mężczyzny.

– Wyciągam rękę z zachęcającym gestem. – Obiecuję, Wasza Wysokość, wszystko będzie w najlepszym porządku.

Isaac zerka na mistrza magów, który wygląda, jakby właśnie rozważał morderstwo.

– Po prostu dokończ sprawę – wzdycha Whitman.

Król chwyta za miecz i wyciąga go z pochwy. Ramię mu drży, jakby utrzymanie ciężaru sprawiało mu trudność – osłabł od ostatniego razu, kiedy trzymał broń. Ale spojrzenie ma pewne, gdy przekazuje mi rapier. Chwytam go za rękojeść i lekko się cofam.

Sala zamarła w ciszy, nieruchoma jak zamarznięte jezioro. Unoszę cienką klingę i zataczam nią krąg nad głową, próbując ją wyczuć. Tnie powietrze jak skrawek jedwabiu. Jestem w swoim żywiole – scena, światło, publiczność. I wtedy, po szybkim zwrocie, opuszczam miecz i zadaję cios. Tłum wstrzymuje oddech.

Klękam przed mieczem.

Z czołem opartym o rękojeść zamykam oczy. Czuję duchowy ślad dotyku króla – właśnie tam, na mojej skórze. Chwytam nici. Zaciskam powieki jeszcze mocniej, aż wewnętrzne pole widzenia zalewa mi barwa gliny. I wtedy – unoszę się.

Lecę w górę, prosto w powietrze, a magia rozmywa wszystko wokół. Unoszę się nad pochmurnym niebem. Widzę daleko przed siebie – delikatne wzgórza porośnięte lasem, migoczące latarnie z żywicy, mosty nad bagnami. Morze Środkowe lśni szarością. A potem – nurkuję w dół. Wracam do zamku. Wracam do siebie.

Wiedza spływa na mnie natychmiast.

Przez moment, może dwa, trwam nieruchomo.

Powietrze nie chce wpłynąć do moich płuc – sztywne jak skamieniałe drewno. Tłum zaczyna się niecierpliwić, szeptać. Cisza ciągnie się zbyt długo.

– Panno Arnett? – odzywa się Gan głośno, potem ciszej, tylko do mnie: – Mono?

Drgam na dźwięk swojego imienia. Powtarza się ono w mojej głowie raz po raz, aż jego ton się zmienia – z głosu Gana w cichy, drwiący szept magii, który wypłynął z miecza Isaaca i osiadł głęboko w moim umyśle.

Powtarzając słowa, których nigdy – n i g d y – nie spodziewałam się usłyszeć w miłosnej przepowiedni.

M o n a A r n e t t.

9

Mdłości wstrząsają mną, gdy próbuję powstrzymać wrzask. To niemożliwe. To n i e m o ż e być prawda. Nawet jeśli mam bratnią duszę, absolutnie, bez dwóch zdań n i e m o ż e nią być król Opalvale.

A jednak nie mam innego wyjaśnienia, nie mam się dokąd zwrócić. Tymczasem cały zamek czeka i domaga się, bym wskazała wybrankę Isaaca.

Nie mogę podać własnego imienia. Wyrzuciliby mnie z zamku z pogardą – albo gorzej. Każdy, kto jeszcze nie uważa mnie za oszustkę, teraz zyskałby pewność: oszustka, i to chciwa. Poza tym dziewczyny, które popełniają bratobójstwo, nie zasługują na bajkowe zakończenia.

Mam tylko kilka sekund, z niecierpliwym tłumem za plecami. Muszę podać jakieś imię i nazwisko. Nie prawdziwe, nie kogoś, kogo znam. Ale wymyślić coś całkowicie przypadkowego – to równie niebezpieczne. Potrzebuję czegoś pośredniego, imienia, które daje pewien margines niepewności.

Zaciskam zęby. W końcu wydobywam z piersi głos.

– Jane Smith – mówię, dysząc.

Dookoła natychmiast wybuchają szepty – pełne wątpliwości. Powiedziałam to zbyt cicho. Cała roztrzęsiona,

podnoszę się na nogi i próbuję zebrać myśli.

– Jej imię to Jane Smith – oznajmiam głośniej, unosząc podbródek.

Na salę opada cisza, niczym koc śniegu. Whitman opuszcza głowę i chowa twarz w dłoniach.

– Jane Smith? – powtarza Isaac z marsową miną. – Ile osób o tym imieniu i nazwisku mieszka w samym tylko Selledore? Dwadzieścia?

– Jedyne, co mogę podać, to moja szczera wizja, Wasza Wysokość – odparowuję ze ściśniętym gardłem, tak jakby własne ciało próbowało mnie uciszyć.

Wokół narasta pomruk niezadowolenia. Spośród całej piątki to ja zaprezentowałam się najmniej przekonująco. Mistrz Gan spieszy mi na ratunek.

– I oto mamy przepowiednie, panie i panowie! Królewski personel zajmie się wszystkimi wizjami. Możecie być pewni, że wybranka króla stanie wkrótce na tej scenie razem z nami.

Zgromadzeni zaczynają się rozchodzić, mrucząc coś z niechęcią. Pozostali wróżbici żegnają się skinieniem głowy i schodzą z platformy. Janieux ma na ustach ledwie widoczny uśmiech – najwyraźniej cieszy ją moja kompromitacja. Isaac rzuca mi ostatnie, trudne do odczytania spojrzenie – może rozczarowane, ale niezbyt mocno. Jakby nigdy nie spodziewał się zbyt wiele po mojej wróżbie.

Unikam jego wzroku. Schodzę ze sceny, niepewna, dokąd pójść i co robić. Dworzanie potrącają mnie, gdy próbuję się wydostać z głównej sali.

Whitman dogania mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu. Wygląda na to, że otrząsnął się już z początkowego rozczarowania.

– Poradziłaś sobie dobrze – kłamie tonem człowieka próbującego pocieszyć zasmucone dziecko. – Jesteś pewna swojego odczytu?

Kiwam niemrawo głową. Nie jestem w stanie wypowiedzieć potwierdzenia na głos.

– W porządku – mówi, choć jego twarz pobladła, a on sam zdaje się pocieszać siebie równie mocno, jak mnie. – Znajdziemy sposób, by zawęzić krąg poszukiwań.

– Jak sobie życzysz – odpowiadam, przyciskając chusteczkę do ust, bliska zwymiotowania. – Czy możesz wyświadczyć mi przysługę?

– Czego potrzebujesz?

– Przedmiotu należącego do króla Isaaca – mówię, odwracając twarz, by ukryć półkłamstwo. – Jeśli powtórzę odczyt, może uda mi się uzyskać więcej szczegółów.

Naprawdę chcę spróbować jeszcze raz. Muszę się upewnić, że to nie była pomyłka, jakaś osobliwa magia, fuks. W głębi serca wiem, że to niemożliwe. Ale nie potrafię przestać mieć nadziei.

Whitman patrzy na mnie kątem oka. Przez sekundę boję się, że coś wyczuł – ale jego ton pozostaje spokojny.

– Oczywiście. Zajmę się tym natychmiast.

Odprowadza mnie do pokoju. Gdy tylko zostaję sama, zaczynam przygotowania do podróży do Przypływu. Przemierzam ciemny salon, szukając okna w rogach

pomieszczenia. Zaglądam pod łóżko, badam ściany. W końcu znajduję migoczący pas powietrza obok leżanki.

Przechodzę przez niego.

Zmiana jest natychmiastowa. Pokój znika. Dookoła mnie rozciąga się Przypływ.

Fioletowe niebo rzuca eteryczne światło, barwiąc wszystko chłodnymi odcieniami. Wśród kołyszących się kęp wodorostów słyszę szelest – małe stworzenie, może królik, może krab. W oddali, ponad nizinami, majaczy twierdza bogów.

Ruszam ścieżką, wołając Irinorra. Muszę z nim porozmawiać. Muszę przetrawić to wszystko, co się stało.

Ale Irinorra nie ma – jest zajęty swoimi boskimi sprawami – a ja zostaję sama. Sama z wiedzą, że król Isaac się we mnie zakocha. Stawiam krok naprzód, ale nagle zginam się wpół, jakby mój kręgosłup pękł. Opieram dłonie na udach, próbując złapać oddech.

Isaac umiera, a ja mam zostać królową Opalvale. Po jego śmierci to wdowa będzie jedynym monarchą odpowiedzialnym za królestwo. Nigdy bym się do tej roli nie dopasowała – i nie chcę jej. Chcę tylko wrócić do domu i udawać, że nic z tego się nie wydarzyło.

– Słodka narzeczono kruka – mruczy jakiś głos przy samej ziemi.

Zaskoczona, patrzę w dół. Spomiędzy wodorostów spoglądają maleńkie, lodowo niebieskie oczy jak gradowe kulki. Ocieram łzy z policzków. To jedyne stworzenie, któremu nigdy nie pozwolę zobaczyć siebie zapłakanej.

– Nie nazywaj mnie tak, Wayvaddzie.

Właściciel oczu wychodzi z ukrycia – pręgowany kot o lśniącym, wilgotnym futrze. Wayvadd jako jedyny spośród Siódemki woli formę prawdziwego zwierzęcia.

Wayvadd oblizuje swój nos różowym językiem.

– Skoro już o tym mowa, właściwie chciałbym nadać ci nowy tytuł. Co powiesz na „towarzyszkę kota"? – Zastanawia się chwilę, poruszając uszami. – Albo może „patronka kociaków"?

– Bardzo zabawne – odpowiadam monotonnym głosem. – Szukam Irinorra. Pomóż mi albo zejdź mi z drogi.

Wayvadd zwija się w kulkę. Głowę opiera na łapach.

– Przydzielamy te role zbyt wcześnie, nie sądzisz? Ile miałaś lat, gdy Irinorr cię wybrał? Pięć? Sześć?

– Osiem – mamroczę. Czasem najlepiej dać Wayvaddowi to, czego chce, zanim poprosi. Dzisiaj chce mnie dręczyć.

– No proszę! Miałaś już wtedy okres?

– Nie pamiętam – odpowiadam. Wayvadd przymyka oczy, gotów do drzemki. Wzdycham. – Nie, jeszcze nie miałam.

– A więc nawet nie byłaś kobietą. Gdybyśmy poczekali kilka lat, niewątpliwie wszyscy uznalibyśmy, że lepiej pasujesz do mnie. Temperamentem – mówi, otwierając jedno oko – i umysłem.

Zaciskam zęby. Nauczyłam się już, by nie brać jego słów do serca. Wszystko, co mówi bóg ego, służy zaspokojeniu jego potrzeb – albo jego rozrywce. Taki już jest. Egoista, hedonista. I szaleniec.

Wayvadd wyciąga łapę i pokazuje pazury.

– Powinienem ci powiedzieć, że reszta jest w twierdzy. Mają Bardzo Poważną Dyskusję. Wiesz, jak lubią mnie wykluczać z takich rzeczy.

Świetnie. Twierdza – siedziba bogów i ogród zmarłych – za nieprzeniknionymi murami. Jedyne miejsce w Przypływie, do którego śmiertelnikom nie wolno wstępować.

Nie zawsze tak było. Przed wojnami demonów twierdza była pałacem w sercu miasta – otwartym dla klanów, dla handlu i podróży. Potem bogowie ukarali demony za ich zapędy, odbierając im runiczną magię. Przypływ z dzikiej krainy przekształcił się w pustynię – taką, jaką był dawniej, przed zjednoczeniem bogów. Z czasem klany demonów zniknęły w ukryciu, a twierdzę zamknięto za cyklopowymi murami. Kiedyś zapytałam Irinorra, jak się tam dostać. Odpowiedział tylko: żeby wejść do twierdzy, trzeba już znać drogę. Typowa boska bzdura.

Wayvadd, bardziej niż którykolwiek z bogów, musi nienawidzić tej nowej ery. Przypływ stał się spokojny, zbyt uporządkowany. A on – rozwrzeszczany gówniarz – żyje dla chaosu. Już tu nie pasuje.

– O czym bogowie rozmawiają? – pytam. *O Patricku*, mówi cichy głos w mojej głowie. *O wygnaniu jego ducha, bym mogła wrócić do domu.*

– To nie twoja sprawa. Irinorr będzie przez jakiś czas zajęty. Lepiej wróć do swojego śmiertelnego ciała i postaraj się o tym nie myśleć. Masz nową zabawkę, prawda?

Krzyżuję ramiona z wielką godnością.

– Nie wiem, kto rozpuszcza takie plotki, ale Whitman nie jest moją zabawką. W rzeczywistości lubię go tak bardzo, że

najpierw się poznajemy.

– Po pierwsze, kłamca z ciebie. Ty go wcale nie „lubisz”. Ludzie są dla ciebie niczym więcej niż zasobami i ciepłymi ciałami. – Wayvadd przeciąga się i rozkłada na grzbiecie, ukazując wielki kieł. – Po drugie, kto to jest Whitman? Opowiedz mi coś więcej.

Zacinam się.

– Co miałeś na myśli, mówiąc „zabawka”?

– Och, po prostu zgadywałem, biorąc pod uwagę, kim jesteś.

Mrużę oczy.

– Powiedz Irinorrowi, że go szukałam. To ważne.

– Tak, pani. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. – Wayvadd przewraca się na łapki i rusza w stronę zarośli wodorostów. Rzuca mi przez ramię krótkie spojrzenie. – Zawsze cię lubiłem, Mono. – Jego błękitne oczy błyszczą, gdy dodaje: – Chcę, żebyś wiedziała, że gdyby to zależało ode mnie, sprawy potoczyłyby się inaczej.

– Jakie sprawy? – wołam za nim, marszcząc brwi.

Ale Wayvadd znika wśród zarośli z demonstracyjnym luzem, a jego ogon rytmicznie kołysze się na boki. Wołam jeszcze raz, bez skutku. Prycham pod nosem, opierając dłonie na biodrach. Jeśli wie coś o mojej przepowiedni, nie zdziwiłabym się, gdyby po prostu mnie drażnił.

Na myśl o przepowiedni serce ściska mi się boleśnie, wypychając z płuc dziwne powietrze Przypływu. Nie mogę być królową. Nie ma roli bardziej wystawionej na widok

publiczny. Nigdy nie pozwoliliby mi wrócić do wschodniego skrzydła. Moje życie byłoby skończone.

Chyba że znajdę jakieś wyjście z tej łamigłówki.

Pod wpływem paniki zasiałam już zalążek kłamstwa. To jak lina, jak droga ucieczki dla ekwilibrysty. Mogę balansować na tej linie. A jednak jakaś część mnie pragnie po prostu opaść na kolana i zostać tutaj, w Przypływie – aż przeznaczenie, zapisane w jego esencji, przejmie nade mną kontrolę. Może oszaleję, może w jakiś straszny sposób zmienię się w demona, a może po prostu umrę. Wszystkie te możliwości wydają się lepsze od objęcia tronu.

Mam już więc opcję: rozpłynąć się w Przypływie, usunąć się z równania. Kiwam głową, jakby ten wybór naprawdę coś znaczył. Nie muszę decydować teraz – ta furtka będzie otwarta zawsze. I to mi na razie wystarczy.

Podnoszę się, otrzepuję suknię i otwieram okno powrotu do świata śmiertelników.

Moje komnaty są ciemne i ciche. Od razu kieruję się do stolika z karafką i sięgam po nią, by zmyć wydarzenia tej nocy winem. Nie wiem, jakie będą moje następne kroki. Na razie chcę tylko zanurzyć się w zapomnieniu, wyprzeć z pamięci wszystko, co się wydarzyło. Gdy opróżniam karafkę, przytulam ją do piersi – senna, otumaniona. Rozciągam się na kanapie, a powieki powoli mi opadają.

W ciemności czuję się prawie jak w domu.

10

Kiedy Elizabeta puka rano do drzwi, wymiotuję do kosza. Nie jestem pewna, do czego miał służyć ten kosz. Był wyłożony barwionym lnem i ustawiony bardzo starannie obok mojego wiklinowego krzesła. Teraz jest koszem na wymioty.

Twarz Elizabety blednie, gdy otwieram drzwi.

– Panienko, wygląda pani okropnie!

– Dziękuję. Postanowiłam coś zmienić z włosami – mamroczę.

– Jest pani chora? Mam sprowadzić lekarza?

– Nie, ale przydałby mi się zimny okład. – Padam na leżankę i jęczę, modląc się o śmierć. Jestem wyczerpana, mam kaca i na dodatek czuję przerażenie. Wciąż nie wiem, co robić.

Elizabeta wraca z okładem z lodu owiniętym w muślin, specjalnie na moją głowę. Dzięki naszym wspólnym wysiłkom jakoś udaje się mnie umyć i ubrać. Dziewczyna delikatnie wygładza poły mojej sukni, starając się nie potrząsać mną zanadto. Unika mojego wzroku, gdy mówi:

– Mistrz Whitman pytał, czy mógłby złożyć ci wizytę dziś rano.

Moje roztrzęsione wnętrzności ściskają się jeszcze mocniej. Chce porozmawiać o mojej przepowiedni. Dociskam okład do skroni.

– Poproś go.

Kiedy mistrz praktyków przybywa, ma ciemne kręgi pod oczami i wyraz skrajnego niezadowolenia na twarzy. Gdy mnie zauważa, jego oblicze nieco łagodnieje.

– Bogowie na nizinach! Ile musiałaś wczoraj wypić? – pyta ochrypłym głosem.

– Za mało – odpowiadam, ciesząc się względnym komfortem swojej leżanki. – Powinnam była pójść na całość. Śmierć przez zatrucie alkoholem. Przynajmniej oszczędziłoby mi to tego wszystkiego.

– To nie jest zabawne.

– Skąd miałbyś wiedzieć? Przecież nie masz poczucia humoru. – Ryzykuję otwarcie oczu. Światło przeszywa mnie jak sztylet. – Czego chcesz?

Marszczy brwi z powodu mojej oschłości, ale z kieszeni wyciąga białą lnianą chusteczkę.

– Przyniosłem ci to. Należy do króla.

Moje podrażnione wnętrzności robią fikołka, gdy ją odbieram. Chustka haftowana złotą i czarną nicią, z inicjałami Isaaca w rogu.

– Dziękuję – mówię, chowając ją starannie. – Czy to wszystko?

Odpowiada z wyraźną ostrożnością, cedząc słowa:

– Chcę omówić kolejne kroki.

– Oczywiście. – Przyglądam się jego twarzy, temu przebiegłemu błyskowi w oku. Czy znowu spróbuje mnie przekonać do dołączenia do Kompanii? Sama myśl o tym

sprawia, że nowa fala bólu wwierca mi się w czaszkę jak wiertło. – Mów jasno, mistrzu. Choć raz w życiu.

– Potrzebna jest pomoc w interpretacji twojej przepowiedni. – Zawiesza głos. – Chcę, żebyś została.

Czuję, jak moje wnętrzności rozpływają się w ciecz.

– Nie jestem w dobrej formie – mówię, a moje tętno dudni mi w uszach. – Czy możemy porozmawiać o tym później, kiedy dojdę do siebie?

Whitman wydmuchuje powietrze przez nos i zwraca się do Elizabety, stojącej przy drzwiach.

– Możesz się nią zająć dziś rano, dopóki nie poczuje się lepiej?

Dziewczyna wzrusza ramionami z zakłopotaniem.

– Mam inne obowiązki, panie.

Usta Whitmana wykrzywiają się w grymasie. Zapadam się głębiej w siedzisko, przesuwając okład na oczy. Jakie to dziwne – wciąż mnie boli świadomość, że jestem dla niego ciężarem. Przecież go ostrzegałam. Wiedział, czego się spodziewać. To jego wina. Dlaczego więc czuję się tak podle?

– W porządku. Wyślę kogoś, kto zajmie się twoim… złym samopoczuciem. – Słyszę w jego głosie twarde, znużone niezadowolenie.

Gdy tylko zostaję sama, wyciągam chusteczkę Isaaca i ponawiam próbę odczytu miłosnego. Zamykam oczy, unoszę się ponad ciałem, nurkuję z powrotem – i po raz drugi atakuje mnie nieprzyjemny dźwięk mojego własnego imienia. Marszczę brwi i próbuję jeszcze raz. Wynik pozostaje

niezmienny. Ze złością zwijam chusteczkę w kulkę i rzucam nią przez pokój.

Nigdy dotąd nie miałam wróżby tak uparcie stałej. Zazwyczaj są jakieś drobne rozbieżności – szczegóły, które różnią się przy każdym odczycie. Nie wiem, co o tym sądzić. Może więź łącząca Isaaca ze mną jest silniejsza niż wszystko, co dotąd byłam w stanie uchwycić.

Rezygnuję więc z kolejnych prób, ale nie mam też nic, co mogłoby odciągnąć moją uwagę od sieci, w którą się wplątałam – jak najgłupsza mucha świata. Ogarnia mnie fala tchórzostwa, dręcząca potrzeba wycofania się do Przypływu. Przez jakiś czas byłabym tam bezpieczna.

Ktoś puka do drzwi. Jęcząc, pozwalam przybyszowi wejść.

Do środka wkracza Whitman, a za nim – no cóż – Bernadette Byers, niosąca owinięty w bawełnę pakunek. Nie jest to moje ulubione towarzystwo, zwłaszcza gdy wciąż balansuję na granicy wymiotów.

– Dobre wieści – mówi Whitman. – Panna Byers zgłosiła się na ochotnika, żeby posiedzieć z tobą, dopóki nie poczujesz się lepiej.

– Czy ona nie ma nic lepszego do roboty? – Powstrzymuję prychnięcie.

– Mam sto lepszych rzeczy do roboty – przerywa mi Byers cierpko.

– Zostawię was póki co – mruczy Whitman i wychodzi, jakby nie mógł się doczekać, by zniknąć.

Odchylam się na leżance, skrzypiącej od piskliwych, zbyt głośnych poduszek z zamszu, podczas gdy Byers kładzie

pakunek na toaletce. Musi być jedyną osobą w zamku, która w ogóle chce się mną zająć – albo pionkiem w rękach Whitmana, przysłanym, by mnie zatrzymać.

Milczymy, gdy wyjmuje z zawiniątka sitko i żeliwny czajnik. Przez chwilę pobrzękuje naczyniami za ścianą, po czym przynosi szklankę na whisky wypełnioną czymś mętnym.

– Co to jest? – pytam podejrzliwie.

– Gorączkowa herbatka. Pomaga na ból głowy.

Chwytam parującą szklankę opuszkami palców, krzywiąc się od gorąca. Byers siada naprzeciwko i odchyla się w krześle.

– Niezłe było wczoraj widowisko.

– Naprawdę? Myślałam, że to jakiś żart. – Odwijam muślin ze swojego okładu i ujmuję przez niego szklankę, żeby ochronić dłoń, gdy popijam.

Herbatka jest obrzydliwa – przypomina w smaku przypalone warzywa. Ale kiedy opróżniam szklankę do dna, przeszywający ból między oczami jakimś cudem zaczyna ustępować.

– No cóż, nie żebym miała całkiem inne zdanie. – Byers zwilża szokująco czerwone usta. – Wiesz zapewne, jak działa moja magia. Nie wyczuwam każdego kłamstwa przez cały czas – muszę ich szukać. A wczoraj je znalazłam.

Dreszcz spływa mi po karku. Ona wie.

– Szczególnie interesujące było to, że z czterech magów poza mną tylko jedna osoba powiedziała prawdę. – Unosi brwi. – I nie byłaś to ty.

Rozluźniam szczękę.

– To nie jest tak, jak wygląda na pierwszy rzut oka. Inni jasnowidze kłamali – nie wiem dlaczego. Whitman sądzi, że zostali przekupieni. Ale ja... musiałam.

– Musiałaś skłamać swojemu królowi o jego przyszłej narzeczonej?

– Nikt by mi nie uwierzył – warczę. Przecież ja sama ledwo w to wierzę.

Jej oczy błyszczą jak bursztyny.

– Cóż, uwierzę ci – bo nie możesz mnie okłamać. Powiedz mi, co widziałaś.

Jęcząc, zwijam się w kłębek. Ta wiedza mnie dręczy. Chciałabym ją z siebie zmyć.

– Ani mru-mru. Nie możesz nikomu puścić pary. Obiecaj mi.

– Dobrze, obiecuję. – Przewraca oczami.

– To moje nazwisko – mówię z ociąganiem. – To ja jestem prawdziwą miłością króla.

Chwila ciszy.

– Jesteś – odpowiada. W jej głosie słyszę zdumienie.

– Widzisz teraz problem, prawda, Byers? – Podnoszę drżące dłonie. – Nie mogłam po prostu powiedzieć: „Och, to ja, jestem twoją prawdziwą miłością, uczyń mnie swoją żoną!". Kto by w to uwierzył?

Byers wydaje się oszołomiona, powoli przetwarzając informację. Jej własna przepowiednia również dotyczyła mnie: jestem naznaczona przez boga – co dobrze wie – i przybyłam przed Szarą Mszą.

– Ale jeśli Isaac jest twoją prawdziwą miłością, to czy ty nie...

– Nie obchodzi mnie to! – wybucham. Jeśli tak właśnie ma wyglądać spotkanie z bratnią duszą – ledwo zauważalne kliknięcie – nie rozumiem, o co to całe zamieszanie.

– Więc kim jest Jane Smith?

– Nie wiem. Zmyśliłam ją.

– Arnett, musisz powiedzieć...

– Nie muszę nikomu nic mówić. Nie ma żadnych dowodów. Chyba że planujesz ujawnić szczegóły własnej wróżby i mnie poprzeć?

Byers milczy. Przeczesuję włosy dłonią, wydymam policzki.

– Więc który z nich mówił prawdę?

– Tellerman.

Tellerman – ten, który mówił o dziewczynie z wiadomością, kobiecie z ludu. Kręcąc głową, mamroczę:

– To nie ma sensu. Jak moglibyśmy oboje mieć rację?

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Może źle odczytał runy.

Ta rozmowa prowadzi donikąd. Jeśli przepowiednia Tellermana nie wyciągnie mnie z tej pułapki, muszę zakończyć spotkanie.

– Czuję się znacznie lepiej, dziękuję – mówię chłodno. – Możesz powiedzieć mistrzowi Whitmanowi, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy.

Byers marszczy brwi, mierząc mnie spojrzeniem, pod którym czuję się naga.

– Możesz nie ufać mistrzowi Whitmanowi, ale on nie ma interesu, by się z tobą antagonizować. On tylko dba o króla i o nexus.

– No właśnie – aż tak bardzo mu zależy? Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek była tak zaangażowana w cokolwiek. Jego upór jest irytujący.

– Może chodzi o poczucie honoru i obowiązku? – Unosi brwi w pełnym świętoszkowatości geście. – Jego pozycja w radzie jest już teraz niepewna. Jak myślisz, co się stanie, jeśli jego pierwsi rekruci zostaną zdemaskowani jako zdrajcy? Mistrzowie uznają to za złą decyzję... albo niekompetencję. A jeśli jakaś marionetka magnatów poślubi Isaaca i przejmie tron po jego śmierci, Whitman może stracić tytuł mistrza i zostać wyrzucony z towarzystwa. Prawdopodobnie nawet z zamku.

Wbrew sobie czuję w piersi ucisk współczucia.

– Czy nie miałby dokąd pójść?

– Może i miałby. Ale Kompania to dla niego wszystko. Studiował starą teorię magiczną przez całe życie. Sam by się przyłączył, gdyby tylko miał zdolności.

Moje usta układają się w zdumione „o". Whitman chciał być magiem? Nigdy nie pomyślałam, że są tacy ludzie – młodzi, pełni nadziei – którzy pragną magii, aż w końcu uświadamiają sobie, że to nie ich los. To musi być przytłaczające.

– Bardzo mu współczuję – mówię, kładąc stopy na podłokietniku. – Czy to już wszystko?

Jej spojrzenie znowu mnie ocenia. W milczeniu zbiera czajnik i sitko, zawija je w tkaninę – głośniej, niż to

konieczne. Zatapiam się głębiej w poduszkach. Przez krótką chwilę próbuję wyobrazić sobie, jak to jest robić coś właściwego. Czy mogłabym zaskoczyć wszystkich i stać się pomocną osobą? Od dawna już nie zrobiłam nic dla nikogo – zawsze tylko dla siebie.

Byers odwraca się bez słowa i podchodzi do drzwi. Ale gdy je otwiera, nagle zastyga, jakby jej stopy przykleiły się do progu.

– Panno Arnett? – mówi ostrym tonem pełnym napięcia. – Czy może pani tu podejść?

Paniczny lęk w jej głosie sprawia, że jeszcze mocniej wciskam się w kanapę, paznokcie wbijają mi się w poduszki.

– Dlaczego?

– Wygląda na to, że otrzymałaś wiadomość.

Wiadomość? Sądzę, że spodziewała się raczej inwazji demonów. Ostrożnie podchodzę, by stanąć obok niej… i patrzę.

W drzwi ktoś wbił siedmiocalowy, ząbkowany nóż.

CZĘŚĆ III
KULTYSTA

11

Nóż przyciąga moją uwagę na kilka długich sekund. Dopiero potem zauważam przyszpilony nim prostokątny kawałek papieru. Słowa nabazgrano czerwonym tuszem.

> ***Panno Arnett,***
> ***wiem, co ukrywasz. Każde kłamstwo ma swoje konsekwencje, nawet Twoje. Trzeba mówić prawdę. Będę obserwować. Gdziekolwiek pójdziesz, znajdę cię. Dalsze milczenie będziesz zachowywać na własne ryzyko.***

Żołądek ściska mi się z przerażenia. Podnoszę dłoń do gardła w ochronnym odruchu.

– Och.

– Bogowie na niskościach – syczy Byers. – Kto to mógł zrobić?

Robię krok w tył, jakby list mógł mnie zaatakować.

– To musi mieć związek z moją wróżbą, prawda? Ale nikt o niej nie wie. Oprócz ciebie. – Nagle przeszywa mnie myśl. – Nie powiedziałaś chyba...

– Dowiedziałam się dwie minuty temu, Arnett – przerywa mi zirytowana. – Mistrz Whitman musi to zobaczyć.

Podwija suknię i rzuca się biegiem do wyjścia.

– Zaczekaj! – krzyczę. – Nie zostawiaj mnie samej!

Zanim zdążę ją powstrzymać, znika. Zatrzaskuję drzwi, nie dotykając listu, i zamieram z dłonią na klamce. Tysiące myśli przelatują mi przez głowę. Czoło mam wilgotne od potu. Mimo całego tego chaosu jedno jest jasne.

Muszę stąd uciekać.

Dopadam do bagażu przy wersalce, chwytam go i upycham do środka rozrzucone pończochy. Nie zgadnę, skąd autor listu czerpie informacje – ale czy to ma znaczenie? Skrzywdzą mnie, jeśli nie przyznam się, że jestem bratnią duszą Isaaca. A to się nie wydarzy. Tu, w zamku, nie jestem bezpieczna.

Drzwi otwierają się z hukiem, a ja piszczę z przestrachu. Odwracam się – Byers wróciła z Whitmanem.

– Mogłaś zapukać! – krzyczę.

Whitman wchodzi do środka, z nożem w jednej ręce i nieszczęsną notatką w drugiej. Jego wzrok przesuwa się między nimi z poważnym, zamyślonym wyrazem. Twarz ma bladą i plamistą.

– Przepraszam – mówi rozkojarzony. Wątpię, czy w ogóle wie, za co przeprasza.

– No? – mówię wysokim, cienkim głosem, wskazując na list. – Co to ma być?

– Groźba, jeśli dobrze rozumiem – mruczy niewyraźnie.

– Ach, doprawdy? To groźba, Whitman? Wielkie dzięki za wyjaśnienie!

Staję obok niego i pochylam się nad notatką, czytając ją raz jeszcze. Ku mojemu rozczarowaniu jej treść się nie zmieniła.

– Co to ma znaczyć? – pyta, wskazując na jedną z linijek. – „Wiem, co ukrywasz”?

– Skąd miałabym wiedzieć? – odwarkuję, mam nadzieję, że przekonująco. – Nie ja to napisałam.

Byers staje po drugiej stronie, pochyla się nad podpisem.

– Ten symbol... – Przełyka ślinę, a jej twarz staje się blada jak wosk. Strach w jej głosie miesza się z czymś w rodzaju nabożnej czci. – To musi być Gildia.

Zajmuje mi chwilę, zanim pojmuję, o czym mówi. Gildia Wzbierającej Fali – sekta zagłady z czasów moich rodziców, oddana wieszczeniu końca świata. Większość jej członków zginęła piętnaście lat temu w akcie masowego samobójstwa. Ich filozofia była prosta: Fala nadejdzie, nie da się jej powstrzymać – najlepiej więc przyjąć koniec świata z otwartymi ramionami.

Wszyscy o nich słyszeli, ale symbol na liście nic mi nie mówi.

– Gildia Wzbierającej Fali? – pyta Whitman z niedowierzaniem. – Jakim cudem sekciarz miałby dostać się do zamku i bez świadków zostawić taką notatkę?

Byers drży, słysząc słowo „sekciarz”, jakby to było przekleństwo.

– Nie mówiłam tego. Powiedziałam tylko, że symbol do nich należy.

– Dlaczego sekta, która prawie wymarła, miałaby interesować się mną i moimi sekretami? – pytam.

– Tego nie umiem wyjaśnić – mówi cicho Byers. Symbol przeraża ją bardziej niż sama groźba. – Ale to ich znak. Jestem tego pewna.

– Moim zdaniem mógł go narysować każdy – ripostuje Whitman.

Nie chcę już tego słuchać. Rzucam się z powrotem do bagażu i zaczynam zapinać klamry. Muszę opuścić ten zamek, natychmiast. Następny nóż może nie trafić w drzwi, tylko w moje plecy.

– Co robisz? – pyta Whitman, jakby to nie było oczywiste.

– Pakuję się. – Z impetem zamykam ostatnią klamrę. – Wracam do domu.

– Nie możesz – mówią jednocześnie Whitman i Byers.

Wzdycham ciężko, opierając dłonie na bagażu.

– Dlaczego niby nie?

– List mówi, że znajdą cię, dokądkolwiek się udasz – odpowiada Byers. – Tu jesteś bezpieczniejsza. Masz strażników.

Może i ma rację. W domu moich rodziców nie ma żadnych zabezpieczeń. A poza tym – czy można mówić o bezpieczeństwie tam, gdzie czeka Patrick? Zaciskam powieki, szukając kontrargumentów.

– Skąd mogliby mnie znać? Może tylko blefują.

– Nawet jeśli – mówi Whitman – to ta groźba musi zostać zgłoszona radzie. Nie dostaniesz zgody na wyjazd, póki śledztwo się nie zakończy.

Uśmiecham się szyderczo.

– Trzymacie mnie tu jak więźnia?

– Zbrodnie popełnione w murach zamku Selledore traktujemy z najwyższą ostrożnością – wyjaśnia, choć sam wygląda na spiętego. – To procedura. Nie jesteś więźniem, ale jeśli opuścisz zamek bez zgody rady, możesz ponieść konsekwencje prawne za odmowę współpracy z mistrzem sprawiedliwości.

Opieram czoło na dłoniach. Jak można mnie zmuszać do pozostania w miejscu, gdzie jestem prześladowana przez nieznanego sprawcę? Jeśli umrę, mam nadzieję, że będą się z tym okropnie czuli.

Ale jedyną realną alternatywą jest przyznanie się Whitmanowi do prawdy o przepowiedni. Jeśli to o to chodzi w tej notatce. Autor nie był szczególnie precyzyjny – ale ktoś, kto uważnie obserwuje, mógłby domyślić się, że coś ukrywam.

Kto miałby powód, żeby grozić mi ujawnieniem?

Patrzę w pustkę między Whitmanem i Byers.

– Załóżmy, że zostanę. Z a ł ó ż m y. Co stanie się dalej?

W korytarzach przyciemnione światło magicznego soku rzuca na wszystko cień smutku. Wspinamy się na trzy piętra krętych schodów, gdy wreszcie docieramy do pomieszczeń rady. Idę z pochyloną głową, aż schody ustępują miejsca czarnemu marmurowemu podestowi. Całą drogę trzymam przy twarzy chusteczkę, wdycham zapach morskiej wody i myślę o Przypływie.

Na końcu holu, przy ciężkich metalowych drzwiach, stoją dwaj strażnicy. Wstrzymuję oddech, gdy Whitman sięga do błyszczącej mosiężnej klamki. Drzwi otwierają się, ukazując poważną salę wypełnioną poważnymi ludźmi, wpatrującymi się w nas z powagą. A w centrum ich dostojnego kręgu lśni – niczym płynny klejnot – klucz do całej magii śmiertelników.

Nexus Opalvale nie ma dla mnie specjalnego znaczenia. Dlaczego miałby mieć? Owszem, łączy nasze królestwo z Przypływem – ale ja mogę odwiedzać Przypływ, kiedy tylko zechcę. Nexus nic dla mnie nie znaczy.

A jednak nie jestem przygotowana na falę emocji, która mnie zalewa i przytwierdza moje stopy do podłogi. Wpatruję się w kolumnę światła. Opada z sufitu, znikąd – połyskujący, niebieskozielony wodospad luminescencji – i rozbryzguje się w centrum okrągłego stołu, na dysku z gładkiego opalu.

Twarze zgromadzonych przy stole członków rady są ponure, z wyjątkiem mistrza Gana, który uśmiecha się lekko, jakby dostrzegł coś znajomego, oraz samego króla. Isaac, ubrany w aksamitny dublet w zielono-złote pasy, ożywia się na nasz widok. Jego rzadkie blond włosy są zaczesane w stylizowaną falę na czubku głowy, policzki ma zapadnięte. Ten widok sprawia, że moje kończyny drętwieją, stają się jak z ołowiu. Co, jeśli odczyta sekret wypisany na mojej twarzy?

Whitman zajmuje miejsce po prawej stronie króla. Dla mnie nie ma już wolnego miejsca, więc pałętam się obok. Próbuję rozpoznać, kto jest kim. Obok Whitmana siedzi Gan, mistrz ceremonii. Reszta to mistrzowie wiary, handlu, wywiadu, sprawiedliwości i wojny. Jeśli Whitman ma rację, jeden z nich może być zdrajcą. Dłonie mnie świerzbią, gdy spoglądam na nich ukradkiem. Czy któryś z nich mógłby mieć powód, by mi grozić?

Między każdym z siedmiu miejsc mistrzów stoją marmurowe filary z misami ofiarnymi: kamienie dla Semyanadda, wilczego boga ziemi; zęby i kości dla Verimall, bogini przemocy w postaci dzika; pióra kruka i klejnoty dla Irinorra. Filary symbolizują honorowe miejsca bogów w radzie.

– Dziękujemy za przybycie – odzywa się jeden z mistrzów, chudy jak szczapa mężczyzna o ciemnobrązowej skórze, ubrany w ciężki aksamitny płaszcz z brokatem. Spodziewałam się, że to Isaac przemówi i powita nas w imieniu rady, ale król siedzi cicho, jakby skrępowany. – Jestem Georg Oversea, mistrz sprawiedliwości. Zostaliśmy poinformowani o groźbie, którą pani otrzymała, panno Arnett. Osobiście poprowadzę śledztwo w tej sprawie. Pierwszą kwestią, którą musimy omówić, jest znaczenie notatki. Czy ma pani pomysł, do czego może się odnosić?

– Nie – odpowiadam, zachowując wojowniczy, niewzruszony wyraz twarzy.

– Musisz mieć jakieś przypuszczenia – odzywa się ponuro wyglądająca kobieta o prawie całkowicie wygolonej głowie. Ton jej głosu jest niemal oskarżycielski.

Whitman natychmiast spieszy mi na ratunek.

– To może być czysta spekulacja, mistrzyni Renfield – mówi. Rozpoznaję to nazwisko – Renfield jest mistrzynią wywiadu, królewską władczynią szpiegów. Inni mistrzowie patrzą na Whitmana z kamiennymi twarzami. – Może ktoś, kto nie darzy panny Arnett sympatią, zakłada, że coś ukrywa. To nie musi oznaczać istnienia faktycznego sekretu.

W duchu mu dziękuję. Myli się, ale doceniam jego lojalność.

– To dość śmiałe założenie – mówi Oversea ze sceptycznym grymasem na twarzy. – Panno Arnett, czy zna pani kogoś, kto mógłby życzyć pani źle?

Kręcę głową. Wiele osób chętnie dałoby mi nauczkę, ale grożenie przemocą? Nikt nie przychodzi mi do głowy. Zwłaszcza nikt, kto wiedziałby o mojej przepowiedni. A jednak nie da się ukryć: ktoś usiłuje mnie zastraszyć. Ktoś, komu zależy na upokorzeniu lub zniszczeniu mnie.

– Mamy jeszcze ten symbol na końcu listu – mówi Whitman, przesuwając kartkę po stole, aby mistrzowie mogli ją zobaczyć. – Jeden z moich magów zidentyfikował go jako znak Gildii Wzbierającej Fali.

– A jak twój mag doszedł do tego wniosku? – pyta Renfield z ironią, jakby jej pytanie było żartem.

Whitman nie reaguje na ten ton.

– Panna Byers to wybitna uczona i jasnowidzka. Ufam jej.

Czuję ukłucie zazdrości. Whitman musi ją bardzo cenić. To on ją zrekrutował, i to w tak młodym wieku. A ja? Ja tylko psuję mu konkurs na królową. Co powiedziałby o mnie, gdyby ktoś go zapytał? Nie chcę wiedzieć.

– Uważasz, że mamy do czynienia z autentykiem? – pyta Isaac, zwracając się do Whitmana. Mistrzowie odwracają się w jego stronę z wyraźnym chłodem. Korona mu nie pomaga – rada najwyraźniej nie darzy sympatią ani jego, ani Whitmana.

– Jeśli chodzi o symbol? To mało prawdopodobne. Gildia nie ma prawie żadnych wpływów w Opalvale. Ale nie wykluczam tego całkowicie.

– Weźmiemy to pod uwagę – mówi Oversea z takim lekceważeniem, jakby miał ochotę zgnieść te słowa i wyrzucić do kosza. – Naszym priorytetem – poza oczywiście bezpieczeństwem panny Arnett – jest ograniczenie rozprzestrzeniania się tej informacji. Nie możemy dopuścić do tego, by opinia publiczna dowiedziała się o komplikacjach z udziałem jasnowidzów zaangażowanych w konkurs. Wizerunek uczciwości musi pozostać nienaruszony.

Przyjemnie usłyszeć, że moje życie waży tyle, co królewska reputacja. Przynajmniej zasłużyłam na przypis w jego planie.

– Postaram się nie pogorszyć sytuacji – mówi Isaac z wymuszonym uśmiechem, w którym pobrzmiewa smutek. Przypominam sobie pogłoski, które go obwiniały: że jego bezdzietne panowanie osłabia nexus i prowadzi do choroby czarodrzewów. Może sam w to wierzy?

– Będziemy panią informować na bieżąco – kończy Oversea. – Ale muszę być szczery: przy tak ograniczonych danych możemy nie być w stanie niczego ustalić. Proszę dać znać, jeśli przypomni sobie pani coś istotnego.

To tyle? Nawet nie udaje, że mu zależy. Zanim zdołam się odezwać, wtrąca się Whitman:

– Możemy wyznaczyć strażników do ochrony panny Arnett – mówi z oburzeniem. – Musicie coś zrobić, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Miło wiedzieć, że komuś zależy. Splatam palce i spuszczam wzrok, ukrywając rumieniec. Oczywiście, Whitman dba o wszystkich. A jednak dobrze to usłyszeć.

– Da się to załatwić – wzdycha Oversea, jakby to był nadmiar łaski. – Póki co to chyba wszystko?

Po krótkim pożegnaniu Whitman chwyta mnie za łokieć i wyprowadza z sali. Na odchodnym dostrzegam, jak mistrzyni Renfield rzuca mu pełne podejrzliwości, jakby zranione spojrzenie. Czym jej podpadł?

Nie odzywamy się, dopóki nie oddalimy się na tyle, by zniknąć członkom rady z pola słyszenia.

– I co teraz? – pytam, ściskając w dłoni przesiąkniętą solą chusteczkę.

Whitman marszczy brwi, wpatrzony w podłogę.

– Idziemy dalej zgodnie z planem. Musimy zawęzić grono potencjalnych Jane Smith. Jedna z nich musi pasować do króla.

– Naprawdę? – Przełykam ślinę. – Nawet po tej groźbie?

Whitman patrzy mi prosto w oczy.

– Jesteś tu całkowicie bezpieczna. Mogę ci to obiecać.

Bezpieczna od zewnętrznych zagrożeń – może. Ale nie przed samą sobą. Muszę podtrzymywać swoje kłamstwo, aż Isaac znajdzie królową. Gardło zaciska mi się boleśnie. Nie chcę rozważać żadnego scenariusza: ani dobrego, ani złego,

ani romantycznego, ani tragicznego. Strażniczka cudzego serca – to zbyt wiele. Ledwie potrafię zadbać o własne.

Przy moich drzwiach czeka Byers, napięta jak jastrząb nad gniazdem.

– Możemy porozmawiać? – pyta cicho.

Żegnam się z Whitmanem i wchodzimy do środka.

Jej obecność mnie zaskakuje. Miałam wrażenie, że szczerze nie znosi mojego towarzystwa. Sama mi to powiedziała.

Opadam na kanapę.

– Coś się stało? – pytam. Poza, oczywiście, ogromnym nożem wbitym w moje drzwi.

– Czy rada miała coś do powiedzenia? – Opiera dłonie na oparciu krzesła, całe jej ciało jest napięte. – Podejrzewają kogoś?

Najbardziej podejrzaną osobą był Whitman.

– Nie sądzę. I nie jestem pewna, czy w ogóle chcą szukać.

– Dlaczego mieliby nie chcieć?

– Mistrz Oversea nie wydał mi się szczególnie zaangażowany, i to najłagodniej ujmując. – Może nie wierzy, że zagrożenie jest prawdziwe. Albo po prostu wszystko mu jedno, co się ze mną stanie. Jeśli uzna, że jego zasoby lepiej spożytkować na porządnych obywateli...

Chyba że sama złapię sprawcę.

– Czyli rada zamierza zamieść to pod dywan – mówi Byers z niesmakiem. Opiera ręce na biodrach, jakby zaraz miała kogoś zrugać. Mam nadzieję, że nie mnie. – Chronią przebieg konkursu, udając, że groźba wobec ciebie nigdy nie padła. To się wydaje nie w porządku. – Mruży oczy, patrząc na mnie. –

Ale wiesz, jest prosty sposób, żeby to rozwiązać. Rozważałaś powiedzenie prawdy?

– Nigdy w życiu – odbijam piłeczkę.

Nie zamierzam się poddawać – przynajmniej nie teraz, dopóki istnieje jeszcze cień szansy, by się z tego wyplątać. Muszę dowiedzieć się, kto mi grozi, i znaleźć sposób, by go zmusić do milczenia. Jak dokładnie to osiągnę, to problem na później. Najpierw muszę go namierzyć.

Marszczę brwi, rozważając wszystko w myślach. Osoba, która napisała tę wiadomość, musi być kimś, kogo znam, prawda? Kimś, kogo już spotkałam. Żaden obcy nie byłby aż tak zdeterminowany, by zrujnować mi życie. Może rozpoznałabym tę osobę, gdybym ją zobaczyła.

– Ktokolwiek zostawił mi wiadomość, może wciąż być w zamku – mówię, myśląc na głos.

Brwi Byers unoszą się w górę.

– To już coś. W strażnicy przy bramie gwardziści prowadzą rejestr całego ruchu – kto wchodzi, kto wychodzi.

– Mnie nie wpisali, kiedy przyjechałam.

– Bo byłaś z mistrzem Whitmanem w królewskim powozie. Spodziewali się ciebie. Mogłybyśmy sprawdzić rejestr i zobaczyć, czy któreś nazwisko będzie ci znajome. Albo jeśli wykluczymy wszystkie nazwiska, możliwe, że autor listu nigdy zamku nie opuścił. Może to ktoś, kto jest tu tak zadomowiony, że nikt go nie podejrzewa.

Krzyżuję ramiona i mierzę ją wzrokiem od stóp do głów. W tej rozmowie słyszę zaskakująco dużo „my”. Jeszcze

niedawno odsuwała się ode mnie jak oparzona. A teraz wtrąca się w moje sprawy bez zaproszenia?

– Co cię to właściwie obchodzi, Byers?

Rzuca mi ukradkowe spojrzenie, zwlekając z odpowiedzią.

– Próbuję pomóc. Wybacz, jeśli poczułaś się tym urażona.

Jak na ludzką wykrywaczkę kłamstw Byers jest marną kłamczuchą.

– Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, w porządku – mówię chłodno. – Ale daruj sobie te zmyślone bzdury.

– Nie kłamię.

– Skończ. Jesteś w tym bardziej żałosna, niż myślisz.

Cofa się lekko, upokorzona, ale szybko odzyskuje swój zwyczajowy, krytyczny ton.

– Przepraszam, dobrze? Tego chcesz? Wolałabym nie mówić o swoich powodach. To prywatna sprawa.

– Świetnie. Nie obchodzi mnie to. – Staram się zabrzmieć obojętnie, ale nie potrafię ukryć gniewu. – A tak przy okazji, ty znasz mój największy sekret. Wolałabym go zatrzymać dla siebie, ale nie miałam wyboru, prawda?

Byers przygryza wargę, jakby rozważała, czy pozwolić sobie na poczucie winy. Trwa to tak długo, że zaczynam się zastanawiać, czy tak już zostanie.

– Nieważne – wzdycham, machając ręką. – Idź poczytać jakąś dysertację, czy coś...

– Moi rodzice – wyrzuca nagle – dołączyli do Gildii, gdy byłam mała. Moja ciotka przyszła i mnie stamtąd zabrała. Nie byłam tam długo; nawet wszystkiego nie pamiętam.

Mogłam się spodziewać jakiejkolwiek odpowiedzi, ale nie tej.

– Pomyślałaś, że jeśli za groźbą stoi Gildia, twoi rodzice mogą mieć z tym coś wspólnego?

– Nie. – Jej twarz pochmurnieje. – Moi rodzice nie żyją. Gildia zorganizowała zbiorowe samobójstwo.

– Och. – W mojej głowie miga widmo Patricka. Zamykam oczy, próbując je odpędzić. Śmierć brata była wystarczająco bolesna. A Byers straciła całą rodzinę naraz. – Przykro mi... że tak się stało.

– To było dawno temu. – Milknie, jakby się zastanawiała, ile jeszcze może mi powiedzieć. – W pewnym sensie to właśnie dzięki tamtym wydarzeniom trafiłam do zamku. Uczyłam się w tej samej szkole z internatem, do której chodzili moi rodzice, i miałam iść na uniwersytet w Isthen – tam, gdzie wykładali. Byli profesorami w drugim pokoleniu. Ich rodzice poznali się jako naukowcy w Rynth – inżynierowie badający nowe systemy irygacyjne na stepach. Moi rodzice odziedziczyli podobne zainteresowania. Dlatego nigdy nie rozumiałam, jak dwoje inteligentnych, logicznie myślących ludzi... – Potrząsa głową, jakby próbowała odgonić wspomnienia. – W każdym razie wszyscy w tych kręgach znają historię moich rodziców. Chciałam zacząć od nowa. Byłam zachwycona, kiedy mistrz Whitman mnie zwerbował. A teraz znowu widzę ten symbol i myślę o Wzbierającej Fali.

Rozumiem, że to psuje nastrój.

– Może to tak, jak mówił Whitman. Ktoś używa symbolu Gildii, żeby nas przestraszyć.

– Mam nadzieję. – Wzdycha ciężko. – Wolę nie myśleć o innych możliwościach.

Obdarzam ją krzywym uśmiechem.

– Uwierz mi, wiem, jak to jest, gdy przeszłość cię prześladuje.

Byers przygląda mi się uważnie. W jej oczach błyszczy delikatna magia; nie prawdziwy blask, ale potrafię go wyczuć.

– Wierzę ci, Arnett – mówi.

I będzie wierzyć, dopóki będę mówić jej prawdę.

12

Po trzech dniach bez jakichkolwiek tropów Byers i ja przechodzimy do Fazy Numer Dwa: pojawiamy się na dworze, gdy król Isaac przyjmuje interesantów. Robimy to z nadzieją, że rozpoznam w tłumie osobę, którą mogłabym wskazać jako autora listu. Byers sprawdziła już rejestry w strażnicy i przepisała mi nazwiska do przejrzenia. Nie znałam żadnego – chyba że goście użyli pseudonimu. To mało prawdopodobne, ale to samo można by powiedzieć o naszym planie. Jeśli kultysta ukrywa się „pod latarnią" jako dworzanin, strażnik, służący albo odwiedzający dygnitarz, logiczne jest, że mogę go wypatrzyć właśnie tutaj.

Gdy przemierzam z Whitmanem pałacowe krużganki, ignoruję serce, które próbuje wyrwać mi się przez gardło. Coraz mocniej przyciskam chusteczkę do nosa i ust. Przekonałam Whitmana, że chcę doskonalić umiejętność odczytywania bratnich dusz, spędzając więcej czasu w pobliżu króla. To oczywista bzdura, ale Whitman nigdy nie pozwoliłby mi samodzielnie badać groźby kultysty. I nie jestem na tyle głupia, by włóczyć się po zamku bez eskorty. Nigdy się do tego nie przyznam, ale opuszczanie apartamentu jest nieco łatwiejsze, gdy Whitman pełni funkcję mojego ochroniarza.

– Dlaczego król Isaac w ogóle pokazuje się publicznie? – pytam, głównie żeby odwrócić uwagę od własnych nerwów. – Skoro jest ostatnim ogniwem łączącym nas z nexusem, czy nie powinniśmy trzymać go pod strażą w jakiejś wyścielanej pluszem komnacie?

Uśmiech Whitmana jest ledwo dostrzegalny.

– Niektórzy mistrzowie by się z tobą zgodzili. Ale ja mam inne zdanie, a Isaac ufa mojemu osądowi.

Rzeczywiście, Isaac zdaje się mu bardzo ufać. A Whitman okazuje królowi równie wielkie oddanie.

– Jakie więc jest twoje zdanie, o mędrcze? – rzucam.

– Zaklęcie nexusa określa legitymizację monarchy na podstawie przekonań jego poddanych. Jeśli większość obywateli uzna, że król jest nielegalnym władcą, nexus się osłabi. Ukrywanie Isaaca niesie ryzyko podważenia jego autorytetu. Ludzie mogliby zacząć się zastanawiać, czy naprawdę nadaje się do rządzenia. Albo czy w ogóle jeszcze żyje.

Przeżuwam tę myśl w milczeniu. Im więcej się dowiaduję, tym bardziej sytuacja w Opalvale wydaje mi się chwiejna. Próbuję sobie wyobrazić ciemne wieki, które nastąpiłyby po zgaśnięciu nexusa: koniec alchemicznej medycyny. Koniec wiszących mostów wspieranych przez runiczne inskrypcje Gildii Magów. Koniec kanalizacji. Marszczę nos i odganiam wizję.

Idziemy po długim, fioletowym dywanie w sali tronowej, mijając filary z piaskowca. Wysoko na ścianach, ponad rzędami czarnych sztandarów z siedmioramienną gwiazdą Opalvale, witraże w geometrycznych wzorach wpuszczają

promienie słońca. Salę otaczają strażnicy ustawieni w kręgu – rutynowy środek ostrożności.

Grupa dworzan tłoczy się wokół tronu. Głównie prowincjusze reprezentujący swoje rody, choć dostrzegam też insygnia zagranicznych gości z tak odległych miejsc, jak Rynth czy Bagna Sentinel. Byers powiedziała, że wizyty podczas dni przyjęć to lokalna moda – zarówno dla mieszkańców, jak i gości Selledore. Jeśli mój kultysta czai się w zamku, to prawdopodobnie pojawi się właśnie tutaj.

Panel trzech mistrzów z rady Isaaca stoi z boku. Oversea, mistrz sprawiedliwości, trzyma pióro i notuje coś z miną egzaminatora.

Choć jest już późne popołudnie, Isaac nadal przyjmuje petentów. Obok tronu tkwi oparta wypolerowana, drewniana laska. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Czyżby jego stan się pogarszał? Przełykam ślinę. To tylko zwiększa wagę znalezienia królowej.

Nie żebym była w tej kwestii pomocna. Byers przeprowadziła pobieżną kwerendę mojej „przepowiedni", żeby utrzymać pozory: w trzynastu prowincjach Opalvale jest trzydzieści siedem kobiet nazwiskiem Jane Smith. Dwadzieścia dziewięć z nich jest dorosłych, a dziewiętnaście – niezamężnych. Plan Whitmana jest prosty: zebrać je w jednym miejscu i pozwolić mi przeprowadzić wróżbę bratnich dusz. Będziemy je eliminować, aż zostanie ta właściwa… gdyby tylko to była prawda. Choć, szczerze mówiąc, żadna z kobiet z przepowiedni innych jasnowidzów również się nie pojawiła. Może radni, którzy przekupili Janieux i Hawkesa, uznali, że ich kandydatki nie mogą przyjechać za szybko – byłoby to zbyt podejrzane.

Zatrzymujemy się z Whitmanem z tyłu tłumu. Przed podwyższeniem stoi kobieta w zwiewnej sukni z muślinu.

– Od wielu dekad jesteśmy niezależną, stabilną społecznością – czyta z przygotowanego oświadczenia. Jej głos jest sztywny, ale mocny. – Na skutek niedoborów ceny wzrosły do niespotykanego poziomu. Nasze parafialne gospodarstwa zawsze kupowały nawóz z lokalnego sadu czarodrzewu w Karch. Nie stać nas już na to. Żywność, która karmi naszą wioskę, od ponad roku musi pochodzić z zapasów piwnicznych. Dwa miesiące temu rozpoczęło się racjonowanie. Nasze dzieci są słabsze, chorują, ale nie możemy kupić alchemicznych leków. Bez pomocy Jego Królewskiej Mości nasza osada zginie. Nie mamy dokąd iść. – Bierze głęboki oddech. – Dziękuję za łaskę, która pozwoliła mi tu dziś przemówić.

Przełykam ślinę. Sądząc po jej słowach, niedobór soku z czarodrzewu może pogrążyć całe królestwo. Do tej pory łatwo było ignorować cierpienie innych – w izolacji. Tutaj, na dworze Isaaca, nie da się odwrócić wzroku. Coś we mnie się buntuje, dręczy mnie poczucie winy – ale wiem, że atak wyrzutów sumienia nikomu nie pomoże. Jestem równie bezużyteczna jak pozostali dworzanie, którzy wzdychają z udawaną troską, żeby uspokoić własne sumienie.

– Przynajmniej pogoda była ładna? – rzuca Isaac z wymuszonym uśmiechem.

Czuję dreszcz zażenowania. Sala milknie. Kobieta patrzy na niego z niedowierzaniem.

– Przepraszam – mamrocze Isaac, drapiąc się po karku. – Przepraszam. Naprawdę… jestem poruszony tą wiadomością.

Widzę, że mówi szczerze. Naprawdę mu zależy.

– Opracowano projekt edyktu, który jest właśnie rozpatrywany przez radę. Powinien przynieść ulgę tym, którzy cierpią z powodu braków…

– Nie możemy czekać na edykt, Wasza Wysokość – przerywa mu kobieta z napięciem. – Potrzebujemy jedzenia i lekarstw. Teraz.

Żuchwa Isaaca się napina. Brwi ściągają mu się w geście współczucia. Wszystko ma wypisane na twarzy – zupełnie inaczej niż Whitman.

– Będę szczery, pani Larsen. Nie jesteśmy gotowi na kryzys tej skali. Będziemy – ale jeszcze nie teraz. Chcę pomóc, jak tylko potrafię. Nie wyślę pani z powrotem do wioski z pustymi rękami.

Nie wiem, jak często królowie rozmawiają ze swoimi poddanymi w ten sposób – ale chyba nie powinni brzmieć aż tak bezradnie. Rzucam okiem na panel mistrzów. Patrzą na Isaaca z czymś pomiędzy szokiem a gniewem.

– Oto, co proponuję – kontynuuje Isaac. – Nasze królewskie zapasy alchemicznych reagentów są pełne. Proszę porozmawiać z moim mistrzem praktyków przed wyjściem. Zadba o to, by wasza wioska otrzymała wszystko, czego potrzebujecie na najbliższy miesiąc. Edykt powinien być gotowy do tego czasu.

Mistrzowie wyglądają, jakby mieli zaraz dostać udaru. Ale nikt się nie odzywa. Zerkam na Whitmana – uśmiecha się ledwie zauważalnie. Tego uśmiechu pewnie bym nie dostrzegła, gdybym nie spędzała tyle czasu, wpatrując się w jego usta.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – mówi pani Larsen, zaskoczona i wdzięczna zarazem.

Isaac przechodzi do kolejnego petenta – mężczyzny z Deveneaux, rudowłosego, z wielką odznaką urzędową na połach marynarki. To ktoś ważniejszy niż przeciętny dygnitarz.

– Mam nadzieję, że moja obecność nie jest nie na miejscu – mówi wyraźnie, starannie dobierając słowa. – Biorąc pod uwagę wyzwania, przed którymi stoi wasza rada...

Skóra Isaaca blednie jeszcze bardziej.

– Wyzwania?

– Choroba sadów czarodrzewu. Nexus. Linia sukcesji Waszej Wysokości... – Mężczyzna uśmiecha się chytrze. – Może lepiej byłoby omówić to w bardziej dyskretnych warunkach?

Mistrzowie, którzy dotąd posyłali Isaacowi spojrzenia jak sztylety, teraz mierzą przybysza wzrokiem, który mógłby zabić. Obok mnie palce Whitmana zaciskają się i rozluźniają. Kimkolwiek jest ten dyplomata – nie cieszy się popularnością.

– Te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego – jąka się Isaac. Jest zdezorientowany. I wściekły. W tłumie wzbierają szepty.

– Naprawdę? – Kolejny irytujący uśmiech. – Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, dlaczego sady królewskich soków umierają, jeśli nie przez złe zarządzanie nexusem?

Dobre pytanie, choć zadane w irytujący sposób. Nigdy wcześniej nic podobnego się nie wydarzyło. Drzewa

magicznego soku przetrwały susze, zarazy i pożary przez wieki, pozostając niewzruszone, gdy inne plony więdły. Ta choroba musi mieć nadprzyrodzone podłoże. Moje myśli wracają do mitu o Wzbierającej Fali – opustoszałe sady, wędrujące duchy i szalejące klany demonów – i dostaję dreszczy. To tylko zwykła opowieść, powtarzam sobie. Ale symbol Gildii z listu kultysty nie chce opuścić moich myśli, przypominając, że dla niektórych to nie jest „tylko opowieść".

– Nie sądzę... Nie uważam, by to było sprawiedliwe, szanowny Delfinie – odpowiada Isaac.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, kim jest ów obcy: to ambasador z dworu Kręgu, wysłany w ramach politycznych negocjacji. Miedziane bransolety z runami zdradzają, że jest również czarownikiem. Dlaczego przedstawiciel Kręgu traktuje Isaaca z taką pogardą? Z drugiej strony – Isaac wykluczył ich z negocjacji małżeńskich. Słyszałam kiedyś plotkę o księciu Lamikanu, który próbował uciec z narzeczoną. Zwołano wtedy pilną, zamkniętą sesję parlamentu, a niedługo później małżeństwo zostało „unieważnione". Może Krąg nie wybacza takich odstępstw od tradycji.

– Możemy podjąć debatę na temat szczegółów w późniejszym terminie – stwierdza Delfin. – Tymczasem dziękuję za hojny gest przyjęcia mnie na zamku Selledore.

Składa głęboki ukłon, po czym znika w tłumie.

Isaac zamyka oczy, oprawione czarnymi obwódkami, jakby próbował wymazać ostatnie dziesięć minut z pamięci. Potem patrzy na tłum.

– Ogłaszam przerwę, zanim zaczniemy inne sprawy – zawiadamia.

Publiczność zaczyna się rozpraszać. Trzej mistrzowie pochylają się, szepcząc coś do siebie. Gdy uwaga przestaje się skupiać na królu, Isaac opada na tron i opiera skroń na dłoni.

Zauważywszy Whitmana u podnóża schodów, Isaac uśmiecha się lekko. Potem dostrzega mnie. Jedna brew unosi mu się wyżej. Co to ma znaczyć? Cieszy się na mój widok czy może jest zirytowany? A może teraz, gdy wiem, że jestem jego przeznaczeniem, nadinterpretuję każdy gest? Tak czy inaczej, macha nam, żebyśmy podeszli.

Podchodząc do tronu, skanuję wzrokiem tłum. Tyle twarzy. Gdybym wcześniej spotkała któregoś z tych ludzi – może na przyjęciach u rodziców – czybym ich rozpoznała? Choć to akurat nie były spotkania, z których zapamiętuje się twarze. Chyba że liczymy pewien szczególny typ „przyjaciela". Tych zaś rozpoznać byłoby może łatwiej, jeśli byliby bez ubrania.

Isaac zwraca się do Whitmana przyciszonym głosem:

– To mogło się skończyć mniej katastrofalnie, prawda? W jakiś inny sposób...

– Nie obwiniaj się. Ten idiota próbował cię sprowokować.

Cicho chichoczę. Nigdy nie pomyślałabym, że Whitman nazwie kogoś idiotą. Zerkam na nich przez ramię.

– Myślę, że mam to, czego potrzebuję – szepczę. – Możemy już odejść?

– Nie chcesz porozmawiać z królem Isaakiem? – szepcze zaskoczony.

– Obserwacja była równie dobra.

Whitman marszczy brwi, nie rozumiejąc. Powiedziałam mu, że chcę spędzać czas przy królu, ale nie podałam szczegółów. Cała ta sytuacja to oczywiście jedno wielkie kłamstwo. Zamiast jednak zareagować, Whitman odwraca się w stronę tłumu. Śledzę jego wzrok – pada na panią Larsen. Wygląda na zdeterminowanego, by wypełnić obietnicę Isaaca. To zabawne, że Whitman i Isaac wyglądają przy tym jak dwaj spiskujący chłopcy. Tyle że ten ich „żart" może uratować komuś życie.

– Muszę porozmawiać z panią Larsen. Poczekaj tu. – Spogląda na mnie surowo. – Nie ruszaj się stąd sama.

– Och, jasne. To bardzo w moim stylu – mruczę, chowając twarz za chusteczką. Nienawidzę tego zamku nawet w najlepszych okolicznościach. A już szczególnie z kultystą na wolności.

– Podobała ci się twoja pierwsza sesja dla interesantów? – pyta Isaac.

Odwracam się do niego. Wygląda jak zwykle – trochę jak dzieciak z gorączką, trochę jak uciekinier z sierocińca. Tym razem jednak się uśmiecha.

– To było dość pouczające – odpowiadam, siląc się na lekki ton. – Dowiedziałam się, że wszyscy w Opalvale nienawidzą ambasadora z Circle Court.

Isaac chichocze.

– Ach, Delfin to prawdziwy upierdliwiec. Parlament Kręgu chce wykorzystać kryzys czarodrzewu jako pretekst, by wywierać presję. Myślą, że jesteśmy zdesperowani.

Mam wrażenie, że kiedy mówi „my", ma na myśli siebie. Potwierdza moje przypuszczenia, dodając:

– Dlatego potrzebuję królowej. Żeby zyskać legitymację. Stworzyć rodzinę, mieć następcę. Wiesz, zanim... – Przesuwa kciukiem po szyi, wydając dźwięk dławienia.

Nie wiem, czy to ma być zabawne, więc powstrzymuję śmiech... Jestem w szoku, że mówi o własnej śmierci z takim spokojem.

– Dlatego ci trzej – tam – są gotowi mnie obalić – szepcze, wskazując na panel mistrzów. – Twierdzą, że sabotuję swoją pozycję za każdym razem, gdy się odezwę.

– Może więc powinieneś przestać się odzywać – mówię z uśmiechem.

Udaje zaskoczenie.

– Hmm, czemu sam na to nie wpadłem?

Uśmiecham się. Nie wiem, czemu on to wszystko mówi. Nie wiem też, czemu tego słucham. Chociaż staram się, by było inaczej, jestem ciekawa chłopaka, który wylosował mnie jako wybrankę. Powinnam trzymać się od niego z daleka, dla bezpieczeństwa. A jednak... z Isaakiem rozmawia się tak łatwo. Jakbyśmy znali się od zawsze.

Auć.

Nagła panika zaciska mi wnętrzności. To przeznaczenie nie może się spełnić. Nie mogę być królową. Nie nadaję się. Nie potrafię nawet zająć się sobą, a co dopiero być czyjąś żoną, patrzeć, jak umiera...

– Naprawdę uważam, że to wszystko wina mojej siostry – mówi Isaac. – Aliah była przygotowana do roli monarchini. Ja tylko szalałem po zamku.

Dwa lata temu, niedługo po matce, Aliah zmarła. Isaac został sam.

– Przykro mi z powodu twojej rodziny – mówię. – Mój brat umarł, gdy byłam młoda. To... trudne.

D l a c z e g o to powiedziałam? Nigdy nie mówię o Patricku. Przeklinam się w myślach.

– Przykro mi z powodu twojego brata – mówi. – To najgorsza rzecz na świecie.

Kiwam głową i spoglądam w tłum.

Whitman wspina się na podwyższenie. Patrzy na mnie i Isaaca. Zorientowałam się dopiero teraz – stoję niebezpiecznie blisko tronu.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– A dlaczego miałoby nie być? – odpowiadam, unosząc chusteczkę do ust. – Chodźmy już, proszę.

– Do widzenia, panno Arnett! – woła Isaac.

Macham przez ramię, opuszczając królewskie komnaty.

Z Whitmanem przemierzamy kręte korytarze w stronę skrzydła praktyków. Korytarze – jak już ustaliłam – to moja słabość. Zakrywam nos chustką.

– Zachowywałaś się dobrze przed królem Isaakiem – mówi nagle Whitman. W jego tonie słyszę jakiś podtekst.

– Zawsze zachowuję się porządnie wobec prawdziwych dżentelmenów – mówię szorstko.

Przeszywa mnie wzrokiem.

– I będziesz się tak zachowywać, prawda? Bo nie mogę pozwolić, żebyś rzuciła się na króla.

Na chwilę ogarnia mnie panika, błysk strachu, że Whitman odkrył prawdę o tym, co pokazała nam wróżba zakochanych. Ale to uczucie szybko mija, ustępując miejsca bardziej optymistycznej świadomości – spojrzeniu z innej perspektywy.

– Nie ma powodu, żebyś był zazdrosny – mówię irytująco radosnym tonem.

– Posłuchaj, Mono. Isaac jest miły, ale on wciąż jest twoim królem. Musisz traktować go z szacunkiem.

– T r a k t u j ę go z szacunkiem – powarkuję zirytowana. – A ty wydajesz się z nim bardzo zaprzyjaźniony. O co więc ci chodzi?

– To całkiem inna historia. Znam go od lat. Wychowaliśmy się razem.

Zajmuje mi chwilę, by zrobić logiczny skok.

– Wychowywałeś się na zamku?

– Zdziwiło cię to?

Niezbyt, kiedy teraz o tym myślę. Gdzież indziej mógłby się nauczyć tej całej dworskiej sztywności?

– Co tu robiłeś?

– Moja matka była w tym towarzystwie – mruczy.

To ciekawe. Ale nie jestem jeszcze gotowa, by zrobić kolejny krok.

– Król wydaje się miły, ale on nie jest w moim typie – mówię stanowczo. Może zbyt stanowczo. Wróżba zakochanych szaleje w mojej głowie, zatruwając mnie bezustannie. – Lubię poważnych mężczyzn. No wiesz, surowych, nierozkapryszonych, bez ciągłych uśmieszków...

– Tak, rozumiem.

Zbliżając się do moich komnat, mijamy nowych strażników, których Oversea przydzielił do mojego skrzydła budynku. Gwardziści patrolują korytarz parami. Oversea nie chciał zapłacić za osobną eskortę osobistą, więc ta dodatkowa ochrona była kompromisem. Mijamy także dobrze urządzoną świetlicę, której wcześniej nie zauważyłam, niedaleko od sal konferencyjnych magów. Ogień z kominka lśni radosnym światłem na drogich meblach. Rzucam okiem do środka; Toombs, jeden z czarodziejów, siedzi w pluszowym fotelu, pochylony nad kawałkiem wosku przy bocznym stoliku. Rzeźbi coś srebrnym dłutem, jego zmarszczone czoło wskazuje na głębokie skupienie. Pracuje nad swoją praktyką – wnikaniem energii run w materiały. Cieszę się, że nie podnosi wzroku, kiedy przechodzimy obok. Teraz szczególnie nie mam ochoty przyciągać uwagi kogoś, kogo nie znam i komu nie ufam.

Whitman zatrzymuje się przy moich drzwiach.

– Panno Arnett, dziękuję – mówi cicho. – Wiem, że to nie poszło zgodnie z planem, ale doceniam wszystko, co robisz, by znaleźć Isaacowi królową.

Odchylam głowę do tyłu, patrząc na niego. Jego twarz jest tuż obok mojej; nie sądzę, by chciał stać tak blisko. Mogłabym unieść brodę o cal i go pocałować.

– No cóż, cała przyjemność po mojej stronie – wzdycham i zanim zdołam się powstrzymać, kładę mu rękę na piersiach, wzdłuż linii guzików jego kurtki. Patrzy na mnie zdziwiony, a może z dezaprobatą. Nie mogę go za to winić. Nie powinnam tego robić, ale jestem zmęczona i wyczerpana i chcę poczuć

czyjąś bliskość, choćby na krótką chwilę. Kiedy się nie porusza ani nie protestuje i nie odrzuca mojej ręki, zaciskam pięść na wysokości jego serca. – Teraz, proszę, idź, mistrzu Whitman, zanim się rozmyślę.

Robi powolny krok wstecz, a ja widzę, jak grdyka mu się unosi, gdy przełyka ślinę.

– Jutro chcę zacząć wcześnie. Wyślę Elizabetę, żeby cię obudziła.

Cofa się w stronę korytarza, wpatrzony we mnie.

– Dobranoc, panno Arnett.

Odwraca się na pięcie i odchodzi.

Powstrzymuję impuls, by kopnąć framugę drzwi, wchodząc do swojego apartamentu.

Siadam na kanapie i analizuję wydarzenia całego dnia, myśląc, myśląc – o czymkolwiek, byle tylko zająć umysł, żeby nie mieć chwili, w której wyobrażę sobie twarz Isaaca albo zacznę się zastanawiać, co o mnie myśli...

Ciszę przełamuje głośny trzask.

Zasapana, podskakuję na siedzeniu, natychmiast czujna. Czy zasnęłam? Ile czasu minęło? Siedzę nieruchomo, czując, jak serce łomocze mi w piersi, a jednocześnie uważnie nasłuchuję. Z sypialni dochodzi dźwięk tłuczonego szkła, jakby sypały się odłamki. Wstrzymuję oddech. Czyżby ktoś rozbił okno?

– Halo? – mówię drżącym głosem.

Czekam na odpowiedź, ale ona nie nadchodzi. Nie słyszę ruchu ani kroków. Ostrożnie wstaję z szezlonga i cichutko

podchodzę do dużego pokoju. W ciemności brak przesuwających się cieni. Zerkam za framugę drzwi.

Wspaniały, pięciopoziomowy kryształowy żyrandol spadł z sufitu i zmiażdżył łóżko, łamiąc jego solidną dębową ramę, jakby była zwykłym patyczkiem. Po kocach rozsypane są rozbite kawałki kryształu. Przykładam rękę do piersi, drżąc.

Intruza ani śladu, ale gdybym ułożyła się do snu w tym łóżku, już bym nie żyła.

13

Stoję sparaliżowana, rozważając, co powinnam teraz zrobić. Nie jestem tu bezpieczna. Jeśli żyrandol został specjalnie zniszczony, sabotażysta musiał włamać się do mojego pokoju. Jak? Skrzydło praktyków roi się od gwardzistów. Jeśli ktoś przeszedł tamtędy raz, może to zrobić ponownie. Chyba że nadal przebywa w moim apartamencie.

Biegnę do drzwi frontowych i uchylam je.

– Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Nasłuchuję. Wzdłuż korytarza zaczynają skrzypieć drzwi, a w powietrzu unosi się zlewający się szum rozmów, stłumiony i zdezorientowany. Otwieram drzwi szerzej i wystawiam głowę. Pierwsze, co dostrzegam, to grupa uzbrojonych strażników – pół tuzina – biegnących w stronę moich apartamentów. Nowe środki bezpieczeństwa mistrza Oversea działają.

Kilku królewskich magów stoi w pobliżu drzwi swoich mieszkań, oszołomionych i półprzytomnych albo, podobnie jak ja, pobudzonych adrenaliną – z oczami szeroko otwartymi, szukających wyjaśnienia. Byers, ubrana w kwiecisty, kolorowy szlafrok i jedwabną chustkę na włosach, patrzy na mnie z mieszkania dwa pokoje dalej. Jest jedną z tych roztrzepanych narwańców.

Zza podwójnych drzwi na końcu korytarza, w nie do końca wciągniętym kaftanie, wyskakuje Whitman. Podąża za grupą strażników w kierunku źródła zamieszania. Moje nerwy nieco opadają, gdy go widzę. Kiedy zbliża się do mojej komnaty, widzę, jak oczy zapalają mu się z przerażenia i jak przyspiesza kroku.

– Co się stało? – Łapie oddech, opierając obie ręce o framugę drzwi. Kurtkę ma niedopiętą, białą koszulę prawie już wsuniętą w spodnie. Muszę to zapamiętać na później. – Ktoś cię zaatakował?

– Nie jestem pewna... – Mój głos brzmi słabo, wciąż jakby drżał na wietrze. Chciałabym wypadać odważniej. – Żyrandol spadł. Myślę, że został... nie wiem, podcięty albo coś w tym stylu.

– Ale jak...

Whitman odsuwa mnie na bok i kieruje się do sypialni. Podążam za nim cicho. Boję się robić hałas, jakby zabójczy kultysta wciąż czaił się w ciemności, podsłuchując.

– Bogowie na niskościach... – Whitman przeciera usta ręką, oglądając lśniące szklane pobojowisko. – Gdzie byłaś, kiedy spadł?

– Na kanapie. Nie korzystam z tego łóżka zbyt często.

Właściwie przez wszystkie dni, które tu spędziłam, ani razu nie spałam w sypialni.

– Patrz, tam. Przymocowane do łańcucha.

Marszczę brwi i nachylam się. Na łańcuchu wisi kawałek papieru przywiązany wstążką. Krew odpływa mi z twarzy.

– Znów wiadomość – mówię ponuro.

Whitman przyzywa jednego z gwardzistów, by przeszedł przez rozbite kawałki szkła i podniósł przesyłkę. Zaczynam nerwowo zaciskać ręce, kiedy kartka trafia w dłonie Whitmana, który otwiera ją i cicho przegląda. Staję obok niego i czytam:

> ***Panno Arnett,***
> ***mówiłem, że będę cię obserwować. To ostatnie ostrzeżenie. Powiedz prawdę. W przeciwnym razie nieuniknione będą szkody uboczne.***

Wielka, zimna gula osiada w moim żołądku, jakbym połknęła bryłę lodu. Nie brzmi to, jakby zamierzali mnie zabić – chcą po prostu przestraszyć. Jakoś znają moje nawyki związane ze spaniem. Naprawdę mnie obserwują.

– Byli w moim pokoju – szepczę. – Jak to możliwe?

– To niemożliwe – mówi Whitman, ściskając list z przesadną siłą. – Strażnicy patrolują to skrzydło nieustannie.

Jego palce zgniatają kartkę, gdy zaciska dłoń w pięść. Patrzy na mnie z innym wyrazem twarzy – zimnym i bezwzględnym.

– Panno Arnett, jeśli jest coś, o czym chce mi pani powiedzieć, to teraz jest dobry moment. Rada będzie bardziej wyrozumiała...

– Nie miałam z tym nic wspólnego! – krzyczę, odsuwając jego dłoń, gdy chce mnie uspokoić. – Co dokładnie miałabym osiągnąć, zostawiając sobie groźby nazywające mnie kłamczuchą? Myślisz, że jestem wariatką?

– Nie.

Jego wewnętrzny chłód zaczyna topnieć; wzdycha i spuszcza głowę.

– Nie, nie myślę tak. Ale nie potrafię sobie wyobrazić żadnej alternatywnej odpowiedzi.

– Ja też nie. To jest nas już dwoje.

Moje serce bije szybciej, gdy wpatruję się w zmiętą kartkę w ręce Whitmana. Nie wiem, jak ten kultysta dostał się do mojego apartamentu, ale wygląda na to, że nic nie powstrzyma ich grupy przed zabiciem mnie – lub kogoś innego – jeśli tak zdecydują. Znowu czuję niemalże nieodpartą chęć ucieczki z zamku do jakiegoś bezpiecznego azylu. Ale gdzie mam się udać? W moim ograniczonym świecie nie ma takiego miejsca, gdzie ktoś nie starałby się mnie zabić.

Wszystko, co muszę zrobić, aby się chronić, to powiedzieć prawdę, zgodnie z namowami Byers. Po prostu podejść do króla Isaaca i powiedzieć: „Przepraszam za zamieszanie, Wasza Wysokość, ale okazuje się, że jesteśmy sobie przeznaczeni".

Ale kimkolwiek jest ten mój kultysta, najstraszniejsze, co może zrobić, to mnie zabić. To, co ryzykuję, mówiąc prawdę, jest gorsze.

Czując wzbierające mdłości, patrzę w oczy Whitmanowi.

– Co teraz?

Przygląda mi się uważnie.

– Jesteś pewna, że nie wiesz, czego od ciebie chcą? Co to za kłamstwo, o które cię posądzają?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam, nie odrywając wzroku od jego twarzy. – Muszą pewnie myśleć, że zostałam przekupiona, jak ci pozostali. Albo wymyślają coś na poczekaniu. Oczywiście mają coś przeciwko mnie.

– W takim razie nie za wiele możemy zrobić, poza wzmocnieniem ochrony. Zwołam jutro nadzwyczajną konferencję Kompanii. Może uda im się wymyślić jakiś plan.

Biorę się pod boki.

– Czy to raczej nie ty powinieneś im przedstawić plan?

Whitman jest nagle pochłonięty zapinaniem swojej kurtki mistrza.

– Nie ma nic złego w delegowaniu zadań – prycha.

Mruczę coś bez znaczenia, wpatrując się w iskrzące, powykręcane resztki żyrandola. Whitman gubi się, wyraźnie nie wiedząc, co robić. Jednak nie czuję dla niego szczególnego współczucia. To wszystko jego wina.

Gdyby nie przywlókł mnie do zamku, nic z tego by się nie wydarzyło.

Następnego ranka Whitman prowadzi mnie po raz pierwszy do sali spotkań praktyków. Zakrywam twarz

chusteczką. Jeśli ktoś wyskoczy, by mnie zabić, nie chcę widzieć, że nadchodzi.

Poprzedniej nocy znów poszłam do krainy Przypływu, żeby poszukać Irinorra, mając nadzieję, że pomoże mi ogarnąć całą tę sprawę z groźbami odebrania mi życia. Nie było go nigdzie. Nie było też innych bogów – nawet Wayvadda, zawodowego włóczykija. Rzadko mi się zdarza, bym przez kilka tygodni nie spotkała żadnego boga – przecież do Przypływu zaglądam codziennie. Irinorr nawet nie wysłał posłańca, bezgłośnej iluzji, jak to czasem robi, gdy za długo przebywam w Przypływie i nie mogę wrócić przez dłuższy czas.

Pamiętam, jak będąc dzieckiem, nie mogłam znieść, gdy rozłąka z nim się przedłużała. Siadałam w swoim pokoju i czekałam godzinami, aż jego posłaniec się pojawi. Kiedy już przychodził, oznaczało to, że mogę wrócić – że minęło wystarczająco dużo czasu, by w Przypływie znów było bezpiecznie. Posłańcy, których wysyłał, byli świetliści i prawie realni, niemalże kość z kości, gdyby nie te migoczące światła błyskawic pod ich skórą. Zwykle była to biała wrona, czasami blady mężczyzna z lśniącymi, niebieskoczarnymi włosami, ubrany w czerwoną kamizelkę i marynarkę. Uśmiechałam się szeroko na ich widok – tak szeroko, że bolały mnie policzki – rzucałam książkę, którą akurat czytałam, i z dudniącym z podniecenia sercem wspinałam się przez okno prowadzące do Przypływu.

A po drugiej stronie znów byliśmy razem – w ciele, gdzie mogłam wskoczyć w ramiona Iriego, by go uściskać, śmiejąc się, jak kiedyś z Patrickiem. Gdzie mógł wędrować ze mną po ścieżkach Przypływu i w uniesieniu opowiadać o magii, podczas gdy ja słuchałam z zapartym tchem. Czasami to ja

mówiłam. Otwierałam się przed Irinorrem, mówiąc o tym, co mnie trapi. Zwykle były to drobne sprawy: nauczyciele, których nie lubiłam, albo ci, którzy nie lubili mnie; miesiące, kiedy mój ojciec spędzał zbyt dużo czasu w Selledore, co zawsze wprawiało moją matkę w zły nastrój.

Czasami mówiłam mu o rzeczach dużo, dużo ważniejszych. O tym, że ledwie znoszę bycie we własnej skórze. Że czuję się jak potwór. Bo krzywdzę przecież wszystkich, którzy mnie kochają – Patricka, zabijając go; moich rodziców – tym, że zostałam przy życiu. Ale Irinorr głaskał mnie po włosach i ścierał łzy swoim delikatnym, lodowatym palcem – bo zawsze był zimny – i przypominał mi, że mnie kocha mimo tego, co zrobiłam. Bez względu na to, jak bardzo jestem zła.

To mnie pocieszało i raniło jednocześnie. Modliłam się, naiwnie, że może powie mi, że się mylę – n i e j e s t e m potworem, a dziewczynką, która popełniła błąd. Wybaczalny błąd. Czasami, w chwilach słabości, wciąż jeszcze mam nadzieję, że to usłyszę.

Whitman zatrzymuje się szybciej, niż się spodziewałam. Zerkam przez brzeg chusteczki na mahoniowe, lśniące od oleju drzwi, które on otwiera.

Przed nami rozciąga się przytulny pokój. Ściany nad brązowymi panelami pokrywają płyty marmuru, a linie gipsowych pilastrów dzielą je na sekcje. Na podłodze stoi owalny stół, wokół którego rozstawiono miski ze świętą wodą morską.

Pozostali magowie już przybyli. Ośmioro z nich siedzi przygnębionych, każdy głęboko wtulony w swoje krzesło. Tellerman i Janieux zajęli miejsca po obu stronach Hawkesa;

nachylają się, gdy ten mówi coś do nich szeptem. Byers usiadła z boku, jakby nie chciała przeszkadzać. Ci troje – Tellerman, Janieux i Hawkes – byli w Kompanii Praktyków długo przed Byers i przede mną, nic więc dziwnego, że zdążyli się zaprzyjaźnić.

Obchodzę salę, szukając wolnego fotela, gdy Whitman zajmuje miejsce z przodu.

– Jak pewnie już wiecie, ktoś próbował pozbawić pannę Arnett życia – zaczyna.

Brak szmerów i wyrazów niepokoju, które czasem wypełniają komnatę, daje się wyraźnie zauważyć.

– Czy to n a p r a w d ę była próba zabójstwa? – pyta oschle Umber, alchemik. – Ona tu jeszcze jest, prawda? Skąd pomysł, że miała umrzeć?

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, nie miała. Pozostawiono tam kolejny list. Jeśli można mu wierzyć, to wypadek z żyrandolem był bardziej ostrzeżeniem niż rzeczywistą próbą skrzywdzenia kogokolwiek.

– Właśnie to powiedziałem – mruczy Umber.

– I zgadzam się z tobą. – Whitman szarpie rękawy marynarki, widocznie zaniepokojony. Muszę przyznać, że to dziwny widok – gładkolicy Whitman przewodzi konferencji, a twardy, doświadczony Umber robi notatki. To z pewnością nie umyka Whitmanowi.

– Kogo podejrzewamy? – pyta czarownik Toombs. Jego ciemna skóra i krótko przycięte włosy błyszczą, jakby dopiero co wyszedł po kąpieli lub intensywnym zabiegu nawilżającym.

– Rada nie spekuluje na temat podejrzanych. Jednak na listach pojawia się symbol, który może być związany z Gildią Wzbierającej Fali.

Moje oczy kierują się w stronę Byers, ta jednak patrzy prosto przed siebie albo głęboko zamyślona, albo udając, że jej to nie obchodzi. Pamiętam, co mi powiedziała – że dołączyła do Kompanii, by uciec przed historią własnej rodziny, związanej z Gildią. Wygląda na to, że nie udało się jej odbiec wystarczająco daleko.

– Jak to zrobili? – pyta alchemiczka Talia'ah Ahdut z wyraźnym zaciekawieniem w głosie. – Nikt nie widział, jak przyszli ani jak odeszli.

– Możecie to uznać za swoje pierwsze zadanie. Chciałbym, żeby każdy z was dokładnie zbadał żyrandol pod kątem magicznych manipulacji. Spotkamy się jutro, po moich rozmowach z królem i radą.

Whitman zaciska dłonie, rozglądając się po stole, jakby ktoś miał przedstawić jakiś lepszy pomysł. Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, był bardziej pewny siebie.

– To wszystko. Jesteście wolni.

Krzesła szurają po podłodze. Zostaję przy stole, czekając na Whitmana, aż sala prawie opustoszeje. Wolałabym być zamknięta w swoim pokoju z osobistą armią strażników przy drzwiach, ale cóż – Whitman okazał mi życzliwość, kiedy jej potrzebowałam. Pomógł mi opuścić dom, gdy płakałam i wymiotowałam, robiąc z siebie widowisko. Nigdy się nie śmiał ani nie szydził. Jeśli mogę mu się odwdzięczyć, będziemy kwita. A teraz on przeżywa wewnętrzną walkę, którą doskonale rozumiem: czuje się jak nieudacznik.

Whitman dostrzega mnie i pyta:

– Coś nie tak?

– Poza tym wszystkim, co się wydarzyło, odkąd przyjechałam do tego przeklętego zamku? – Oparta o ścianę, przyglądam mu się z bliska. – Tak w ogóle to jak długo jesteś mistrzem?

– Sześć miesięcy.

– Masz kogoś, kto ci pomaga?

– Parsons, asystent mistrza, pomaga mi w sprawach administracyjnych.

– Nie o taki rodzaj pomocy mi chodzi. Miałam na myśli mentora. Kogoś, do kogo możesz się zwrócić po radę.

Na twarzy mistrza pojawia się obronna maska, zamykając dostęp do jego emocji.

– Czy to twój sposób na obrażenie pracy, jaką wykonuję?

– Czy to właśnie powiedziałam? Bo mogłabym przysiąc, że użyłam zupełnie innych słów o totalnie odmiennym znaczeniu.

– Potrafię czytać między wierszami.

Krzyżuję ręce na piersiach i nie zamierzam ustępować.

– A twoja matka? Mówiłeś, że była w Kompanii. Czy możesz pójść po radę do niej?

– Nie ma jej tutaj. – Jego głos staje się mroczny i ponury. – Po co w ogóle o to pytasz?

Wstrzymuję westchnienie rozpaczy. Dostałam odpowiednią lekcję. Nigdy więcej nie próbować być miłą – to tylko wprawia wszystkich w zakłopotanie.

– Nie miałam najmniejszego zamiaru wszczynania kłótni. – Pocieram skronie, kręcąc głową. – Chciałam tylko powiedzieć... Gdybym była tobą, czułabym się przytłoczona. Pewnie chciałabym mieć kogoś, na kim mogłabym polegać, kto już przeszedł przez podobne sprawy. A inni mistrzowie są w tej dziedzinie bezużyteczni, to jasne, gdy się widzi, jak się do ciebie odnoszą. Nie wiem, jak to możliwe, że król Isaac nie przywołuje ich do porządku za każdym razem, gdy do ciebie mówią.

Wyraz jego twarzy nieznacznie się zmienia. Nie potrafię go szybko odczytać, ale teraz Whitman przynajmniej nie wygląda na rozzłoszczonego.

– Dużo o tym myślałaś.

Moje policzki się czerwienią.

– Myślałam o tym dokładnie tyle, ile trzeba.

Zasłania usta dłonią, przyglądając mi się.

– Martwi się pani o mnie, panno Arnett?

– Martwię się o siebie – odpowiadam, coraz bardziej się rumieniąc. – Zacznę się martwić o ciebie, kiedy to ty będziesz zagrożony śmiercią przez przygniecenie żyrandolem. Brzmi logicznie?

– Brzmi jak...

– Arnett!

Odwracam się, wdzięczna za to niespodziewane wtrącenie. W drzwiach stoi Byers z pełną napięcia, niecierpliwą miną. Uprzejmie kiwa głową do Whitmana, jakby dopiero teraz go zauważyła.

– Mogę pożyczyć pannę Arnett?

– Nie jest moją własnością, żebym ją pożyczał.

– To taka figura retoryczna, mistrzu – mówi Byers, rzucając mu dziwne spojrzenie. – Arnett, idziesz?

– Dobrze – mówię niechętnie, po czym ruszam za nią. Chyba nie idę wystarczająco szybko, bo łapie mnie za ramię i ciągnie w stronę moich apartamentów. Wciąga mnie do pokoju dziennego, a potem z trzaskiem zamyka za nami drzwi. – O co tu chodzi? – Mrużę oczy, przyglądając się jej z bliska. – Przyszłaś mnie zmusić do ujawnienia przepowiedni?

Jej twarz się wykrzywia.

– Nie, nie myślałam o tym. Ale teraz, gdy o tym wspominasz… – Unosi brwi z wyraźnym zainteresowaniem. – Czy rozważałaś ujawnienie wróżby?

– Czemu? Tylko dlatego, że mi grożą „szkodami ubocznymi”? Wiesz, że to blef, prawda? – szydzę, obejmując się cała ramionami. Muszę wierzyć, że to, co mówię, jest prawdą. – Słuchaj, jeśli ktoś mnie śledzi, to wiedzą, że nie sypiam w łóżku. Gdyby naprawdę chcieli kogokolwiek skrzywdzić, już by mnie przygnietli tym żyrandolem. To tylko ich taktyka.

– Tak uważasz?

Nie sprawia wrażenia przekonanej. Patrzę na nią gniewnie, gotowa do kłótni, ale ona zmienia temat.

– Nie po to tu przyszłam. Wydaje mi się, że chyba coś znalazłam. A raczej kogoś.

Jej oczy lśnią od ledwo powstrzymywanej ekscytacji.

– Kogoś, kto może pomóc w złapaniu twojego dręczyciela.

– To świetnie – mówię, choć nie bardzo jej wierzę. Brzmi to zbyt dobrze, by było prawdą. – Kogo?

– Jej nazwisko to D'Milliar – mówi Byers, stopniowo budując napięcie. – Była poprzednią faworytą Korimarr, zaraz przede mną.

Zatrzymuję się. Bogowie rzadko przywiązują się do śmiertelników. Nie spodziewałabym się, że Korimarr weźmie więcej niż jedną protegowaną – chyba że pierwsza już nie żyje.

– Gdzie ona jest? – pytam.

Byers patrzy mi głęboko w oczy.

– Myślę, że mieszka w Przypływie.

14

Okazuje się, że Tasha D'Milliar jest królewską czarodziejką. A raczej – była nią dwadzieścia lat temu, przed swoim zniknięciem. Właśnie z tego powodu Byers przyciągnęła mnie do biblioteki na lekcję historii o królewskich czarodziejach.

Wysokie sufity biblioteki odbijają najdelikatniejsze nawet dźwięki, wzmacniając szelest przewracanych stron i szuranie butów. Kurz unosi się w powietrzu aż po łukowate, drewniane belkowanie. Nasze pomieszczenie jest niemal tak ogromne, jak główna sala, ale podzielone na sekcje krzywymi rzędami regałów. Wydaje się tu ciemniej – kamienne ściany mają kolor węgla drzewnego, a kolczaste gzymsy biegnące wzdłuż brzegów sufitu przypominają gdzieniegdzie kły dzika. Pochylam głowę, onieśmielona przez spiralne regały, jęczące pod ciężarem całych stuleci wiedzy.

Oddział gwardzistów stoi na baczność przy drzwiach biblioteki. Po incydencie z żyrandolem zeszłej nocy mistrz Oversea w końcu ustąpił i przydzielił mi osobistą eskortę. Podążają za mną, zachowując przyjęty z góry dystans, co powinno dawać mi poczucie bezpieczeństwa. Ja jednak czuję się, jakby mnie obserwowali.

– Skąd wiesz o D'Milliar? – szepczę w mokrą lnianą chusteczkę. Mój oddech ogrzewa ją, unosząc zapach soli i wodorostów w moim kierunku.

Byers siedzi z nosem w starym katalogu bibliotecznym.

– Z moich badań nad sadami Wetton. Pamiętasz, jak kiedyś mistrz Whitman poprosił mnie o zbadanie plonów czarodrzewu? Zaraz po tym, jak zjawiłaś się na zamku. Szukałam – i w końcu odnalazłam brakujący towar.

– Myślałam, że plony są tak niskie z powodu choroby panującej w sadach.

– To część przyczyn. Ale plony Wetton są o trzydzieści procent niższe, nawet biorąc poprawkę na efekt choroby. Zaginiony sok z czarodrzewu wycieka do krainy Przypływu – w jedno, stałe miejsce. To już samo w sobie jest dziwne. Ale widzisz, Arnett – kiedy już tam dotrze, wykorzystują go do alchemii.

Przestaję się kurczyć i wpatruję się teraz prosto w tylną ścianę jej katalogu. Tasha D'Milliar była zarówno alchemiczką, jak i wróżbitką – co stanowi rzadkie i dynamiczne połączenie. Rzadkie nie przez jakieś prawo naturalne – to kwestia czystej statystyki. Niewielu ludzi posiada wrodzoną smykałkę do magii, a zarazem umysł na tyle analityczny, by robić obie te rzeczy.

– To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie – mówi Byers, odkładając rejestr. – D'Milliar jest tam, w Przypływie.

– Musiała znaleźć sposób, by ochronić się przed Przypływem – mamroczę. Myślę o tym, że D'Milliar i ja musimy mieć podobną naturę – z tym że ja jedynie marzę o tym, by iść za jej głosem.

Nitka nadziei tli się jeszcze we mnie. Jeśli szkody wyrządzane przez Przypływ ludziom można uleczyć, obronić się przed nimi lub całkowicie ich uniknąć... Zostałabym tam

na zawsze. Mała chatka w krainie Przypływu, z oknami. Jakieś rustykalne, urokliwe miejsce. Miejsce, w którym wreszcie mogłabym być bezpieczna.

Tłumię ekscytację. Chyba za bardzo bym chciała w to uwierzyć.

– To nie wszystko – ciągnie Byers. – Zaczęłam badać historię D'Milliar w Kompanii, z czasów przed zniknięciem. Zaczynała głównie jako alchemiczka, ale czasami wykorzystywano jej zdolności wróżbitki. Był jeden przypadek, który zwrócił moją uwagę. Seria gróźb i prób otrucia radców.

Opada mi szczęka.

– Nie sądzisz przecież, że to ta sama osoba? Minęło w końcu ponad dwadzieścia lat.

– Nie. Truciciel został pojmany – właśnie przez D'Milliar. Zdołała znaleźć podejrzanego, korzystając z liścików, które zostawiał. Kilka razy była delegowana do mistrza sprawiedliwości. Podobno miała reputację zdolnej do rozwiązywania spraw, w których inni wróżbici zawiedli. Kiedy zniknęła, dominującą teorią było przypuszczenie, że w końcu padła ofiarą jednego z przestępców, których wcześniej przechytrzyła. Ale nie jestem taka pewna, że zniknęła na dobre.

Wszystko układa się w całość.

– Myślisz, że D'Milliar może znaleźć osobę, która mi groziła?

– Być może – odpowiada, wskazując palcem na stronę w rejestrze. – Widzisz, w jaki obrazek mi się to układa? Boska ulubienica, śmiertelniczka, która używa pozyskanej od bogów magicznej mocy, by dokonywać czynów, do których inne

wróżbitki nie są zdolne. Niezależnie od tego, jaką moc ma D'Milliar, może być idealnie przygotowana do ujawniania winowajców.

– Jest faworytką Korimarr. Czy nie miałaby daru mówienia prawdy, tak jak ty?

– Nigdy nie zapytałam Korimarr, czy wszyscy jej ulubieni śmiertelnicy mają tę samą supermoc. Tak czy inaczej, D'Milliar wyraźnie wie, jak jej używać.

Zastanawiam się nad tym, gdy Byers pakuje katalog do plecaka. Włożyła w tę sprawę wiele wysiłku – i to nie tylko dla mojego dobra. Ma własny powód, by szukać źródła tych gróźb – symbol pozostawiany na notatkach.

– Czy którykolwiek z przestępców pojmany przez D'Milliar był członkiem Gildii Wzbierającej Fali?

– Kilku – odpowiada obojętnie. Jakby nie interesowało jej aż tak bardzo, czy te nowe groźby rzeczywiście pochodzą z Gildii. – Kult był wtedy bardzo aktywny. Próby zamachów, porwania z zakładnikami, podpalenia, wandalizm. To był prawdziwy problem w Selledore.

– Tak przypuszczałam – wzdycham, masując sobie głowę. Jak to się stało, że sprawy poszły akurat w tę stronę? Nigdy nie miałam specjalnego upodobania do zabawy w detektywa. Gdybyż tylko mistrz Oversea właściwie wykonywał swoją robotę! – Co w takim razie proponujesz? Powinnyśmy znaleźć D'Milliar i poprosić ją, żeby się od-zniknęła?

Zamiast odpowiedzi Byers wyciąga z plecaka dwa zwoje pergaminu i rozkłada jeden z nich na stole, wygładzając zgromadzone przez lata rowki i wyżłobienia. Pergamin okazuje się mapą. Lokalizuję wzrokiem Opalvale, zajmujące

większość krzywizny nadmorskiej zatoki, a także inne królestwa Kręgu: Ashclaud na południu, Deveneaux wzdłuż wschodniej granicy, Bagna Sentinel i Rynth po drugiej stronie szaroniebieskiego Morza Środkowego. Ahn Dien unosi się samotnie na oceanie.

Z szeleszczącym dźwiękiem Byers rozwija drugi arkusz papieru i kładzie go na pierwszym. To kolejna mapa, której nie rozpoznaję od razu – naszkicowana na niemal przezroczystym papierze, nakładająca się na pierwszą jak dopasowana rękawica. Brak granic państwowych, brak przerywanych linii, brak królestw – tylko poskręcane kształty wysp i delt. Zatrzymuję wzrok na ilustracji w centrum, naniesionej ciemnym tuszem. Olbrzymia twierdza.

– To Przypływ – mówię, zaskoczona, że te słowa wydobywają się z moich ust. Nigdy wcześniej nie widziałam go na mapie.

– Spędziłam kilka lat na badaniu geografii po tym, jak Korimarr mnie wybrała – mówi Byers, a jej wzrok wędruje po wyrysowanych odręcznie punktach. – Tutaj są sady Wetton, więc tu musimy się udać.

Wskazuje na małą, skalistą wyspę na mapie Przypływu.

– Ale Przypływ nie pasuje do naszego świata – mówię zamyślona, ogarnięta wrażeniem, że zmarnowałam swoje życie. Większość czasu spędzonego w Przypływie strawiłam na przeżywaniu własnych zmartwień. Byers jest prawie o rok młodsza ode mnie, a już osiągnęła więcej, niż ja kiedykolwiek zdołam osiągnąć.

– Zależy. Musisz być świadoma, dokąd zmierzasz.

Zbiera mapy w objęcia i kiwa głową w stronę drzwi.

Gdy wracamy do moich komnat, skąd będziemy mogły niepostrzeżenie wejść do Przypływu, poruszam temat, który chodził mi po głowie przez całe przedpołudnie.

– Miałam cię o coś zapytać. Rozmawiałaś ostatnio z Korimarr?

– Jeszcze nie. Dlaczego?

– Zeszłej nocy szukałam Irinorra. Nie mogłam go nigdzie znaleźć – ani żadnego z nich. Chyba jeszcze nigdy nie minęło tyle czasu, odkąd nie spotkałam się z bogami.

Patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Naprawdę? Korimarr i ja spotykamy się raz do roku, na Tidesfair. Jak często widujesz Irinorra?

Nagle moja relacja z Irinorrem wydaje mi się dziecinna – jakby się nade mną rozczulał albo może jakbym ja się do niego nadmiernie przywiązała. I całkiem możliwe, że to nie jest dalekie od prawdy.

– Od czasu do czasu – odpowiadam chłodno. – Nie umawiamy się jak na coroczny feedback pracowniczy.

Bezpieczna w swoich pokojach, chroniona przez strażników przy drzwiach, odczuwam lekką ulgę. Poczucie bezpieczeństwa musi być złudne – ktoś już się przecież raz włamał. Ale to kwestia przyzwyczajenia. Czuję się nieco bardziej chroniona, gdy otaczają mnie różowe ściany z adamaszku.

Byers zarzuca plecak na ramię.

– Jesteś gotowa? Na bank zboczymy z głównych dróg, więc nie zakładaj niczego eleganckiego.

Nie mam zbyt wiele do zabrania, a wszystkie moje ubrania są równie eleganckie, więc wzruszam ramionami.

– Myślisz, że natkniemy się na kłopotliwe sytuacje? – pytam. – Na przykład z klanami?

– Demony dobrze wiedzą, że lepiej nas nie ruszać – stwierdza Byers lekceważąco.

Prawdopodobnie ma rację. Ostatnio byłam na skraju wytrzymałości, analizowałam każde ryzyko w nieskończoność. Ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie Byers wyciąga rękę i macha nią w powietrzu. Przed nią pojawia się falujące okno przejścia do Przypływu. Domyśla się, że również w tym mogę potrzebować więcej pomocy.

– Pani przodem – mówi, wyciągając dłoń.

Z odruchem niechęci przewracam się na bok, by się zanurzyć w Przypływie.

15

Sady Wetton są odległe od Selledore o dobry dzień wyczerpującej wędrówki, ale podróż będzie krótsza przez Przypływ – pod warunkiem, jak twierdzi Byers, że na dobre się skupimy na miejscu docelowym. Gdy ruszamy, staram się utrzymać w głowie obraz tej skalistej wyspy.

Zagłębiamy się w prawdziwie dziką dżunglę. Mokry, błotnisty piach pokrywa krętą drogę, której brzegi są pełne perłowych muszli. Wokół nas wznoszą się drzewa z wodorostów i wybujałe kolumny listownic. Kępy pomarańczowej i fioletowej rafy koralowej rosną wzdłuż naszej ścieżki niczym pospolite krzewy morwy. Co jakiś czas mijamy też zapadłe ruiny starożytnych osad demonów, zniszczone zębem czasu i magicznej wody – zostały z nich ledwie fundamenty. Dla nas to przypomnienie, że klany czają się w pobliżu, choć nie wiemy gdzie.

Patrzę dookoła.

– Czy ty kiedykolwiek...? – Zatrzymuję się w pół słowa, niepewna, jak najlepiej sformułować myśli. – Czy kiedykolwiek wydawało ci się, że Przypływ staje się coraz większy?

– Co takiego?

– Sama nie wiem – mamroczę, poruszając palcami, gdy przepływa przez nie prąd wody.

Wychylam się, by spojrzeć w niebo. Księżyc dzienny wisi wysoko i jest całkiem mały – wygląda jak wyblakły guzik z filcu. To była pierwsza rzecz, jaką zauważyłam, gdy weszłam w Przypływ tamtego dnia, w którym zginął Patrick.

– Pamiętam, że księżyc był bliżej.

– Oczywiście, że tak. – Jej luźne warkocze kołyszą się w wodnym powietrzu, gdy zaczyna mówić. – Byłaś dzieckiem, wszystko wydawało się większe.

Idziemy w ciszy przez godzinę, dwie, trzy, a może cztery. Jak dziwnie jest podróżować przez te krajobrazy w towarzystwie. Podczas moich wcześniejszych wędrówek przez Przypływ obecni byli tylko bogowie. Dziś jest inaczej – to niesie ze sobą niewygodną intymność, pozwalając Byers zobaczyć tę część mojego życia. Ale Przypływ jest równie wielkim sekretem dla niej, co dla mnie.

Nagle z naszej prawej strony rozlega się trzask. Odskakuję w bok. W fioletowym zmierzchu cienie wirują za welonem z listownic.

– Zachowaj spokój i milcz – szepcze Byers.

Para paskowanych, zakrzywionych rogów przebija gloniastą zasłonę. Za nimi idzie zakapturzona postać w szatach utkanych z czegoś, co przypomina tekstylne wodorosty, wybielonych na bladą żółć. Twarz zakrywa maska z gliny z małymi, okrągłymi otworami na oczy, rozstawionymi zbyt szeroko. Mój oddech staje się krótki. Widziałam demony z daleka – ale zawsze z Irinorrem u boku, wiedząc, że nie odważą się podejść. Teraz, z bliska, ten

konkretny wygląda na coś bardziej nieludzkiego. Przede wszystkim przez sposób, w jaki się porusza – prawie jakby się unosił.

Kolejne demony wyłaniają się zza pierwszego. Liczę – jest ich szóstka. Każde z nich trzyma coś, co wygląda jak harpunowy karabin. Noszą identyczne szaty i maski, ale ich rogi się różnią: poroża ząbkowane, zakrzywione rogi barana, szpiczaste różki kozy. Wszystkie obtłuczone i popękane, niczym spuchnięte od wilgoci drewno. Ale to, co najbardziej mnie niepokoi, to brak jakichkolwiek oznak przynależności do konkretnego klanu – nie ma śladów Semyanadda, wilka, Verimalla, dzika ani żadnego z pozostałych. Nie odzwierciedlają już ani trochę boskiego wizerunku. Czyżby te demony aż tak bardzo oddaliły się od bogów?

Ten z zakrzywionymi rogami patrzy na nas czerwonymi oczyma zza maski. Wydaje jakieś chrapliwe i wilgotne dźwięki. Mniej to przypomina słowa, a bardziej bąbelki powietrza. Nie rozumiem tego języka, ale głęboki, bulgoczący baryton brzmi męsko.

Byers mówi do niego wyraźnym głosem:

– Pozwólcie przejść.

– Należymy do błogosławionych śmiertelników – dodaję, podnosząc siedem palców i wskazując na północ, w stronę twierdzy. Wskazuję na Byers i na siebie. – Korimarr i Irinorr. Rozumiecie?

Nic to nie pomaga. Na dźwięk imion bogów demony reagują gniewnym pomrukiem, ich głuche, zgrzytliwe odgłosy brzmią jak pocieranie piasku o szkło. Powoli zbliżają się do nas. Wstrzymuję oddech, a na plecach czuję dreszcz przerażenia.

– Mówiłaś, zdaje się, że nie będzie problemów! – szepczę, cofając się.

– Nigdy ich nie widziałam w takim stanie – mówi Byers; jej pewność siebie jest wyraźnie nadwątlona. Do demonów zaś krzyczy: – Bogowie was ukarzą, jeśli coś nam się stanie!

Bestia z krzywymi rogami wybucha śmiechem. Zza jej maski rozbrzmiewa echo. Podnosi siedem bladych, pomarszczonych palców, potrząsa głową w kapturze. Następnie wykonuje gwałtowny ruch ręką, jakby podcinała sobie gardło.

Woda w Przypływie szumi mi w uszach. Czy coś się stało z bogami? Obawiałam się tego – bałam się tego, co najmniej prawdopodobne. Nie, nie, to przecież niemożliwe.

– Co mówicie? – pytam, wykonując własną pantomimę. – Bogowie odeszli?

Demony podchodzą jeszcze bliżej.

– Nie są zainteresowani rozmową – mówi Byers przez zaciśnięte zęby. – Powinnyśmy uciekać.

Przełykam ślinę i potakuję. Wtedy demony syczą sykiem prosto z trzewi, mierząc w nas z sześciu harpunowych pistoletów, a ja zaczynam zmieniać zdanie.

– Nie sądzę, żeby to była realna opcja – szepczę.

Skrępowanie nam rąk linami splecionymi z wodorostów nie zajmuje demonom dużo czasu. Każdą z nas eskortuje para demonów, gdy zaczynamy wspólny marsz. Wmawiam sobie, że chcą nas tylko przestraszyć, a potem puszczą wolno. Jesteśmy błogosławionymi śmiertelnikami. Faworytami

bogów. Boskie władze skażą ich na cierpienia, jeśli nas źle potraktują.

Z drugiej strony – demony nienawidzą śmiertelników. Bo to my skradliśmy uwagę bogów. Tak przynajmniej mówi Irinorr. Siódemka zostawiła ich na pastwę losu, zakładając i chroniąc Opalvale.

Po jakimś czasie docieramy do ich osady, rozsianej na nagim, skalistym gruncie. Drzewa, korale i kępy grzybów zostały pocięte lub spalone, pozostawiając nierówne wzgórza, opadające w stronę wielkiego rowu. Skórzane namioty, zabarwione na czarno, wystają ze zbocza niczym ciemne kryształy, a namioty z żółtej jak kość skóry, rozpięte na sześciobocznych ramach, pokrywają fragmenty równiny.

Ścieżki są niemal puste, ale – co za zaskoczenie – widzę kogoś, kto wygląda na chłopca ludzkiego gatunku, stojącego przy jednym ze zwichrzonych namiotów. Oczy ma jednak dziwne: żółte, z pionowymi źrenicami. Patrzy na nas obojętnie. Za nim czai się czerwony stwór w kształcie byka, z poranionym pyskiem, stojąc niepewnie na tylnych nogach. Instynkt podpowiada mi, by krzyknąć i ostrzec dziecko przed niebezpieczeństwem. Ale gdy chłopak odwraca się, by odejść, czerwona bestia podąża za nim – jak domowe zwierzę.

Nasi porywacze prowadzą nas do największego ze skórzanych namiotów. Zrzucają nas na ziemię, przywiązują nam nogi do ławek ustawionych wzdłuż namiotu, który wygląda na halę biesiadną. Wygięty Róg robi krok wstecz, oczy błyszczą mu za maską, jakby widział w nas cenną, triumfalną zdobycz. Tuż przy mnie Byers trzęsie się od stóp do głów, ale jej wyraz twarzy pozostaje niewzruszony. Może ma jakiś plan. Na bogów, mam nadzieję, że ma plan.

Po upływie kilku stresujących minut wchodzą kolejne demony w strojnych szatach, razem z chłopcem i jego byczym pupilem. Chłopak patrzy na nas, nie okazując szczególnego zainteresowania.

– Dobra robota – mówi tonem znudzonego dzieciaka i w przeciwieństwie do innych wyraża się tak, że rozumiem każde słowo. To mrozi mi krew w żyłach. Tylko najstarsze, najbardziej zepsute demony mogą mówić naszym językiem albo zmieniać wygląd. Ten mały chłopiec to iluzja.

Chłopak mruczy:

– Zatrzymamy jedną, a drugą sprzedamy.

Ciało wypełnia mi panika, walczę z więzami. Skrępowano je jednak mocno. Czoło Byers jest spocone i zmarszczone. Nie wygląda na czoło kogoś, kto ma plan.

– Przestań się szarpać – mówi chłopiec. – Dokąd masz zamiar uciec, kretynko?

– Wypuśćcie nas! – wykrzykuję, próbując stłumić rozpacz w swoim głosie. – Obiecuję, że nic nie powiemy Siódemce. Będzie tak, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Jak masz na imię?

Uśmiecha się z politowaniem i odpowiada swoim głosikiem brzdąca:

– Możecie mi mówić Kazzath.

– Hej, Kazzath. Ja jestem Mona. Możemy o tym wszystkim porozmawiać?

Uśmiechając się coraz szerzej, wyciąga z cholewki krótki sztylet. Z zaciekawieniem, niczym dzieciak, który odrywa muchom skrzydełka, podchodzi do mnie i rani mnie w policzek. Z bólu zgrzytam zębami. Tuż przed oczami widzę

strugę krwi – płynie przez powietrze, malownicza jak atrament wlany do filiżanki wody.

– Zatrzymamy ją, a tę cichą sprzedamy – decyduje Kazzath. – Chcę usłyszeć, jak śmiertelnik błaga.

– Błagamy bardzo dobrze – dodaję pospiesznie, czując kłucie w policzku. Słowa płyną z moich ust, ale jakby mówił ktoś inny – ktoś mniejszy, bardziej rozchwiany, kto mieszka we mnie już tak długo, że nabył praw dzikiego lokatora. – Nie musisz nad tym pracować. Będę błagać już teraz, jeśli tylko zechcesz.

Gadam głupoty, jestem nerwowa. Ale w miarę jak to mówię, zaczynam snuć coraz pewniejszy plan. Nadal gadam, by zyskać trochę czasu.

– Mogłabym zrobić ci przepowiednię. – Zwilżam popękane wargi. – Wróżbę miłosną. Demony nie znają prawdziwej miłości, prawda? Ale kto wie, co się stanie, jeśli spróbuję?

Byers patrzy na mnie z oszołomionym przerażeniem. Kazzath natomiast jest zaciekawiony.

– Ty tu coś knujesz – mówi, patrząc na mnie przenikliwie.

Cholera. Poprawiam nadgarstki, obcierające się o więzy, i mówię:

– Być może. Ale jesteś wystarczająco bystry, żeby mnie na tym złapać, prawda?

Kazzath marszczy brwi, rozważając sens mojej propozycji. Jego mina wygląda dziwnie na tej słodkiej dziecięcej buźce.

– W sumie to może dać mi trochę rozrywki.

Macha ręką w stronę bladego demona z rogami, który podchodzi do mnie uzbrojony w nóż. Cofam się odruchowo,

ale on tylko klęka i przecina sznurki na moich nadgarstkach – choć u kostek wciąż jestem przywiązana do ławki.

Zaciskam drżące dłonie przed sobą, masując nadgarstki.

– Do wróżby będę potrzebować jakiejś twojej rzeczy – mówię bezbarwnym głosem.

Mam ograniczone doświadczenie w doświadczaniu bólu. Nie podoba mi się ta improwizowana lekcja.

Kazzath wyciąga nóż, którym mnie skaleczył.

– Mam nadzieję, że nie jesteś na tyle głupia, by próbować jakichś niespodzianek.

Biorę nóż. Ręce mi drżą, a ja rozglądam się po pomieszczeniu. Kazzath, demon-dziecko, jego udomowiony byk-potwór, Wygięty Róg oraz pięciu szeregowych lokajów – wszyscy mnie otaczają. Z tym malutkim kozikiem, ze związanymi kostkami byłabym w stanie zdobyć się na tylko jedną rzecz – ugryźć jednego z nich, zanim mnie zabiją. Kazzath ma rację; nie jestem aż tak głupia.

Biorąc głęboki oddech, ustawiam nóż prosto, tuż przed własną twarzą, i patrzę na niego tak intensywnie, że aż oczy mnie pieką. Ale to, co teraz robię, to nie wróżba miłosna. Szukam raczej najważniejszych dla mnie informacji: Jak możemy ich przekonać, by nas wypuścili?

Przed oczami zaczynają mi tańczyć linie, jasne żółte pręgi na czarnym tle. Pradawne kształty w ciemności. Wiedza wstępuje we mnie nagle.

I nie jest to dobra wiadomość.

Kątem oka spoglądam na Byers. Na pewno będzie protestować. Ale cóż mamy do wyboru, jeśli chcemy przeżyć?

Trzymając nóż w spoconych dłoniach, patrzę na Kazzatha.

– Nie masz prawdziwej miłości, ale masz najgłębsze pragnienie. Być może jestem w stanie je spełnić?

Kazzath krzyżuje swoje chude ramiona na czerwonej, lnianej tunice.

– Cóż to takiego?

– Runy – odpowiadam. – Możemy cię nauczyć rysować runy mocy.

– Nie! – krzyczy Byers. – Oszalałaś?

Dziecko-demon zastyga w pozie bez wyrazu. Nie przyszło mu to do głowy. Ale powoli zaczyna to rozumieć, a na jego wąskich ustach pojawia się uśmiech.

– Tak – mówi, kiwając głową, jego uśmiech staje się szeroki i niebezpieczny. – Tak, naucz mnie magii run. Naucz mnie tego, czego bogowie postanowili odmówić naszemu gatunkowi.

Pomijam milczeniem fakt, że bogowie mieli dobre powody, by zakazać demonom używania magii run. Bogowie wymazali wiedzę o runach z umysłów i dusz klanów po demońskich wojnach; wprowadzili też kilka innych zabezpieczeń. Modlę się, by Kazzath o tym nie wiedział.

– Jeśli nas wypuścisz – mówię – nauczę cię trzech run tutaj, a dwie kolejne pokażę, kiedy zaprowadzisz nas na skraj wioski.

– Nauczysz mnie wszystkich run mocy, które znasz – chichocze Kazzath – albo weźmiemy je od ciebie siłą.

Krew odpływa mi z twarzy.

– To zły pomysł. Nigdy nie złamiesz Byers, a ja nie poradzę sobie na torturach. – Połykam ślinę, ryzykując wszystko. – Pięć run to wciąż pięć więcej, niż mogłaby znać jakakolwiek inna kolonia demonów. Zgódź się na ten układ.

– Nie – protestuje Byers przez zaciśnięte zęby. – Nie możemy.

Stare przysłowie pulsuje echem za jej słowami: Nigdy nie umawiaj się z demonem.

Unikam jej wzroku. Byers chętniej poświęciłaby siebie, niż wyjawiłaby demonowi runiczne sekrety. Ale ja jestem osobą pragmatyczną. Jedynym nierozwiązywalnym problemem jest śmierć. Resztę trzeba załatwiać na bieżąco. Bo tak właśnie robię: muszę przetrwać niezależnie od tego, czy na to zasługuję, czy nie.

– Dobrze – mówi Kazzath, a ja czuję ulgę, napięcie we mnie ustępuje. – Zaczynajmy.

Kazzath nakazuje bykowi, by usypał na ławce stertę piasku. Odwracam się, by mieć ją przed oczami. Byers patrzy przed siebie, wypierając wszystko. Próbując sobie przypomnieć, zaczynam od dwóch niewinnych run: *qalinnad*, do odnajdywania, i *erinom*, do światła. Minęły lata, odkąd Irinorr mnie ich nauczył. Rysuję w piasku kanciaste kształty, a kiedy stawiam ostatnią kreskę, runy ożywają, świecąc jasnym, pomarańczowym światłem.

W oczach Kazzatha rozbłyskuje głód. Rysuję jeszcze jeden – do poszukiwań – po czym odwracam się, kierując na niego błagalne spojrzenie.

– Zrobiłam, co obiecałam – mówię. – Teraz nas uwolnijcie.

– Zrobiłaś – mówi, potakując z gracją. – Ale jest jeszcze jedna rzecz.

Żołądek mi się zaciska.

Kazzath dostrzega wyraz mojej twarzy.

– Nie myślałaś, że to rozgryzę, co? – mówi, uśmiechając się. – Runy mogą rysować tylko ludzkie ręce. Więc muszę zabrać rękę od jednej z was. Czy ktoś się zgłasza na ochotnika?

– Weź moją – wtrąca Byers nerwowo. – Po prostu to zrób i pozwól nam odejść.

Moja głowa odwraca się gwałtownie. Byers zaciska szczęki, jej twarz wyraża upartą determinację. Do diabła z nią.

– Nie potrzebujesz całej ręki, prawda? – wyduszam z siebie. – Rysowałam te runy jednym palcem.

– Świetnie. Jestem dziś miłosierny, śmiertelniczki. Wezmę po dwa palce od każdej z was.

– Nie robiłabym tego na twoim miejscu – wymyślam nowe kłamstwo tak szybko, jak pozwala na to mój przerażony mózg. – Ludzie krwawią, i to obficie. Jeśli odetniesz za dużo, umrzemy. Jak potem zdobędziesz resztę swoich run?

Kazzath zdaje się rozmyślać nad tym, co powiedziałam. Jeden z jego przybocznych wydaje z siebie chrząknięcie, a zaraz potem zaczynają wymieniać jakieś mokre dźwięki, najwidoczniej prowadząc kłótnię. Jeden z demonów pokazuje swoje nadgarstki i głośno pomrukuje. Inny z kolei wskazuje palcem na serce. Jeden po drugim zaczynają wyciągać broń zza pasów, porównując jej rozmiary i ciężar. Żadne z tych narzędzi nie wydaje się odpowiednie do odcinania palców.

Mają bardziej zabójczy charakter. Całkiem wyraźnie pojmuję, co muszą planować.

W ustach wyczuwam coś metalicznego – to kwaśny posmak przerażenia. Po prostu chcę stąd wyjść żywa. Nie interesują mnie szczegóły, nie dbam o to, ile palców ocalę. Zerkam na swoje uda; nóż Kazzatha wciąż tam leży. Przechodzi mi przez głowę straszny pomysł. A skoro już się pojawił, nie mogę się go pozbyć.

Wyrzucam z siebie niepewny oddech, spinam się i przygotowuję na to, co muszę zrobić.

Wszystko dzieje się tak szybko. Chwytam nóż, obracam się. Kładę dłoń na ławce, wnętrzem do góry. Ostrze spada na mój mały palec, poniżej drugiego stawu.

Ból rozkłada mnie na łopatki.

Byers wrzeszczy dziwnie, więcej niż jednym głosem. Ależ nie! – ten drugi głos należy do mnie. Krzyczę i przeklinam, krew tryska z kikuta. Mój mały palec toczy się, bezwładny, ucieka na kilka cali, zanim zatrzyma się w miejscu.

Drżącą ręką podnoszę palec i rzucam go w stronę Kazzatha.

– Weź to albo rób, co chcesz! – krzyczę i łapię oddech. Wpycham rękę w falbany sukni, by zatamować krwawienie.

Obok mnie Byers sapie i dusi się z szoku, nie mogąc złapać tchu. Mam nonsensowną ochotę wyciągnąć dłoń i pogłaskać ją po głowie. Po prostu ją uspokoić.

Demony milczą jak zaklęte. Kazzath pochyla się, podnosząc mój palec z piasku.

– To mi wystarczy – mówi, przechylając głowę. – Przynajmniej na razie.

Potwór z zakrzywionymi rogami uwalnia nasze kostki. Niczym w transie podążamy za demonami, które eskortują nas z wioski. Trzymam rękę owiniętą w zakrwawiony materiał. Potrzebuję czasu, by pojąć to, co zrobiłam. Wszystko, co zrobiłam.

Kazzath zatrzymuje się na granicy skalistej polany.

– Ucz, śmiertelniczko.

Drżąc, kucam i rysuję dwie ostatnie runy w cienkiej warstwie ziemi. Jedna z nich służy do obrony. Kolejna potrafi grać piękną melodię.

Kazzath patrzy na nie z pożądliwym uśmiechem.

– Dobrze. Może kiedyś cię poproszę, byś nauczyła mnie więcej.

Trzymając mój odcięty palec w dłoni, zaczyna rechotać. Potem się wycofują, zostawiając nas same.

Mija pełna minuta.

Wskazuję na plecak Byers, który demony uprzejmie nam zwróciły.

– Mapa? – pytam głosem zachrypniętym od krzyku.

Towarzyszka patrzy na mnie zdumiona.

– Wracamy do zamku. Potrzebujesz lekarza.

– Po co marnować tę podróż? Na pewno nie jesteśmy daleko od D'Milliar. – Ściskam swoją drżącą, zakrwawioną rękę, starając się ignorować zimny dreszcz, pełznący po moim ramieniu. – Jeśli szybko nie złapiemy tych sekciarzy od kultu, mogą zrobić znacznie gorsze rzeczy niż odcięcie mi palca.

Byers, potrząsając głową w oszołomieniu, wyciąga mapę Przypływu. Spogląda w górę, ku szczytom, które przeszywają horyzont. Ustalenie naszego położenia zajmuje jej chwilę.

– Nie jesteśmy daleko.

– Idźmy więc – mówię i ruszam w kierunku, który – mam nadzieję – jest tym właściwym.

Nie rozmawiamy w drodze. Oszałamiający puls bólu rozdziera mi rękę za każdym razem, gdy stawiam krok. Prawie się już spodziewam sesji pouczeń od Byers, ale być może zaplanowała to na później. Rzeczywiście potrzebuję lekarza, ale nie mogę odejść, dopóki D'Milliar nie powie mi, jak udaje się jej przeżyć w Przypływie. Dla tego mogę poświęcić nawet wielkie ilości krwi.

Wkrótce docieramy do celu – i aż mnie zaskakuje, że tak szybko.

Przed nami wznosi się klif o nagim zboczu. Za wysoki, by się na niego wspiąć, ale niewywołujący zawrotów głowy. Na jego szczycie stoi dom.

Zatrzymujemy się na skraju klifu i przyglądamy się otoczeniu. Wygląda to jak budynek gospodarczy – coś, co na początku było małe, ale przez lata stopniowo zostało rozbudowane. Tu i ówdzie wyrastają z dachu wieżyczki, jak dzikie tulipany kwitnące poza sezonem, przebijające się przez mulistą glebę. Po stronie twierdzy z ziemi wystaje słup metalowych rusztowań, iskrzący się u wierzchołka.

Byers już zapomniała o naszych wcześniejszych cierpieniach.

– Widzisz tu jakąś drogę do góry? – pyta, nie odrywając wzroku od domu.

Rozglądam się w obie strony. Poszarpana ściana klifu ciągnie się aż do zakola, za którym znika. Dookoła żadnych schodów ani drabin.

Zwijam dłoń swojej zdrowej ręki w trąbkę i krzyczę jak do mikrofonu:

– Tasho D'Milliar!

Byers stęka cicho, ale nie komentuje, czeka razem ze mną. Znowu krzyczę w stronę klifu.

Na balkonie pojawia się kobieta.

Jej blond włosy są krótko obcięte, a skóra blada jak śmierć. Ma na sobie prostą fioletową togę. Za nią pojawiają się dwa zwaliste, zielone stworzenia, prawie humanoidalne. Ich zmieniająca się skóra (czy to w ogóle skóra?) pokryta jest świecącymi żółtymi plamkami.

– Idźcie stąd! – woła D'Milliar w dół.

Jakby na potwierdzenie jej słów, niebo przecina błyskawica i uderza w metalową wieżę. Ta nawet nie drgnie.

– Musimy z tobą porozmawiać – woła Byers, jej głos jest pełen szacunku. – Proszę. Jesteśmy wybranymi śmiertelnikami – Korimarr to mój...

– Idźcie stąd – przerywa jej D'Milliar.

Byers nie ustępuje.

– Mamy bardzo ważne...

D'Milliar wyrzuca coś ruchem palców. To coś spada w dół klifu, uderzając o ziemię i otwierając szczelinę w gruncie. Z wnętrza wypływa lawa, opalizująca na czerwono, unosi się na falach Przypływu, a jej temperatura sprawia, że na skórę występują mi krople potu. Odskakujemy w bok.

– To było ostrzeżenie – mówi D'Milliar. – Następne spadnie wam prosto pod nogi.

– Nie usłyszałaś nawet, co mamy do powiedzenia! – krzyczę. Wzrok mam zamglony – nie wiem, czy bardziej z wściekłości, czy z utraty krwi. – Obcięłam sobie palec, żeby cię tu znaleźć!

– Obetnij resztę, a sprawdzisz, czy mnie to obchodzi.

Wielkie oczy Byers stają się puste. Wypluwam przekleństwo, próbując przemyśleć sytuację, ale głowę mam zamroczoną.

– Jak to zrobiłaś? – wołam w górę, choć gardło samo mi się ściska. Muszę wiedzieć jedną – tylko tę jedną rzecz. – W jaki sposób potrafisz przeżyć w Przypływie?

Ledwie słyszalny wdech D'Milliar unosi się z prądem i znika wysoko nad nami. Wróżbitka pochyla się nad barierką balkonu.

– Nie jesteście gotowe usłyszeć, co mam o tym do powiedzenia. Jeśli kiedyś osiągniecie taką gotowość, znajdźcie mnie jeszcze raz. Do tego czasu: spadajcie. I to już.

– Skąd mamy wiedzieć, kiedy uznasz, że jesteśmy gotowe? – szydzę.

– Jeśli brak ci pewności, to dowód, że nie jesteś gotowa.

Mruczę z wściekłością i robię chwiejny krok do przodu. Mam zaburzoną równowagę.

– Co jest z tobą nie tak? – próbuję krzyknąć, ale mój głos brzmi cienko. – Gdzie masz poczucie... poczucie solidarności...

– Arnett? – zaczyna Byers głosem pełnym troski.

W polu widzenia wychwytuję jakieś czarne linie. Moje kolana drżą.

– Byers – mamroczę tuż przed tym, jak moje nogi się poddają.

Zanim stracę przytomność, mam ułamek sekundy, by złapać się nadziei, że zgadnie, co chciałam powiedzieć, a co brzmiało: *Złap mnie*.

16

Kiedy odzyskuję przytomność, widzę, że Byers przenosi mnie przez migoczące okno z powrotem do rzeczywistości. Jest bardziej praktyczna niż delikatna, kiedy sadza mnie na mojej sofie. Nie mogłam być nieprzytomna dłużej niż kilka sekund.

– Dasz radę iść? – pyta, wyciągając rękę, by pomóc mi wstać.

– Nie wybieram się na żaden spacer – mamroczę. Pokój wiruje, ale to nic. Może już nigdy nie wstanę z podłogi.

– Idziemy na oddział szpitalny. Potrzebujesz lekarza.

Leżę rozciągnięta na dywanie.

– To przyprowadź go tutaj.

Byers jęczy z irytacją, ale nie protestuje. Pomaga mi przenieść się na leżankę i biegiem rusza po pomoc. Leżę, pocąc się i krwawiąc.

Medyk pojawia się po minucie, z lekarską torbą w dłoni. Bez zbędnych słów podaje mi łyżkę gorzkiego toniku przeciwbólowego. Potem wyciąga ostrą gąbkę i fiolki z gęstymi, oleistymi roztworami. Sam ich widok sprawia, że mam ochotę się cofnąć.

– Musisz to robić? – pytam.

Marszczy brwi.

– Jak czyste było narzędzie, którym cię zraniono?

Sztylet ukryty w bucie demona?

– Hm. Nie było sterylne.

Parska z ironią, jakby chciał powiedzieć: „Proszę, świetna odpowiedź", i wyciska porcję śliskiego mydła na gąbkę.

Zjawiają się Whitman i Byers, gdy proces czyszczenia dobiega końca. Udaje mi się nie wrzeszczeć. Cokolwiek mi podano, działa. Medyk kończy robić opatrunek, a Whitman stoi za jego plecami z kamienną twarzą. Czuję zbyt dobrze, jak włosy przywierają do mojego spoconego czoła.

– Co się stało? – pyta cicho.

– Bójka na noże z Janieux – odpowiadam, próbując się uśmiechnąć. – Zapytaj, ile palców o n a straciła.

Jego twarz nie drga nawet o milimetr. Jest jeszcze bardziej beznamiętny niż zwykle.

– Muszę wiedzieć, czy ktoś cię zaatakował.

– Może najpierw przestanę krwawić?

Zawiesza głos, zakłopotany.

– Cóż... tak. – Spogląda na Byers. – Ty coś powiesz?

Przez chwilę waha się w milczeniu, podczas gdy medyk nakłada na moją ranę coś gęstego i pachnącego ziołami, potem z wprawą ją bandażuje. W pokoju panuje głucha cisza, przerywana tylko moimi syknięciami.

– Znalazłam ją w takim stanie – mówi Byers niewinnie.

Whitman klnie pod nosem i pociera skronie.

– Myślisz, że nie poznam, kiedy ktoś mnie okłamuje? Co właściwie zrobiłyście?

– To powinno zatamować krwawienie – oznajmia medyk, zawiązując ostatni supeł. Staje na nogi, postękując z wysiłku. – Wrócę za pół godziny, żeby sprawdzić.

Kiedy wychodzi, wszyscy milczymy. Po świetle dnia pozostało już tylko mgliste wspomnienie; przez okno widać jedynie przygasłe latarnie z magicznym sokiem. W tej ciszy Byers zajmuje miejsce po medyku i kładzie dłoń na moim łokciu.

– Dziękuję – szepcze. – Uratowałaś nas.

Aha. O to jej chodzi. Wzruszam ramionami, tyle, na ile pozwala mi osłabienie. Nie wiem, czy można to nazwać „ratunkiem". Raczej „przetrwaniem". A jednak... czuję w sobie cichą satysfakcję, że jej pomogłam. Większą, niż się spodziewałam.

Whitman skinieniem głowy odprawia Byers. Ta jeszcze rzuca mi uśmiech na pożegnanie. Czuję się dziwnie – przywykłam już do jej surowych spojrzeń.

Mistrz praktyków zbliża się do łóżka. Jego oczy błyszczą w przyćmionym świetle.

– Obdarzyłem panią dużym zaufaniem, panno Arnett. Dlaczego nie może mi pani zaufać w zamian?

Odwracam wzrok.

– Ależ ufam.

– To powiedz mi, co się stało.

– To nie kwestia zaufania – mamroczę, rozpalona i oszołomiona. – Po prostu mi nie uwierzysz.

– Sprawdźmy.

Patrzę mu w oczy. Nachyla się lekko, wyczekująco. Jest w nim coś tak stałego, tak życzliwego, że burzy moje mechanizmy obronne. A może to tylko działanie środka przeciwbólowego?

– Byłam w Przypływie – mówię. – Walczyłam z demonami.

Whitman kiwa głową, jakby właśnie usłyszał coś, co potwierdziło jego przypuszczenia.

– Tak myślałem.

Mrugam. Może mam halucynacje?

– Naprawdę?

– Moja siostra była tam kiedyś. – Spuszcza wzrok. – Gdy była dzieckiem.

Czuję, jak schodzi ze mnie całe napięcie.

– Twoja siostra?

– Channice. Matka nigdy jej nie uwierzyła, ale ja wiedziałem, że to prawda. Do dziś czasem to widzi... – Wykonuje gest dłonią, jakby odsłaniał firankę.

Żołądek mi się ściska.

– Okna?

– Właśnie. Okna w powietrzu.

Z zewnątrz dobiegają rozdzierające wrzaski wrony – krótkie, urywane dźwięki jak odgłos łamanych wideł. Aż podskakuję. Nie wiem, od czego zacząć.

– Co się stało potem?

– Powiedziała rodzicom. – Jego twarz staje się jeszcze bardziej zamyślona. – Matka przekonała ją, że wszystko sobie

wyobraziła. Że jest chora. Ale ja byłem obok, kiedy wróciła. Wiedziałem, że mówi prawdę.

– Spotkała tam kogoś? – pytam ostrożnie. Nie chcę być pierwsza, która poruszy temat bogów.

– Nie sądzę. Nie była tam długo. Przeraziło ją to. – Szuka wzrokiem mojej twarzy. – Kiedy się pojawiłaś, zacząłem myśleć... że może was to jakoś łączy.

– Nie sądziłam, że mi uwierzysz – powtarzam. Nie umiem powiedzieć nic więcej. Nawet z Byers nie rozmawiamy o Przypływie często i otwarcie. A Whitman... On po prostu to przyjmuje. Akceptuje. Akceptuje m n i e.

Środek przeciwbólowy rozlewa się we mnie jak ciepły miód, zniekształcając ostrość myśli.

– Wiesz co – mówię, tonąc we śnie – chyba jesteś najżyczliwszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Whitman parska.

– A nie mówiłaś, że jestem surowy i bez uśmiechu?

– Nie powiedziałam, że jesteś miły. Powiedziałam: życzliwy. To różnica, mistrzu.

– To chyba pierwszy szczery komplement, jaki od ciebie usłyszałem – mówi ostrożnie, jakby spodziewał się, że zaraz poproszę go o przysługę.

– Naprawdę? – Przez chwilę myślę. – To powinnam robić tak częściej.

Prawie się uśmiecha.

– Wiesz, nie trzeba tracić palca, żeby zacząć zachowywać się jak człowiek.

– Nie chcę być człowiekiem – wzdycham jak lunatyczka. – Chcę być… opowieścią. Opowieścią, którą snuje się na przyjęciach. One nikogo nie ranią.

Marszczy brwi.

– Masz gorączkę.

Wyciąga rękę. Przez sekundę myślę, że chce dotknąć mojego czoła, ale tylko poprawia mankiet.

Oczy mi rzeczywiście płoną.

– Trochę mi ciepło.

– Zawołam medyka. – Wstaje. – Porozmawiamy, gdy poczujesz się lepiej.

– Chciałabym – mówię sennie. A potem uświadamiam sobie, że nie chodzi mu o rozmowę ze m n ą. I mój uśmiech blednie.

Whitman wychodzi, a ja zostaję sama. Wpatruję się w sufit, w którym rozbłyska mała, przerażająca twarz Kazzatha, unosząca się w ciemności.

Nóż, który mnie zranił, jak się okazuje, był bardzo daleki od sterylności.

Zatrucie krwi nie jest doświadczeniem dramatycznym. Jest raczej ciche, pełne gorączkowych majaków i półprzytomnego bełkotania do medyków, którzy na zmianę przykładają mi okłady z czosnku, łoju i jakiejś alchemicznej emulsji, stopniowo wyciągając zakażenie z mojej krwi. Nie pomaga to

jednak w powstrzymaniu koszmarów – o beznamiętnych glinianych maskach, brudnych nożach, ani tym bardziej tych, w których duch Patricka dusi mnie w moim własnym łóżku.

Mam wiele godzin na rozmyślania. I w końcu podejmuję decyzję: muszę wrócić do Tashy D'Milliar. Najważniejsze nie jest już dla mnie to, czy zdoła wytropić mojego prześladowcę z sekty. Chodzi o coś więcej – ona może mi powiedzieć, jak żyć w Przypływie, jak się tam skutecznie ukrywać. Koniec z anonimowymi groźbami. Koniec z ryzykiem, że moje sekrety wyjdą na jaw. A jeśli to, co przeżyłam w związku z Patrickiem, było prawdziwe, to on także nie będzie mógł mnie tam dosięgnąć. Jedynym zagrożeniem pozostają klany demonów – ale skoro D'Milliar wciąż tam przebywa, musi znać sposób, by się przed nimi chronić. A to znaczy, że mogłabym tam być bezpieczna. Wreszcie.

Elizabeta towarzyszy mi przez pierwszy tydzień rekonwalescencji. Pomaga mi się kąpać, wyciera mi czoło, zmienia przepocone koszule. Byers też przychodzi w odwiedziny, choć nie przepada za rozmową na temat, który najbardziej mnie interesuje – o tym, gdzie się podziali bogowie. Nie martwi się. Twierdzi, że są po prostu zajęci i nie mogą zjawiać się na każde nasze wezwanie.

Mistrz praktyków pojawia się i znika, zazwyczaj po to, by omówić sprawy Kompanii. Pochłania go niekończący się konflikt z szefem Gildii Magów – jakaś długa, zawiła sprzeczka o regulacje cen nawozów alchemicznych – która najwyraźniej odbiera mu całą energię. Dowiedziałam się, że przewodniczący Gildii nie przepada za Whitmanem i twierdzi, że mistrz zawdzięcza swoją pozycję wyłącznie nepotyzmowi.

– Zjawiła się kandydatka rekomendowana przez Janieux – mówi Whitman, siedząc przy moim łóżku osiem dni po moim samookaleczeniu. W pokoju wciąż unosi się zapach miodu i ostrych alchemicznych środków. – Peony Brenton. Dalsza kuzynka mistrza Sopha, choć to jeszcze niczego nie dowodzi.

Gdy wrócę do Przypływu, przestanę się przejmować całą tą polityką. Ale kiedy tak mówi, nagle ściska mnie w żołądku. Olśniewająco proste: jeśli odejdę na zawsze, nigdy już nie zobaczę Whitmana. Choć przecież wiedziałam od początku, że to wszystko jest tylko tymczasowe.

Postanawiam udawać zainteresowanie – przynajmniej dla jego dobra. Podciągam się wyżej na poduszkach.

– Do czego ten przekupiony mistrz mógłby użyć pani Brenton, gdyby wygrała tron?

– Przede wszystkim do przysług. Królowa ma głos rozstrzygający w radzie, wpływ na zatwierdzanie budżetów i grantów. Każdy z mistrzów ma powód, by znaleźć kandydatkę sprzyjającą jego interesom, podobnie jak każdy prowincjusz. – Ton jego głosu staje się zbyt nonszalancki, by był szczery. – Oczywiście królowa nie nabędzie tej władzy, dopóki król Isaac nie umrze.

To okazja, by rzucić coś współczującego. Próbuję, ale słowa mi się plączą.

– Czyli to może być którykolwiek z mistrzów? – Unoszę brwi. – Czemu więc miałabym ufać właśnie tobie? Może to ty pociągasz za wszystkie sznurki.

Whitman rzeczywiście ma powód, by chcieć królowej lojalnej wobec siebie – jego pozycja w Kompanii jest krucha.

Każda inna kandydatka wybrana przez rywala z radością go usunie, gdy Isaac odejdzie i przestanie go chronić.

Żałuję tych słów w chwili, gdy je wypowiadam.

Rzuca mi chłodne, zranione spojrzenie.

– Gdyby to była prawda, byłoby mi wstyd. Ale jak dotąd nic nie poszło po mojej myśli.

Nie mogę się powstrzymać.

– Nie brzmi to jak dobra linia obrony.

Zaciska szczękę, więc łagodnieję. Już wystarczająco go dziś rozdrażniłam. A przecież w tych dniach niewiele rzeczy przynosi mi ulgę. Po prostu… dobrze mi, gdy Whitman jest blisko.

Rozlega się ciche pukanie. Whitman niemal z ulgą wstaje, by otworzyć drzwi. W progu staje Parsons, jego asystent, z twarzą mokrą od potu. Musiał biec.

– Panno Arnett – dyszy – przy bramie czeka kobieta. Domaga się spotkania z panią. Nazywa się Elsie Tanner. Była… dość natarczywa.

Whitman i Parsons wymieniają spojrzenia. Wydają się poruszeni, co mnie dziwi. Ot, zwykła wizyta?

A potem sobie przypominam.

Otwieram usta. W głowie odtwarzam słowa wróżby Tellermana, linijka po linijce. Przybędzie do zamku, nie wiedząc o ceremonii, niosąc wiadomość osobie, której brakuje palca. Zerkam na swoją zabandażowaną dłoń.

Przybyła królewska narzeczona.

17

Sala tronowa została zamknięta dla publiczności na czas obrad, ale mimo to wydaje się zatłoczona. Wszyscy mistrzowie przyszli jako obserwatorzy. Byers i pozostali magowie snują się po obrzeżach galerii. Tellerman, którego przepowiednia właśnie się spełniła, wygląda jak ktoś, kto przeżywa jednocześnie triumf i niedowierzanie. Whitman stoi obok mnie, blisko podestu, po lewej stronie króla Isaaca.

A potem nadchodzi kolej Elsie Tanner.

Siedzi sztywno na krześle, wyprostowana z nienaganną elegancją. Fala płowych włosów spływa jej po plecach. Wygląda jak klasztorna archiwistka – nosi okrągłe okulary w miedzianych oprawkach, nisko osadzone na płaskim grzbiecie nosa. Sądząc po jakości jej bladoniebieskiej, satynowej sukni, pochodzi z zamożnej rodziny, ale nie nosi tytułu. W kąciku jednego oka ma namalowany mały sześciokąt. Widziałam podobne znaki u gości z Diené na przyjęciach moich rodziców. W Ahn Dien panuje teraz moda na podkreślanie tożsamości klanowej lub zawodowej kosmetycznymi symbolami na skórze. Znak Elsie przypomina skorupę żółwia. To może mieć związek z Korimarr. Dreszcz przebiega mi po plecach, gdy przypominam sobie wróżbę Byers. Naznaczona przez bogów.

Isaac odzywa się pierwszy. Wydaje się, że w ostatnim tygodniu schudł i każdy ruch sprawia mu ból.

– Dziękuję, że zgodziła się pani z nami porozmawiać, panno Tanner.

– Czy miałam wybór? – odpowiada z nerwowym półuśmiechem.

Isaac odwzajemnia uśmiech.

Wtrąca się mistrz Oversea:

– Panno Tanner, dlaczego przyszła pani dziś na zamek?

– Ja... potrzebuję jej pomocy – mówi, zerkając w moją stronę. Gdy zwraca się bezpośrednio do mnie, jej głos nabiera pewności. – Potrzebuję pani pomocy, panno Arnett. Moja rodzina zaaranżowała dla mnie małżeństwo i... to nie jest dobry wybór. Ale jeśli potrafi pani wskazać prawdziwą miłość, może znajdę bratnią duszę. A moi rodzice zerwą kontrakt. Prawdziwa miłość jest ważniejsza niż papier, prawda?

Jej nadzieja wnika we mnie jak drzazga. Jeśli błagania nie zrobiły na jej rodzicach wrażenia, to i m i ł o ś ć niczego nie zmieni.

– Czy wie pani, dlaczego została pani wezwana przed oblicze króla? – pyta Oversea.

Elsie kręci głową, zaciskając usta – jakby w ten sposób chciała powstrzymać własne pytania lub może bunt wobec bycia przerzucaną po zamku jak worek kartofli.

– Królewski mag przewidział, że kobieta odpowiadająca pani opisowi zostanie królową – mówi Oversea. – Padły też inne przepowiednie i potrzebujemy czasu, by je

przeanalizować. Dopóki tego nie rozstrzygniemy, będzie pani musiała pozostać na zamku.

Elsie przyjmuje to, jej oczy – duże, sarnie – błyszczą zza okularów. Siedzi nieruchomo, jakby bała się poruszyć.

– Czyli... nie musiałabym poślubić lorda Severina?

Kącik ust Isaaca lekko drga.

– Nie, nie musiałaby pani. To jeden z przywilejów królowej Opalvale.

Elsie powoli kiwa głową.

– W porządku, Wasza Wysokość. Zgadzam się.

– Panna Tanner z pewnością jest zmęczona podróżą – mówi mistrz Gan, wstając. W jego głosie brzmi szczera troska – w przeciwieństwie do chłodnego tonu Oversea. – Zajęliśmy już wystarczająco dużo jej czasu. Odprowadzę ją do skrzydła gościnnego.

Gan i trójka strażników eskortują Elsie ku wyjściu. Ta rzuca ostatnie, długie spojrzenie w stronę Isaaca, oceniając go. Gdy mijają grupę magów, Byers odłącza się i podąża za nimi w bezpiecznej odległości. Rekonesans? Mam nadzieję. Wiemy obie, że Tellerman jako jedyny jasnowidz powiedział prawdę – co oznacza, że przeznaczeniem Elsie Tanner naprawdę może być tron. Gdyby tak n i e b y ł o, dlaczego Tellerman miałby przepowiedzieć jej przybycie?

Kątem oka zerkam na Isaaca. Może Elsie Tanner to odpowiedź na wszystkie nasze modlitwy. Królowa dla Isaaca, wyjście dla mnie – wreszcie legalna, bezstronna kandydatka, akceptowalna nawet dla Whitmana. Nikt nie przekupił Tellermana. Nie skłamał. A skoro jego wizja się spełniła, może

moja wróżba o bratnich duszach to po prostu... rzadki zbieg okoliczności. Bratnie dusze nie zawsze są razem. W wyjątkowych przypadkach się rozchodzą. A ta sytuacja z pewnością jest wyjątkowa.

Nie mogę zaprzeczyć, że jestem bratnią duszą Isaaca. Ale może on jest bratnią duszą Elsie. Mogą być razem szczęśliwi.

Gdy Elsie znika z pola widzenia, Isaac rozgląda się po sali, jakby czekał na podpowiedź.

– I co teraz?

– Teraz czekamy, Wasza Wysokość – mówi Oversea. – Gdy przybędzie kandydatka pana Hawkesa, będziemy mieli pełny obraz przepowiedni. Wtedy pan wybierze.

Odzywa się Whitman:

– Wciąż pracujemy nad interpretacją przepowiedni dotyczącej panny Arnett.

– Skoro o tym mowa – wtrącam, unosząc nieśmiało rękę. Nie ma lepszego momentu niż właśnie teraz. – Chciałabym przeprowadzić wróżbę o bratniej duszy panny Tanner.

Po sali przetacza się cichy szmer.

– Wasza Wysokość, muszę zaprotestować – mówi Renfield, mistrzyni wywiadu, kobieta o ogolonej głowie. – Co innego dać pannie Arnett głos w tym konkursie, a co innego pozwolić jej ingerować w pozostałe przepowiednie.

Na czole Whitmana pojawia się zmarszczka urazy.

– Co mogłaby zyskać panna Arnett, powstrzymując prawowitą królową przed objęciem tronu?

– Prestiż, mistrzu Whitman. Zyskałaby tytuł jasnowidzki, która wskazała królową. Dla takiej sławy ludzie zabijają. –

Renfield nabiera powietrza i mówi spokojniej: – Musimy unikać p o z o r ó w stronniczości. Rozumiem, że wciąż się pan uczy, Delmarze. Nie mam o to pretensji. Ale panna Arnett praktykuje magię, której nikt inny w Kompanii nie zna. Jej wróżby są nieweryfikowalne. Ktoś mógłby ją wykorzystać, by zmanipulować wynik.

Wpatruję się w nią osłupiała. W kilku zdaniach nazwała mnie oszustką, protekcjonalnie potraktowała Whitmana i zasugerowała, że spiskujemy. Mam ochotę zrobić jej wróżbę na głos i odczytać jej najgłębiej skrywane sekrety, najlepiej w obecności króla.

Whitman odpowiada powściągliwie, ale lodowato:

– Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie ja sprzeciwiałem się temu sposobowi wyboru królowej – z dokładnie tych powodów, które pani teraz przywołuje. I jeszcze jedno: proszę zwracać się do mnie „mistrzu Whitman".

– Oczywiście – mówi Renfield z chłodnym uśmiechem. – Proszę wybaczyć, mistrzu. Jeszcze się nie przyzwyczaiłam. Wciąż pamiętam, gdy sięgał mi pan do biodra.

Ktoś parska śmiechem. Whitman wbija wzrok w podłogę. Wiem, jak to jest, kiedy nikt nie traktuje cię poważnie. To boli.

– Możemy wrócić do tej kwestii na kolejnym posiedzeniu rady – mówi Oversea. – Wasza Wysokość, czy coś jeszcze mamy na liście?

– Hm? – Isaac podnosi głowę. – Och, nie. Nic więcej. W porządku?

Zdecydowanie nie słuchał.

Mistrzowie zaczynają się rozchodzić. Isaac zostaje na tronie, pogrążony w myślach. Odwracam się do Whitmana i szepczę:

– Muszę to zrobić. Wróżba panny Tanner może być kluczowa.

Pociera uda, nadal spięty.

– A co myślisz, że pokaże?

– Gdybym wiedziała, nie potrzebowałabym wróżby, prawda?

– Dobrze – odpowiada. – Porozmawiam z mistrzami. Zorganizuję spotkanie.

– A przy okazji może spotkanie w sprawie operacji „wyciągnijcie kije z zadów"?

Whitman parska śmiechem, po czym szybko poważnieje. Śmiech! Jeszcze chwila, a odleci na skrzydłach.

Uśmiecham się do siebie, zadowolona.

– Daj mi znać, co ustalicie, mistrzu.

Kiedy się oddalam, odwzajemnia dziwny, nieśmiały uśmiech. Ignoruję tysiąc fajerwerków wybuchających mi w piersi. Nigdy nie wiedziałam, że można czuć tak wiele – i tak dobrze – bez choćby dotyku. To słodko-gorzkie odkrycie. Whitman jasno dał do zrozumienia, że nie widzi mnie w ten sposób.

Wracam do swoich komnat, pod eskortą. Gdy docieram, strażnicy z korytarza odłączają się, a wartę przejmują ci od apartamentu. W tym zamku trudno splunąć, żeby nie trafić w gwardzistę. Ale cieszę się, że tu są. Dają mi coś, czego ostatnio mam zbyt mało – poczucie, że nie jestem ofiarą.

Siadam na szezlongu, ledwie zdążywszy się ułożyć, gdy słyszę pukanie. Marszczę brwi i rzucam gniewne spojrzenie w stronę drzwi. O ile to nie Irinorr, który dziś wyjątkowo postanowił przejść się po schodach, nie mam ochoty na gości. Nie odpowiadam, czekam, aż strażnicy sprawdzą, kto to.

Najwyraźniej wynik jest pozytywny.

Drzwi otwierają się.

Do środka wchodzi król Isaac.

18

Isaac wchodzi sam, bez zwyczajowej świty. Wygląda to równie nie na miejscu, jak gdyby zapomniał założyć spodnie. Prostuję się i próbuję zachować odpowiednią postawę.

– Wasza Wysokość. – Skłaniam lekko głowę. – Gdzie jest straż honorowa?

– W korytarzu – odpowiada, z trudem siadając na krześle. – Dlaczego pytasz? Planujesz mnie zabić?

– Tylko jeśli zrobisz coś, by zasłużyć.

Uśmiecha się lekko. Serce bije mi szybciej na myśl, że jesteśmy sami. Co on tu robi – i dlaczego wymaga to prywatności? Chciałabym, żeby przyszedł z Whitmanem.

– W sali tronowej, z panną Tanner – zaczyna – mówiłaś, że chcesz jej postawić wróżbę?

– Tak – odpowiadam z ostrożną nadzieją.

– Dlaczego?

Muszę uważać, jak to wyjaśnię. Nie chcę zdradzić swoich prawdziwych motywów.

– Cóż, skoro przepowiednia Tellermana się sprawdziła, to znaczy, że Elsie Tanner może być przyszłą królową. Gdyby twoje imię pojawiło się w jej przepowiedni miłosnej, mogłoby to wiele wyjaśnić. Może jesteś jej bratnią duszą... ale ona nie jest twoją. Widziałam już takie przypadki.

Marszczy brwi, zaniepokojony. Nie dziwię się – sama myśl jest niepokojąca.

– A co z ową Jane Smith? Moją bratnią duszą?

– Bratnie dusze nie zawsze kończą razem. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach tak, ale to nie jest reguła. Mistrz Whitman nadal chce jej szukać... Tylko kto wie, ile to potrwa?

Dłubię nerwowo w paznokciach. Czuję ukłucie winy. Nie mogę mu powiedzieć, że wymyśliłam Jane Smith. Czy byłoby mu lepiej, czy gorzej, gdyby wiedział, że to ja jestem jego bratnią duszą – i że nie mam nic przeciwko temu, by poślubił Elsie Tanner?

Rozważa to przez chwilę, po czym kiwa głową z determinacją.

– Zrób tę przepowiednię.

Serce podskakuje mi z radości. W końcu jakiś przełom.

– Mistrz Whitman właśnie rozmawia o tym z radą.

– Nie czekaj na nich. Możesz to zrobić sama? W tajemnicy?

Pociera kark, zawstydzony własną prośbą o złamanie zasad. Prawie się uśmiecham. Czy zasady w ogóle obowiązują króla? Ale rada obserwuje Isaaca uważnie. Ma więcej ograniczeń niż większość ludzi. Jeszcze jeden powód, dla którego królewski tytuł mnie zupełnie nie interesuje.

– Będę musiała znaleźć pretekst, żeby się z nią zobaczyć – mówię.

Przerywa nam pukanie. Jedna z wartowniczek zagląda do środka.

– Macie gości – oznajmia. – Powiedzieć im, żeby przyszli później?

– Kto to? – pytam.

– Bernadette Byers i Elsie Tanner.

Wymieniam z Isaakiem zdumione spojrzenia. Jeśli to nie boska opatrzność, to nie wiem, co nią jest. Elsie i Isaac są sobie pisani. Jestem tego pewna. Ktoś tylko musi sprawić, by do tego doszło.

– Proszę, zaproś je do środka – mówię. – Mój gość właśnie wychodził.

– Tak – potwierdza Isaac zbyt głośno. Podpierając się laską, z trudem wstaje. – Właśnie wychodziłem.

Byers i Elsie Tanner wchodzą do pokoju, natykając się na króla w przejściu. Elsie zastyga zaskoczona, lekko rozchylając usta.

– Wasza Wysokość – mówi cienkim głosem.

– Panno Tanner – odpowiada Isaac, znowu zbyt głośno. Po chwili dodaje: – Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

Powstrzymuję jęk. Gdybym nie znała prawdy, pomyślałabym, że to jego pierwsze spotkanie z dziewczyną.

– Doprawdy? – pyta Elsie z uśmiechem podszytym niepewnością. – Zasadniczo nie lubię, gdy ludzie obmawiają mnie za moimi plecami, ale to wygląda na dopuszczalny wyjątek.

Uśmiech zastyga jej na twarzy, rumieni się.

– Mówiliśmy wyłącznie miłe rzeczy – zapewnia Isaac. Jego głos brzmi już nieco spokojniej.

– Ja też tu jestem, Wasza Wysokość – wtrąca Byers z kamienną miną.

– Ależ oczywiście. Dzień dobry, panno Byers – mówi i po chwili zwraca się znów do Elsie: – Czy mistrz Gan dał ci szansę się rozgościć? Jak apartamenty?

– Nie do wiary – wyrzuca z siebie Elsie z szeroko otwartymi oczami. – Moje zasłony są z aksamitu. Z aksamitu. Kto tak robi?

Isaac wybucha śmiechem, po czym krzywi się lekko i klepie się po piersi, jakby płuca zaprotestowały.

– Cóż, pałacowi dekoratorzy nie słyną z umiarkowania.

Uśmiechają się do siebie. Byers milczy razem ze mną, dając im tę chwilę porozumienia.

– Będę już leciał – mówi Isaac, przełamując ciszę. Spogląda na mnie znacząco. – Miłego wieczoru.

Odchodzi powoli, podpierając się na lasce. Kiedy zostajemy same, Byers kładzie rękę na ramieniu Elsie.

– Zaproponowałam, że przyprowadzę panią Tanner do ciebie, zanim mistrz Gan skończy szykować jej komnaty.

Mruga do mnie porozumiewawczo. Mam ochotę ją uścis-kać. Dzięki niej wykonamy wróżbę, zanim rada zdoła nas powstrzymać.

– Usiądź, proszę – mówię, wskazując na krzesło.

Podchodzę do toaletki po karafkę whisky, a kiedy Elsie i Byers znajdują sobie miejsca, wręczam im szklaneczki i siadam, podwijając nogi pod siebie. Chcę, żeby to wyglądało jak swobodna rozmowa.

– Jak udało się pani mnie znaleźć, panno Tanner?

– Całe lata temu jedna z moich kuzynek przyszła do pani na wróżbę.

Miesza whisky w szklance i wbija wzrok w bursztynowy wir.

– Kilka miesięcy później spotkała osobę, którą pani wywróżyła. Tak dużo o tym opowiadała, że pomyślałam: muszę spróbować.

Biorę łyk, starając się ukryć emocje. Moja praktyka kwitnie dzięki poleceniom, ale każda nowa wróżba to stres. Reputacja to coś delikatnego – każda entuzjastka równoważona jest przez dwie, które nazwą mnie oszustką.

– Nigdy wcześniej nie byłam w Selledore – dodaje Elsie. – Miałam nadzieję, że trochę pozwiedzam.

– Przykro mi, że te plany legły w gruzach. To musi być... szokujące.

– Delikatnie rzecz ujmując – przyznaje, poprawiając okulary ruchem podobnym do tiku. Ale uśmiecha się wciąż słodko. Mam nadzieję, że szybko będę mieć to z głowy. Trudno znieść taki stan zawieszenia.

– Myślę, że mogę w tym pomóc – mówię, odstawiając szklankę. – Mogę przeprowadzić wróżbę, po którą pani przyjechała. Jeśli król Isaac jest pani bratnią duszą, to wiele uprości.

– Czy już zna pani jego wybrankę? – pyta zdumiona.

Cholera. Byłoby łatwiej, gdyby była mniej bystra.

– To skomplikowane – mówię, bo rzeczywiście jest. – Zrobiłam oficjalną wróżbę w ramach konkursu... ale

powiedzmy, że jej wynik niekoniecznie zostanie uznany. Była… niejasna.

– Rozumiem – odpowiada łagodnie. – Magia to dla mnie czarna magia.

Czuję ukłucie winy – za kłamstwo, ale też za jej sytuację. W końcu odkryje, że nie jest wybranką Isaaca. Nikt nie jest w stanie jej przed tym uchronić.

– Potrzebuję czegoś – mówię, wyciągając dłoń. – Wstążki do włosów, panno Tanner. Zróbmy to szybko, niech pani głowa się już tym nie zaprząta.

Elsie rozplątuje wstążkę i uwalnia włosy. Odbieram ją z uśmiechem. Czy patrzę właśnie na przyszłą królową? Wyobrażam ją sobie na tronie, trzymającą rękę Isaaca… i wtedy coś mnie przeszywa. Ból. Trudno go nazwać.

Zaciskam wstążkę w dłoni, skupiając się na wróżbie.

Thomas Worden.

Otwieram oczy i wpatruję się we wstążkę, jakby mnie obraziła.

Nie Isaac.

Próbuję jeszcze raz. Ten sam wynik.

Elsie patrzy na mnie z oczekiwaniem. Mogłabym skłamać… ale nie powinnam.

– Zdaje się, że obiecałam zbyt wiele – mówię, oddając wstążkę. – W tej chwili nie widzę jasnej przepowiedni. To się zdarza. To raczej kwestia mojej dyspozycji niż pani.

Powinnam była to powiedzieć także Isaacowi. Ale wtedy nie przyszło mi to do głowy.

– Och, nie szkodzi – mówi Elsie z wyrozumiałością. Ale czuję w jej głosie cień rozczarowania.

– Spróbujemy później, dobrze?

– Oczywiście – odpowiada z uśmiechem i zbiera się do wyjścia.

Byers zostaje.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi, ściskając poręcz fotela. – Król Isaac nie jest jej przeznaczeniem?

– Owszem, nie jest – odpowiadam cicho. – To ktoś, o kim nigdy nie słyszałam.

– Byłam pewna, że Tellerman źle odczytał runy. Potem doszłam do wniosku, że Isaac musi być jej wybrankiem. A teraz... już sama nie wiem.

– Może powinnaś mniej myśleć – mruczę.

– To w takim razie jaka jest jej rola w tej układance? Dlaczego Tellerman przewidział dla niej koronę, jeśli nie ma żadnych więzi z królem Isaakiem?

Czuję nagłe zmęczenie. Oddycham głęboko.

– Nie jestem pewna, czy mnie to jeszcze obchodzi – mówię cicho. Głowa opada mi w dół. – Może mam już tego wszystkiego dość.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Zamykam usta i zaczynam dźgać kciukiem brzeg leżanki. Nie jestem Byers nic winna – ani jej, ani nikomu z mieszkańców zamku. Mogłabym w sumie uciec do Przypływu bez słowa wyjaśnienia.

Choć wtedy i tak wytropiłaby mnie u Tashy. Może lepiej uniknąć komplikacji.

– Wracam spotkać się z Tashą D’Milliar – mówię z wysoko uniesioną głową.

– Co? – Byers gapi się na mnie jak na kompletną wariatkę. – Ostatnim razem ledwo uszłyśmy z życiem!

– Jeśli ona powie mi, jak przeżyć w Przypływie, cała reszta przestaje mieć znaczenie. Możecie zająć się poszukiwaniami królowej dla Isaaca, a mój sekciarz nie będzie już w stanie wyrządzić mi krzywdy.

– Nie nazywaj go sekciarzem – ucina Byers z chłodnym, karcącym spojrzeniem. – Nie mamy żadnych dowodów, że te groźby pochodzą od Gildii. Pamiętaj, że ten symbol mógł narysować ktokolwiek.

– Jak więc powinnam go nazywać?

– D’Milliar nie poświęci ci ani minuty – rzuca z ironią. – Sama słyszałaś – nie chce mieć z nami nic wspólnego.

– Muszę spróbować.

Nie wolno mi odpuścić. Ta sprawa wypala mnie od środka jak rozżarzony węgiel – coraz gorętszy każdego dnia. Wszystko wokół zaczęło się plątać. Duch Patricka. Narzeczona dla Isaaca. Ciągła nieobecność Irinorra. Śmiertelne groźby szeptane nocą. Pragnę znowu czuć się bezpieczna. Schronić się. Musi istnieć sposób, by to wyjaśnić Tashy D’Milliar.

– A co z Opalvale? – pyta Bernadette, napięta. Czuję się wtedy jak karcone dziecko. – Co z rodem króla Isaaca, co z nexusem? Twoja przepowiednia miała przynieść pomoc!

– Co mnie obchodzi, kto siedzi na tronie? – Mój głos brzmi szorstko. W oczach mam już niemal łzy. Takie pytania tylko potęgują złość. – Byle tylko nie było tam mnie samej. Tak,

Byers, tylko to mnie obchodzi. Elsie Tanner to dobra kandydatka – i całkiem realna. A Tellerman nie kłamał w swojej przepowiedni. Ma w sobie wszystko, na co liczył Whitman.

– Więc używasz jej, żeby złagodzić swoje poczucie winy związane z ucieczką?

– Jakiej winy? – wypalam.

Choć wiem, że Byers ma rację. Niezależnie od tego, co powiem, rozumiem, że Whitman nigdy by mi nie wybaczył zniknięcia przed ostatecznym wyjaśnieniem przepowiedni miłosnej dla Isaaca – gdyby wszystkie kandydatki okazały się błędne. Ale teraz, gdy pojawiła się Elsie Tanner, wszystko może się ułożyć. Może pewnego dnia Whitman, Byers i Isaac wspomną mnie z życzliwością.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, ogarnia mnie skurcz zazdrości – ciemny, bolesny żal po tym, co mogło być moim życiem. Tym, co mogłam przeżyć, gdyby los potoczył się inaczej.

– Mówisz to wszystko serio, prawda? – Byers już nie wydaje się zła, tylko zmęczona.

– Nie mam wyboru.

Bernadette zaciska palce na nasadzie nosa.

– Dobrze, nie będę się z tobą kłócić. Ale poczekaj chociaż dzień lub dwa. Daj mi czas, żeby poczytać coś o obronie przed klanami demonów. Wtedy przynajmniej nie zginiesz po godzinie.

– Dziękuję – mówię szczerze zaskoczona. Nie oczekiwałam, że będzie chciała mi pomóc.

– Proszę bardzo – burczy. – I tak uważam, że jesteś idiotką.

Kiedy wychodzi, jest już wczesny wieczór. Emocje dnia rozbijają mnie jak fala. Kładę się na leżance, przykrywam cienkim kocem. Gdy przypominam sobie, że w korytarzu czuwają strażnicy, łatwiej jest mi zamknąć oczy. Śpię niespokojnie, ale nieprzerwanie przez siedem godzin.

Budząc się, mrugam z niedowierzaniem, widząc czarną, bezkształtną kolumnę zawieszoną nad moją głową, w bladej poświacie poranka. Przerażona, spadam z leżanki, niemal rzucając się do ucieczki, ale zatrzymuję się i znowu patrzę.

Prawie się spodziewam ducha Patricka.

Ale to nie on.

Z żyrandola, z pętlą zaciśniętą na purpurowej, wykrzywionej szyi, zwisa Parsons, asystent mistrza. Jego twarz pokrywają nabrzmiałe żyły i ciemne plamy. Oczy ma otwarte.

Do jego kurtki przypięto wiadomość.

Wielkie, grube litery da się odczytać nawet z podłogi:

Powiedz prawdę.

19

Zanim zdołam krzyknąć, odskakuję w bok i wymiotuję na podłogę.

Skulona, z pochyloną głową, z trudem łapię oddech. Brakuje mi powietrza. Znów przychodzi odruch wymiotny, lecz tym razem to tylko mokry dreszcz i szloch. A potem wrzeszczę – rozpaczliwie, z głębi gardła, jakby to miało mnie uratować.

Jakby historia Patricka miała się powtórzyć.

Kolejny człowiek, który jest martwy z mojego powodu.

Straże w holu słyszą krzyk i wpadają do środka. Gdy tylko dostrzegają ciało Parsonsa, wokół mnie rusza cała machina urzędowych zabiegów.

Jedni wybiegają, inni wbiegają. Wszyscy krzyczą. Przez dłuższą chwilę nikt nie zwraca na mnie uwagi – dopiero jeden ze strażników, z twarzą wykrzywioną napięciem, owija mnie kocem i mówi, że zaraz zjawi się rada. Tylko potakuję. Ledwie rejestruję otoczenie, ale dostrzegam jedno: gdy odpinają kartkę przypiętą do kurtki Parsonsa, na odwrocie znajdują więcej tekstu.

Tak jak się obawiałam – mój sekciarz zmienił taktykę.

Panno Arnett,

najwyraźniej nisko Pani ceni własne życie.
Może więc taki widok zwróci Pani uwagę.
Powiedz radzie swój sekret albo ktoś następny umrze zamiast ciebie.

To morderstwo nie powinno być możliwe. Ale prawdę mówiąc, ledwie mnie to obchodzi. Przed moimi drzwiami stali strażnicy. Nikt nie powinien był się tu dostać. A jednak Parsons zwisa z żyrandola. I – jeśli wierzyć liścikowi – tak stanie się znowu. I jeszcze raz.

Chyba że zacznę mówić.

Siedzę z głową opartą na ramionach i zawodzę. Nie zniosę kolejnej śmierci na swoim sumieniu. Ale na to już za późno. Stało się.

Zanim przybywają Oversea i Whitman, strażnikom udaje się usunąć ciało. Nie potrafię spojrzeć ani na jednego, ani na drugiego. Wciąż siedzę na podłodze, przy kałuży wymiocin, kurczowo trzymając się koca. Whitman klęka przy mnie.

Wokół jego oczu widnieją czerwone obwódki.

– Tak bardzo mi przykro, panno Arnett.

Dlaczego to on mnie przeprasza? Przecież to jego zastępca nie żyje. I to z mojego powodu.

– Będziemy musieli panią przesłuchać – mówi mistrz Oversea, omiatając wzrokiem pokój, jakby w cieniu mebli

szukał ukrytego sensu.

– Nic nie pamiętam – odpowiadam skrzekliwym, wycieńczonym głosem. – Spałam.

– Proszę, przejdźmy do świetlicy – mówi Whitman. Pomaga mi wstać, rzucając chłodne spojrzenie w stronę Oversea, który najwyraźniej zamierza rozpocząć oględziny miejsca zbrodni.

Idę posłusznie. Głowa mi pulsuje, a myśli są jak rozbite szkło. Gdy zasiadam z kolanami podciągniętymi pod brodę, Whitman rozpala ogień w kominku. Siedzi naprzeciwko mnie, milcząc. Cisza między nami ciąży, ale zarazem otula.

Mam wrażenie, że zaraz zwariuję. Taki wybór może mi zniszczyć życie. Ale to już nawet nie wygląda na wybór. Odkąd zobaczyłam ciało Parsonsa, wiedziałam, co muszę zrobić. Złamany. Zduszony. Z oczami, które patrzyły w pustkę. Jego rysy zlewają się w mojej pamięci z twarzą Patricka. Zaciskam powieki. Z oczu spływają mi gorące łzy.

Nie mogę dopuścić do kolejnej śmierci przez własne tchórzostwo. Nawet jeśli sama tego nie przeżyję.

– To dziwne – mówię cicho, bardziej do siebie niż do niego.

Trzask drewna w kominku jest jedynym dźwiękiem.

– Wskazywanie bratnich dusz nie zawsze jest szybkim procesem. Zresztą… zdaje się, że nigdy o to nie pytałeś.

Whitman podnosi wzrok.

– Co masz na myśli?

Wzdycham i odchylam głowę.

– Pamiętam jedną przepowiednię. Para nowożeńców – chcieli tylko upewnić się, że będą razem na zawsze. Ale nie

pasowali do siebie.

Milczy, z lekkim westchnieniem. Mój głos staje się twardszy.

– I to w gorszy sposób, niżbyś przypuszczał. Ona dostała jego imię. Ale on – nie dostał jej. Czułam się z tym okropnie, winna. Myślałam, że to moja pomyłka. Potem jednak ona zmarła przy porodzie, kilka miesięcy po ślubie. A on ożenił się drugi raz – tym razem z kobietą, której imię podałam w przepowiedni. Okazała się jego bratnią duszą.

Whitman słucha w milczeniu.

– Był jej przeznaczeniem, ale ona – nie jego. I musiała z tą wiedzą żyć.

– Panno Arnett...

– To nie był zresztą najgorszy przypadek.

Mówię dalej, choć każde słowo boli.

– Najgorszy był wtedy, gdy podałam kobiecie imię jej wybranka, a ona go natychmiast rozpoznała. Mężczyzna, z którym spędziła dzieciństwo. O którym marzyła. Ale on zginął jako marynarz. Miał siedemnaście lat. Jej jedyna szansa przepadła.

Zaciskam dłonie.

– Zabiła się mniej więcej po miesiącu.

– Przykro mi – mówi Whitman. – Czemu jednak wspominasz to teraz?

Biorę głęboki oddech.

– Myślałam długo o tym konkursie. I sądzę, że twój plan miał wadę.

– Jaką?

– Inni magowie pytali, kto zostanie królową. Ja zrobiłam inną przepowiednię. Wskazałam bratnią duszę króla.

– Nie rozumiem.

Wydaje się zdezorientowany, jakby słuchał bredni. Pewnie tak jest w istocie.

– To nie zawsze jest to samo – mówię. Wciskam mocno obie dłonie w uda. – Jeśli chcesz królowej dla Isaaca, już ją masz. Elsie Tanner. Potwierdził ją Tellerman, potwierdziła Byers. To powinno wystarczyć. Bratnia dusza nie ma tu znaczenia.

Pochyla się gwałtownie.

– Co ty wygadujesz? Jeśli Isaac ma bratnią duszę, powinien mieć szansę...

– Naprawdę? Co jest ważniejsze: jego szczęście czy losy królestwa?

Whitman wstaje. Palcem przecina powietrze, jakby próbował mnie z miejsca uciszyć.

– Oczywiście, że to ma znaczenie. Nie czas na spekulacje i półprawdy!

Oddycham coraz szybciej.

– Mówię ci tylko, że Elsie Tanner jest królową. I nic tego nie zmieni. Nawet to, co zaraz ci powiem.

Jego wzrok staje się twardy jak lód. Czuję, że po raz pierwszy w życiu zaczynam się go bać.

– Kłamałaś? – pyta. – Kłamałaś w swojej wróżbie?

Wbijam wzrok w sufit, próbując powstrzymać łzy.

– Proszę, nie zmuszaj mnie, bym to mówiła.

– A więc jesteś oszustką.

– Co?

Kręcę głową, a włosy smagają mnie po twarzy.

– Nie jestem. Oczywiście, że nie. Ale… skłamałam, tak. Dlatego dostaję te groźby.

Pochylam głowę.

– I dlatego twój zastępca nie żyje.

– Jeśli kłamałaś, to… jaka jest prawda?

Milczę. Wiem, że nie musi mi wierzyć. Może i nie powinien. Ale przecież już raz mi uwierzył – w historię o Przypływie. Może zasługuje na prawdę. Może to moja jedyna szansa, by ją wypowiedzieć.

Próbuję mówić, ale głos mnie zawodzi. Przełykam ślinę.

– Chodziło o mnie, Whitman. To ja jestem jego bratnią duszą.

Nie patrzę na niego. Wpatruję się w płomienie w kominku, modląc się, by ta prawda nie spaliła mnie żywcem.

– Ach… – wzdycha w końcu Whitman. Nerwowo skubie mankiet. – Żartujesz. To nie pora na wygłupy.

Zaciskam szczęki i próbuję się uspokoić.

– Nigdy w życiu nie mówiłam poważniej.

Zapada głucha, nieznośna cisza. Whitman siedzi nieruchomo, z rękami mocno opartymi o kolana.

– Wyjaśnij – prosi cicho.

Biorę głęboki oddech. Muszę przez to przejść bez uronienia ani jednej łzy.

– Moja wróżba miłosna dla króla Isaaca... To w niej pojawiło się moje imię. Nigdy nie było żadnej Jane Smith.

Whitman długo nie odpowiada. Naprawdę długo. Minuty mijają w ciszy. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co się w nim kotłuje – pytania, domysły, może strach. A ja, samolubnie, zastanawiam się, czy choć trochę mu żal... tego, co mogło się między nami wydarzyć. Ja opłakałam to już dawno. Gdy w końcu chrząka, niemal podskakuję.

– Jesteś pewna, że poprawnie odczytałaś znaki? – pyta dziwnie śpiewnym tonem.

– Na sto procent. Powtórzyłam to ze dwadzieścia razy. Za każdym razem widziałam dokładnie to samo. Jeszcze nigdy nie miałam tak pewnej wizji. To jakbym była jego nadbratnią duszą, jego... jeszcze prawdziwszą miłością.

Whitman chichocze sucho, ale to nie ten rodzaj śmiechu, który kiedyś roztapiał mi serce. Jest pęknięty, lekko obłąkany.

– To jest... To idiotyczne. Wiesz o tym, prawda?

Marszczę brwi i jeszcze wyżej podciągam kolana pod brodę.

– To nie idiotyzm. To tylko... zbieg okoliczności.

Przeczesuje włosy ręką, znów wybucha śmiechem.

– Rada nigdy w to nie uwierzy.

– A ty mi wierzysz?

Wreszcie na mnie patrzy. Nasze spojrzenia się spotykają. Błagam go bez słów – żeby był po mojej stronie. Bez niego nie dam rady. Kręci głową, ale nie w zaprzeczeniu – bardziej z bezradności.

– Masz jakiś dowód? – pyta. – Sposób na zweryfikowanie przepowiedni?

– Tak.

Już o tym myślałam. Moje słowo może wystarczyć Whitmanowi – choć to się dopiero okaże – ale rada będzie chciała czegoś więcej. Na szczęście mam w zanadrzu kogoś, komu mogą zaufać.

– Bernadette Byers.

Unosi brew, choć nie wygląda na specjalnie zaskoczonego. Może po prostu wyczerpał już limit zdziwień na dziś.

– Wiedziała o tym? I nigdy nic nie powiedziała?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, lecz zawieszam się. Byers mogłaby mieć kłopoty, jeśli rada uzna, że ukrywała moją tajemnicę. Zrobię jej przysługę, oszczędzając szczegółów.

– Jak dotąd nie – mówię. – Ale na pewno mogłaby potwierdzić, że nie kłamię.

– To może nie wystarczyć.

Najwidoczniej moje imię w miłosnej wróżbie Isaaca to większy absurd, niż mi się wydawało.

– Tak czy inaczej, rada nie musi nam wierzyć. Wystarczy, że zabójca się dowie, że wyjawiłam sekret. O to mu przecież chodziło.

– Ale dlaczego? – jęczy Whitman, chowając twarz w dłoniach. – Czemu tak bardzo chce to ujawnić? Co może na tym zyskać? Przecież musisz mieć jakieś podejrzenia!

– Spokojnie – mówię, patrząc na niego niepewnie. – Nie mam pojęcia, kim on jest. Nie wiem nawet, jak się o tym dowiedział.

– Czyli nikt inny nie wie?

Byers wie, oczywiście. Ale właśnie w tej chwili po raz kolejny kłamię.

– Nikt nie wie – odpowiadam z kamienną pewnością, jakby dzisiejsze wydarzenia niczego mnie nie nauczyły o prawdomówności.

Whitman przeciera oczy. Znów milczy. Nie mogę znieść jego twarzy tak zgaszonej, tak pozbawionej energii. Podchodzę i klękam obok jego fotela. Niepewnie kładę mu dłoń na kolanie. Spodziewam się, że ją odtrąci – ale nie robi tego. Zostaję więc w tej pozycji.

– Whitman... nigdy bym tego nie ukrywała, gdybym wiedziała, że ktoś może zginąć. – Mrugam, by odpędzić łzy. – Myślałam, że to tylko ja jestem zagrożona. Tak bardzo żałuję. Przykro mi z powodu Parsonsa.

Kiwa głową. Twarz ma napiętą, mięśnie drgają.

– Nie ruszaj się – mówi nagle, wstając. – Zaraz wrócę.

Zostaję na podłodze przy kominku, plecami czując jego ciepło. Gapię się przed siebie, zmuszając się, by o niczym nie myśleć. Kiedy Whitman wraca z Byers, żadne z nich nie wygląda na szczególnie zadowolone. Bernadette siada na kanapie, tam gdzie sama byłam przed chwilą.

– Słyszałam o sprawie Parsonsa – mówi nerwowo, splatając palce. – To jakiś koszmar.

– Muszę ci coś powiedzieć – wcinam się, zanim zdąży dodać choćby słowo. Cała moja inscenizacja poszłaby na marne, gdyby wyprzedziła mnie o pół zdania. – To ja jestem wybranką króla Isaaca.

Byers wytrzeszcza oczy. Widać, że nie spodziewała się, że powiem to głośno.

– Ach tak – mówi powoli.

Patrzę na nią znacząco.

– Czy to w tej sprawie się spotykacie? – pyta, próbując złapać wątek.

– Panna Arnett ma nadzieję, że potrafiłabyś potwierdzić jej przepowiednię – mówi Whitman. Jego ton brzmi, jakby liczył, że Byers zaprzeczy.

Ta jednak wyraźnie się spina, jak żółw, który szykuje się do odwrotu.

– To zależy. Czy zamierzacie mnie zapytać, w jaki sposób ją potwierdziłam?

Nawet teraz stara się wypaść jak zwykła magini, bez nieziemskich mocy. Czy to mi pomoże, czy zaszkodzi? Jej magia jest silniejsza, niż ktokolwiek przypuszcza. A jednak mogłabym odnieść korzyść z poparcia kogoś, kto brzmi mniej niedorzecznie niż ja sama.

– To twoja sprawa – mówi Whitman. – I jeśli chcesz, może tak pozostać. Przynajmniej na razie.

Byers wypuszcza z siebie długi, napięty oddech i obdarza mnie niepewnym spojrzeniem.

– Ona nie kłamie. Panna Arnett rzeczywiście jest bratnią duszą króla Isaaca. Ale – jak już z pewnością wyjaśniła – to nie znaczy, że powinna zostać jego żoną. Wszystkie inne wróżby wskazują na Elsie Tanner.

– Więc jesteś jedną z nich, prawda? – mruczy Whitman i kręci głową w geście rezygnacji. – Jak Mona. Byłaś

w Przypływie.

– Jak… jak mogłeś…

Bernadette odwraca się gwałtownie w moją stronę. Podnoszę dłoń, jakby na znak kapitulacji. To nie ja ją wydałam – Whitman sam połączył fakty. Byers wzdycha ciężko.

– Jeśli ci to pomoże w zrozumieniu: tak. Jestem jak Mona. Ale rada nigdy nie uzna tego za dowód.

– Mnie to wystarcza – mówi Whitman cicho. Znów spuszcza głowę i przez chwilę myślę, że już jej nie podniesie. W końcu jednak wstaje. – Nie czekajmy dłużej. Zwołam radę. Im szybciej to zrobimy, tym bezpieczniej dla całego zamku.

20

Kiedy wszystko jest już gotowe, Whitman posyła po dodatkowych gwardzistów, by odprowadzili nas do sali rady. Parsons właśnie stracił życie, a jego morderców nadal nie znaleziono. Nikt nie chce ryzykować. Powinnam być może myśleć o maniaku czającym się w mroku – kimś, kto może w każdej chwili wyskoczyć zza rogu i dokończyć to, co zaczął – ale trudno mi o żywsze emocje. Strach, który odczuwam wobec zbliżającego się spotkania z radą, całkowicie przysłania wszystkie inne.

W sali obecni są wszyscy mistrzowie oraz król Isaac. Nie wiem, ile Whitman im powiedział, ale czuję, jak ich nieufny wzrok ciśnie się na mnie z każdej strony. Byers zajmuje miejsce obok mnie. Kątem oka widzę jej spiętą sylwetkę, jak zaciska dłonie, nie mogąc opanować nerwów. Wspiera mnie, ryzykując przy tym bardzo wiele. Zaczynam czuć do niej coś bliskiego sympatii.

Whitman pochyla się nad stołem. Jego wychudzona twarz jest zacięta i pozbawiona wyrazu.

– Proszę mówić, panno Arnett.

Zastanawiam się, jak to ująć. Co da mi największą wiarygodność? Co wzbudzi współczucie, a co sympatię? Ale to nie miejsce na sztuczki. Najlepiej będzie trzymać się prawdy.

– Kiedy po raz pierwszy zapytaliście mnie o pogróżki – zaczynam, licząc płytki na suficie – powiedziałam, że niczego nie ukrywam. To jednak nie była cała prawda.

Wszyscy czekają. Ciągnę dalej, powoli, z wysiłkiem cedząc każde słowo:

– Skłamałam na temat wróżby króla Isaaca.

Szmer przechodzi przez salę jak nagła fala. Mistrzowie wymieniają poruszone szepty. A przecież to dopiero początek.

– Nie chciałam tego. Ale… nie wiedziałam, co się wydarzy, jeśli powiem prawdę. – Biorę oddech i zamykam oczy. – Chodziło o mnie.

Zapada cisza. Absolutna.

Wreszcie odzywa się mistrzyni Lane:

– W czym chodziło o ciebie?

– Moja wróżba przepowiadała, że jestem bratnią duszą króla.

Salę ogarnia wymowne milczenie. Nie podnoszę wzroku. Nie mogę spojrzeć Isaacowi w oczy. Wtedy mistrzyni Renfield wstaje – aż kipi z wściekłości.

– Jak możesz się ogłaszać przyszłą królową i oczekiwać, że ci uwierzymy?

– Nie jestem przyszłą królową – mówię ostro. – Tą osobą jest Elsie Tanner. Mogę być bratnią duszą Jego Wysokości, ale to nie znaczy, że powinnam zasiąść na tronie.

– Panno Arnett, to, co pani przyznaje, to akt zdrady – rzuca mistrz Oversea głębokim, surowym i złowróżbnym tonem. – Kłamałaś wtedy albo kłamiesz teraz. Efekt jest ten sam.

Nie mówię, że podobna myśl nie nawiedziła mnie wcześniej. Ale tutaj, w błękitnej poświacie nexusa, pośród całej tej świętości i majestatu Opalvale, groźba konsekwencji brzmi o wiele realniej.

Zaraz mnie oskarżą o zdradę. I wtedy jedyną opcją będzie ucieczka – powrót do Przypływu i błaganie Tashy D'Milliar o azyl. Jeszcze wczoraj byłoby to coś, czego zawsze chciałam. Dziś, w obliczu ofiary Parsonsa, byłoby to zwykłe tchórzostwo. Winna jestem coś więcej. Chociażby próbę ujęcia jego mordercy.

Nagle odzywa się Whitman:

– Panna Arnett skłamała, bo nie miała innego wyjścia. A pannie Byers nie zadaliście żadnego pytania – dodaje spokojnie, choć z napięciem. – A to powinno się wydarzyć, jeśli zależy wam na prawdzie.

Wszystkie spojrzenia kierują się teraz na Byers. Widzę, jak się kurczy, przytłoczona ich ciężarem.

– Cóż, panno Byers? – pyta mistrz Penna. – Ma pani coś do dodania?

Bernadette nabiera powietrza i odpowiada na wydechu:

– Tak. Panna Arnett mówi prawdę. Udało mi się potwierdzić jej przepowiednię. Myślę, że kłamała na początku, bo… – wzrusza ramionami – …bo spodziewała się dokładnie takiej reakcji rady.

– To prawda, że taka wróżba nie zostałaby dobrze przyjęta podczas konkursu – przyznaje łagodnie mistrz Gan. – Kto słyszał, żeby wróżbitka wskazała… samą siebie?

Powstrzymuję się przed okazaniem zaskoczenia. Myślałam, że jedynym, który stanie za mną murem, będzie Whitman. Trudno liczyć na podobne sygnały łaskawości ze strony reszty rady. Milcząc, posyłam Ganowi niemą wdzięczność.

– Co więc panią skłoniło do wyznania prawdy właśnie teraz? – pyta mistrz Soph.

Oversea sugeruje:

– Morderstwo młodego Parsonsa?

Potakuję, patrząc w podłogę.

Wiedzą, że oczekuje się ode mnie skruchy. Ale boję się, że kiedy spojrzą mi w oczy, nie znajdą tego, czego szukają.

– Nigdy nie chciałam nikomu zaszkodzić. Myślałam, że tylko ja jestem zagrożona.

– Jak więc proponujesz teraz zaradzić temu zagrożeniu?

– Upewnić się, że zabójca wie, iż zdradziłam sekret. Przecież sami to napisali – wtedy przestaną.

Oversea przygląda się uważnie mojej twarzy.

– To z pewnością nie jest rozwiązanie, którego się spodziewaliśmy. Panna Arnett będzie musiała ponieść odpowiedzialność. Ale nie możemy ryzykować podważenia autorytetu konkursu. Ujawnienie, że jeden z wróżbitów kłamał, byłoby zbyt niebezpieczne. Znajdziemy inny sposób, by schwytać mordercę Parsonsa. A to, co zostało dziś powiedziane, nie powinno nigdy opuścić tej sali.

– Co takiego? – mówię, zaciskając pięści tak mocno, że czuję, jak paznokcie wbijają mi się w skórę. – Jeśli ten

człowiek się nie dowie, że zaczęłam mówić, zabije kolejną osobę!

– Przykro mi, panno Arnett. Ryzyko jest zbyt wielkie.

– Może właśnie o to im chodziło – mruczy Renfield, przeczesując palcami krótkie włosy. Teraz wygląda raczej na przytłoczoną niż wściekłą. – Ujawnienie tajemnicy mogłoby tak bardzo naruszyć procedury, że trzeba by zakończyć konkurs. Na zawsze.

– A może przeciwnie – wtrąca Gan. – To by tylko zwiększyło jego popularność. Ludzie uwielbiają dramaty.

W sali rozlega się coraz więcej głosów – mistrzowie zaczynają się przekomarzać, debatować, unosić głosy.

– Ogłosić to publicznie? To z nas zrobi cyrk!

– Może trzeba zakończyć ten konkurs. Już teraz nosi w sobie rysę.

– A co z Szarą Mszą? – Przez chaos przebija się głos króla Isaaca. – Czy możemy obchodzić święto, gdy morderca wciąż jest na wolności?

W końcu mówi spokojnie:

– Proszę was... Chciałbym porozmawiać z panną Arnett na osobności.

Mistrzowie nagle patrzą na króla, jakby wcześniej zapomnieli, że w ogóle tam jest. Ja próbowałam o nim zapomnieć celowo. Ale oni? Przecież to o jego los tu chodzi, a jego zdanie zdaje się nikogo nie obchodzić.

Stoję ze spuszczoną głową, dłonie chowam za plecami, gdy rada i gwardziści opuszczają salę. Gdy zostajemy sami, Isaac odzywa się łagodnie:

– Usiądź, proszę.

Wybieram pusty fotel i siadam naprzeciwko niego. Jego twarz... jest trudna do odczytania. Zły, zraniony, zdezorientowany – może wszystko naraz. Cisza się przeciąga. W końcu odzywam się pierwsza.

– Czy Wasza Wysokość mi wierzy?

W napięciu czekam na odpowiedź, ale on patrzy w bok, jakby mnie nie dosłyszał. Mój dystans i ostrożność rosną z każdą chwilą ciszy.

– Nigdy nie oczekiwałem, że ożenię się z miłości – stwierdza Isaac, a jego głos brzmi tak samo ciepło i zapraszająco jak zawsze. Może da się w nim wyczuć tylko trochę zmęczenia. – Jeszcze zanim przypadła mi korona, wiedziałem, że zostanę wyswatany przez Krąg z najbardziej odpowiednią kandydatką. Jakąś kobietą ważną przez sam życiorys, którą spotkam zaledwie kilka razy przed ślubem. Dlatego kiedy Delmar zaproponował, by skorzystać z usług wróżbitki od bratnich dusz, poczułem, że może mam szansę. Że może jednak czeka mnie jakieś szczęście.

Jego wzrok spotyka się z moim i teraz wyraźnie widzę w nim poczucie skrzywdzenia.

– Tego, czego się nie spodziewałem, to fakt, że moja bratnia dusza prędzej zechce popełnić krzywoprzysięstwo niż być ze mną.

Krew zastyga mi w żyłach. Bogowie z głębin – nigdy nie chciałam, by Isaac się dowiedział...

– Wasza Wysokość...

– Mów mi Isaac. W końcu jesteśmy bratnimi duszami, prawda?

To brzmi jak nagana i wytrąca mnie z równowagi.

– Isaacu, nie odbieraj tego osobiście. Nie rozumiesz, przez co wtedy przechodziłam.

– To mi powiedz.

Wspaniale. W pewnym sensie to nawet gorsze niż przyznanie, że jestem jego wybranką. Wzdycham i staram się dobrać słowa ostrożnie – ujawnić tyle, ile trzeba, nie więcej.

– Nie potrafię funkcjonować tak jak inni. Każdy dzień tutaj... to jakby ktoś stał obok i bez przerwy wykrzykiwał, jak bardzo jestem samolubna, bezwartościowa, żałosna – i nie przestanie, dopóki nie wrócę do domu. Pobyt na zamku mnie niszczy. Pewnie brzmi to dla ciebie głupio, ale taka już jestem.

Śmieję się cicho, bezradnie.

– Rozumiesz teraz? Nigdy nie mogłabym zostać królową. Jak poradziłabym sobie z odpowiedzialnością, kiedy ciebie zabraknie? Rządzenie królestwem? Przecież już pierwszego dnia wybuchłaby wojna domowa.

Isaac zasłania usta, tłumiąc śmiech. Po chwili jego ramiona się trzęsą, a gdy w końcu zabiera dłoń, uśmiecha się szeroko – jakby to był żart.

– Przepraszam – mówi, a uśmiech znika. – Nie śmieję się z ciebie. Po prostu... właśnie opisałaś dokładnie to, co czułem, gdy dowiedziałem się, że zostanę królem.

Zaskoczona, unoszę brwi.

– Naprawdę?

– To mnie przerażało. Moja siostra od tygodni była poważnie chora. Wiedziałem, co może się wydarzyć – i bałem się jak nigdy. A potem czułem się jak skończony egoista, bo nie wiedziałem, czy chcę, żeby żyła, dlatego że ją kocham, czy dlatego, że nie wyobrażam sobie siebie jako króla.

Wpatruję się w blat stołu. Może jednak mamy z Isaakiem więcej wspólnego, niż mi się wydawało. To wciąż nie zmienia mojego zdania na temat małżeństwa czy korony, ale może właśnie dlatego możemy być bratnimi duszami mimo pozornej niekompatybilności.

– Muszę zapytać – mówi Isaac. Teraz to on unika mojego wzroku. – Czy ja również jestem twoją bratnią duszą?

Gładzę opuszkami brzeg stołu, zamyślona.

– Nie wiem. Nigdy nie robiłam wróżby dla siebie.

– Dlaczego?

– Bo to bez znaczenia.

Przez większość życia zakładałam, że nie mam bratniej duszy. Że nie zasługuję. A nawet jeśli Isaac byłby tą osobą – to i tak nic nie zmieni. On i tak odejdzie. A ja nie mam w sobie dość siły, by znów kogoś stracić.

Zatapiamy się w milczeniu. W końcu pytam:

– Co teraz?

Isaac wzdycha i pociera dłonią zarośniętą żuchwę.

– Czekamy na decyzję rady. A za tydzień idziemy razem na bal Szarej Mszy, udając, że wszystko jest w porządku.

– Dobrze – mówię, poprawiając włosy w kucyku. – Mogę wrócić do pokoju czy jestem aresztowana za zdradę?

– Nie słuchaj mistrzów. Za kilka dni się uspokoją. Możesz iść.

Skłaniam głowę, wdzięczna za jego słowa, i wstaję.

– Naprawdę mi przykro, Isaacu.

– Wiem – odpowiada cicho, z nikłym uśmiechem. – Żadne z nas tego nie planowało.

Gdy wychodzę, w ciemnym korytarzu natykam się niespodziewanie na mistrzynię Renfield. Whitmana ani Byers nigdzie nie ma.

– Mogę w czymś pomóc? – pytam ostrożnie.

Renfield skinieniem głowy daje znać, że to ona chce mówić. Ubrana jest w służbowy strój mistrzyni. Dopiero z bliska dostrzegam zmarszczki wokół jej oczu i ust – ślady wieku i doświadczenia.

– Chciałabym porozmawiać o wypadku – oznajmia. – Zakładam, że zależy pani na odnalezieniu mordercy tamtego młodego człowieka.

Z trudem przełykam ślinę.

– Oczywiście.

– Może więc pani pomoc okaże się przydatna.

Patrzę na nią zaskoczona. Nie spodziewałam się, że mistrzowie poproszą mnie o cokolwiek poza trzymaniem się z daleka.

– Myślałam, że śledztwo prowadzi mistrz Oversea – odpowiadam z ostrożnością, starając się odczytać, o jaką „pomoc” może chodzić. Czy w grę wchodzi hańba? Wygnanie? Obowiązkowe uczestnictwo w dalszych posiedzeniach rady?

– Tak, ale mistrz sprawiedliwości jest przeciążony. Zajmuje się głównie przygotowaniem zabezpieczeń balu. Poprosił więc moich agentów o wsparcie.

Lustruję Renfield wzrokiem, starając się odczytać jej intencje. Jako mistrzyni wywiadu ma przecież dostęp do całej sieci szpiegów. Może to dobry ruch w pogoni za niewidzialną sektą. A może nie.

– Czy mistrz Whitman nie powinien być obecny przy tej rozmowie?

– Myślę, że lepiej będzie bez niego...

Kiedy marszczę brwi z powątpiewaniem, dodaje:

– Wiem, że mu pani ufa, panno Arnett, ale szczerze mówiąc, wątpię, by mistrz Whitman zgodził się na taki plan. To nie jest plan wolny od ryzyka. Wierzę jednak, że dla pani może być korzystny.

Postanawiam dać jej szansę, by mnie przekonała.

– Czego więc ode mnie chcecie?

– Tylko otwartości. Proszę zachować czujność. Zwracać uwagę na nietypowe zachowania. Zadawać pytania tym, którzy mogliby czerpać korzyści z pani cierpienia. A potem przekazywać mi wszystko, co pani zauważy. Jeśli się uda – może pani nawet lepiej zrozumieć tok myślenia zabójcy.

– W jaki sposób?

– Jest pani bystra. I już teraz powiązana z dochodzeniem. Jeśli przyjdą pani do głowy jakieś podejrzenia co do motywów lub metod działania, proszę się nimi ze mną podzielić.

Brzmi nieszkodliwie – co natychmiast budzi moją podejrzliwość.

– A gdzie jest haczyk?

– Oczywiście, zawsze istnieje ryzyko, gdy ofiara szuka napastnika sama. Ale w tym przypadku wydaje się ono minimalne. Nie proszę o nic drastycznego. Zapewnię pani ochronę: agentów, wzmocnienie straży Oversea. A jeśli pani się zgodzi, przewiduję również nagrodę.

Renfield unosi brwi i marszczy je równocześnie – jakby chciała się uśmiechnąć, ale jej twarz odmówiła współpracy.

– Jaka nagroda wydawałaby się słuszna?

Czuję się, jakby próbowała wciągnąć mnie w pułapkę. Zamiast odpowiedzieć, pytam:

– Dlaczego moja pomoc jest tak pilnie potrzebna?

Twarz Renfield na moment całkowicie pustoszeje – po czym znów marszczy się niepokojąco.

– Pani... wyjątkowe położenie może zapewnić dostęp do informacji, których w inny sposób nie zdobędziemy.

Mrużę oczy, próbując przejrzeć jej intencje. Renfield patrzy gdzieś w bok. Trwa to moment, ale chyba ją mam – błysk zawstydzenia. Może nawet strachu. Tak, teraz widzę. To akt desperacji.

– Śmierć Parsonsa nie wystawia radzie najlepszego świadectwa, prawda?

Morderstwo w samym zamku, tuż pod ich nosem? Bez jakichkolwiek śladów? Potrzebują pomocy, skądkolwiek mogą ją dostać.

Renfield porusza żuchwą, choć poza tym jej twarz jest jak wyciosana z kamienia.

– To wyjątkowa zbrodnia. Musimy wykazać się kreatywnością w naszej strategii.

A więc ich plan to rzucać śledcze haczyki i zobaczyć, który z nich złapie.

W jednej kwestii ma rację – Whitman nigdy by tego nie zatwierdził. Nalegałby, bym nie wychylała się, dopóki zabójca nie zostanie złapany. Ale Renfield wcale nie prosi o wiele. Wątpię, by spełnianie jej prośby bardziej mnie narażało niż to, czego już doświadczyłam. A jeśli można coś w tym wszystkim zyskać… cóż, może to szansa, by choć częściowo spłacić dług.

– Dobrze. Będę współpracować. – Patrzę na Renfield z ręką opartą na biodrze. – W zamian oczekuję ochrony dla mistrza Whitmana. Proszę dopilnować, żeby jego pozycja w radzie była bezpieczna, za panowania Isaaca i później. Nie obchodzi mnie, jak przekonacie pozostałych mistrzów. Koniec sporów. Jeśli warunki nie zostaną spełnione, to… – szukam odpowiedniego ostrzeżenia – …to zrobię wszystko, by ośmieszyć monarchię. Bez względu na to, jak absurdalne plotki trzeba będzie rozpuścić.

Renfield mruży oczy, zaskoczona moim żądaniem.

– Doskonale. Tylko że ja nie mam żadnych sporów z mistrzem Whitmanem. Wręcz przeciwnie. Uwielbiałam Delmara, gdy był dzieckiem. Jego matka i ja byłyśmy razem przez dwanaście lat.

Przecieram oczy ze zdumienia. Nie miałam pojęcia, że Renfield i Whitman mają taką historię.

– Twoje osobiste uczucia wobec Whitmana to nie moja sprawa – odpowiadam chłodno. Trudno zdobyć się na

odwagę, by stawiać warunki członkowi rady. – Po prostu bądź od teraz jego sojuszniczką. Jeśli się na to zgodzisz – wchodzę w ten układ.

Potakuje głową, trzymając kciuki za paskiem.

– Oczekuję w takim razie codziennych raportów, do odwołania. Powiedzmy – o ósmej rano? Stała godzina?

Odpowiadam grymasem niechęci.

– Może spotykajmy się u mnie? W końcu to ja robię przysługę.

– Jeśli nalegasz. Ale i tak będziesz musiała spędzać czas poza swoimi apartamentami, jeśli to dochodzenie ma mieć sens.

Czuję, jak czerwienieją mi policzki. Przejrzała mnie doskonale. Renfield wyciąga rękę. Zaskoczona, odwzajemniam uścisk. Traktuje mnie jak równą sobie. Może mam więcej przyjaciół w radzie, niż sądziłam.

21

Obchody święta Szarej Mszy rozpoczynają się na dziedzińcu. Wysokie majowe słupy, wielkie beczki pitnego miodu nasyconego krwawnikiem i lawendą, skrzypce i harfy, tańce na błotnistej trawie. Obserwuję to wszystko z okna swoich komnat.

Wieczorem dwór królewski organizuje wspaniały bal ku czci Semyanadda, wilczego boga ziemi. Wolałabym nie iść. To zbyt wcześnie po śmierci Parsonsa. Ale obiecałam Renfield, że będę na bieżąco z podejrzanymi sprawami – co, jak sama zauważyła, trudno zrobić z wygodnej leżanki.

Nasze poranne briefingi na razie niewiele wnoszą. Głównie to ona mnie przepytuje – jakby sprawdzała, czy odrobiłam pracę domową. Przemyślałam zbrodnię Parsonsa. Kilka razy przeanalizowałam listy zostawione przez zabójcę. Wykonałam też wróżbę na podstawie jednego z nich – tej z notatki przy ciele Parsonsa. Jedyną wskazówką była ledwie wyczuwalna aura winy. Czy to możliwe, że morderca odczuwał wyrzuty sumienia?

Z pomocą Elizabety wcisnęłam się w pastelowoniebieską suknię w kropki z haftowanymi piwoniami, włożyłam chustkę do kieszeni i rękawiczki z jagnięcej skóry, by zakryć bandażowaną rękę. Jeszcze tylko dwa kieliszki whisky i mogę wychodzić.

Główna sala została przekształcona w celebrację wiosny. Przy wejściu łuk spleciony z hiacyntów i żonkili. Paziowie rozdają tokeny modlitewne i podają kielichy z morską wodą. Wewnątrz drobinki światła unoszą się jak świetliki. Wianuszki z bluszczu, wilcze skóry i – w kilku miejscach – głowy wilków. Cztery długie stoły uginają się od ciast, pieczonych bażantów i rozkwitłych karczochów, z krokusami skrytymi w ich liściach. Semyanadd to bóg centralny w panteonie – Szara Msza, jego pierwsze święto, zawsze musi być wystawna.

Marszczę brwi na widok obfitości. Drapię się po ramieniu, czując dyskomfort. Tamta kobieta błagała Isaaca o pomoc, opowiadając, że jej wioska umiera z głodu – a tu, w sali, królewskie spiżarnie wystawiły zbytkowną ucztę.

Król Isaac zajmuje swoje miejsce na podwyższeniu, otoczony przez gwardzistów i dworzan. Elsie Tanner krąży gdzieś w tłumie. Ja skupiam się na własnym pulsie – czuję go w gardle, gdy przechodzę przez salę.

Czy jest mi teraz łatwiej być poza własnymi pokojami? Nie wiem. Zbyt wiele zmiennych – emocjonalnych, fizycznych. Przynajmniej nie sądzę, żebym miała zwymiotować. I nie muszę się martwić o ochronę. W sali roi się od gwardzistów Oversea, więc nie potrzebuję już mojej osobistej eskorty. Tu nie mogłabym zostać zamordowana, nawet gdybym tego chciała.

Zauważam Bernadette Byers, stojącą przy trzymetrowej kukle Semyanadda zrobionej z liści kukurydzy. Przedstawia wilka stającego dęba. Gdy się zbliżam, wbija we mnie wzrok.

– Dobry wieczór – mówię, udając radosną lekkość. – Jak się bawisz na tych szalenie nieodpowiedzialnych uroczystościach?

Oficjalnie nie ogłoszono śmierci Parsonsa, ale i tak to wszystko wydaje się niewłaściwe.

Jej warga drży lekko, jakby miała się uśmiechnąć.

– Mam złe wieści. I lepiej, jeśli powiem ci je od razu.

– Co tym razem? – pytam sfrustrowana.

– Był przeciek. Krąży wieść, że jesteś prawdziwą bratnią duszą króla Isaaca.

– Co? – Ręka bezwiednie wędruje mi do ust. Myślę o tym i zaraz się uśmiecham. – To wcale nie jest złe! Mój sekciarz dowie się, że powiedziałam prawdę. – Spoglądam przez ramię na wirujący tłum. – Szczerze mówiąc, myślałam, że będę musiała znieść tysiąc pytań, gdy wieść się rozniesie.

Wyobrażam sobie hordy dworzan, otaczających mnie i zadających dociekliwe pytania. Zwykle lubię mieć publiczność, ale tym razem tylko by to dolało oliwy do ognia.

– Arnett – mówi Byers, jakbym przeoczyła coś oczywistego. Gdy wpatruję się w nią zaskoczona, wzdycha i odgarnia za ucho jeden z warkoczyków. – Nikt tak naprawdę nie wierzy, że jesteś bratnią duszą króla. Czego się spodziewałaś po tym posiedzeniu rady? Widziałaś, jak zareagowali mistrzowie.

N i k t? To chyba przesada. Ponownie rozglądam się po sali, tym razem dokładniej, szukając wzroku innych. Po raz pierwszy zauważam, że ludzie albo mi się przyglądają, albo

wyraźnie mnie unikają. Szepczą w grupkach, sądząc, że nie patrzę.

– Dlaczego to takie niewyobrażalne, że ktoś mógłby mnie pokochać? – mówię cicho, sfrustrowanym szeptem. – Czy coś mi umyka? Mam kły?

– Nie mówimy o „kimś”. Chodzi o króla Opalvale.

– Elsie Tanner też jest osobą z gminu, a nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi.

Byers przechyla głowę, jakby próbowała znaleźć odpowiedź gdzieś na suficie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Arnett. Nie jesteś Elsie Tanner. Odmawiałaś wyjścia z domu przez dziesięć lat i nikt nie wie dlaczego. Nie jesteś zbyt miła dla ludzi. Praktykujesz wątpliwą magię, której nie da się zweryfikować, a teraz właśnie ogłosiłaś się prawdziwą miłością króla Isaaca. Nie uważasz, że to wystarczające powody?

– Jestem całkiem miła – mamroczę, krzyżując ramiona.

– Chcę tylko powiedzieć, żebyś sobie tym zbytnio nie zaprzątała głowy. Ludzie nie lubią rzeczy, których nie mogą wsadzić do wygodnej szufladki. To nie twoja wina.

Czy ona mnie broni? Uśmiecham się krzywo.

– Chyba nie.

– A teraz, jeśli pozwolisz – mówi Byers, przechylając głowę – jest już moja towarzyszka.

Spoglądam w bok. Elizabeta, służąca, ubrana jest dziś wieczorem wyjątkowo – zamiast codziennego kostiumu z fartuchem ma na sobie suknię w kolorze płatków róż,

z wieloma ozdobnymi warstwami. Podnoszę rękę, by zwrócić jej uwagę, a ona odwzajemnia gest.

Gwiżdżę cicho.

– Ty i Elizabeta? Nic dziwnego, że zawsze tak długo stroisz się na konferencje.

– Och, zamknij się – mówi bez złości, gdy się oddalają.

Zamiast stać sama, ruszam po kolejnego drinka. Goście zachowują się, jakby chcieli mi zejść z drogi. Krzywię się i postanawiam to zignorować. Stół z winami i ponczem jest częściowo przysłonięty rzędem składanych papierowych ekranów, ozdobionych malunkami wiosennych kwiatów i czających się wilków.

Nie dostrzegam nic podejrzanego – chyba mogę uznać, że moja dzisiejsza praca jest zakończona.

Właśnie napełniłam kieliszek i usuwam się w cień, gdy zderzam się z czyimś ramieniem. Elsie Tanner kołysze się niepewnie, w lawendowej sukni z lekkiego tiulu. Pod okrągłymi okularami, powyżej kości policzkowej, wciąż widać namalowany ten sam symbol – brązowy sześciokąt.

– Panno Arnett – mówi, wyciągając ręce, by mnie podtrzymać. – Bardzo przepraszam. Nie chciałam pani przewrócić. Przyszłam tylko się przywitać.

– Ach tak? – Nie spodziewałam się tego. Zakładając, że słyszała plotki o mnie jako bratniej duszy Isaaca, powinna mnie przecież nienawidzić. Niezależnie od tego, czy wierzy, że mówię prawdę, czy wszystko zmyśliłam – nie robię jej żadnej przysługi. Postanawiam powiedzieć to wprost. – Przyszłaś mnie wyzwać na pojedynek o rękę króla Isaaca?

Wygląda na przerażoną.

– Och, nie, nie – zobaczyłam, że jesteś sama i poczułam się źle z tym, że wszyscy tu... – Jej oczy się rozszerzają. – Nie chodzi o to, że rozmawiam z tobą, bo ci współczuję. Naprawdę lubię twoje towarzystwo.

Jeśli to prowokacja, to dość nieporadna. Ale chyba nie próbuje mnie drażnić. Może naprawdę mówi szczerze. Podczas gdy inni goście mnie unikają i oceniają z dystansu, Elsie była jedyną, która się przejęła moją samotnością.

Zamykam oczy i upominam samą siebie. Nie wszyscy próbują uczynić życie innych nieszczęśliwym. Elsie po prostu chciała być miła – i wcale nie wydaje się, by było to dla niej trudne.

– Przepraszam – mówię z lekkim uśmiechem. – To było niegrzeczne. Chodziło mi o to, że na twoim miejscu miałabym mnóstwo pytań do Mony Arnett.

– Jakich? – Mruga naiwnie oczami.

– Na przykład czy naprawdę jestem bratnią duszą króla Isaaca.

– Chyba nie chcę wiedzieć – mówi, śmiejąc się cicho, niemal bezgłośnie.

Czuję ukłucie winy. Oczywiście, nie chce słuchać, jak sobie drwię z całej sytuacji.

– Cóż, w takim razie nic ci nie powiem.

Elsie uśmiecha się.

– Może porozmawiajmy o czymś innym?

– Fantastyczny pomysł – mówię i podskakuję lekko na palcach, szykując się na kolejny popis arogancji. – Mogę cię

o coś zapytać? Dlaczego nie chcesz wyjść za tego mężczyznę, którego wybrali dla ciebie twoi rodzice?

– Och... za lorda Severina...? – Jej spojrzenie staje się mętne. – To kontrakt pokoleniowy. Jego prapradziadek pożyczył mojemu kapitał na otwarcie trasy żeglugowej, a pożyczka miała być spłacona przez kolejne pokolenia, wraz z odsetkami. Ja jestem częścią tych odsetek.

Słyszałam o takich małżeństwach – klauzule w kontraktach, które obiecują czyjąś rękę jako formę zabezpieczenia. Gdy warunki są odpowiednie, wierzyciel może sięgnąć po to, co mu przysługuje.

Rodzina Elsie zgromadziła majątek. A ona jest piękna.

Zgrzytam zębami.

– To barbarzyństwo. Bogowie źle patrzą na takie układy.

– Gildia Skrybów by się z tym nie zgodziła – mówi z melancholijnym uśmiechem. – Wiesz, byłam szkolona na położną. I właśnie wtedy on powołał się na kontrakt.

– Naprawdę? Jak długo się uczyłaś?

– Przez kilka miesięcy. – Wskazuje na sześciokąt przy oku. – Widzisz to? To znak Diené dla uzdrowicieli. Moja matka nauczyła mnie go rysować. W Ahn Dien to szanowana umiejętność – znajomość ludzkiego ciała.

– Może pewnego dnia dokończysz szkolenie?

– Może. – Odlatuje wzrokiem gdzieś daleko, a jej szyja napina się lekko. – Moja przyszłość jest teraz w zawieszeniu, prawda?

– Skoro już o tym mówimy – jak ci się podoba król Isaac?

Jej policzki różowieją subtelnie, cieplejszym tonem pod ich zwykłą jasnobrązową barwą.

– Zadaje wiele pytań. Interesuje się moim szkoleniem na położną. Zawsze mi się wydaje, że muszę go nudzić, ale on wciąż pyta. Spędza dużo czasu wśród lekarzy, przez swoją chorobę...

To może być ledwo zauważalne, ale jej wyraz twarzy się zmienia – cień smutku osiada w oczach.

– Myślę, że medycyna naprawdę go interesuje.

– Jesteś pewna, że to nie wymówka, żeby z tobą rozmawiać?

Uśmiecha się skromnie.

– To też możliwe.

Elsie spogląda w stronę monarszej platformy, gdzie król rozmawia z kręgiem pochlebców, opierając się na lasce. Patrzy w jego stronę, jakby wyczuwała na sobie jego wzrok. Jej uśmiech jaśnieje. Nieśmiało macha do niego, a on odmachuje w odpowiedzi, ignorując rozmowę, której jest właśnie centrum. Gdy dostrzega mnie, jego uśmiech znika błyskawicznie, ustępując miejsca panice. Odwraca się z powrotem do dworzan.

Spojrzenie Elsie nie opuszcza króla.

– Muszę wrócić do Jego Wysokości.

– Oczywiście. – Uśmiecham się i skłaniam lekko głowę. – Dziękuję, że nie traktujesz mnie jak trędowatej.

Elsie żegna się ze mną radosnym uściskiem, a ja staram się wtopić w tłum. Byers zniknęła gdzieś bez śladu. Dworzanie i dygnitarze jedli, pili i bawili się przez kilka godzin, a teraz

efekty są już wyraźnie widoczne. Pijane śmiechy i okrzyki rozbrzmiewają z różnych stron, ale żaden nie jest skierowany w moją. Może już zapomnieli, że powinni mnie unikać – albo alkohol zrobił swoje. A może to zasługa Elsie, która przełamała lody.

Omijam niespodziewaną postać przy fontannie – to czcigodny Delfin, dygnitarz z Kręgu, który tak ostro zganił Isaaca podczas narady. To podejrzana figura, nie mam co do tego wątpliwości. Ale nigdy mnie nie spotkał, więc nie może mieć nic do mnie. Jego niechęć zdaje się dotyczyć tylko króla.

– Mono! – krzyczy mi ktoś wprost do ucha.

Podskakuję. To Whitman, z zaciśniętą z frustracji szczęką. Mina mi rzednie, choć serce cieszy się na jego widok. Co znowu zrobiłam?

– Szukałem cię – mówi i przechyla głowę w stronę jednej ze ścian. – Musimy porozmawiać.

Odchodzimy od tłumu gości, kierując się w mniej zatłoczony kąt sali.

Przez chwilę Whitman milczy, a ja przestępuję z nogi na nogę. Chrząka, a potem sięga do kieszeni i dziwnie formalnym gestem wręcza mi małe aksamitne pudełko.

– Mam coś dla ciebie.

Waham się, czekając na wyjaśnienie, ale ciekawość bierze górę – otwieram opakowanie. W środku para jedwabnych rękawiczek, kremowych, delikatnych.

Podnoszę wzrok z uniesionymi brwiami.

– Są na zamówienie – mówi. – Lewa nie ma małego palca.

Śmieję się i dokładnie je oglądam. Rzeczywiście, miejsce na mały palec w lewej rękawiczce zostało zaszyte. Zdejmuję stare i zakładam nowe – są wygodne, idealne. Miękka tkanina otula dłoń bez zbędnego materiału.

– Są wspaniałe – mówię, patrząc mu w oczy. – Co zrobiłam, że na nie zasłużyłam?

Zmienia pozycję, drapiąc się po karku.

– Nic szczególnego. Prawdę mówiąc, zamówiłem je ponad tydzień temu – mówi z wyraźnym zawahaniem.

Zanim jeszcze wiedział, że jestem bratnią duszą Isaaca. Ta świadomość jest słodko-gorzka. Czy planował, by ten prezent znaczył więcej?

– Nie jestem pewien, czy to teraz odpowiednie. Ale mogłem… – oddycha głęboko – być może źle cię oceniłem, Mono. I przepraszam za to.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Myślę, że nie byłam najłatwiejszą osobą do polubienia, gdy się poznaliśmy.

– Tak, masz rację. Nie za bardzo cię wtedy lubiłem – prycha. Potem odwraca się w stronę tłumu. – Ale teraz bardziej mi się podobasz.

Coś lekkiego i ciepłego rozwija się we mnie jak jedwabna wstążka. To uczucie mnie przytłacza. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

– Mistrzu Whitman! – woła ktoś tuż obok. W głosie słychać wyczerpanie i napięcie.

Zamkowy gwardzista podbiega i łapie oddech, mijając mnie i pochylając się do ucha Whitmana.

– Jesteś potrzebny w sali obrad – szepcze, chyba głośniej, niż zamierzał. – Musisz coś zobaczyć.

Whitman nie okazuje zaniepokojenia, tylko kiwa mi głową i odchodzi.

Co to miało znaczyć?

Zaczynam rozglądać się po tłumie, szukając Renfield. Czy to rodzaj sytuacji, którą powinnam jej natychmiast zgłosić? Przeszukując salę, dostrzegam strażnika przykucniętego obok tronu Isaaca. Szepcze coś królowi do ucha. Isaac kiwa głową, wstaje z laską i rusza za nim. Przyjęcie trwa, jakby nic się nie działo.

– Arnett!

Odwracam się. Byers podbiega do mnie, zdyszana.

– Gwardzista wezwał mistrzynię Lane – mówi. – Wygląda na to, że także króla.

– I Whitmana – dodaję. Kto wie, może i Renfield, choć nie mogę jej nigdzie znaleźć. – Wezwali go do sali obrad. Strażnik powiedział, że musi coś zobaczyć.

– Co?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Byers patrzy na mnie uważnie.

– Ale zamierzamy się dowiedzieć, prawda?

Po chwili zawahania przytakuję.

Wymykamy się z sali i ruszamy krętą drogą w górę, w stronę sali obrad. Magiczne światła z czarodrzewu bledną z każdym krokiem. Gdy docieramy do przedsionka, ogarnia nas niemal ciemność. Spod drzwi sączy się eteryczny, niebieski blask.

Strażnik przy wejściu podnosi rękę.

– Zakaz wstępu. Proszę wrócić na przyjęcie.

– Co się tam dzieje? – pytam.

Nie odpowiada. Ale w tej samej chwili mistrzyni Renfield nadchodzi po schodach i mija nas bez słowa, otwierając drzwi. Z pokoju wylewa się światło; nexus świeci jasno jak słońce.

Wokół stołu rady siedzi siedmioro mężczyzn i kobiet na wysokich, marmurowych tronach. Mężczyźni w czerwonych frakach z czarnym aksamitem, kobiety w czerwonych taftowych sukniach i czarnych koronkowych rękawiczkach.

Serce mi na moment zamiera. Gdy drzwi się zamykają, z wnętrza dobiega głos.

– Kto to jest na korytarzu? – mówi ktoś spokojnym, głębokim tonem jak wygładzona tafla drewna.

Drzwi zamykają się z kliknięciem, światło gaśnie. Stoimy z Byers w bezruchu, niezdolne nawet spojrzeć na siebie. Czekamy.

Drzwi otwierają się ponownie. Dwaj strażnicy przytrzymują je z zewnątrz.

Słyszę głos mistrza Oversea:

– Królewskie maginie. To nie ich sprawa. Mistrzu Whitman, czy pan...

– Nic nikomu nie powiedziałem – odpowiada Whitman, głosem, który drży.

– Zaproście je do środka – mówi inny głos, pewny i stanowczy.

Z całych sił próbuję poruszyć nogami i wejść. Byers ledwie za mną nadąża, jej oddech szarpany i ciężki.

Zatrzymujemy się przed stołem.

Mężczyzna po drugiej stronie przyciąga moją uwagę. Przystojny, z wyraźnie zarysowaną szczęką, alabastrową cerą i kruczoczarnymi włosami zaczesanymi na bok. Jego oczy podkreślają runiczne wzory narysowane czarną kredką.

Nikt nie musi mi mówić, kim jest.

Irinorr opiera łokcie na stole.

– Wygląda na to, że wszyscy zostaliśmy dzisiaj zaskoczeni – mówi cicho.

Drzwi zamykają się za nami z głuchym trzaskiem.

CZĘŚĆ IV
BOGOWIE

22

Semyanadd, wilczy bóg ziemi.
Onyamarr, wielorybia bogini morza.
Irinorr, kruczy bóg miłości.
Korimarr, żółwia bogini wiedzy.
Wayvadd, koci bóg ego.
Verimall, dzik, bogini przemocy.
Eledorr, ćma, bogini śmierci.

Oto siedmioro bogów Przypływu.

23

I wszyscy wpatrują się prosto we mnie.

Przez całą wieczność nikt nie odzywa się ani słowem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz milczałam tak długo.

Nikogo zatem nie dziwi, że to ja przerywam ciszę.

– Gdzie byłeś, Iri? – mówię cicho, drżącym głosem. – Szukałam cię.

Irinorr się uśmiecha. To dziwne widzieć, jak jego prawdziwą naturę spowija śmiertelna postać. Nosi to swoje fałszywe człowieczeństwo jak źle skrojony smoking.

– Byliśmy w fortecy, wykonując rytuał, który przywiódł nas tutaj. To żmudny proces.

– Jak to się stało – pyta bogini obok niego – że znalazłyście się obie na zamku?

Poświęcam chwilę, by przyjrzeć się jej i pozostałym Siedmiorgu. Trony bogów rozmieszczono pomiędzy krzesłami mistrzów – które, jak zauważam, ci wolą omijać, pozostając przy ścianach. Isaac również stoi z boku, z desperackim, udręczonym wyrazem twarzy, jakby był banitą, którego właśnie osaczono. Misy ofiarne, które wcześniej oddzielały miejsca przy stole, przekształcono w rzeźbione marmurowe siedziska pokryte runami.

Bogini, która się odezwała, ma brązową skórę i włosy związane w surowy kok. Jej twarz znaczy wzór run – sztywnych, precyzyjnych, złożonych. Nie jestem w stanie ich odczytać. Po jej lewej stronie siedzi Irinorr, po prawej kobieta o opalonej cerze i kręconych rudych włosach. To musi być Verimall, bogini przemocy.

A więc ta pierwsza to...

– Korimarr – wydusza Byers. Wygląda, jakby miała zaraz zemdleć. – Ja... ja po prostu...

– Byers i ja dołączyłyśmy do Kompanii mniej więcej w tym samym czasie – mówię szybko, modląc się, by nikt nie zaczął zadawać trudnych pytań. Ale do kogo się modlić, jeśli kłamiesz bogom? – Szukałyśmy cię w Przypływie, ale nie mogłyśmy cię znaleźć, żeby zawiadomić.

Jeśli Isaac lub mistrzowie są zaskoczeni, nie zdradzają się z tym. W podświadomości czuję lęk, że będę musiała to wszystko później tłumaczyć Whitmanowi.

– Ach, tak – odzywa się szyderczo znajomy głos. Wayvadd. Rzucam szybkie spojrzenie na jego śmiertelną postać: gładkie szaroblond włosy, jasnoniebieskie oczy, orli nos. – Tamtej nocy natknęliśmy się na siebie. Nocowałaś już wtedy w zamku, prawda?

Waham się, przeczuwam pułapkę.

– Tak. Tamtej nocy szukałam Irinorra. Gdybym wiedziała, jak długo was nie będzie, powiedziałabym ci wtedy o Kompanii.

Wayvadd uśmiecha się – czysty, ale drapieżny uśmiech. Jest jak rozcięcie w skórze, które odsłania ząb. Jeden lśniący kieł błyska pod wargą.

– Zostawmy temat ulubionych śmiertelników – mówi bóg z najwyższego tronu. To ten sam twardy, głęboki głos co wcześniej. Semyanadd. Ma siwe włosy ułożone w pompadour, a twarz jakby wyzutą z wieku. Powieki i skronie całe pokryte są runami. – Musimy omówić sprawy, po które przyszliśmy. Gdzie jest król Opalvale?

Po chwili Isaac występuje naprzód. Wygląda bardziej jak przestraszony chłopiec niż monarcha. I po raz pierwszy myślę: może można być i jednym, i drugim.

– Jestem Isaac z rodu Angline, pierwszy tego imienia, książę Mayfield i Seaward oraz zwierzchnik księstwa Ashclaud.

Ku mojemu zdumieniu bogowie wstają. Składają mu głębokie, ceremonialne ukłony, jakby składali hołd.

– Dziękujemy za cierpliwość, Wasza Wysokość – mówi Semyanadd, znów siadając – a także za twoją gościnność. Jak możesz się domyślić, wróciliśmy, by objąć nasze miejsca w królewskiej radzie, co przysługuje nam z mocy zawartej umowy.

Serce wali mi w piersi. Nigdy nie słyszałam o takim prawie. To musiało być przygotowywane w absolutnej tajemnicy. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, co czują inni śmiertelnicy obecni w tej sali.

Isaac przełyka ślinę.

– Z tego, co wiem, umowa ustna – przekazywana z pokolenia na pokolenie – mówi, że bogowie mogą zasiąść w radzie tylko w razie śmiertelnego zagrożenia dla Opalvale. Czy sytuacja naprawdę jest aż tak poważna?

Semyanadd uśmiecha się sztywno.

– Czy naprawdę musimy to wyjaśniać? Jesteś ostatnim z rodu, bez następcy. Waszej krainie grozi utrata magicznych mocy. Sady magicznego soku giną z powodu zarazy. To może oznaczać tylko jedno – nexus słabnie. A jeśli przestanie działać, wszystko stanie się możliwe: duchy zaczną przekraczać granice, klany demonów wymkną się spod kontroli. Jeśli nie zareagujemy, wielu twoich obywateli zginie.

Zasłaniam usta dłonią. To przecież dokładny opis Wznoszącej Fali – upadku rzeczywistości. Odwracam się do Byers. Ona myśli to samo. Nagle powrót Gildii przestaje wydawać się absurdem.

– Wasze… Dostojności – zaczyna Penna z wahaniem. Pot błyszczy mu na skroniach. – Czy chcecie nam powiedzieć, że przepowiednie Gildii Wzbierającej Fali są prawdziwe?

– Na to pytanie nie możemy odpowiedzieć – mówi zwyczajnie Semyanadd.

Wolałabym, żeby to pytanie wyśmiał. Ale nie – on go nawet nie odrzuca.

– Brzmi to tak, jakby była to moja wina – rzuca nagle Isaac, z rozpaczą w głosie. Kiedy wszyscy się na niego patrzą, głos mu się łamie, a uszy czerwienieją. – Jeśli nexus słabnie, to może przez moje błędy. Brak potomka. Brak doświadczenia…

Czcigodnemu Delfinowi udało się go skutecznie zdeprymować. A może to efekt wielu miesięcy krytyki i braku wsparcia. Mam ochotę spoliczkować każdego z tych ludzi. Isaac na to nie zasługuje.

– Tego również nie wiemy, Wasza Wysokość – dorzuca Semyanadd. W jego głosie słychać współczucie.

– Jak wobec tego znajdziecie odpowiedzi, moi... moi panowie?

Nie wiem nawet, jak powinnam ich tytułować. Zawsze mówiłam po imieniu.

– Jeszcze nie wiemy – mówi Semyanadd. – Ale przyjęliśmy śmiertelne formy, by móc się z wami konsultować. Potrzebujecie naszej pomocy, jeśli chcecie uratować Opalvale i świat.

Isaac przeczesuje dłonią potargane blond włosy.

– Rozumiem. Korzystajcie z naszych zasobów. Poddani Opalvale są do waszej dyspozycji.

– A my jesteśmy do waszej – odpowiada Semyanadd, skłaniając głowę. – Ale teraz potrzebujemy odpoczynku. Nasza magia się wyczerpała.

– Oczywiście. – Isaac zwraca się do mistrza Gana: – Mistrzu, proszę zorganizować dla Siódemki kwatery na czwartym piętrze. I zapewnijcie posiłki. – Spogląda na Semyanadda. – Wy chyba... jadacie posiłki?

– W tej formie – tak – mówi wilczy bóg z lekkim uśmiechem.

Bogowie wstają i ruszają ku wyjściu. Na czele idzie spocony mistrz Gan. Składają królowi ukłony. Mijają nas przy drzwiach – Byers i mnie.

Każde z Siedmiorga dotyka nas krótko, ciepło – w ramię lub w czoło. Z każdym dotykiem coś ciężkiego ustępuje. Gdy przychodzi kolej Irinorra, zatrzymuje się, uśmiecha i ujmuje moją twarz. Napełnia mnie światłem. Łzy napływają mi do oczu. Kładę dłoń na jego dłoni i ściskam ją.

Irinorr odchodzi. Moja dłoń nie chce puścić. Ale znika. A razem z nim – cała Siódemka.

Potem bogów już nie ma. Zostajemy sami.

Dopiero po dłuższej chwili mistrz Oversea odzywa się do całego pokoju:

– Nie mówcie o tym nikomu. Nie ma już nic do zrobienia tej nocy. Ponownie zbierzemy radę jutro rano.

Mistrzowie wychodzą z sali, wciąż zamroczeni. Próbuję się wymknąć za plecami mistrza handlu, ale jestem zbyt wolna.

– Panno Arnett – woła Isaac. – Panno Byers. Proszę zostać.

Whitman również zostaje. Podchodzę do Byers z udawaną niewinnością. Isaac, kulejąc, podchodzi do tronu i ostrożnie siada, z twarzą skrzywioną z bólu. Zapomniałam, że nie zwykł stać aż tak długo.

Przez chwilę Isaac i Whitman patrzą na nas, jakby widzieli nas po raz pierwszy. I może tak właśnie jest.

W końcu Whitman się odzywa.

– Dlaczego mi nie powiedziałyście? – mówi do nas obojga, choć patrzy na mnie.

Czuję kłucie w karku, więc przechodzę do ataku.

– Cóż, zobaczmy. Dlaczego nie powiedziałam ci, że od ósmego roku życia uczę się magii od boga-kruka? Może dlatego, że nie mam ochoty spędzić reszty życia w zakładzie dla obłąkanych? Nikt by nam raczej nie uwierzył.

– Czy jest więcej takich jak ty? – pyta Isaac, zasłaniając usta dłonią. Jego wzrok nie odrywa się od mojej twarzy.

– Pewnie są. Zwykle się nie spotykamy. Byers i ja to wyjątek.

– Co to znaczy być szkoloną przez bogów? Czego się uczysz?

– Ja nauczyłam się robić przepowiednie o kochankach. – Odwracam się do Byers, licząc na to, że coś doda.

Ale ona tylko mówi:

– To był długi dzień. Muszę odpocząć.

Przytakuję. Czuję się, jakbym nie spała od tygodni. Po ciemnych obwódkach pod oczami Isaaca i Whitmana widać, że oni też.

– Porozmawiamy jutro – wzdycha Whitman. – Tylko… nie idźcie nigdzie.

Zakładam, że ma na myśli Przypływ.

Wychodzimy z Byers w stronę skrzydła praktyków, pogrążone w myślach. Zadziwia mnie, jak wiele nam się udało – że bogowie nie kwestionowali naszej obecności, że nie wiedzą o spotkaniu z Tashą D'Milliar. Czy ich magia naprawdę jest aż tak słaba po tej stronie?

W apartamencie znów próbuję wróżyć z ostatniego listu od kultysty. Ale myśli wciąż wracają do Irinorra. Koncentracja jest trudna. Tajemnice – znacznie trudniejsze niż fakty. Umysł broni się przed ujawnieniem tego, co chce ukryć. A mój kultysta z pewnością nie chce być odkryty.

Przepowiednia wywołuje we mnie falę winy. Przypomina mi Patricka. Zamykam oczy z grymasem. Jego ciało na dnie klifu. Nie chciałam go zabić. Nie chciałam skrzywdzić Parsonsa. Ale stało się. Mój kultysta nie chciał zabić Parsonsa – m u s i a ł to zrobić.

Łza spływa po moim policzku. Ocieram ją.

Nagle słyszę stłumiony huk. Moje powieki się rozchylają.

W ciemnym pokoju, przy drzwiach mojej sypialni, unosi się kolumna światła.

Obok niej – plama jaskrawej czerwieni.

24

Ciało Patricka nabiera ostrości. Wpatruje się we mnie z zaciśniętymi, upiornymi ustami.

Narasta we mnie kolejny wrzask, gdy cofając się, zaplątuję się w falbany własnej sukni. Nie powinno go tu być – nie na zamku. To niemożliwe. Powinien pozostać uwięziony we wspomnieniach, tam, gdzie jego miejsce. Tu miało być bezpiecznie.

Patrick rusza naprzód, a tam, gdzie stawia kroki, rozlewają się kałuże nadprzyrodzonego światła. Kiedy mija moją toaletkę, stołek unosi się w powietrze, chociaż nawet go nie dotknął. Krzyczę, gdy roztrzaskuje się o ścianę.

Potem mój wiklinowy fotel również się podnosi, zawisając pół metra nad podłogą obok jego mglistych konturów. Kiedy spoglądam Patrickowi w oczy, wiem, że chce mnie skrzywdzić. Rzucić tym krzesłem. Zniszczyć mnie.

Zmuszam się do zeskoczenia z szezlonga – piskliwy dźwięk rozbrzmiewa mi w uszach – i rzucam się ku drzwiom prowadzącym na korytarz. Szarpię za klamkę, ale moje spocone dłonie ślizgają się po metalu.

Czyjaś ciemna sylwetka staje w drzwiach. Krzyczę i zasłaniam głowę.

– Mono!

Podnoszę głowę i mrugam gwałtownie. To Whitman.

Dysząc, opadam na jego pierś.

Trzyma mnie za ramiona, gdy znów zakrywam twarz. Moje pięści spoczywają na jego mostku. Nie potrafię się odwrócić. Nie chcę znów spojrzeć Patrickowi w oczy.

– Co się dzieje? – pyta, z nutą paniki w głosie, prowadząc mnie z powrotem do pokoju krok po kroku.

Przytulam się do niego mocniej.

– Czy on nadal tu jest?

– Kto?

To brzmi obiecująco, ale nie odważam się spojrzeć za siebie.

– Po prostu odpowiedz – mamroczę, wtulona w jego marynarkę. – Czy ktoś tu jest?

Whitman odsuwa się i unosi mój podbródek. Jego palce są delikatne, a oczy badawcze, pełne troski.

– Jesteśmy sami.

Marszczę brwi.

– Jak to możliwe, że dotarłeś tu przed strażnikami?

– Krążyłem po pałacu. Myślałem.

W miarę jak atak histerii ustępuje, dociera do mnie, że stoimy objęci. Jego jedna ręka podtrzymuje mnie przy talii, druga unosi się blisko mojej żuchwy – nie dotyka mnie, ale niemal jakby mógł zmienić zdanie.

Wyrywam się i odwracam, by ocenić szkody. Wiklinowe krzesło leży przewrócone na podłodze. Przynajmniej nie zostało roztrzaskane. Dygocząc, obejmuję się ramionami

i siadam na szezlongu, tyłem do niego. Poduszki zapadają się, gdy siada obok.

– Ktoś tu był? – pyta.

– Ja... no więc, chodzi o to... – jąkam się. Stoję na rozdrożu. Mogę powiedzieć mu prawdę i poprosić o pomoc albo skłamać. Jeśli powiem prawdę, może uznać mnie za szaloną.

Ale przecież już uwierzył mi we wszystko inne.

– Obiecaj, że mnie nie ocenisz – mówię cicho.

Kiwa głową – skupiony jak zawsze. Czasem aż do przesady.

Odwracam wzrok.

– Widziałam ducha.

Zapada cisza tak długa, że zaczynam się niepokoić. Mówię więc dalej:

– Widziałam go już wcześniej. Raz. W domu. Zwierzyłam się Irinorrowi. Powiedział, że tutaj będę bezpieczna. Ale duch wrócił. Nadal chce mnie zabić. Nie wiem, co mam robić, Whitman.

Rzucam mu ukradkowe spojrzenie. Kręci głową, jakby coś analizował.

– To dziwne. Dostaję listy – mówi, marszcząc brwi.

Odsuwam się, zaskoczona. Nie tego się spodziewałam.

– Od trzech miesięcy. Raporty o podobnych widzeniach. Nie przywiązywałem do nich większej wagi – myślałem, że to głupie żarty albo skargi ludzi z problemami. – Rzuca mi przepraszające spojrzenie. – Wszystkie pochodziły z terenów gęsto zaludnionych albo z miejsc, gdzie brakuje soku z czarodrzewu. Nie zachowałem listów, ale zainteresował mnie pewien wzorzec.

Przełykam ślinę. Widzenia duchów. W całym królestwie.

Z tego, co mówi, zmarły zawsze był kimś bliskim dla osoby, którą nawiedzał. Kimś, czyjej śmierci była świadkiem. Duchy pojawiają się w nocy, gdy ich ofiara jest sama.

– Czyli... nie tylko ja? – mówię cicho.

Irinorr musiał o tym nie wiedzieć. To ulga – nie jestem sama. Ale może to też oznaczać coś gorszego.

– Wiesz, kim on jest? Twój duch?

Rozważam odpowiedź. W końcu mówię tylko:

– Nie chcę o tym mówić.

Po dłuższej ciszy Whitman odchrząkuje.

– Bogowie o tym wiedzą?

– Myślę, że tak. Irinorr z nimi o tym rozmawiał. – Obejmuję się ramionami. – Przeszkadza ci to? Że bogowie się pojawili?

Spuszcza głowę.

– Że panteon ożył? Że okazali się prawdziwi? To... jeszcze do mnie nie dotarło. Bardziej martwię się o ciebie.

– O mnie?

– Za każdym razem, gdy myślę, że cię rozgryzłem, pojawia się coś nowego – mówi, przeczesując włosy dłonią. – I wszystko się zmienia.

Z goryczą słucham tej nuty zawodu w jego głosie. Zrezygnował z prób zrozumienia mnie, bo... po co? Jestem bratnią duszą Isaaca.

Zgryźliwie mówię:

– Jestem tą samą osobą, co zawsze.

– Naprawdę?

Z jakiegoś powodu to mnie drażni.

– Tak. I ty też. Ludzie się nie zmieniają. To mit.

– A czy właśnie w nim nie żyjemy? – mruczy.

Jak bardzo bym chciała, by tak było. Ale nie – mamy bogów, królów, prawdziwą miłość… A brakuje najważniejszego: bohatera.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy, aż w końcu Whitman pyta:

– Chciałabyś, żebym poszedł, czy…?

– Nie – mówię szybko. Jeśli wyjdzie, Patrick może wrócić. Spoglądam na niego przez mokre rzęsy, mocniej obejmując ramiona. – Wolałabym nie być sama.

Jego usta wykrzywiają się w grymasie. Widzę, że szuka odpowiedzi. Popełniłam błąd.

– Nie w ten sposób – mówię ponuro. – Nie zapomniałam. „To się nigdy nie zdarzy” – cytuję go z udawanym rozbawieniem.

Nieco się rozluźnia.

– To nie ma nic wspólnego z tobą. I nie zachowuj się, jakbyś była zraniona. – Wzdycha, przesuwając dłoń po żuchwie. – Jestem pewien, że możesz mieć, kogo tylko zechcesz.

To mi pochlebia, ale jest daleko od prawdy.

– Nie mogę, odkąd cię poznałam – mówię obojętnie, wzruszając ramionami. To nie był wybór. Po prostu… nie było okazji.

Unosi brwi.

– Naprawdę? Nie byłaś z nikim?

– Inaczej niż ze sobą? Nie.

– Ze sobą? Ja nie... – Jego oczy rozszerzają się, gdy pojmuje. – O.

Śmieję się. Moje policzki płoną. Może nie powinnam była tego mówić – ale już za późno. Od kiedy jestem w Kompanii, zostałam sama ze sobą.

– Dałem się nabrać – szepcze pod nosem.

Jego reakcja mnie wzrusza.

– Bardzo cię to irytuje? Mówienie o seksie?

– Nie, nie irytuje – odpowiada szybko, patrząc w sufit. Zastanawia się, jak odpowiedzieć, żeby nie pogorszyć sprawy. – Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Kręcę się niespokojnie, serce mi dudni. Ciało mam rozpalone. Nie potrafię o tym rozmawiać z Whitmanem i nie czuć podniecenia. Próbuję zetrzeć uśmiech z twarzy.

– Przepraszam. Nie powinnam mówić ci takich rzeczy.

– Pewnie nie. – Jego dłonie zaciskają się w pięści, wbite w kolana. – Czasem mam wrażenie, że robisz to tylko po to, żeby...

– Po co?

– Żeby poczuć moją frustrację – mówi przez zęby.

Ciepło zbiera się między moimi udami. Spotkanie z Patrickiem wydaje się nagle odległe. To jest właśnie to – sposób, by zapomnieć.

Nic się między nami nie wydarzy. Nie teraz, gdy wie, że jestem bratnią duszą Isaaca. Ale wciąż mogę zadawać pytania.

– Mógłbyś mnie obserwować – mówię. Serce wali mi jak oszalałe. Chowam dłonie pod uda. – Jak się dotykam. To przecież nie łamie twoich zasad, prawda?

Jego żuchwa zaciska się jeszcze mocniej, a z jego gardła wydobywa się stłumiony dźwięk, który niemal mnie rozkłada.

– Nie sądzę, żeby to było odpowiednie – mówi z wyraźnym wysiłkiem.

– Czyżby nie to było właśnie celem?

Wciąga powietrze przez ściśnięte gardło.

– A co ja bym robił? Stał tam jak jakiś podglądacz w krzakach?

Moje oczy rozszerzają się ze zdziwienia. Czy on naprawdę to rozważa? Może jeszcze nie całkiem mnie przekreślił. Staram się nie zabrzmieć zbyt chętnie.

– Albo mógłbyś też dotykać siebie, jeśli ci to pasuje.

Jego twarz pozostaje niewzruszona, ale pierś unosi się szybko i opada.

– To szaleństwo.

– To tylko sugestia. – Zbieram suknię i podciągam ją aż do kolan, odsłaniając koronkowe pończochy. Już nie udaje, że mnie nie widzi – każdy mój ruch przykuwa jego wzrok. – Możemy porozmawiać o czymś innym. Może o dworskiej polityce?

Odsłania zęby w niemal warkliwym grymasie, a jego plecy prostują się jak struna. Podnoszę suknię wyżej, badając granice.

– Mogę przestać.

W końcu podnosi na mnie wzrok.

– Nie – mówi twardo, niemal z oburzeniem. – Kontynuuj.

Gorący rumieniec pełznie po moim ciele, aż po najtajniejsze miejsca. On tego chce. Pragnie mnie tak bardzo, że rzuca na bok ostrożność i wszelkie zasady. Nawet po wszystkim, czego się dowiedział – po poznaniu moich wad i słabości – wciąż mnie pragnie. Nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby chciał, żebym go nazwała hipokrytą. Ale ja nie mówię nic.

Podciągam suknię jeszcze wyżej, aż opina się wokół moich bioder. Jasne pasy skóry między podwiązkami a materiałem sukni lśnią w słabym świetle jak księżycowy kamień. Patrzę mu w oczy, przesuwając palcami po podwiązkach, a potem wyżej.

W końcu się poddaje – opiera się sztywno w fotelu, głowa przechylona, wzrok wbity w moje dłonie, które przesuwają się w górę, ku wnętrzu ud. Jego dłonie na kolanach napinają się jak szpony. Sięgam pod sukienkę, głębiej, pod bieliznę. Whitman wydaje krótki, zdławiony dźwięk, który rozlewa mi się po nerwach jak ogień.

Zatrzymuję się, wstrzymując oddech. Chłonę ten moment.

– Dalej – mruczy. W jego głosie brzmi desperacja. – Zrób to.

Trzykrotne, głośne pukanie przecina ciszę jak nóż.

Szarpnięciem ściągam suknię w dół. Whitman wstaje gwałtownie. Wymieniamy spojrzenia – długie, ciężkie oddechy, pospieszne, nieregularne.

– Otwórz – mówię drżącym głosem, choć to ostatnie, czego chcę.

Waha się przez sekundę, po czym idzie do drzwi.

Za nimi stoją dwaj gwardziści. Whitman patrzy na nich, jakby nie mógł pojąć sensu tej nagłej ingerencji. Strażnik z przodu pochyla głowę w ukłonie.

– Dobry wieczór, mistrzu. Zostaliśmy wysłani, by pana odnaleźć. Rada się zbiera.

– Która godzina? – pyta, rozglądając się, jakby szukał zegara. Przeczesuje ręką włosy, po czym odwraca się do mnie z nieczytelnym wyrazem twarzy. – Muszę... muszę już iść. Dobranoc, panno Arnett.

– Dobranoc – szepczę, gdy znika w korytarzu.

We mnie otwiera się przepaść. Pożądanie wypełnia każdą kończynę, nie znajduje ujścia. Ta noc nigdy się nie powtórzy. Whitman jest zbyt ostrożny. Teraz, gdy zna moje sztuczki, będzie trzymał się z dala.

Wycofuję się do sypialni, ale sen nie przychodzi. Patrick może wrócić w każdej chwili.

Jest już dobrze po północy, kiedy daję za wygraną. Wiem, co muszę zrobić, by ukoić umysł. Zarzucam na ramiona szal, biorę lampę i wychodzę na korytarz. Towarzyszący mi strażnicy nie pytają o nic – za to ich cenię.

Bogowie zostali ulokowani przez mistrza Gana na czwartym piętrze. Wspinam się po krętych schodach i trafiam na długi korytarz z buraczkowym dywanem. Światła z magicznego soku migoczą tu łagodniej niż w innych częściach zamku.

Zbliżam się do każdych drzwi, dotykam mahoniowych paneli, badając wyżłobienia, chłonąc ciepło drewna. Czwartych jestem pewna. To muszą być drzwi Irinorra. Skąd ta pewność? Nie potrafię powiedzieć.

Pukam. Po chwili Irinorr otwiera. Uśmiecha się – ustami śmiertelnika – ale w jego oczach lśni coś znajomego. Ten sam uśmiech co zawsze.

– Więc sypiasz w tej postaci? – pytam.

Ma na sobie odświętny strój – biała kamizelka, złota koszula haftowana perłową nicią. Te barwy powinny przytłaczać jego kredowobiałą cerę, a jednak nie. Lśni jak księżyc. Moje oczy wilgotnieją z ulgi.

– Nie musimy… – mówi, odsuwając się, by mnie wpuścić. – Wayvadd lubi przesypiać popołudnia, ale to tylko preferencja.

Pokój Irinorra urządzony jest, jak przystało na ważnego dyplomatę. Olejne portrety nieznanych mi osób, mosiężny globus przy biurku, opleciony cienkimi pierścieniami – przypomina astrolabium.

Siadam w fotelu, podwijając nogi.

– Byers i ja się martwiłyśmy – mówię. – Odszedłeś tak nagle.

– Przykro mi, że was zaniepokoiliśmy. Nie mogliśmy zwlekać.

– Rozumiem. – Spuszczam wzrok. – Wiem, że jesteś zajęty, ale musiałam ci powiedzieć… Znowu widziałam Patricka.

Irinorr marszczy brwi.

– Kiedy?

– Przed chwilą. Próbował mnie zaatakować.

– Byłaś sama?

– Każdej nocy jestem sama. Ale do tej pory się nie pokazywał. Whitman z kolei... dostaje listy. O innych ludziach, którzy widzą duchy.

Irinorr mruczy zamyślony.

– To niefortunne, że różne trudności nakładają się na siebie. Jesteśmy zmuszeni ustalać priorytety.

– A jeśli to wszystko jest powiązane? To może być Wzbierająca Fala. Wskrzeszeni umarli – to przecież jeden ze znaków. Umierające sady czarodrzewu – kolejny.

Zakłada nogę na nogę i patrzy w górę, rozważając moje pytanie.

– To mało prawdopodobne, dziecko. Tak, istnieje proroctwo. Byliśmy jego świadkami. Ale wydarzenie tej skali jest trudne do przewidzenia. Nasze większe zmartwienie to sam nexus. Jeśli panowanie króla Isaaca nie jest wystarczająco silne, może dojść do zakłóceń.

– Isaac radzi sobie dobrze – mówię ostro. Nie wiem, czy mam rację. Jak właściwie ocenić króla? Isaac nie rozpoczął żadnych wojen, nie skazał niewinnych na śmierć, stara się nakarmić i ubrać tych, którzy mają niewiele. Czego więcej można od niego oczekiwać?

Irinorr uśmiecha się łagodnie.

– Jestem pewien, że stara się jak najlepiej. Ale musimy zbadać wszystkie możliwości. Nasza magia tutaj jest słabsza niż w Przypływie, ale lepiej łączy nas z waszym światem.

Możemy podróżować, rozmawiać ze śmiertelnikami, badać miejsca anomalii. Jeśli połączymy moce, znajdziemy źródło.

Przytakuję. Pocieram oczy. Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę powiedzieć.

– Nie wiem, czy mistrzowie ci wspomnieli, ale... było morderstwo. I pojawiły się pogróżki.

– I jesteś w centrum wydarzeń. – Kiwa głową. – Słyszałem. Przykro mi, że mnie przy tobie nie było, Mono.

Uśmiecham się przez łzy.

– Jak mam go znaleźć?

– Ujawni się. Zawsze się ujawniają.

Wpatruję się w ogień. A jeśli nie? A jeśli jest zbyt ostrożny?

– Mono...

Podnoszę wzrok. Jego oczy, runiczne i lśniące, chwytają mnie jak sidła.

– Wiem, że jesteś bratnią duszą króla Isaaca.

Zaciskam dłoń. Oczywiście, że wie. Pewnie wiedział od lat. I nigdy nic nie powiedział.

– Nie uciekaj przed tym – mówi łagodnie, ale stanowczo. – Odwaga, którą pokazałaś, przyznając się do tego, to dopiero początek. Wiesz, jak ważne będzie wyznaczenie następnej królowej?

– Elsie Tanner nią zostanie – mówię. – Tak mówiły przepowiednie.

Kącik ust Irinorra unosi się ledwo dostrzegalnie.

– Losy rzadko się toczą wedle oczekiwań. Ale zapamiętaj jedno, Mono: walka z przeznaczeniem z czystej przekory

kończy się cierpieniem. Prędzej czy później i tak dojdziesz do tego miejsca. Lepiej uczynić to z pokojem i godnością.

25

Rano znów zostaję wezwana do sali obrad.

Elizabeta pomaga mi się ubrać, przez cały czas trajkocząc o przepychu wczorajszego balu. Jakie to dziwne, że życie po prostu toczy się dalej. Podczas gdy Opalvale budzi się do życia o świcie, większość jego mieszkańców nie ma pojęcia, że wśród nich przebywają bogowie. Mam jednak przeczucie, że zanim dzień dobiegnie końca, to właśnie oni będą jedynym tematem rozmów.

Kiedy docieram do przedsionka sali, Byers już tam jest. Przechadza się nerwowo tam i z powrotem.

– Dzień dobry – rzucam z udawaną beztroską. Brakuje mi snu, przez co czuję się jakby za mgłą.

– Mają nas wezwać, gdy będą gotowi – odpowiada szorstko, nawet na mnie nie patrząc.

– Ależ jesteśmy dziś marudni – mruczę pod nosem.

Rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Przepraszam, że nie tryskam radością. Całą noc miałam koszmary.

– Och, naprawdę? Koszmary o czym?

Czuję lekkie wyrzuty sumienia, że ją drażnię, ale nie na tyle, by się powstrzymać.

– O tej przeklętej Wzbierającej Fali – burczy Bernadette.

Wzdrygam się, próbując sobie wyobrazić, jak mogły wyglądać te sny. Czy byli tam jej rodzice, zwiastujący koniec świata w ciemnych, zakapturzonych szatach?

Czekam, czując ucisk w piersi, podczas gdy Byers krąży jak jastrząb w klatce. Jej niespokojna obecność tylko pogłębia moje napięcie. W końcu strażnik otwiera drzwi komnaty i wpuszcza nas do środka.

W środku jest mniej osób, niż się spodziewałam. Przy stole siedzą tylko Semyanadd, Onyamarr i Korimarr – nie ma króla ani żadnego z mistrzów. Wilczy bóg i bogini wielorybów, siedząc obok siebie, tworzą uderzający kontrast: Semyanadd z gładko ułożonymi włosami i jasną cerą, Onyamarr z długimi lokami opadającymi aż do pasa, o skórze w kolorze mokrego piasku. Różni ich niemal wszystko. Semyanadd włada żniwami, ubojem i słońcem, Onyamarr – żywiołami, magią i księżycem. Korimarr – bogini wiedzy, prawa i sprawiedliwości – usiadła nieco dalej, z wysoko uniesionym podbródkiem.

– Gdzie są wszyscy? – rzucam, zanim zdążę się zastanowić, jak głupio to brzmi. Świetny początek rozmowy.

– Pełne zebranie rady już się odbyło – odpowiada Semyanadd, siedząc na swoim krześle jak na tronie. – Teraz po prostu rozmawiamy.

– O czym?

Bogowie wymieniają między sobą ciężkie, powściągliwe spojrzenia. Pierwsza odzywa się Korimarr:

– Dowiedzieliśmy się o groźbach wobec Mony i wobec chłopaka, który został zamordowany. W tych śmiertelnych

formach nasze możliwości są ograniczone. To oczywiste, że zabójca jest magiem, ale wciąż nie udało nam się go zidentyfikować.

– Skąd wiecie, że to mag? – pytam. Sama przypuszczałam, że to możliwe, zważywszy na sposób, w jaki unika schwytania, ale Korimarr wydaje się całkowicie pewna.

– Sposób, w jaki porusza się po zamku, świadczy o użyciu magii. Istnieje runiczna magia pozwalająca na teleportację albo niewidzialność. To bardzo zaawansowane zaklęcia, ale możliwe do opanowania. Poza tym żyrandol w twojej komnacie został sparaliżowany za pomocą składników alchemicznych. Każdy mag, nawet przeciętny, zna alchemię lepiej niż zwykli śmiertelnicy.

– Czy to ktoś obdarzony łaską bogów?

– Bardziej prawdopodobne, że to osoba potrafiąca przechodzić do Przypływu, ale nigdy nie została przez nas nauczona. To rzadkie, ale zdarzają się tacy, którzy potrafią osiągnąć niezwykłą moc bez naszej wiedzy.

Ktoś, kto widzi okna do Przypływu, ale umknął bogom – jak siostra Whitmana? A co, jeśli ma zdolności podobne do moich i Byers, jeśli potrafi używać magii bez run? Muszą istnieć inni tacy jak ona – nawet tutaj, w zamku. Tyle że dostęp do Przypływu nie wystarcza, by przemieszczać się między komnatami niezauważenie. Nie można po prostu otwierać okna prowadzącego prosto do celu. Każde okno po stronie Przypływu odsyła cię dokładnie tam, skąd je otworzyłeś w świecie śmiertelników. To sprytna sztuczka, ale mało przydatna do podróży między punktami.

Jeśli jednak Przypływ jest źródłem magii kultysty, to mogłoby tłumaczyć jego niezwykłe zdolności.

– Listy – wtrąca się Byers napiętym głosem. – Widzieliście je? Na dole jest znak, symbol Gildii.

– Tak, widzieliśmy – odpowiada Onyamarr z pobłażliwym uśmiechem. – Ale nie sądzę, by pozostawiła go Gildia Wzbierającej Fali. To bardzo stary symbol, używany, jeszcze zanim Gildia została uformowana. Jego pierwotne znaczenie pochodzi od lamikańskiego zakonu mnichów, którzy pomagali chorym i umierającym przejść do ogrodu.

Marszczę brwi.

– Sądzicie, że właśnie z tą myślą zabójca wybrał ten symbol?

– Możliwe. Albo nadaje mu nowe znaczenie dla własnych celów, tak jak wcześniej zrobiła to Gildia.

– Ale to m o g ł a być Gildia – upiera się Byers. Cienie pod jej oczami są dziś tak głębokie, że wyraźnie widać, jak bardzo wymęczyły ją nocne koszmary.

– Nie powinniśmy spekulować – mówi Semyanadd. – Ale jeśli motywem zabójcy było ukaranie Mony, Gildia nie jest raczej prawdopodobnym podejrzanym.

– Nie ma żadnych prawdopodobnych podejrzanych – rzucam, zaciskając zdrową dłoń w pięść. Ten temat boli mnie od samego początku. Nawet jeśli ktoś odkrył moje proroctwo – kto miałby interes w tym, by je ujawnić?

Semyanadd kiwa głową ze współczuciem.

– Zaufaj, że współpracujemy z waszą radą, by jak najszybciej schwytać sprawcę.

Na tym rozmowa najwyraźniej się kończy. Kiedy jednak zbliżamy się do drzwi, Korimarr odzywa się:

– Ty zostań, Bernadette. Chcę z tobą porozmawiać.

Wymieniam spojrzenie z Byers. W głosie Korimarr nie brzmi groźba – może chce po prostu odbyć szczerą rozmowę ze swoją faworytką, podobną do tej, jaką ja wczoraj miałam z Irinorrem. Mamroczę jej powodzenia i wychodzę.

Nie zachodzę daleko, bo gdy skręcam za róg, wpadam prosto na Verimall i Eledorr.

Boginie przemocy i śmierci stoją na środku korytarza, ramię w ramię, jak nieruchome filary. Zawsze trzymają się razem. Verimall ma rudy warkocz sięgający talii, a jej opalona skóra lśni ciepłym blaskiem na tle białej sukni. Runy na twarzy Eledorr – jaśniejące białym światłem zamiast czerni – rozciągają się wokół jej oczu i śniadych policzków w kształt skrzydeł ćmy. Jej krótkie włosy układają się w ciasne loki. Patrzę na nie, poruszając ustami, ale nie wydobywam z siebie żadnego dźwięku.

Verimall uśmiecha się, a jej zęby błyszczą jak ostrza sztyletów.

– Znów się spotykamy, Mono.

– Verimall. Eledorr. – Spuszczam wzrok.

– Szukasz kłopotów, co? – pyta Verimall ze spojrzeniem drapieżnika. Eledorr stoi obok niej, obserwując mnie w upiornej ciszy. – Włóczysz się sama? Nie wiesz, że po zamku grasuje morderca?

– Nie jestem sama. – Kilka kroków za mną jeden z agentów Renfield podąża w odpowiedniej odległości, ubrany

w granatowy uniform, który nie wydaje najmniejszego dźwięku przy ruchu. Coraz częściej widuję ludzi Renfield zastępujących strażników Oversea w roli moich ochroniarzy. Nie jestem pewna, co wymusiło tę zmianę. Może Oversea uznał, że jego gwardziści mają ważniejsze zadania.

– Nie boisz się morderczyni? – Verimall mówi z błyskiem w oku. – Wydaje się dość sprytna.

– Morderczyni? Kobieta?

– Oczywiście – mówi z uśmiechem. – Nie sądzisz, że kobieta może być zdolna do takiej przemocy? Mona, Mona, Mona. Powinnaś być mądrzejsza. Mężczyźni szafują przemocą, jakby nic nie znaczyła. A kobiety? One trzymają ją w środku. Głęboko. Jak jątrzącą się ranę – aż do chwili, gdy przestaje boleć i staje się użyteczna. A wtedy... – klaszcze dłońmi tuż przed moim nosem, a ja wzdrygam się z krzykiem – przemoc wybucha.

Verimall wyciąga rękę i okręca sobie jeden z moich loków wokół palca.

– Piękna, delikatna Mona. Jestem ciekawa, jak dużo przemocy sama chowasz w sobie?

Drżę, cofając się o krok. Verimall śmieje się. Eledorr wciąż przygląda się w milczeniu.

Odwracam się na pięcie i uciekam.

Owszem, wygląda to głupio. Ale w tej chwili chcę tylko znaleźć bezpieczne, znajome miejsce, gdzie mogłabym się schować – i wyobrazić sobie, że jestem zwykłą śmiertelniczką, dla której bogowie to tylko opowieści.

Gdy docieram do swoich apartamentów, zamykam drzwi na klucz i biegnę prosto do sypialni. Rzucam się twarzą na materac i krzyczę, tłumiąc dźwięk w pościeli. Leżę wtopiona w łóżko, wciąż drżąca, aż po kilku minutach słyszę pukanie do drzwi.

Niechętnie podnoszę się, by otworzyć. Po drugiej stronie stoi Whitman.

– Chciałem sprawdzić, jak się masz – mówi bez zbędnych wstępów. – Po rozmowie bogów z tobą i panną Byers.

– Wszystko w porządku – mruczę, otwierając drzwi szerzej. Whitman nie przekracza progu. – Nie wejdziesz?

– Nie.

Marszczę brwi.

– Obiecuję, że będę grzeczna.

– To nie jest dobry pomysł. – Pochyla głowę, jakby chciał ukryć twarz.

Wzdycham z rezygnacją, choć i tak nie spodziewałam się niczego innego.

– Więc po co tu jesteś? – pytam obojętnie.

– Żeby upewnić się, że wszystko z tobą w porządku.

– A jak myślisz? – warczę, zaciskając dłoń na klamce tak mocno, że aż bieleją mi palce. Mimo pojawienia się bogów – a może właśnie przez to – myśl o ucieczce do Przypływu coraz bardziej wspina się na szczyt mojej listy rzeczy do zrobienia. Co mnie tu jeszcze trzyma? Nigdy nie złapiemy zabójcy Parsonsa, skoro nawet bogowie nie potrafią wskazać podejrzanego. Bez względu na poczucie winy, które mnie

dręczy, czy odpowiedzialność, jaką czuję – nie jestem tu do niczego potrzebna.

– Nie wyżywaj się na mnie. – Ścięgna na jego dłoniach napinają się, gdy zaciska pięści. – Przykro mi z powodu wczorajszej nocy, ale...

– Nie schlebiaj sobie. – Gniew, strach i coś na kształt litości wypychają ze mnie słowa, zanim zdążę je powstrzymać. Powinien zobaczyć, jaka naprawdę jestem. – Mam mnóstwo innych opcji oprócz ciebie – wliczając w to króla Isaaca – więc nie zachowuj się, jakbym była jakąś porzuconą kochanką.

Oczy Whitmana stają się puste.

– Co ma do tego Isaac?

– Naprawdę muszę wyjaśniać, co ma do tego moja p r a w d z i w a m i ł o ś ć?

Patrzymy na siebie w milczeniu.

– W takim razie zostawię cię w spokoju – mówi w końcu, choć brzmi to bardziej jak groźba. – Ale chyba doskonale zdajesz sobie sprawę, że ty i Isaac nie możecie być w żadnej relacji, jeśli go nie poślubisz.

– Och, tak, koniecznie rozkaż królowi, z kim może sypiać. – Uśmiecham się chłodno. – Daj mi znać, co z tego wyniknie.

Zatrzaskuję mu drzwi przed nosem.

Potem wracam do szezlonga, piję do nieprzytomności i zasypiam na bite dwanaście godzin.

Narastająca obawa prowadzi mnie do miejsca w zamku, którego dotąd nigdy nie odwiedzałam – kaplicy. Miejsca, którego znaczenie równało się dla mnie wartości zakurzonej szafy na pościel.

Nie potrafię określić, co mnie ciągnie do tej chłodnej izby na najniższym piętrze. Może to, że zawsze uważałam kaplice za wolne od wpływu bogów, a teraz właśnie takiego miejsca potrzebuję. Ich nagłe przybycie wydaje się nierealne, jak treść zbyt długiego snu.

Moi gwardziści sprawdzają wnętrze pod kątem zagrożeń, po czym ustawiają się przy drzwiach, po zewnętrznej stronie. W środku pachnie jak w zatęchłej piwnicy. Jest czysto i schludnie, ale unosi się tu zapach wieków przepełnionych fałszywą nadzieją. Po drugiej stronie kaplicy wznoszą się ołtarze Siedmiorga, pod wysokimi witrażami. Gdyby to był zachód słońca, przez szkło sączyłoby się łagodne światło. Ale jest południe, więc barwne szyby pozostają martwe i ciemne.

Klękam przed obeliskiem Irinorra, ozdobionym wzorem kruczych piór. Również na kamiennej posadzce u jego podstawy wiją się misterne żłobienia. Dziś już trzy osoby zostawiły tu ofiary – modlitewne żetony dla boga miłości. Jeden z nich nosi znak Verimall. Prycham na ten widok. Ludzie często uciekają się do takich sztuczek – składają ofiarę jednemu bogu na ołtarzu innego, gdy ich modlitwy zahaczają o więcej niż jedną domenę. Pewnie ktoś został zdradzony przez kochanka i pragnie dla niego nieszczęścia. Znam to uczucie.

Przesuwam palcem po wzorach na ołtarzu Irinorra i zastanawiam się, czy mój kultysta bywał tu ostatnio. Jest

winny tak jak ja. Może czuje potrzebę, by prosić o przebaczenie.

– Chciałabyś usłyszeć coś ciekawego?

Odwracam się gwałtownie. W cieniu kaplicy, oparty o ścianę, stoi Wayvadd. Jedną rękę wsunął do kieszeni spodni, w drugiej trzyma wysadzany klejnotami kielich. Złote pnącza zdobią jego czarną marynarkę i kamizelkę, a liście lśnią drobinkami diamentów. Musi naprawdę poruszać się cicho jak kot, skoro udało mu się przemknąć obok moich strażników.

Z rezygnacją opadam na posadzkę. Tak wygląda koniec mojej ucieczki przed bogami. Wzdycham i wyciągam nogi przed siebie. Skoro już tu jest, mogę przynajmniej się wygodnie usadowić – Wayvadd nie słynie z krótkich rozmów.

– Czego chcesz, Wayvadd?

Podchodzi bliżej.

– Dlaczego zakładasz, że czegoś chcę? Odpoczywam. Obserwuję.

– Czyli podglądasz i podsłuchujesz? – pytam, gdy opiera się o filar swojego ołtarza.

Upija łyk z kielicha.

– Lubię się uczyć. I już sporo się dowiedziałem. Na przykład... – wskazuje na miejsce, gdzie siedzę, przed ołtarzem Irinorra – ...czy wiedziałaś, że gdy śmiertelnicy proszą o pomoc w sprawach miłosnych, równie często zostawiają ofiary dla mnie, co dla Irinorra?

– I co z tego?

– To, że śmiertelnicy nie mają pojęcia, czym jest miłość. Widzą coś, czego pragną, i jedyna myśl, jaka przychodzi im do głowy, to: „Jak mogę to zdobyć? Uczynić m o i m?”. Wszystko kręci się wokół n i c h. Urocze.

To klasyczna projekcja – aż chce się przewrócić oczami.

– Dziękuję za twoją ekspercką opinię na temat miłości.

Wayvadd śmieje się cicho, aż ciarki przebiegają mi po plecach.

– Och, lepiej nie schodź na ten temat.

– O czym ty mówisz? – wzdycham z irytacją, choć w głębi duszy boję się odpowiedzi.

– Zbudowałaś karierę na doradzaniu innym w sprawach sercowych, a sama nie masz pojęcia, czym jest miłość. – Jego uśmiech staje się jeszcze bardziej drapieżny. – Jak zresztą mogłabyś?

Zaciskam pięści i podnoszę się. Nie muszę tego słuchać.

– Ach, a tak przy okazji – rozmawiałem ostatnio z twoim Whitmanem.

Zamieram. Wayvadd chichocze i gestykuluje kielichem, rozlewając chlust czerwonego wina – lub czegoś, co mam nadzieję, że nim jest.

– Wiedziałem, że cię to zainteresuje. Twój typ – bardzo przystojny, nie sądzisz? Jesteś tak przewidywalna.

– Ho, ho, i kto to mówi.

– Prawda, prawda. Wy, śmiertelnicy, jesteście bardziej kapryśni od nas, bogów. Weźmy na przykład mistrza Whitmana. Wiesz, jak zdobył swój tytuł?

– Tak. Isaac wyświadczył mu przysługę. – Jak na Wayvadda to wyjątkowo tania prowokacja. – To nic szczególnie skandalicznego.

– Ale to tylko końcówka całej historii. Słyszałaś, co do tego doprowadziło? – W jego oczach błyszczy coś nienaturalnego. – Jego matka była królewską maginią. Młody Whitman odkrył, że jest oszustką – nie miała żadnych zdolności. Więc ją wydał. Musiała uciec do Rynth, by uniknąć uwięzienia.

Opada mi szczęka. Musi to zmyślać.

– Co masz na myśli, mówiąc, że była oszustką?

– Twierdziła, że jest jasnowidzką, ale wszystko opierało się na sprycie i znajomości ludzkiej natury. Dwadzieścia lat w Kompanii – i nikt się nie zorientował oprócz jej własnego syna. Po jej ucieczce kilkoro królewskich magów podało się do dymisji w proteście. W tym były mistrz praktyków. Uważali, że powinna była otrzymać łagodniejszy wyrok.

Serce wali mi w gardle. Opieram się na dłoniach i stopach, gotowa w każdej chwili uciec. Dlaczego nikt mi tego nie powiedział? To zupełnie nie pasuje do Whitmana, którego znam – dobrego, cierpliwego. Nawet jeśli jego matka była oszustką, jak mógł ją wydać, wiedząc, jakie będą konsekwencje? Przychodzi mi do głowy okropna myśl – krew odpływa mi z twarzy. Czy zrobił to celowo, by wywołać skandal w Kompanii i stworzyć wakat w radzie, licząc na to, że Isaac użyje swoich wpływów i zapewni mu stanowisko mistrza? Byers mówiła, że zawsze chciał zostać królewskim magiem. Bez własnej magii to była jego jedyna szansa.

– Dobrze. – Podnoszę się. – Miło się rozmawiało, Wayvadd.

– Szkoda, że musiał zdradzić również ciebie.

Zatrzymuję się w pół ruchu.

– Whitman mnie nie zdradził. – Mówię to twardo, jakby to miało go powstrzymać. Jakby mogło mnie ochronić.

– Taka lojalność wobec mężczyzny, z którym nawet nie spałaś. Zmieniłaś się, Mono. – Wayvadd wyciąga rękę z kieszeni. Pomiędzy palcami lśni wypolerowany srebrny klucz. – Zakładam, że skoro mu ufasz, to nie potrzebujesz tego sprawdzać.

– Widzę, o co chodzi. Za mało zamętu w zamku, więc musisz go trochę rozkręcić.

Machając kluczem, uśmiecha się.

– Nie musisz wierzyć mi na słowo. Dowody są w jego gabinecie. Sprawdź sama.

Mój wzrok przykleja się do klucza. To musi być pułapka. Wayvadd może mówić, co chce – jego oskarżenia są bezpodstawne. Czcza gadanina. A jednak... dlaczego miałby kłamać w sprawie tak łatwej do obalenia?

Zdecydowanym ruchem wyciągam rękę i wyrywam mu klucz z palców. Wayvadd wybucha śmiechem. Patrzy na swoje puste dłonie z rozbawionym zaskoczeniem, jakby sam nie wierzył, że to zrobiłam.

Ściskam klucz.

– Biorę go tylko po to, żebyś go już nie miał.

Jego oczy błyszczą triumfalnie.

– Dobra decyzja, Mono. Lepiej zmierzyć się z rzeczywistością niż zagłuszać ból pięknymi kłamstwami.

Patrzę za nim, marszcząc czoło, gdy chwiejnym krokiem wychodzi z kaplicy, popijając wino.

– Jesteś sama, Mono – rzuca przez ramię. – Sama i zawsze będziesz. Pamiętaj o tym. W czasach chaosu solidny fundament to klucz do przetrwania. Pomaga zachować rozsądek.

Wayvadd śmieje się przez całą drogę do wyjścia.

Na swoją obronę: wytrzymuję dwa dni, zanim używam klucza.

Pokusa przychodzi falami. Co Wayvadd chce, żebym znalazła? Musi chodzić o coś konkretnego – inaczej nie zawracałby sobie głowy. Coś, co łatwo można źle zinterpretować. Coś ukrytego w gabinecie Whitmana, co mogłoby go obciążyć, jeśli spojrzeć na to pod złym kątem.

Trzeciej nocy leżę bezsennie, mój wzrok jest gotowy wypalić dziurę w suficie. W końcu dochodzę do wniosku, że najlepszym sposobem, by zakończyć tę sprawę raz na zawsze, jest zrobić to, co zasugerował Wayvadd. Przeszukać gabinet Whitmana. Jeśli znajdę coś podejrzanego – pójdę do niego i zażądam wyjaśnień. Potem będziemy mogli to zostawić za sobą. Jak dorośli.

W nocnej koszuli podchodzę do drzwi prowadzących na korytarz. Kiedy docieram do dwóch strażników stojących na zewnątrz, kiwam im na powitanie. Powoli zaczynam się przyzwyczajać do ich obecności. Jeden z nich unosi jednak ramię, blokując mi przejście.

Patrzę na jego rękę, jakbym nie wierzyła w jej śmiałość.

– Czy jest jakiś problem?

Gwardzista wymienia krótkie spojrzenie ze swoim kolegą, po czym odzywa się do mnie:

– Mamy rozkaz. Nie wolno pani opuszczać pokoju w nocy.

Unoszę brwi.

– Ach tak? Z powodu mordercy?

– Podejrzewam, że tak, proszę pani.

Nie mam czasu na takie gierki. Spoglądam na strażnika przez zmrużone powieki.

– Jak się nazywasz?

– Szeregowy Hansen, proszę pani.

– Cóż, panie Hansen, przeprowadźmy małe ćwiczenie myślowe. – Chwytam się za podbródek, a on patrzy na mnie z zakłopotaniem. – Dostałeś rozkaz od kapitana, który bez wątpienia otrzymał go od jednego z mistrzów. Czy wiesz, od kogo ja otrzymuję rozkazy?

– Nie – odpowiada ostrożnie.

– Od bogów, panie szeregowy. Powiedz mi więc – czyje rozkazy twoim zdaniem mają pierwszeństwo?

Spodziewam się sprzeciwu. Zamiast tego Hansen kiwa głową i opuszcza ramię.

– Nie mogę zakłócać spraw bogów – mówi, choć w jego głosie pobrzmiewa cień kpiny. Wygląda na to, że cierpliwość strażników również się kończy – tak jak u wszystkich w zamku.

– Dziękuję – mówię z przesadną grzecznością i go wymijam. Po chwili zatrzymuję się i odwracam. – I nie idźcie za mną. Macie wolne na resztę wieczoru. To rozkaz.

Hansen się waha.

– Jeśli coś się pani stanie, możemy stanąć przed sądem wojennym.

– O to już się nie martwcie. – Improwizuję jedyne kłamstwo, które przychodzi mi do głowy. – Idę tylko do pokoju mistrza Whitmana. Mamy... prywatne spotkanie. Jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Jeśli Hansen uważa tę sugestię za szczególnie pikantną, nie daje tego po sobie poznać.

– Rozumiem. W takim razie życzymy dobrej nocy.

Gwardziści odwracają się na pięcie i zostawiają mnie samą.

To było aż nazbyt łatwe.

Wreszcie wolna, wymykam się na korytarz, rzucając ukradkowe spojrzenia w obie strony. Czysto. Gabinet Whitmana znajduje się na samym końcu. Skradam się przez przyciemniony korytarz, uważnie nasłuchując.

Zatrzymuję się przed drzwiami i jeszcze raz upewniam się, że nikt mnie nie obserwuje. Gdy mam pewność, że jestem sama, wsuwam klucz Wayvadda do srebrnego zamka. Rozlega się metaliczny szczęk. Popycham drzwi, które skrzypią, otwierając się powoli. Wypuszczam powietrze z ulgą i wślizguję się do środka.

Gabinet tonie w ciemności, ale moje oczy szybko przyzwyczajają się do mroku. Cicho podchodzę do biurka z orzecha włoskiego, zasypanego pergaminami i książkami.

Myśli Whitmana muszą być ostatnio w rozsypce – jego gabinet wygląda równie chaotycznie. Jak mam w tym bałaganie cokolwiek znaleźć?

Serce wali mi w piersi, gdy przerzucam dokumenty, podnoszę ciężkie tomy w skórzanych oprawach i zaglądam pod nie. Większość papierów to rzędy dziwnych liczb – zapewne księgi zaopatrzeniowe albo coś w tym rodzaju. Natrafiam też na kilka nieprzyjemnych notek od Gildii Magów. Ale nic, co by mnie zaskoczyło. Zirytowana, zaczynam przeszukiwać szuflady biurka.

Dopiero w dolnej szufladzie dostrzegam swoje imię. Przyciąga mój wzrok z samego szczytu krótkiego listu, napisanego nieznanym mi charakterem pisma.

Mistrzu Whitman,
byłem u Mony Arnett. Podzielam twoje obawy. Zabrałem siostrę na wróżbę miłosną. Nie mam pojęcia, jak odczytuje te swoje „imiona bratnich dusz". Jeśli chodzi o inne wróżby – były perfekcyjnie trafne. Nie udało mi się rozgryźć jej metody. Żadnego klasycznego odczytu, żadnych ukrytych run ani luster, które bym zauważył. Może ty będziesz miał więcej szczęścia.

Co do twojego drugiego pytania – uznałem ją za dość śmieszną dziewczynę, co zgadza się z jej reputacją. Nie uważałbym jej za poważną kandydatkę do Kompanii, nawet gdyby nie była oszustką. Zrobiłaby z tego cyrk.

List podpisany jest nazwiskiem, które kojarzę – to mag z Gildii, ktoś, dla kogo niedawno wróżyłam. A data? Dzień przed tym, jak Whitman po raz pierwszy mnie odwiedził.

Whitman dostaje raport, który mnie oczernia, i następnego dnia przychodzi do mnie? W żołądku rozlewa mi się zimny, ciężki niepokój.

Grzebię dalej w jego biurku. Na dnie jednej z szuflad znajduję skrawek papieru z odręcznie wypisaną listą imion. Innych jasnowidzów. Rozpoznaję kilka – wszyscy to osławieni oszuści. Przy niektórych Whitman dopisał krótkie notatki: „niewystarczająco efektowny", „zbyt niewiarygodna".

Przesuwam wzrokiem po kolejnych nazwiskach, aż trafiam na ostatnie. Moje.

Nie ma żadnych komentarzy. Żadnych ocen. Tylko gruby, atramentowy okrąg, który Whitman starannie nakreślił wokół mojego imienia.

Wpatruję się w nie, zapisane jego ręką. Przeszukał całe królestwo w poszukiwaniu oszustów, a ja znalazłam się na samym szczycie listy? Widzę tylko jedno możliwe wyjaśnienie.

Whitman nie sprowadził mnie do zamku, żeby pomóc.

Nigdy nie wierzył, że będę w stanie cokolwiek zrobić.

Użył mnie, by storpedować wyłonienie królowej.

26

Mona?

Odrywam wzrok od listy. Whitman stoi w drzwiach, ubrany w śnieżnobiałą koszulę, ale bez mistrzowskiej marynarki. Marszczy brwi.

Cofam się.

– Co tu robisz? – pytam, jakbym to nie ja włamała się do jego gabinetu.

Wchodzi powoli, ostrożnie, jakby obawiał się mnie spłoszyć.

– Moje apartamenty są tuż obok. Niezbyt dobrze się skradałaś.

Przeklinam się w duchu i robię kolejny krok w tył, aż natrafiam na ścianę. Whitman wciąż się zbliża. Wsuwam rękę za plecy, próbując ukryć list. Podchodzi coraz bliżej, aż jego twarz góruje nade mną. Podnoszę wzrok i przełykam ślinę.

Coś zimnego i ostrego dotyka mojego gardła.

Patrzę w dół na sztylet przy mojej szyi – i dopiero teraz dociera do mnie powaga sytuacji. Whitman mógłby poderżnąć mi krtań tu i teraz.

Unoszę podbródek.

– Zamierzasz mnie zabić, mistrzu? – mówię ledwo słyszalnym szeptem.

– To dla mojego bezpieczeństwa. – Opiera ramię o ścianę, zamykając mnie w pułapce. Całe jego ciało promieniuje ciepłem. – To byłaś ty, prawda? Szukałaś dowodów, żeby je zniszczyć?

– Co? – Marszczę brwi. – Ja nie…

– Nie kłam. – Zaciska szczękę i pochyla się jeszcze bardziej. – Nie splądrowałaś mojego gabinetu dla zabawy.

– Nie – warczę. – Szukałam dowodu twojej zdrady.

Ostrze odsuwa się od mojej skóry.

– Co?

Wyciągam zza pleców listę i wciskam mu ją w pierś. Spogląda na nią zaskoczony.

– To ty. – Zaciskam pięść na kartce, gniotąc ją. – Chciałeś uniemożliwić Isaacowi wybór królowej. Chciałeś złamać nexusa.

– Mono, nie! Skąd ci to przyszło do głowy? – Whitman wyrywa mi listę i szybko ją przegląda. Jego twarz blednie. – Och.

– Tak. Och.

– Źle to rozumiesz – mamrocze, wsuwając listę do kieszeni. – Chciałem tylko znaleźć nową królową Opalvale. Ale ten konkurs nie jest właściwą metodą. Jest zbyt podatny na manipulacje.

– Więc sprowadziłeś oszustkę, żeby go zrujnować? – Uśmiecham się kpiąco.

Whitman patrzy na mnie przekrwionymi oczami i cofa się o krok. Łatwiej mi oddychać, gdy ostrze nie dotyka już mojego gardła.

– Nie wiedziałem, jak inaczej to zatrzymać – syczy. – Moje prośby do mistrzów zostały zignorowane. Myślałem, że jeśli uda mi się zdyskredytować konkurs, Isaac posłucha rozsądku i wybierze bardziej...

– I jak to niby miało zadziałać?

– Wiedziałem, że Isaac w końcu się ze mną zgodzi. Ale wtedy byłoby już za późno, by odwołać konkurs. Dawałem mu wyjście. Gdyby jeden z kandydatów okazał się oszustem, skompromitowałoby to całą resztę. Isaac mógłby wszystko zakończyć, nie ryzykując, że uznają go za niezdecydowanego.

– Więc myślałeś, że udowodnisz, że jestem oszustką – mówię z drwiną. – Ale ja nią nie jestem.

– Nie wiedziałem tego na początku! – Unosi dłonie, wciąż trzymając nóż. – Miałaś wiele podejrzanych oznak. Myślałem, że złapię cię w pułapkę. Dlatego zostawiłem na twojej komodzie teczkę z kandydatkami.

– I co to miało niby udowodnić?

– Były fałszywe. Imiona, tytuły, wszystko. Byłem pewien, że wymienisz jedną z tych zmyślonych kobiet, myśląc, że wskazałaś imponującą kandydatkę – i będę miał dowód. Byłem pewien, że nie będziesz mogła się powstrzymać.

Brakuje mi słów. Kręcę głową z odrazą. Cały ten czas ufałam, że Whitman mnie wspiera. A tymczasem on nigdy nie wierzył w moje zdolności. Czy powinnam była wcześniej dostrzec tę zdradę?

– Po twojej magicznej przepowiedni – mamrocze ze spuszczoną głową – sam nie wiedziałem, co myśleć.

Robię krok w jego stronę, jakbym miała się na niego rzucić.

– Dlaczego to zrobiłeś? Nawet jeśli chciałeś ocalić reputację Isaaca, co z twoją? To ty za mnie ręczyłeś.

– Nie rozumiesz. – Whitman chodzi w kółko, patrząc w podłogę, po czym ciężko wzdycha. – Oczywiście, że nie chciałem być upokorzony – kto by chciał? Mistrzowie i tak traktują mnie jak dziecko. Ale to dziedzictwo Isaaca. Jego... jego pamięć. – Zatrzymuje się nagle, nieruchomieje. – To wszystko, co po nim zostanie, gdy... gdy już go nie będzie. Jeśli poślubi marionetkę, skorumpowany wybór, kim wtedy zostanie jego królowa?

Chcę być na niego wściekła, ale to nie jest proste. Whitman tylko próbował chronić przyjaciela. Jestem w stanie to zrozumieć. Ale dlaczego ja? Dlaczego zrobił ze mnie narzędzie?

Oczy wypełniają mi się łzami gniewu.

– Wayvadd powiedział mi, co zrobiłeś swojej matce.

Jego twarz momentalnie blednie.

– Nie mów o tym. Nic o tym nie wiesz.

– Wiem, że ją wydałeś. Nie obchodziło cię, co się z nią stanie, prawda? Tak samo jak nigdy nie obchodziło cię, co stanie się ze mną.

– Nie mów tak – syczy, a w jego głosie słychać urazę. – Nie. Powiedziałem jej, co zamierzam zrobić, zanim jeszcze poszedłem do mistrzów. Dałem jej szansę na ucieczkę.

– Nie musiałeś jej zdradzać!

– Ludzie ginęli, Mono. Umierali, bo udawała, że ma moc, której nie miała. Kiedy się dowiedziałem, błagałem ją, by przestała. Nie mogła znieść upokorzenia. Ktoś musiał sprawić, żeby już nikogo nie skrzywdziła. – Jego oczy wilgotnieją, ociera je wolną dłonią. – Nie chciałem tego. Musiałem.

Na chwilę odkładam gniew na bok. Wyobrażam sobie Whitmana jako młodego chłopaka, który z dumą myślał o tym, że jego matka jest maginią – tak jak on sam zawsze marzył. Królewską maginią. I jak ten świat się zawalił.

Jak ona to zrobiła – jak przekonała wszystkich, że ma dar? Jak udało jej się udawać, że potrafi czytać runy? Teraz rozumiem, dlaczego Whitman patrzył na mnie tak przenikliwie, jakby chciał wypalić moje sztuczki wzrokiem i przesiać popiół w poszukiwaniu prawdy.

Wpatrujemy się w siebie, ciężko oddychając. Whitman zna się na wykrywaniu oszustw jak mało kto. Może więc jednak miał rację co do mnie. Krzywię się i zamykam oczy. Może jestem uczciwą maginią, ale jako osoba jestem fałszywa. Tania. To właśnie we mnie zobaczył.

Obserwuje mnie, kiedy pocieram gardło, sprawdzając, czy skóra nie jest zadrapana. Potem przenosi wzrok na swoje biurko. Z niezwykłą starannością porządkuje papiery, które rozsypałam.

– Jak się dostałaś do mojego gabinetu? – pyta.

– Wayvadd dał mi klucz. Powiedział, że mnie zdradziłeś. – Spuszczam wzrok na stopy w pończochach. – Miałam nadzieję udowodnić, że się mylił.

Teraz, gdy ochłonęłam, moje największe podejrzenia słabną. Gdyby Whitman spiskował przeciwko Opalvale, bogowie by o tym wiedzieli. Taka zdrada nie zostałaby zignorowana – bez względu na to, co mówi Irinorr o nieingerowaniu w sprawy śmiertelników. Może mnie okłamał, ale wobec Isaaca jest lojalny.

– Znalazłaś coś jeszcze interesującego?

Podnoszę głowę.

– Na przykład co?

– Akta dotyczące morderstwa Parsonsa? To otwarte śledztwo, powinny być poufne.

Parskam kpiąco.

– Co, te sterty pustych stron? Rada nie potrafi nawet wskazać jednego podejrzanego.

Whitman przestaje przerzucać papiery i patrzy na mnie – naprawdę patrzy, jakby właśnie zauważył, że wyrosła mi trzecia ręka.

– Naprawdę jeszcze tego nie załapałaś?

Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Czego?

Opuszcza brodę i spogląda na mnie z góry.

– To ty jesteś główną podejrzaną, Mono. Jesteś jedyną podejrzaną.

Moja twarz tężeje.

– J-jak...? To nie ma sensu...

– Pomyśl tylko. Te liściki trafiały do ciebie, chociaż korytarze były pełne strażników i nikt niczego nie widział.

Ciało Parsonsa znaleziono w twoim pokoju, a jedyną obecną tam osobą byłaś ty. Motyw? Najwyraźniej chodziło o wzmocnienie twoich roszczeń do tronu, przez „zmuszenie" cię do ujawnienia się jako bratnia dusza Isaaca. A przez cały czas odwracałaś od siebie uwagę, odgrywając niewinną ofiarę.

Z przerażeniem wpatruję się w pustkę, próbując to wszystko ułożyć. Oversea i Renfield nie przydzielili mi strażników, by mnie chronili – przydzielili ich, by mnie obserwowali. Renfield musiała nawiązać ze mną kontakt nie po to, by mnie wspierać – tylko by mnie ocenić. By wyłapać obciążające mnie informacje. Nie musiała mnie przesłuchiwać – sprawiła, że zrobiłam to sama.

Rada była tak pewna, że nie mogę być bratnią duszą Isaaca, że zaczęli podążać za jedyną inną teorią, jaką mieli: że nie tylko jestem oszustką i kłamczuchą. Jestem też morderczynią.

Dla nich jestem niczym więcej jak tylko potworem.

– Nie wierzysz w to, prawda? – pytam Whitmana cicho.

Przez dłuższą chwilę milczy, jakby wcale nie zamierzał odpowiadać. W końcu wzdycha.

– Nie. Ale niewiele mogę zrobić, by cię obronić.

To nie przynosi mi żadnej ulgi.

– Ale bogowie...

– Ich poparcie zdecydowanie działa na twoją korzyść. Ale mistrzowie wciąż nie są przekonani.

Pociągam nosem, wbijając wzrok w biurko Whitmana. Gdzieś wśród tych papierów znajdują się dokumenty, które wszystko wyjaśniają – plan śledztwa, zarzuty przeciwko

mnie, proponowana kara za moje rzekome zbrodnie. A Whitman pozwoliłby, żeby to się stało.

– Dlaczego mi to mówisz? – pytam, patrząc na niego błagalnie.

– Tak bardzo interesowała cię prawda – mówi chłodno. – Teraz ją masz.

Świat wokół mnie rozpada się na kawałki.

Nie mam tu miejsca. Nigdy go nie miałam. Byłam idiotką, wierząc, że mogę się zmienić, przystosować – że wyrosnę na kogoś, z kogo Whitman, Byers i król Isaac będą dumni. Co mi przyjdzie z siedzenia tutaj? Zamiast rozwiązać zagadkę śmierci Parsonsa, prędzej zostanę za nią aresztowana.

Mam dość udawania kogoś, kim nie jestem.

– Dziękuję, mistrzu Whitman – mówię bezbarwnie i odwracam się na pięcie.

W swojej sypialni działam szybko. Na rajstopy zakładam czarne, skórzane trzewiki i pakuję do torby najpotrzebniejsze rzeczy. Potem szukam w ścianie przejścia do Przypływu. Pojawia się natychmiast, bez najmniejszego wysiłku – więc robię krok.

Jest północ; pędzę przez niziny wśród zniekształconej, resztkowej poświaty nocnego nieba w Przypływie. Przeciskam się przez chwiejące się kolumny galaretowatych wodorostów, które filtrują światło. Mijam kolonię demonów, gdzie czai się Kazzath. Aż docieram do wysokiego, białego urwiska, na którego szczycie stoi dom.

– D'Milliar! – wołam, dysząc ciężko po biegu.

Tym razem nie muszę czekać. Wychodzi na balkon i chwyta za poręcz.

– Jestem gotowa – oznajmiam stanowczo.

D’Milliar przygląda mi się w milczeniu. Potem na jej twarzy powoli pojawia się uśmiech.

– To prawda – odpowiada, unosząc głos. – Jesteś.

CZĘŚĆ V
CZARODZIEJKA

27

Siedzę na podłodze z zamkniętymi oczami, nogi mi drętwieją. Swędzi mnie stopa. Nie powinnam się ruszać, ale i tak sięgam, żeby ją podrapać. Wydobywa się ze mnie ciche, przeciągłe westchnienie.

Jestem niewyobrażalnie znudzona.

– Już skończyłyśmy? – pytam, uchylając jedno oko.

Tasha siedzi naprzeciwko mnie, jej twarz to maska spokoju.

– Nie – odpowiada, nawet nie otwierając oczu. – A teraz musimy zacząć od nowa.

Tłumię jęk, który niemal wyrywa mi się z gardła.

– Czego to ma mnie niby nauczyć?

– Niczego. Po prostu mam dość słuchania, jak gadasz.

Marszczę brwi i mocniej zaciskam powieki. Przez kolejne dziesięć minut próbuję oczyścić umysł z myśli – większość z nich dotyczy tego, jak idiotyczne jest to wszystko. Ale po tygodniu z Tashą D'Milliar wiem już, że jeśli czegoś każe ci spróbować, po prostu to robisz – natychmiast i bez szemrania.

Albo ponosisz konsekwencje.

A ja nie mam najmniejszego zamiaru przez nie znowu przechodzić.

Czas wlecze się niemiłosiernie. Odpędzam kolejne natrętne myśli, które wdzierają się do głowy. To bez sensu. Jak niby ma mi to pomóc? A poza tym Whitman kłamał.

Już niemal się przewracam, gdy w końcu Tasha się odzywa:

– Wystarczy.

Otwieram oczy – ona już stoi. Chcę zrobić to samo, ale zanim zdążę, rzuca we mnie wiklinowym koszem i trafia mnie prosto w twarz. Krztuszę się z zaskoczenia.

– Idź zebrać kolację – rozkazuje. – I następnym razem złap kosz.

Zaciskam dłoń na uchwycie i powtarzam sobie w myślach mantrę, która przez ten tydzień trzymała mnie przy zdrowych zmysłach: „Cokolwiek, byle przetrwać Przypływ".

Wyjście z domu Tashy jest niemal tak samo skomplikowane, jak dostanie się do środka. Główna sala, w samym centrum tego architektonicznego labiryntu, łączy się z niemal każdym pomieszczeniem – oprócz tych, które dobudowano później, jak kolejne ogniwa łańcucha. Zamiast mebli podłogę pokrywają stosy koców i poduszek, a drzwi zastąpiono ciężkimi gobelinami.

Przechodzę przez trzy przedsionki, by dotrzeć do spiralnych schodów prowadzących na piętro – jedyne wyjście na zewnątrz przez główne wejście: imponujący bukowy łuk. Na zewnątrz spuszczam z platformy sznurkową drabinę i schodzę na dół. Moje ramiona nabrały już lekkiej muskulatury.

Obchodzę dom od północy, kierując się w stronę pól uprawnych wodorostów. Wybujały tu znacznie gęściej niż w naturalnych lasach. Na początku bałam się chodzić po

posiadłości Tashy sama – po spotkaniu z Kazzathem widziałam demony w każdym cieniu, gotowe zaatakować, gdy tylko się odwrócę. Ale Tasha dokładnie pokazała mi zabezpieczenia chroniące jej dom i ziemię. To miejsce jest tak samo dobrze strzeżone, jak Selledore z jego grubymi, kamiennymi murami.

Przeciskam się przez wysokie łodygi wodorostów pod fioletowym niebem, oświetlonym blaskiem wieczornego księżyca, gdy nagle dostrzegam klęczącego golema z magicznego soku. Jego skóra przypomina powierzchnię złożoną z miliona zielonych świetlików. Świetlistymi dłońmi delikatnie składa do gleby sproszkowany sok czarodrzewu. Omijam go szerokim łukiem. Golemy Tashy przyprawiają mnie o dreszcze. Powiedziałabym, że mają martwy wzrok – gdyby tylko miały oczy.

Po kwadransie moje ramiona już bolą od wyrywania łodyg przy korzeniach, gdy nagle słyszę krzyki dochodzące z podnóża klifu. Ludzkie głosy. Trzymając kosz na biodrze, biegnę ku południowej stronie domu, skąd roztacza się widok na urwisko.

Na dole stoi Bernadette Byers. Ciepło rozlewa mi się w piersiach – dziwna mieszanina radości i niepokoju. Cieszę się, że przyszła. I nienawidzę tego, że tu jest.

– Arnett! – woła, a w jej głosie ulga walczy ze wściekłością. – Zejdź tu na dół!

Przesuwam kosz na biodrze.

– Witamy w posiadłości D'Milliar. Czy pani domu spodziewa się ciebie?

– Bogowie na głębinach, Arnett...

– Wpuść ją – dobiega głos Tashy z balkonu.

Zadzieram głowę. Opiera się o balustradę i przygląda Byers z intensywną uwagą. No proszę – t e r a z nagle postanowiła być gościnna.

Westchnąwszy, ruszam na wschód i macham do Byers, by poszła za mną. Zatrzymuję się przy płaskim, drewnianym panelu windy zaopatrzeniowej. Spoczywa w piaszczystej ziemi jak zapadnia.

– Widzisz tę ścianę klifu? – wołam. – To sekretne wejście. Przejdź przez nie.

Z tej odległości nie widzę dokładnie jej twarzy, ale jestem pewna, że marszczy brwi.

– Jak?

– To iluzja. Nie ma tam nic. Po prostu idź.

Byers przygryza wargę, wpatrując się w lite skały. W końcu robi krok naprzód. Słyszę jej pisk, gdy uderza twarzą w kamień.

– Ha! – Wychylam się z krawędzi, śmiejąc się, i widzę, jak masuje sobie nos, piorunując mnie wzrokiem. – Nie wierzę, że naprawdę się nabrałaś.

– Po prostu ją wpuść, Mono! – krzyczy Tasha z balkonu.

Mój uśmiech gaśnie. Kucam, by przyjrzeć się runom wyrytym na windzie. Wciskam odpowiednią kombinację, by cofnąć iluzoryczne drzwi w ścianie klifu – bo, w przeciwieństwie do mojego żartu, te rzeczywiście są ukryte przez magiczne zaklęcia Tashy. Sama wciąż nie rozgryzłam jej magii. Każdy znak rozświetla się pod dotykiem moich palców. Kiedy kamienne płyty przestają się przesuwać,

wpisuję kolejne runy, by opuścić windę. Tasha ma jakiś własny sposób dostania się na górę bez niej – ale jeszcze go nie odkryłam.

Po chwili platforma wraca z Byers na pokładzie. Przytrzymuje fałdy sukni i z niepewną miną rozgląda się wokół. Cieszę się na jej widok – częściowo. Ale wiem, że nie przyszła tu dla towarzystwa. Cokolwiek ma mi do powiedzenia, nie chcę tego słyszeć.

Nie wrócę do zamku.

– Skąd wiedziałaś, że tu będę? – pytam, gdy Byers zeskakuje z windy na palcach jak płochliwa tancerka.

– A dokąd niby miałabyś pójść? – rzuca cierpko.

Wzruszam ramionami, nie dając się wyprowadzić z równowagi.

– Tędy proszę – mówię, wykonując zapraszający gest w stronę domu.

Gdy docieramy do salonu, trzy parujące miedziane kubki czekają już na nas, ustawione na wyspie kuchennej. Tasha stoi za ladą, oparta łokciami o blat; jej krótkie blond włosy lśnią w opalizującym świetle żywicy czarodrzewu. Jej latarnie są inne niż te w zamku – duże, kuliste, przypominają nadmuchane bańki mydlane. Perłowa żywica w ich wnętrzu kotłuje się i wiruje.

Stękając, opadam na ogromną poduszkę.

– Przedstawiam Bernadette Byers – mówię, machając ręką w jej stronę. – Nadworną maginię, wieszczkę, zawodową intrygantkę.

Byers kręci się przy wyspie, nerwowo splatając palce.

– To zaszczyt panią poznać, pani D'Milliar.

– Mów mi Tasha – odpowiada, wyciągając do niej rękę.

Byers ściska ją z wyraźną ulgą i niedowierzającą radością.

– Oficjalna czarodziejka Przypływu – dodaję, tylko z odrobiną sarkazmu.

– Czarodziejka? – powtarza Byers, nadal nie wypuszczając jej dłoni.

Tasha rzuca mi ostre spojrzenie, po czym mówi:

– Robię znacznie więcej niż tylko wróżenie i przepowiadanie przyszłości. „Wieszczka" to nie moja etykieta.

– Jesteś młodsza, niż się spodziewałam – zauważa Byers, w końcu puszczając jej dłoń i sięgając po kubek.

Ja sama wolę nawet nie próbować przełknięcia tej parzonej morskiej trawy, która tutaj uchodzi za herbatę.

Tasha zdmuchuje parę znad własnego napoju.

– Zwykle tama spowalnia czas. Ale Mona to skomplikowała.

Byers stoi w osłupieniu. Wkraczam, żeby wyjaśnić.

– Tasha kontroluje przepływ czasu wokół domu – mówię, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. Ego Tashy nie potrzebuje dodatkowego głaskania. – Tama jest na tyłach, przy piorunochronie. Normalnie czas tutaj płynie wolniej niż w świecie śmiertelników, ale odkąd się pojawiłam, wszystko działa odwrotnie. Jak długo mnie nie było na zamku?

Byers wygląda na zaskoczoną, jakby nie spodziewała się, że od razu zostanie wciągnięta do rozmowy.

– Zniknęłaś… Zniknęłaś wczoraj.

– No widzisz. Z mojej perspektywy jestem u Tashy już od tygodnia.

Jeśli mam być szczera, to czuję się, jakbym była tu całą wieczność. Ale zachowuję to dla siebie.

– Rozumiem – mówi Byers. – Dlaczego zmieniła dla ciebie czas?

Tasha prycha.

– Bo może jeszcze przekonam ją do opuszczenia mojego przeklętego domu, jeśli będzie miała do czego wracać.

– Owszem, zamierzam opuścić twój dom – odpowiadam zaczepnie. – Jak tylko nauczysz mnie przetrwać w Przypływie, zbuduję własny. Nawet na samym krańcu nizin, daleko od…

– Twoja magia nigdy nie będzie dość silna – mówi Tasha niemal złośliwie, wzruszając ramionami.

– Czy nie po to właśnie mnie szkolisz? Żebym wzmocniła swoją magię?

– Gdybyś była przyzwoitą uczennicą, miałabym większe nadzieje. Na bogów, zadowoliłaby mnie choćby przeciętność.

– Arnett – wtrąca Byers ostrym tonem, uciszając naszą kłótnię. – Przestańcie już. Musisz wrócić.

Opieram głowę na poduszce i posyłam jej spojrzenie spod przymrużonych oczu.

– Whitman cię przysłał?

– Oczywiście, że tak. Ale i tak bym przyszła. Nie możesz tak po prostu uciec – stawka jest zbyt wysoka.

– Myślałam, że mając do dyspozycji królewskich magów i dosłownych bogów, utrzymacie sprawy pod kontrolą.

Byers wygląda, jakby zaraz miała tupnąć nogą.

– Dobrze wiesz, że masz w tym wszystkim większą rolę do odegrania!

– Już odegrałam swoją rolę – odpowiadam, obejmując się ramionami i ignorując płomień wstydu i zażenowania, który pali mnie gdzieś w głębi. – Whitman zna prawdę. I wie, że Elsie Tanner powinna zostać królową. Nie mam zamiaru wracać do zamku. Teraz mieszkam tutaj.

– Nie, nie mieszkasz – mruczy pod nosem Tasha.

Byers spogląda na nas ponuro.

– Na czym dokładnie polega wasza umowa?

Kiedy Tasha popija swoją paskudną herbatę, wyjaśniam wszystko od początku. Tasha D'Milliar zna sposoby przetrwania w Przypływie – wie, jak uchronić się przed jego wpływem na śmiertelników. Pozostając na jej terenie, jesteśmy bezpieczne. Zgodziła się nauczyć mnie, jak to robić. Ale najpierw moja magia musi się wzmocnić – znacznie. Tasha może mnie tego nauczyć. A potem... potem będę mogła spędzić resztę życia w Przypływie, daleko od tronów i koron. I także od mojej rodziny i... innych bliskich. Ale za taki przywilej trzeba czasem coś poświęcić.

Kiedy kończę, Byers krzyżuje ramiona.

– Nie wracam bez ciebie. Dostałam rozkaz sprowadzenia cię do zamku.

– Niczego innego się po tym człowieku nie spodziewałam – mruczę. Opadam jeszcze niżej na poduszkę, wyginając

plecy, żeby nie musieć na nią patrzeć. – Nie wracam, Byers.

Z głośnym stuknięciem odstawia kubek na blat.

– W takim razie zostaję tutaj, dopóki nie zmienisz zdania.

– Naprawdę? – Tasha parska śmiechem. – Czy ja prowadzę przytułek dla zbłąkanych wieszczek?

Byers zaciska usta, spłoszona.

– Oczywiście za twoim uprzejmym pozwoleniem…

– Jeśli masz tu zostać tylko po to, żeby w końcu wykurzyć Monę z mojego domu, to proszę bardzo.

Wydaję z siebie głośne westchnienie – choć w rzeczywistości jestem zadowolona. Teraz będę miała towarzystwo. Kogoś, kto razem ze mną zniesie nieprzyjemny charakter Tashy.

Byers odchrząkuje.

– Jeśli mogę zapytać, Tasho – skoro nie chcesz, żeby Arnett tu była, to dlaczego zgodziłaś się ją uczyć?

– Uważam to za swój obowiązek, biorąc pod uwagę to, co wiem.

Zapadam się głębiej w poduszkę. No i znowu się zaczyna.

– Ale dlaczego to twój obowiązek? – pyta Byers.

– Bo z tą dziewczyną jest coś nie tak – mówi Tasha, wskazując na mnie ruchem głowy.

Krzyżuję ramiona i kulę się w sobie jeszcze bardziej.

– Coś tu zwyczajnie nie gra. Nie umiem tego jeszcze nazwać, ale to czuję. Mona nas wszystkich zgubi.

Byers wygląda na wstrząśniętą i unika mojego wzroku. Ale mnie to nie rusza. Już to słyszałam. Tasha już wcześniej

podzieliła się ze mną swoimi przeczuciami – o moim przeklętym przeznaczeniu, o tej niewyraźnej aurze zagłady, która otacza mnie jak ciemna aureola. Naprawdę budujące.

Może ma rację: jeśli wrócę do zamku, mogę doprowadzić do upadku rodu Isaaca, jednym ruchem wymazać magię z całego świata. Ale taki scenariusz nie jest już moim problemem.

Bo ja nigdy nie wrócę.

Jakie szkody mogłabym wyrządzić, ukrywając się w Przypływie?

– Przyłóż się trochę, Bernadette – wołam, odgarniając z czoła włosy przyklejone do spoconej skóry.

Byers krzywi się, szorując granitowy blat, poplamiony i porysowany przez dekady alchemicznych eksperymentów.

– Lepiej zajmij się swoją robotą.

Wzruszam ramionami i wracam do taszczenia beczek z sokiem czarodrzewu do magazynu. Bernadette zrobiła się zgryźliwa, odkąd przybyła tu dwa tygodnie temu. Twierdzi, że przyszła po mnie, ale ja się na to nie nabieram. Ona też pali się, żeby poznać tajemnice, które Tasha może jej ujawnić – sekrety Przypływu, sposoby na wzmocnienie własnej magii. Po prostu nie spodziewała się, że nasza edukacja będzie obejmować tyle pracy fizycznej. Sama czuję już wyraźny węzeł mięśni między łopatkami.

Mimo swojej cierpkiej odpowiedzi Byers znów się odzywa:

– Dlaczego ona każe nam sprzątać i gotować? – Rzuca mokrą szmatę na blat z głośnym plaśnięciem. – Ma swoje czarodziejskie sługi. To nie ich robota?

– Hmm, cóż, golemy Tashy mają jedną poważną wadę konstrukcyjną. Nie potrafią odczuwać upokorzenia.

Byers mamrocze coś pod nosem i wraca do szorowania. Poza wszystkim innym obowiązki domowe dają nam chwilę wytchnienia od naszej wymagającej nauczycielki. I odciągają uwagę od spraw, które zaczęłyby nas trapić, gdybyśmy miały za dużo wolnego czasu.

Zaciskam zęby i z całej siły pcham wózek, wracając do pracy.

Gdybyśmy nie były tak rozdrażnione przez te codzienne obowiązki, może potrafiłybyśmy docenić wspaniałość alchemicznego laboratorium Tashy. Półki uginają się tu pod tysiącami składników zamkniętych w butlach, słoikach i fiolkach, mieniących się kolorami, jakich nie widziałam nigdy wcześniej. Szklane rury i komory destylacyjne oplatają całą wschodnią ścianę pracowni, a niektóre z nich biegną przez ściany do innych pomieszczeń. W podłodze widzę też dwa płytkie rowki, wyłożone miedzią i pokryte czarnymi śladami – podejrzewam, że właśnie tam Tasha tworzy swoje golemy.

Właśnie załadowałam kolejną beczkę na wózek, gdy odległy głos Tashy przecina naszą chwilową ciszę.

– Obie! Do mnie!

Byers i ja wymieniamy spojrzenia. Przez pełne dwa tygodnie, odkąd tu jest, Tasha nigdy nie wezwała nas obu

naraz. Jej metody nauczania są zresztą skuteczniejsze w pojedynkę – o ile w ogóle są skuteczne.

Jak dotąd moja edukacja sprowadzała się do studiowania historii i wspomnień magów bez znaczenia – poza tymi, którzy bredzili o przywoływaniu demonów i wskrzeszaniu zmarłych, najpewniej napisanymi w pijackim amoku – albo do siedzenia w ciszy z zamkniętymi oczami. Nigdy nie odebrałam formalnej edukacji magicznej, ale Byers przeszła przez całą tresurę Gildii – dziesiątki nastoletnich magów, zmęczonych po całym dniu świeckich lekcji, stłoczonych w jednej sali, gdzie wkuwali standardowe runy Angline. Ich dziecinne marzenia o potędze i przepychu rozpływały się w monotonnym głosie instruktora. Nudne, ale skuteczne. Tasha ma własny system – plan nauki, którego Gildia Magów nigdy by nie zatwierdziła. Ale jeśli zadziała, to pierwsza zaśpiewam hymn na jej cześć.

Znajdujemy ją w bibliotecznej wieży. Wbudowane regały biegną wzdłuż zakrzywionych ścian aż po sufit, a falujące światło Przypływu sączy się przez witrażową kopułę nad nami. Tasha siedzi w alkowie przy stole z porysowanym blatem, twarz ma nieprzeniknioną. Gestem zaprasza nas do zajęcia miejsc.

– Teraz przechodzimy do części szkolenia wymagającej współpracy – mówi. – Chcę, żeby każda z was streściła drugiej, czego się nauczyła z lektur.

– Ja zacznę – zgłaszam się ochoczo i mówię do Byers: – Niczego. Nie nauczyłam się niczego.

Tasha czeka, ale kiedy staje się jasne, że skończyłam, kiwa głową i spogląda na Byers.

– A ty, Bernadette?

Mrugam zaskoczona. Gdzie ostra reprymenda? A może to była poprawna odpowiedź? Czy Tasha chce, żebym się niczego nie nauczyła?

Byers waży słowa.

– Czytałam traktat filozoficzny Emhada – mówi do mnie, choć jej spojrzenie ucieka ku Tashy. – O związku między wiarą a kultem. Był... pouczający.

– W takim razie podaj jedną z zasad filozofii Emhada – mówi Tasha.

Byers unosi wzrok.

– Wiara to doskonałe zaufanie, którego nie można zdobyć – można je jedynie ofiarować.

– Znakomicie – odpowiada Tasha.

To pierwsza pochwała, jaką kiedykolwiek słyszałam z jej ust.

– Obie robicie postępy zgodnie z oczekiwaniami. Czas przejść do następnego etapu waszej edukacji.

Zastanawiam się, jak moja nieodpowiedź mogła zostać uznana za postęp, gdy Byers pyta:

– Co to będzie, proszę pani?

– Więcej czytania.

Węzeł między moimi łopatkami napina się jeszcze bardziej.

– Nie przyszło ci może do głowy, żeby kiedyś nas czegoś nauczyć?

– Ach tak? – Tasha unosi brew, rozbawiona. – Czego na przykład?

– Na przykład tego, jak wytropiłaś tych wszystkich morderców w Selledore? Naucz nas tego.

To przecież właśnie to przyciągnęło nas do niej – jej talent do odnajdywania winnych. Lepszy sposób na wytropienie mojego kultysty. Nie żeby to był jeszcze mój problem, ale...

– Stara, dobra robota detektywistyczna – mówi Tasha z nutą sarkazmu.

– Nie tak dawno przed tym, jak zniknęłaś, była sprawa truciciela – wtrąca Byers. – Podejrzewano członka Gildii. Zidentyfikowałaś go, choć nikt inny nie potrafił.

– Mówisz o sprawie Northupa – wzdycha Tasha i krzyżuje ramiona, jakby w końcu postanowiła się z nami czymś podzielić. – To był ciekawy przypadek. Sprawca był jasnowidzem, który potrafił fałszować wizje innym. Tak bardzo zdezorientował pozostałych magów, że obawiałam się, że wszyscy zrezygnują w poczuciu wstydu. Ale gdy tylko ustaliłam, które wróżby były prawdziwe, a które sfałszowano, sprawa stała się prosta.

– Fałszować wizje? – powtarzam z niedowierzaniem. – To możliwe?

– Oczywiście. Nie da się ich całkowicie zablokować ani usunąć, ale można stworzyć fałszywą, by ukryć prawdę...

– To nas tego naucz.

Tasha parska, a we mnie budzi się gorzka podejrzliwość.

– Czy uważasz nas za zbyt głupie, żeby to pojąć? – pytam, a złośliwość w moim głosie zaskakuje nawet mnie samą. – Czy o to chodzi? Jestem dla ciebie błaznem? Po co się trudzić i marnować czas na kogoś takiego, prawda?

Tasha wydaje się rozbawiona.

– Zachowaj spokój, Mono. I wracaj do nauki.

Z tymi słowami opuszcza bibliotekę, zostawiając mnie ze skrzyżowanymi ramionami i wściekłym spojrzeniem wbitym w rzędy książek.

Byers patrzy na mnie uważnie, unikając gwałtownych ruchów.

– Wszystko w porządku?

– Świetnie.

Wbijam palce w chropowaty blat stołu, myśląc o swoim nazwisku na liście oszustów Whitmana – otoczonym grubym, wyrazistym okręgiem. Co za aktor z niego. Przyszedł do mnie na kolanach, błagając o pomoc, tak przekonująco… A przez cały ten czas wiedział, że jedyne, co potrafię, to psuć.

I ja mu uwierzyłam. Nawet mu podziękowałam.

– Nie jesteś błaznem – mówi Byers.

Zaciskam usta i odwracam wzrok.

– Oczywiście, że nie.

Prawie nic nie mówię. Nie powinnam się do tego przyznawać, zwłaszcza przed idealną Bernadette Byers.

– Whitman tak uważa.

– Nie uważa.

Po chwili wahania dodaje:

– Wyjawił mi, co ci powiedział, zanim wyjechałaś.

Żołądek podchodzi mi do gardła. No to tyle z poufności.

– Więc słyszałaś też, że jestem podejrzana o morderstwo.

– On wie, że nic złego nie zrobiłaś – mówi stanowczo. – Chce, żebyś wróciła i oczyściła swoje imię.

– Moje imię? – parskam.

Moje imię było splamione na długo przed zamkiem.

– Możesz udawać, że nie obchodzi cię, co myślą inni, ale wiem, że to nieprawda.

Krzyżuję ramiona na piersi, piorunując ją wzrokiem. Chciałabym się nie przejmować tym, co myślą ludzie. Ale po wszystkim, co się wydarzyło – po uczuciach, z którymi musiałam się zmierzyć, wobec siebie i innych – żałosna prawda jest taka: tak, chcę udowodnić, że nie jestem aż tak zła, jak wszyscy sądzą.

Problem w tym, że jestem.

Może i nie zamordowałam Parsonsa. Ale zabiłam mojego brata.

I choć nie jestem oszustką, jestem kłamczuchą. Tchórzem. I nie mam wobec tego żadnej obrony.

Może tak naprawdę nie boję się, że zostanę niesłusznie oskarżona.

Boję się, że się przyznam.

28

Wodorosty należą do najbardziej odżywczych pokarmów na świecie – zwłaszcza gdy ktoś ma drużynę golemów nawożących jego pola magią. Spożywane w wystarczająco dużych ilościach mogą dostarczyć wszystkich witamin, jakich potrzebuje ciało.

Są też jednym z tych produktów, które najłatwiej powodują nudności z przejedzenia.

Po pięćdziesięciu dwóch dniach z rzędu rozważam strajk głodowy. Kiedy więc kolejnego wieczoru z niesmakiem patrzę na swoją miskę zielonej brei, czuję się usprawiedliwiona, oznajmiając:

– Któraś z was musi pójść po prawdziwe jedzenie, bo inaczej przechodzę na kanibalizm.

Obie opuszczają miski. Tasha, wciśnięta w róg saloniku, mówi:

– Czemu sama go sobie nie przyniesiesz?

– Wiesz, że nie mogę wychodzić.

Choć nigdy jej tego nie powiedziałam, Tasha ma niepokojącą zdolność wypowiadania faktów o moim życiu, o których nigdy nie wspominałam. Wątpię, by jakakolwiek moja cecha była poza zasięgiem jej wiedzy.

– Jeśli przywołam okno – mówi Byers – wyląduję w sali konferencyjnej.

Zapada napięta cisza. Nie mamy pojęcia, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Byers wróciła do zamku. Jak długo już nas nie ma? Co o nas myślą?

Tasha obiecała informować nas o wszelkich większych zmianach w Opalvale, bo nawet magia Byers nie jest na tyle potężna, by przeniknąć z Przypływu do świata śmiertelników. Ale Tasha nie chce – albo nie potrafi – przeprowadzać wróżb o znaczeniu bardziej osobistym. Jakby zależało jej na tym, by utrzymywać nas w nieświadomości.

– Mogłabym odwiedzić świat śmiertelników – wtrąca Tasha. – Ale mnie to jedzenie całkiem pasuje.

– Naprawdę nie tęsknisz za prawdziwym jedzeniem? – pytam, balansując miseczką na kolanach. – Albo za winem? – dodaję z tęsknotą.

– Nie jest tak źle – karci mnie Byers.

Rzucam jej mordercze spojrzenie. Może i nie narzeka na jedzenie, ale więcej niż raz słyszałam, jak wzdychała za ryntyjskim salonem w Selledore, gdzie ktoś układał jej włosy w misterny warkocz. Obie ledwo sobie radzimy tak daleko od cywilizacji. Choć pewnie powinnam być wdzięczna, że mogę po prostu związać swoje puszące się loki chustą i mieć problem z głowy.

Tasha uśmiecha się półgębkiem.

– Proponuję wam zakład. Jeśli obie rozszyfrujecie, po co właściwie studiujecie to, co studiujecie, pójdę i przyniosę prawdziwe jedzenie. I wino.

Wyprostowuję się na siedzeniu.

– Ile mamy czasu na rozwiązanie zagadki?

– Możecie sobie rozwiązywać do końca życia, jeśli chcecie. I tak wam się nie uda. Nie z osiemdziesięcioma procentami mózgu na spółkę.

Z oburzeniem pochylam się w stronę Byers i szepczę:

– Przynajmniej mamy po jednym całym sercu, czego nie można powiedzieć o niektórych...

– A ty – wtrąca Tasha, wskazując na mnie palcem – nie liczysz się do tego procenta. Mózg Bernadette funkcjonuje samodzielnie, ale musiałam skorygować wynik o twój balast. Proszę bardzo, udowodnij mi, że się mylę.

– Och, i zrobię to – mówię, zakładając nogę na nogę. Mam nadzieję, że nie zauważy, jak policzki mi płoną z irytacji. – Robisz klasyczny błąd. Nie doceniasz mojej inteligencji, bo jestem piękna.

Odrzucam swoje złote loki na plecy. Obie wydają przeciągłe jęki.

Po kolacji Byers i ja spotykamy się w bibliotece. Sięgamy po przepisane nam książki i zaczynamy je przeglądać jedna po drugiej. Byers studiuje filozofię – coś o „afektywnym komponencie wiary". Ja nadal czytam wspomnienia martwych magów. Choć tym razem autorzy są nieco mniej oderwani od rzeczywistości. Wbrew sobie zaczynam podejrzewać, że czegoś się uczę. Oby tylko Tasha nie była rozczarowana.

– Nie rozumiem – mówi Byers, przeglądając tytuł opasłego, skórzanego tomu. – Ty uczysz się o magii, a ja

muszę ślęczeć i zgłębiać naturę istnienia?

– Może nie chodzi o same przedmioty – odpowiadam z westchnieniem. – Może jest jakiś wspólny temat, coś związanego z autorami albo epokami...

– Zagadka! – Byers nagle się zapala. – Może musimy połączyć nasze książki, żeby ją rozwiązać! Pewnie chodzi o naukę współpracy.

– Uch. – Udaję, że mnie mdli, a Byers chichocze. – Jeśli tak, to załatwmy to jak najszybciej.

Zrzucamy książki na stół i zaczynamy je porządkować. Najpierw alfabetycznie według autorów, potem według tytułów; w kolejności powstawania; według przybliżonej tematyki. Żaden wzór się jednak nie wyłania. Wkrótce zaczynamy ściągać inne tomy z półek, badając życiorysy autorów – gdzie się urodzili, kto panował w czasach ich życia, jak zmarli. W pewnym momencie orientuję się, że jestem w połowie dziecięcej książki z przypowieściami o demonach i zupełnie zapomniałam, po co tu przyszłam.

Nie zauważam, jak późno się zrobiło, dopóki Byers nie wyciąga zegarka. Mówi wtedy głośno:

– Bogowie na niskościach, jest już rano.

– Czy to ma jakieś znaczenie w Przypływie? – pytam, ziewając.

– Masz rację – mamrocze, podnosząc kolejną książkę. – I tak zresztą nie miałam zamiaru spać.

– Znowu koszmary?

Podnosi książkę bliżej twarzy.

– Mhm.

– O czym?

Byers dalej czyta, udając, że mnie nie słyszy. Wypuszczam powietrze i przeglądam stos, szukając kolejnej nudnej lektury.

– Wczoraj śniłam o moich rodzicach – mówi w końcu, nie odrywając wzroku od stron.

Trwam w bezruchu, słuchając.

– Jedziemy odwiedzić moją prababcię w jej domku nad jeziorem w Rynth. Leży na sawannie, daleko od miasta, taka miniaturowa, błękitna oaza otoczona z każdej strony trawami i baobabami. Przepiękne miejsce. Chciałabym, żebyś mogła je zobaczyć. – Wzdycha. – A potem, w trakcie podróży powozem, rodzice mówią mi, że mają dla mnie niespodziankę, ale nie mogą zdradzić, co to takiego. Dręczę ich, żeby powiedzieli, ale nie chcą, i zaczynam się irytować. I wtedy zauważam, że powóz wymija dom i wjeżdża prosto do wody. Zanurzamy się w toni jeziora...

Marszczę brwi.

– Brzmi okropnie.

– No tak. To co, czytamy nawzajem swoje zadania? – proponuje Byers, wpatrując się w naszą chybotliwą górę książek.

Chyba koniec rozmów o snach.

– Wolałabym jeść wodorosty do końca życia – mamroczę. – Musiałyśmy przeoczyć coś ważnego.

Byers milczy, analizując problem.

– Cóż, podzieliła nasze badania na dwie części, prawda? Powiedziała, że wchodzimy w nowy etap, czy coś takiego.

Czym różnią się twoje nowe lektury?

Wzruszam ramionami.

– Są bardziej zaawansowane. Ale zakładam, że po prostu podnosi nam poprzeczkę w miarę postępów.

– Możesz mi pokazać?

Przez następne pół godziny grzebię w stosie książek, wybierając te, które Byers może porównać. Studiuje je z uwagą, układając obok siebie, przeglądając strony, zestawiając. W końcu podnosi głowę z marsową miną.

– Jest tu mnóstwo błędów.

Podnoszę na nią wzrok, nie unosząc brody z założonych rąk.

– Mówiłam ci, kazała mi czytać wypociny wszelkiej maści szarlatanów.

– Ta książka jest napisana przez królewskiego maga.

– Co? Daj mi to. – Wyrywam jej tom i skanuję stronę. – To nie jest poprawne?

– Połowa tych kombinacji runicznych wzajemnie się znosi, jeśli czytać je równolegle. Na papierze wygląda to ładnie, ale w praktyce jest bezużyteczne.

Studiuję ciągi runów, a w żołądku zaczyna mi się burzyć.

– Wszystkie książki są takie?

Byers wybiera losowo kolejne tomy, szukając błędów. Przygryzam wargę, gdy jedna po drugiej lądują na stosie odrzuconych. W końcu odwraca się do mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Kiedy Tasha zapytała, czego się nauczyłaś, powiedziałaś, że niczego. Dlaczego?

Zaskakuje mnie.

– Tasha zadała mi same bzdury.

– W pierwszym zestawie książek znalazłam mniej błędów niż w tych – mówi, stukając palcem w historię napisaną przez znanego alchemika.

– Same bzdury. Miałam czytać o magii krwi, wskrzeszaniu ludzi...

– Te rzeczy nie są niemożliwe. Teoria jest poprawna. Mam wątpliwości, czy kiedykolwiek udało się skutecznie wskrzesić człowieka, ale to nie czyni jeszcze całej teorii bzdurą.

Patrzę na stos książek, próbując sobie wszystko poukładać w głowie.

– Arnett – mówi Byers z rozbawieniem – ona próbuje cię nauczyć, żebyś nie wierzyła we wszystko, co ci mówią.

Otwieram usta, szukając riposty.

– Przecież nie jestem taka. Nie wierzę.

– Wierzysz, jeśli mówi do ciebie ktoś z autorytetem. Kiedy bogowie powiedzieli ci, żebyś nie zostawała zbyt długo w Przypływie, po prostu tak zrobiłaś, bez zadawania pytań.

– Przecież jestem teraz w Przypływie, prawda? – odpowiadam, ale nawet dla siebie samej brzmię niepoważnie.

– Dzięki mnie. – Byers uśmiecha się triumfalnie, a ja mam ochotę zetrzeć jej ten wyraz z twarzy. – Ufałaś autorytetom i odrzucałaś wszystko inne. Powinnaś się skupić na tym, czy coś ma sens, a nie na tym, kto to napisał.

– Wielu z tych autorów to królewscy magowie! Skąd miałam wiedzieć…

– Ty sama prawie zostałaś królewską maginią.

To boli, ale ma rację. Zbita z tropu i wkurzona, grzebię w stosie książek.

– To może sprawdźmy, co Tasha próbuje powiedzieć o tobie, co?

Dla Byers Tasha wybrała mniejszą liczbę książek, ale każda jest gruba i skomplikowana. Wszystkie dotyczą filozofii wiary.

– Może chce cię nauczyć ufać bogom – mruczę pod nosem.

– Nie Tasha – odpowiada Byers, nie odrywając nosa od książki. – Musiała mieć z nimi jakieś spięcie, skoro skończyła w obecnym stanie. – Podnosi wzrok znad stronicy. – Nigdy ci o tym nie wspominała?

– Nie, i boję się zapytać. – Trzymam po jednej książce w każdej dłoni, zezując na tytuły. – To co się zmieniło w twojej lekturze?

Przygryza wargę, czytając.

– Ostatnio większość wyznaczonych mi książek dotyczy wiary i wiedzy. Ale jeśli Tasha próbuje w ten sposób coś zasugerować, to umyka mi to. Posłuchaj. – Podnosi starą, zakurzoną księgę. – „Wiara jest ryzykiem, działaniem, które oddaje wyniki poza kontrolę sprawcy. Tylko wiedza doskonała mogłaby zniwelować ryzyko, a taki ideał nie istnieje”. – Zamyka książkę z trzaskiem. – Ale to nieprawda, nie dla nas. Tasha i ja możemy osiągnąć wiedzę doskonałą.

– Nie zawsze. – Przesuwam się na krześle, wsłuchując się w kiełkujące przeczucie. – Nie możesz użyć swojego daru

prawdy na bogach. – Siadam wyprostowana. – Tasha mówi, że twoje moce cię zniszczyły! Nie jesteś w stanie ufać nikomu bez swojej magii.

– Bo zaufanie jest zawodne – odpowiada bez wahania. – Nawet mądrzy ludzie mogą zaufać niewłaściwym osobom.

– Tak jak twoi rodzice? – mówię.

Rzuca mi mordercze spojrzenie, ale nie przerywa.

– Byli profesorami, prawda? A jednak uwierzyli w kłamstwa Gildii. Zaufali niewłaściwym osobom. Nic dziwnego, że nie chcesz polegać na własnych instynktach.

Byers zaciska szczękę.

– Mam swoją magię. Nie potrzebuję instynktów.

– A może jednak? Tasha mówi ci, żebyś w coś uwierzyła, nie będąc pewna, czy masz rację.

Bernadette zająkuje się na chwilę, a ja odczuwam małą satysfakcję.

– Łatwo powiedzieć – mruczy.

Byers nalega, żebyśmy przez kolejną godzinę sprawdzały nasze teorie. Jej dłonie drżą, gdy odkłada ostatnią książkę i wzdycha z ulgą.

– Na pewno mamy rację?

– Oby. – Nie zniosę miny Tashy, jeśli się mylimy.

Odnajdujemy Tashę w laboratorium, po łokcie zanurzoną w czymś cuchnącym i oleistym. Beznamiętnie wysłuchuje naszych wywodów. Gdy kończymy, wyjmuje ręce ze szlamu i patrzy na nas przeciągle.

– R o z u m i e c i e lekcje – mówi, a ręce ociekają mazią, która spływa na blat – ale czy w nie wierzycie?

Mamroczemy, że tak.

– I zapamiętacie je, kiedy nadejdzie czas?

Kiwam głową potwierdzająco, ale Byers pyta:

– Skąd mamy wiedzieć? Do czego nas trenujesz?

Tasha wyciera ręce w brudną szmatę.

– Nie mogę powiedzieć na pewno. Przyszłość to suka i cholernie trudno ją przewidzieć. Ale powiem wam jedno: myślę lepiej o stanie świata, wiedząc, że macie odrobinę samoświadomości. – Odrzuca szmatę na blat. – No dobrze, panienki, co jemy na kolację?

Tasha wraca wczesnym wieczorem, objuczona jedzeniem o najbardziej boskim zapachu, jaki kiedykolwiek poznałam – jak z marzeń umierającego z głodu człowieka. Przyniosła też trzy butelki wina z Deveneaux. Rozkłada wełniany koc na podłodze saloniku i przygotowuje ucztę: dwie pieczone kaczki ociekające korzennym miodem, kręgi pachnącego sera, marynowane papryczki nadziewane ryżem i mieloną koziną oraz bochenki chrupiącego chleba – wciąż ciepłe, choć nie wiadomo, jakim cudem.

– Skąd to wszystko zdobyłaś? – pyta Byers, a jej oczy rozszerzają się na widok uczty.

Tasha rzuca jej jędrną, twardą persymonę.

– Jest całoroczny targ tuż za wioską.

– Ale jak to dostałaś? – pytam, nakładając sobie miskę pełną gotowanych muli. – Masz jakieś monety? Coś na wymianę?

– Nie potrzebuję pieniędzy, żeby dostać to, czego chcę – parska Tasha.

Byers przygląda się jedzeniu jeszcze raz, tym razem z zaciśniętymi ustami i wyrazem dezaprobaty.

Jemy w pełnym uznania milczeniu. Wino, ciemne i słodkie, szybko uderza mi do głowy. Chichoczę, gdy Byers zmaga się z wydobyciem mięsa z muszli palcem.

– Przestań ją kaleczyć. – Wybucham śmiechem, czołgając się do niej. – Użyj tego. – Pokazuję jej haczykowate pałeczki, które przyniosła Tasha – takie, jakie rozdają uliczni sprzedawcy do owoców morza.

– Jak można nie umieć jeść muli? – pytam, gdy Byers eksperymentuje z haczykiem, grzebiąc we wnętrzu muszli. – Nie mieszkałaś przez całe życie w Selledore?

– W szkole z internatem rzadko nam podawali owoce morza – mówi, przygryzając język w skupieniu. – Dyrektorka nazywała je „chwastami morza". – Z triumfalnym pomrukiem wyciąga mięczaka z muszli.

Byers rzadko mówi o szkole z internatem. Nie chcę być wścibska, ale na tym etapie znamy już swoje największe sekrety.

– Dlaczego tam trafiłaś? To było po śmierci twoich rodziców?

Odrywa łodyżkę od persymony.

– Coś w tym rodzaju. Zanim doszło do, wiesz... – Urywa, ale wiem, co ma na myśli: masowe samobójstwo kultu Wzbierającej Fali, do którego należeli jej rodzice. – Mieszkałam już wtedy z ciotką. Uratowała mnie, gdy moja matka przestała odpowiadać na listy. Siedmiorgu niech będą dzięki, że ciotka to zrobiła, bo inaczej też byłabym martwa. To ona zapisała mnie do szkoły.

Waham się, nalewając sobie więcej wina. Gdy kielich jest już pełen, pytam, może zbyt niedbale:

– Więc kiedy po raz pierwszy weszłaś do Przypływu?

Byers opuszcza owoc.

– Kiedy dowiedziałam się, że moi rodzice nie żyją. W moim pokoju pojawiło się okno zaraz po tym, jak ciotka mnie uświadomiła.

Potakuję, czując, jak ostre papryczki pieką mnie w oczy.

– Ja zobaczyłam swoje zaraz po śmierci brata.

Wspomnienie Patricka powraca – jego bezbronne ciało u stóp klifu, tonące we własnej krwi.

W milczeniu spoglądamy na Tashę – boimy się zapytać, ale liczymy, że powie coś sama. Odsuwa talerz na bok, a na jej twarzy pojawia się dziwny cień.

– Skrzywdziłam kogoś. Nie chciałam, ale to niczego nie zmienia.

Nie rozwija tematu, a my nie naciskamy.

Otwieram ostatnią butelkę wina i piję prosto z gwinta. Gdy trwa nasza uczta, golemy Tashy przechodzą przez pokój, zbierając resztki na kompost. Jesteśmy najedzone i senne, kiedy mój język znowu wyprzedza myśli.

– Więc co zaszło między tobą a Korimarr? – pytam Tashę.

Przyjemne, zwodnicze ciepło rozlewa się po mojej twarzy. Pod lekkim zamroczeniem alkoholu dociera do mnie, że zadałam niebezpieczne pytanie.

Byers zamiera w półgryzie. Tasha patrzy na mnie bez cienia emocji. Moja skóra mrowi – już zaczynam żałować, że zapytałam.

– Nic nie zaszło – odpowiada. – To było powolne oddalanie się od siebie. Zrozumiałam, że nigdy nie uzna mnie za równą sobie.

– Ale ona jest boginią – wyrzucam z siebie, po czym przeklinam się w duchu. Wstrzymuję oddech, czekając na wybuch gniewu.

Ale on nie nadchodzi. Tasha unosi tylko brwi.

– Czy to powinno decydować o tym, kto zasługuje na szacunek i sprawiedliwe traktowanie? Ten, kto ma najwięcej władzy?

– I Siedmioro po prostu cię zostawiło? – pyta Byers. – Nigdy nie próbowali cię powstrzymać przed życiem w Przypływie?

– Jak mieliby to zrobić? Zabić mnie?

Czy mogliby ją zabić? Ta myśl mnie mrozi. Ale gdyby chcieli ją skrzywdzić, już by to zrobili. W pokoju zapada niewygodna cisza.

Tasha wciąga powietrze.

– Siódemka nigdy by mnie nie zabiła. Ani was. Kochają swoich ulubionych śmiertelników. Myślę, że Korimarr kocha

mnie do dziś. Ale jesteśmy dla nich tylko potulnymi zwierzątkami. Niczym więcej.

– Zachowałaś swoją magię? – pytam. – Swoją zdolność poznawania prawdy?

Kącik ust Tashy się unosi.

– O tak, to mi zostało. Nie mogą odebrać tego, czego nauczyli. Ale moja magia jest inna niż u Bernadette. Moja to... prototyp jej mocy.

Byers prostuje się.

– Na czym polega?

– Powiedzmy to tak. Ty potrafisz powiedzieć, co jest prawdą – mówi, skinieniem głowy wskazując Byers. Jej uśmiech się rozszerza. – Ja potrafię powiedzieć, co jest słuszne.

– Jaka to różnica? – pytam.

– Myślę, że czas na demonstrację. Mono, zadam ci pytanie. Odpowiedz szczerze. Bernadette, potwierdź, że mówi prawdę.

Byers kiwa głową. Moje ramiona napinają się od stresu.

– Mono – mówi Tasha – czy pozwoliłabyś niewinnym ludziom umrzeć, byle tylko nie zasiąść na tronie?

Powietrze staje się nagle ciężkie, jakby ktoś rzucił na mnie stos wełnianych pledów. Czy naprawdę pozwoliłabym innym umrzeć, byle uniknąć korony? Myślę o Parsonsie – i o tym, że jego śmierć umożliwiła mi ucieczkę. Już to jedno wiele mówi.

– Tak – szepczę. – Czy moje szczęście nie ma znaczenia? Dlaczego miałabym się poświęcać?

Następuje długa pauza – jak wieczność.

– Mówi prawdę – potwierdza Byers. W jej głosie pobrzmiewa zawód, który uderza mnie jak cios.

Tasha uśmiecha się.

– Mówi prawdę, ale nie ma racji.

Podnoszę wzrok.

– Co to ma znaczyć?

– Ludzie często mówią rzeczy, w które wierzą, ale to nie czyni ich prawdziwymi. Czasem mają błędne informacje. Albo wydaje im się, że kogoś znają, a jednak się mylą. Zdarza się nawet najlepszym.

Wpatruje się we mnie, a ja nie mogę oderwać wzroku. Chcę zakryć twarz i się rozpłakać.

– Mylisz się we własnej ocenie, Mono – mówi z uśmiechem. – Jesteś silniejsza, niż sądzisz. A kiedy przyjdzie czas, będziesz z siebie dumna.

29

Budzę się z bolesnym kacem po winie. Tasha i Byers jedzą już śniadanie, gdy ja dopiero kończę mycie, ubieranie się i nakładanie alchemicznej maści, którą Tasha dała mi na palec. Specyfik działa cuda – skóra dobrze się goi na kikucie. Chwytam w jedną rękę dwie persymony, w drugą nadziewaną paprykę z wczoraj i rzucam się na poduszkę.

Kończę ostatni kęs owocu, gdy Tasha mówi:

– Jesteście już gotowe. Obydwie.

Zatrzymuję rękę w połowie drogi do ust, palce mam lepkie od soku.

– Co?

– Powiem wam, jak przetrwać w Przypływie.

Byers odstawia kubek na podłogę, oczy ma rozszerzone ze zdumienia.

– Mówiłaś, że jesteśmy zbyt słabe.

– Już nie jesteście.

– Ale przecież tylko czytałyśmy książki! – protestuję.

Na ustach Tashy pojawia się krzywy uśmiech.

– Chcesz dowodu? Spróbuj. Spróbuj dowiedzieć się czegoś o zamku.

Serce wali mi w piersi.

– Nie mogę. Potrzebuję centrum skupienia...

– Spróbuj.

Co mam zrobić? Muszę dać z siebie wszystko, choćby tylko po to, by udowodnić, że się myli. Zamykam oczy.

Od czego zacząć?

Nie chcę wiedzieć niczego o zamku. Zamiast tego myślę o mojej rodzinie. Zadaję pierwsze pytanie, jakie przychodzi mi do głowy.

Czy moi rodzice wiedzą, że zniknęłam?

Nic się nie dzieje i moje ramiona opadają. Czego w ogóle się spodziewałam? Moja magia nigdy nie będzie niczym więcej niż salonową sztuczką – w porównaniu z mocą Byers i Tashy.

Ale gdy tak pogrążam się w rozczarowaniu, coś się zmienia. W moim umyśle pojawia się bezbarwna nić. Pociąga moją świadomość, prowadząc mnie gdzieś. Chwytam ją. Wciąga mnie w czerń jak łagodny prąd, a wokół faluje nicość. To uczucie jest inne niż wcześniej. Dotąd wiedza wynurzała się z odmętów jak foka wystawiająca wąsy na powietrze. Teraz to ja zanurzam się w prawdę.

Odpowiedzi zaczepiają się o mnie, gdy płynę w dół. Rodzice nie wiedzą o moim zniknięciu – ktoś to przed nimi ukrywa. Ale mimo to tęsknią. Zastanawiają się, czy jeszcze kiedyś ich odwiedzę, czy będą musieli ciągnąć swoje schorowane ciała aż do zamku. Mają nadzieję, że jestem teraz szczęśliwsza.

Otwieram oczy z gwałtownym oddechem.

Byers dyszy obok mnie, z dłonią przyciśniętą do piersi. Szeptem pyta:

– No i jak?

– Wasze szkolenia się powiodły – mówi Tasha z uśmiechem. Gdy obie na nią patrzymy, dodaje: – Chcecie wiedzieć, w jaki sposób Przypływ szkodzi śmiertelnikom?

Kiwamy głowami.

– Nie szkodzi – mówi. – Wcale nas nie rani. Sprawia, że jesteśmy potężniejsi.

W uszach słyszę tylko brzęczenie.

– To niemożliwe – mówię, z trudem przełykając ślinę. – Cały ten system ochronny wokół twojego domu...

– Nie było żadnej ochrony. Zmyśliłam to. Przez dwa miesiące byłyście wystawione na surową magię Przypływu – i nic wam nie jest. Jesteście w lepszym stanie niż kiedykolwiek.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Ale... dlaczego?

Tasha nie czeka na dalsze pytania.

– Bo jesteśmy ich pupilami, nie istotami na ich poziomie. A im potężniejsze się stajemy, tym trudniej nas kontrolować.

Byers dochodzi do siebie szybciej niż ja.

– Jak się tego dowiedziałaś? – pyta cicho. W jej głosie pobrzmiewa podziw.

– Kiedy tu przybyłam i założyłam osadę, odpowiedzi same zaczęły się układać. Nie planowałam się tym dzielić. Nie spodziewałam się, że ktoś mnie znajdzie. – Rzuca Byers spojrzenie pełne dumy i irytacji jednocześnie. – Ale nie ma wątpliwości. Przypływ jest całkowicie bezpieczny. Jestem tego żywym dowodem.

Nie znajduję słów. Wbijam wzrok w pustkę. Przez te wszystkie lata mogłam żyć w Przypływie. Nic mi nie stało na przeszkodzie poza kłamstwami Irinorra. Zawsze, gdy czułam strach, upokorzenie, gdy byłam ranna – mogłam się schronić. Bez konsekwencji. Mogłam zostać tu na zawsze. A bogowie ukryli przede mną jedyną rzecz, której naprawdę pragnęłam.

Po co? Żeby nie pozwolić mi osiągnąć ułamka ich mocy?

Byers prostuje się nagle i wciąga powietrze.

– Zabójca w zamku… Czy mogłybyśmy go teraz wytropić?

– Bogowie nie zdołali – zauważam ponuro, choć trudno mi się przejąć moim prześladowcą z sekty.

– Sami przyznali, że ich magia jest osłabiona.

– Nie zaszkodzi spróbować – mówi Tasha.

Próbowanie już nieraz sprawiło mi ból, ale Byers i Tasha są zdecydowane. Wzruszam ramionami.

Zamykamy oczy i podejmujemy próbę wróżby. W myślach wracają groźne liściki, ciało Parsonsa, odłamki błyszczącego kryształu rozsypane na moim łóżku. Znów czuję ten sam cień winy, ten sam niepokój. Nic więcej. Otwieram oczy.

Byers też patrzy na mnie.

– I co?

– Nic – wzdycham. – U ciebie?

– To samo – mówi powoli. Wiem, że zaraz powie coś, czego nie chcę usłyszeć. – Zawsze możemy wrócić do zamku i spróbować jeszcze raz.

Ach, no właśnie.

– Proszę cię, bądź poważna…

– Mówię poważnie! Masz z tą sprawą wyjątkową więź, Mona. Jeśli wrócisz i przeprowadzisz odczyty na miejscu, z notatek, z miejsc zbrodni – możesz odnaleźć mordercę Parsonsa. I oczyścić swoje imię.

Pot oblewa mi kark. Ogarnia mnie fala paniki, jakby jej słowa mogły dosłownie przenieść mnie z powrotem.

– Czy ty naprawdę chcesz, żebym wróciła tam, gdzie jestem główną podejrzaną w sprawie morderstwa popełnionego przez jakiegoś fanatyka? – Odwracam się do Tashy. – Czy kontakt z Przypływem uszkadza też mózg?

– Jesteś niemożliwa – syczy Byers, po czym odwraca się na pięcie i wychodzi do wieży bibliotecznej.

Tasha, siedząca za wysepką kuchenną, spokojnie popija herbatę. Opadam na poduszkę i jęczę. Przez chwilę wszystko było dobrze. Miałyśmy rutynę, wszyscy byli zadowoleni. Dlaczego Byers musiała to zepsuć?

– Czyli nie wyjeżdżasz? – pyta Tasha, odkładając filiżankę z cichym stukiem.

– Nie – burczę. – Nie wyjeżdżam.

– Myślałam, że przybyłaś tu, żeby wzmocnić swoją magię. Czy nie osiągnęłaś tego celu?

Przewracam oczami.

– Chciałam ją wzmocnić, żeby móc tu zostać. Nie pamiętasz?

– Racja. – Przesuwa dłonią po linii szczęki. Jej blada skóra wydaje się niematerialna w świetle czarodrzewu. – Chcesz zostać w Przypływie. Na zawsze. Bez przyjaciół, bez imprez, bez jedzenia, bez wina. Bez seksu. Bez klientów, którym

mogłabyś zaimponować. Całkowita izolacja. To na pewno nie strach cię tu zaprowadził. Nie, to musi być twoje najgłębsze pragnienie.

Płonę na twarzy. Skóra swędzi od poczucia obnażenia.

– Ty też uciekłaś do Przypływu. Nie bądź hipokrytką.

Tasha milczy przez chwilę. Potem podchodzi i kuca obok mnie. Opiera dłonie na kolanach i czeka, aż spojrzę jej w oczy. Patrzy na mnie w ten sposób, którego nie znoszę – przenikliwie, znajomo, cierpliwie.

– Przyszłam tu, bo chciałam – mówi spokojnie. – Chcę takiego życia. Jeśli możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że ty też go chcesz – naprawdę chcesz, całym sercem – to nie powiem już ani słowa.

Splatam dłonie i wpatruję się w nie. Czy kiedykolwiek zapytałam samą siebie, czego naprawdę chcę? Zazwyczaj staram się unikać tego, co mnie przeraża. Potrafię uciekać, ale nie umiem wybierać. Ale Tasha ma rację – nie potrafiłabym żyć tym jej ascetycznym, pustelniczym życiem.

Co mi więc pozostaje?

Tasha pstryka mi palcami przed twarzą. Podnoszę głowę.

– Już czas, Mono. Daj sobie pozwolenie na życie. – Patrzy mi głęboko w oczy. – Tego chciałby dziś Patrick.

Łzy napływają mi do oczu, aż rzęsy stają się mokre i obraz się rozmazuje. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wypowiedziała przy niej jego imię. Ale Tasha oczywiście wie. I choć jeszcze nie jestem gotowa… może kiedyś będę.

– A co, jeśli nie dam rady? – szepczę.

– Wtedy wyjdzie na to, że się mylę. A to jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

Parskam śmiechem, ocierając policzek.

Mam nadzieję, że jej nie zawiodę.

Nie mamy wiele do pakowania, nie potrzebujemy też żadnych przygotowań do podróży. Zarówno Byers, jak i ja potrafimy przywołać okno prowadzące prosto do zamku. Nic nas tu nie trzyma. A jednak spędzam poranek przy frontowych drzwiach Tashy, wpatrując się w krajobraz Przypływu, podczas gdy koralikowe zasłony unoszą się wokół mnie jak macki.

– Arnett – mówi Byers za moimi plecami. Jej głowa wychyla się zza rogu.

– Nie widzisz, że jestem zajęta? – rzucam i znów odwracam się do Przypływu.

– Musisz się spakować.

Zaciskam usta.

– Mam w sumie może ze trzy rzeczy. Jestem gotowa tak bardzo, jak tylko się da.

– Dobrze. Bo ja nie dam sobie rady sama, wiesz? – mamrocze Byers.

Spoglądam na nią. Przesuwa palcami po drewnianym panelu, wpatrzona w jego słoje. Pochylam głowę, ukrywając

uśmiech. Czyżby Bernadette naprawdę chciała, żebym była blisko?

– No dobrze – wzdycham. – Ale jeśli zostanę aresztowana, zamordowana, stracona albo coś w tym rodzaju, to będzie twoja wina.

Byers rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie.

– Po prostu się pakuj, Arnett.

Niechętnie idę sprawdzić swoją torbę podróżną. Gdy wracam do salonu z torbą przewieszoną przez ramię, Byers stoi sama, ściskając swój wypchany plecak. Jej oczy są wilgotne.

– Na blacie jest notatka – jąka się niepewnie.

Marszcząc brwi, podchodzę, by sprawdzić. Na kuchennej wyspie leży kartka papieru, na której zapisano kilka linijek:

> ***Wyszłam. Nie czekajcie na mnie. Chroń w sobie wszystko, czego cię nauczyłam – jeśli jeszcze tego nie zapomniałaś, Mono.***
>
> ***Jestem z was dumna. Proszę, nigdy tu nie wracajcie, nawet jeśli czegoś potrzebujecie. Nie – zwłaszcza jeśli czegoś potrzebujecie.***
>
> ***Tasha***

Parskam, mrugając, by osuszyć oczy, zanim odwrócę się do Byers.

– Zbyt wielki z niej tchórz, by się pożegnać – mamroczę. – No i lepiej bez wielkich czułości. Zbierajmy się stąd.

Byers przytakuje, pociągając nosem. Wyciąga drżącą rękę i otwiera okno. Żołądek ściska mi się w supeł. Oto nasze

przejście z powrotem do Opalvale – do życia, które próbowałam zostawić za sobą. Byers bierze głęboki wdech i przechodzi.

Ostatni raz rozglądam się po salonie Tashy. Mam niemal pewność, że pojawi się w drzwiach, z tym swoim kpiącym uśmiechem. Ale nic takiego się nie dzieje.

Zaciskam powieki i przechodzę przez okno.

Nawet z zamkniętymi oczami wiem, że jest ciemno. Otwieram je powoli. Jesteśmy w sali konferencyjnej magów, gdzie czarodziejskie lampy żarzą się słabym światłem. Zegar dziadka w kącie wskazuje wczesny poranek – tuż przed świtem.

– Co teraz? – szepczę, choć nie ma nikogo, kto mógłby nas podsłuchać. Nie przemyślałam tego aż tak daleko. Nikt nie wie, gdzie byłyśmy, a my nie mamy pojęcia, co dzieje się tutaj. Komnata Whitmana mogłaby być dobrym pierwszym przystankiem – gdybym wciąż nie była na niego wściekła.

– Właściwie – zaczyna Byers i odchrząkuje – myślałam, żeby zobaczyć się z Elizabetą.

Racja – nigdy nie powiedziała ukochanej, jak długo jej nie będzie.

– Och, lepiej to zrób.

Byers mruczy coś pod nosem.

– Ty wróć do swoich apartamentów. Spotkamy się tam i zdecydujemy, co dalej.

Byers odchodzi. Ja ruszam w przeciwnym kierunku, biegnąc korytarzem praktyków do moich kwater. Wślizguję się do środka, zamykam drzwi i opieram się o nie plecami.

Rozglądam się, łapiąc oddech. Wszystko wygląda tak jak wtedy, gdy odchodziłam – nawet jedwabny pantofelek, który zsunął mi się z nogi w pośpiechu.

Nigdy nie sądziłam, że tu wrócę. Czy to była dobra decyzja? Pewnie dowiem się, dopiero gdy złapiemy mordercę – albo nie.

Ostrożnie przechodzę przez pokój, jakbym bała się, że to tylko iluzja. Siadam na szezlongu i wygodnie opieram się o tapicerowane oparcie. Zamykam oczy i czekam.

Gwałtowne pukanie zmusza mnie do ich otwarcia.

– Można wejść – wołam, spodziewając się Byers.

Ale do środka wchodzi Elizabeta.

– Panno Arnett – mówi z łzawym uśmiechem, przykładając dłoń do serca. – Nic pani nie jest? Tak się o was martwiłam.

Rumienię się, zakłopotana tą jawną troską.

– Rozumiem, że rozmawiałaś już z Byers?

– Tak, zaraz tu przyjdzie. Przebiera się w czystą suknię. Wiesz, jaka jest Bebe z tymi swoimi sukniami.

Bebe? Muszę się powstrzymać od chichotu. Och, Byers nigdy się z tego nie wykaraska.

Kiedy walczę ze sobą, by zachować powagę, przychodzi mi do głowy pomysł.

– Wiem, że przyszłaś tu jako przyjaciółka – mówię – ale nie miałabyś nic przeciwko małemu zleceniu?

– Oczywiście, że nie. O co chodzi?

Zakładam nogę na nogę.

– Czy mogłabyś wezwać mistrza Whitmana i poprosić go, by przyszedł do mnie jak najszybciej?

– Och!... – Oczy jej się rozszerzają. – Czy on wie, że pani wróciła?

– Wkrótce się dowie – odpowiadam z półuśmiechem.

Kiedy Elizabeta idzie po Whitmana, nalewam sobie whisky z karafki na toaletce – luksus, którego brakowało mi aż za bardzo. Wschodzące słońce przesącza się przez zasłony, rzucając subtelny blask na pokój. Wygodnie układam się z nogami wyciągniętymi na leżance, kręcąc szklanką w dłoni. Dziwne, jak bardzo to przypomina powrót do domu.

I jak na zawołanie Whitman wpada do pokoju, burząc mój spokój. Brakuje mu tchu, a spojrzenie ma dzikie. Serce podskakuje mi do gardła.

– Na niskich bogów, Whitman – mówię, udając zgorszenie i unosząc whisky jak tarczę. – Nie puka się przed wejściem do pokoju damy?

Patrzy na mnie, jakbym była duchem. Kusi mnie, by poczuć się winną, że po prostu zniknęłam. Wprawdzie zasłużył. Ale widzieć go tutaj – kiedy byłam pewna, że już nigdy go nie zobaczę – uwalnia we mnie gejzer chaotycznych emocji.

Siadam prościej i odstawiam whisky.

– No? – Ponaglam ruchem ręki. – Masz mi coś do powiedzenia?

– Więc żyjesz... – mówi szorstkim tonem.

Gula rośnie mi w gardle.

– Oczywiście, że żyję. Jak długo nas nie było?

– Dwa tygodnie. Kiedy panna Byers nie wróciła...

– Byłyśmy zajęte. – Spuszczam wzrok na niespokojne dłonie, walcząc z poczuciem winy.

– Zajęte? Przez d w a t y g o d n i e? Czy masz pojęcie, co musiałem zrobić, żeby was kryć? Zniknęłaś w środku śledztwa! Musiałem wymyślić fałszywą chorobę, fałszywą kwarantannę – przekupiłem lekarza!

Patrzę na niego z otwartymi ustami. Naprawdę to zrobił?

– Nie prosiłam cię o to – syczę, zamiast powiedzieć „dziękuję". Natychmiast tego żałuję.

Jego twarz czerwienieje.

– Po co w ogóle wróciłaś?

– Żeby oczyścić swoje imię – odpowiadam słowami Byers. Krzyżuję ramiona. – Zamierzam udowodnić, że nikogo nie zabiłam. Byers i ja mamy teraz silniejszą magię. Możemy znaleźć mojego sekciarza i wsadzić go za kratki.

– Co? – Whitman wygląda, jakby się kurczył, przytłoczony. – Jak zamierzacie to zrobić?

Ogarnia mnie współczucie. Podchodzę krok bliżej.

– Wymyślę to po drodze. Ja... przepraszam, Whitman. – Zbliżam się jeszcze trochę. – Kiedy powiedziałeś mi, że jestem podejrzana, spanikowałam. Nie wiedziałam, co robić.

– Nie powinnaś była uciekać. – Ostrożnie sięga i muska moje ramię. Nie sądzę, by w ogóle zdawał sobie z tego sprawę. Chciałabym się do niego przytulić, ale zniszczyłabym urok tej chwili.

Byers wybiera idealny moment, by wejść do pokoju. Whitman natychmiast odsuwa się i odwraca plecami.

Byers spogląda to na mnie, to na niego.

– Widzę, że Arnett już cię uświadomiła.

– Witaj z powrotem – mówi Whitman głosem ciężkim od sarkazmu. – Rozumiem, że zamierzacie złapać mordercę.

– Nie ja. – Bernadette rzuca mi znaczące spojrzenie.

Pocieram przedramiona, czując, jak przechodzi mnie dreszcz. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Potrzebuję więcej czasu, żeby się przygotować. Ale tak naprawdę nic mnie nie powstrzymuje. Biorę głęboki oddech i podchodzę do komody, gdzie leżą listy od mojego prześladowcy. Wybieram ten najnowszy, z którym miałam najwięcej szczęścia. Ściskam róg papieru, masując go opuszkami palców. Żołądek podchodzi mi do gardła. A co, jeśli tym razem znów nie zobaczę nic nowego?

Odrzucam wątpliwości i zagłębiam się w wizję. Ciemność ogarnia mnie falami. Czuję go natychmiast – znajomy, przytłaczający lęk. Nic nowego. Naciskam mocniej, wreszcie przebijam się głębiej. Widzę: zamazane obrazy czarnych obelisków, drżących z gniewu. Strach przygniata mnie do ziemi. Jestem winna, ale też przerażona. Drżę na myśl o tym, co się wydarzy, gdy nadejdzie dzień sądu.

Powoli otwieram oczy, jakby moje rzęsy były sklejone melasą. Marszczę brwi, patrząc na notatkę w dłoniach. Nie mogę być pewna, ale chyba wiem, co zobaczyłam.

– Są winni – mówię na głos, analizując to. – Boją się… boskiej kary. Może dlatego, że bogowie są tutaj, w zamku? – Przechylam głowę, próbując to rozgryźć. – Ale to nie na bogach się skupiają. Chodzi o kaplicę. Modlą się tam każdej nocy.

Mija kilka sekund.

– I to już wszystko? – pyta Byers, lekko rozczarowana.

Rzucam jej gniewne spojrzenie.

– Chętnie zobaczę, jak radzisz sobie lepiej, Bebe.

Jej czoło marszczy się w ponurą fałdę.

– Udaję, że tego nie słyszałam.

– Że czego nie słyszałaś, Bebe?

– Więc kaplica – wtrąca Whitman. – Morderca spędza tam dużo czasu? Może powinniśmy wystawić straże do obserwacji.

– To jakiś początek – mówię. Mam nadzieję, że to wystarczy. Nie wiem, czy zdołam wydobyć więcej informacji z notatek lub miejsc zbrodni.

Zerkam na Whitmana niepewnie, próbując odczytać jego nastrój. Czy jest zadowolony z mojego odczytu? Czy cieszy się, że wróciłam? Nie powinnam się tym przejmować – nie po tym, jak mnie potraktował. Jak mnie okłamał.

Ale gdy nasze spojrzenia się spotykają, a on pospiesznie odwraca wzrok i przełyka ślinę, trudno mi dalej chować urazę.

30

Dwoje gwardzistów odprowadza mnie do sali obrad. W środku zastaję Isaaca, siedzącego samotnie na swoim okazałym krześle u szczytu stołu. Jest przygarbiony, wpatruje się w lśniącą wieżę nexusa stojącą na środku blatu. Twarz ma wychudzoną, policzki ostre i spiczaste, a cienie pod oczami głębokie jak siodłowe sakwy, ale wyraz twarzy pozostaje czujny.

Zajęło to więcej czasu, niż się spodziewałam – król zażądał spotkania dopiero po trzech dniach. Przez ten czas tkwiłam w swoich pokojach, nikt mi nie przeszkadzał. Czy Whitman powiedział Isaacowi, gdzie byłyśmy przez te dwa tygodnie albo co robiłyśmy po powrocie? Nie żeby moje ostatnie wysiłki przyniosły jakikolwiek efekt. Kolejne próby wróżb na temat kultysty nie ujawniły niczego nowego.

– Miło spędziłaś wakacje? – zaczyna Isaac, nie odrywając wzroku od nexusa.

A więc Whitman powiedział mu przynajmniej tyle, że nie leżałam przykuta do łóżka z paskudnym przeziębieniem.

– Czuję się znacznie lepiej, dziękuję – odpowiadam i siadam obok niego, na miejscu Whitmana. – Wasza Wysokość chciał ze mną porozmawiać?

– Raczej cię uratować. – Uśmiecha się sucho. – Rada chciała cię przesłuchać. Udało mi się ich przekonać, żeby pozwolili mi przeprowadzić rozmowę sam na sam.

Wspaniale. Rada wciąż jest przeciwko mnie. Wątpię, by kiedykolwiek dali mi szansę – nawet zanim zaczęły się groźby. Może Byers ma jednak rację – naprawdę chcę oczyścić swoje imię. Wystarczająco już ucierpiało.

Boję się zapytać, czy bogowie również chcą mnie ukarać. Na pewno domyślili się, dokąd zniknęłyśmy z Byers. Złamałyśmy ich kardynalną zasadę. Muszą być wściekli – a może, co gorsza, rozczarowani. Ale ja wciąż nie przestałam być na nich zła za kłamstwo o oddziaływaniu Przypływu na śmiertelników. To trochę tłumi mój strach.

– Czego ode mnie chce rada? – pytam, opierając się wygodnie i splatając dłonie za głową. Im bardziej swobodnie się zachowuję, tym mniej się martwię. – Chcą usłyszeć przejmującą opowieść o mojej walce z zarazą?

Jego uśmiech się poszerza.

– Właśnie. Twoja „choroba" nie pomogła sprawie, ale to nie jest główne zmartwienie mistrzów. Krąży plotka, że sama prowadzisz śledztwo w sprawie śmierci Parsonsa?

Ściska mnie w żołądku.

– Powiedziała ci to z pewnością mistrzyni Renfield? Bo to był jej pomysł.

– Tak, wspomniała o tym. Ale mam na myśli odczyty magiczne, które wykonałaś. Delmar próbował podać wasz trop z kaplicą jako oficjalny kierunek śledztwa, ale nikt się na to nie nabrał. Mistrzowie są wściekli. Najwyraźniej nie jest

standardową procedurą pozwalać podejrzanemu prowadzić dochodzenie w sprawie zbrodni, o którą jest oskarżony.

Nieomal parskam śmiechem. Boli mnie potwierdzenie tego, co Whitman powiedział tamtej nocy, gdy odeszłam. Przynajmniej król Isaac zdaje się wierzyć w moją niewinność, skoro wypowiada się tak otwarcie.

– Ale to nie wszystko, o czym chciałem porozmawiać – mówi nagle, wyraźnie zdenerwowany. Odwraca wzrok. – Czy kiedykolwiek się pomyliłaś w doborze bratnich dusz?

Marszczę nos.

– Nie, nigdy. Dlaczego pytasz?

Kręci głową nieobecnie, rysując palcem zawijas na stole rady.

– Nic takiego. Po prostu... to wszystko jest takie... pogmatwane. Kiedy wyjechałaś do Przypływu, martwiłem się, oczywiście – chciałem, żebyś była bezpieczna – ale też... – krzywi się, jakby bał się powiedzieć coś niewłaściwego – odczułem pewną ulgę, wiedząc, że moja bratnia dusza zniknęła z horyzontu. Gdybym potem poślubił kogoś innego, już nie czułbym się tak źle.

To dla mnie jak policzek. Nigdy nie chciałam być bratnią duszą Isaaca, ale boli usłyszeć, że wolałby, żebym zniknęła na dobre. Zmuszam się do uśmiechu, usiłując ukryć żal.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam, ale utknąłeś w tej wróżbie ze mną.

– Rozumiesz to na opak. Lubię cię, Mono, naprawdę. Ale od początku wiedziałem, że nie jesteś mną zainteresowana. A tymczasem... ktoś inny być może jest.

Z pewnością istnieją całe zastępy osób zainteresowanych poślubieniem Isaaca, ale wiem, o kim teraz mówi.

– Elsie Tanner?

Isaac sztywno kiwa głową.

– Niedługo będę musiał wybrać królową. Tylko... co, jeśli wybiorę źle? – Patrzy na mnie z niepokojem. – Jesteś moją bratnią duszą. Słyszałaś, co Semyanadd powiedział o nexusie, w jak wielkim niebezpieczeństwie jest śmiertelny świat. Jak mógłbym ryzykować wybór kogokolwiek innego?

Odsuwam się, przerażona.

– C-co? Chyba nie mówisz poważnie. N-nie mogę być królową. Rada nigdy by na to nie zezwoliła.

– Wiem – wzdycha, a moje ciało zalewa fala ulgi. – To tylko moje głupie, pokręcone myśli. Nie chcę pokpić tej sprawy.

– Nic nie zepsujesz. – Nieporadnie sięgam po jego dłoń, ale w ostatniej chwili tracę odwagę i zatrzymuję się tuż przed, tak że nasze małe palce ledwie się stykają. – Wszystko będzie dobrze.

Isaac uśmiecha się z wdzięcznością. Na szczęście dla mnie nie ma magii prawdy Byers.

Drzwi sali obrad otwierają się z głośnym szczękiem. Do środka wchodzi Whitman, a na twarzy ma wypisany pośpiech. Zatrzymuje się, widząc mnie i Isaaca, nasze niemal stykające się dłonie. Odsuwamy się od siebie.

– Witajcie – mówi sztywno Whitman.

– Delmar – odpowiada Isaac z przesadnie promiennym uśmiechem, klepiąc miejsce po swojej lewej. – Usiądź z nami.

– Nie mogę. Właśnie dostałem wiadomość – mówi Whitman głosem pełnym powagi. – Mistrz Oversea ma podejrzanego w areszcie.

Wstaję i opieram dłonie na stole, czując, jak gorąco rozchodzi się wzdłuż kręgosłupa.

– Kto to?

– Nazywa się Simon Hansen. Jeden z gwardzistów Oversea.

Simon Hansen? To nazwisko nic mi nie mówi. Kim jest ten człowiek – ten potwór – i dlaczego wziął mnie na cel?

– Jak go złapali? – pyta Isaac z napięciem w głosie.

– Nie złapali. Panna Arnett to zrobiła. – Whitman skłania przede mną głowę, a moje serce rozjaśnia nieśmiały promień dumy. – Jej wskazówka dotycząca kaplicy przyniosła efekty. Od czasu, gdy zaczęliśmy obserwację, przychodził tam każdej nocy. Przeszukaliśmy jego kwaterę i znaleźliśmy tę samą linę, której użyto do powieszenia pana Parsonsa, oraz symbol narysowany na skrawku papieru. Ten szczegół nigdy nie został ujawniony publicznie.

Nie mogę tego pojąć. Złapanie kultysty wydawało się nierealne – i wciąż tak się wydaje. Bo to wszystko nie ma żadnego sensu. Zbrodnia bez motywu.

– Czy powiedział, dlaczego to zrobił?

– Przyznał się do zabicia pana Parsonsa, ale poza tym nie powiedział ani słowa. Zgaduję, że kogoś chroni. Ten, kto go wynajął, musi mieć prawdziwy motyw zemsty.

Ta niejasność jest niemal gorsza niż całkowita niewiedza. Drapię przedramię, aż skóra czerwienieje. Jeśli Simon Hansen

działał na czyjeś zlecenie, to moja misja się nie skończy, dopóki nie dowiem się, kto naprawdę za tym stoi.

Krew zastyga mi w żyłach, gdy pewna myśl zakrada się do głowy: Gildia Wzbierającej Fali. Użył ich symbolu; może to właśnie oni pociągają za sznurki? Ale dlaczego? Czuję palącą potrzebę, by pójść do lochów i potrząsnąć Hansenem. Po tym wszystkim czy naprawdę nie mógłby chociaż tej części uprościć?

– Wasza Wysokość – kontynuuje Whitman. Może to tylko moje wyobrażenie, ale brzmi nieco sarkastycznie. – Chciałem z tobą porozmawiać. – Rzuca mi krótkie spojrzenie. – Na osobności.

Ciekawi mnie, co ma do powiedzenia Isaacowi w tajemnicy, ale nie zamierzam zmarnować okazji, by wrócić do swoich komnat.

– Wasza Wysokość – mówię, kłaniając się królowi. W drodze do drzwi dodaję: – Mistrzu Whitman. – Przechodzę wystarczająco blisko, by musnąć jego rękaw, a dreszcz przebiega mi po skórze.

Strażnicy eskortują mnie z powrotem do komnat – ale czy to wciąż konieczne? Chyba tak. Simon Hansen jest w areszcie, ale prawdziwy mózg za tą sprawą nadal gdzieś się ukrywa. Szpiedzy Renfield również mogą mnie obserwować. Z irytacją zatrzaskuję drzwi, zostawiając gwardzistów na zewnątrz.

Spędzam popołudnie, rozmyślając o prześladowcy. Dlaczego Hansen – albo ktoś, kto go wynajął – ingerował w moje życie? I skąd wiedział o przepowiedni bratnich dusz? Jeśli to była Gildia, mieli ku temu środki… ale jaki motyw?

Gdy myślę, że skończyłam obsesyjnie rozważać wszystkie scenariusze, w głowie odzywa się pytanie Isaaca: czy kiedykolwiek pomyliłam się w odczycie bratniej duszy?

Rok temu uznałabym to za niemożliwe.

Teraz już nie jestem tego taka pewna.

Isaac wydaje się związany z Elsie więzią, z którą nie mogę konkurować. Czy mogłam to schrzanić? Czy mój najpewniejszy dar zawiódł? A jeśli tak, to kim właściwie jestem?

Zniecierpliwiona, sięgam po chusteczkę Isaaca – tę, którą przyniósł mi Whitman po odczycie. Może po czasie spędzonym w Przypływie dostrzegę coś nowego. Choć szanse są nikłe. Dotychczasowe wizje zawsze wyglądały tak samo: wynurzam się, potem wracam, a na koniec uderza mnie moje własne imię. Za każdym razem. Dokładnie. Tak. Samo.

Serce zamiera.

Tasha mówiła, że sfałszowane odczyty łatwo rozpoznać – bo za każdym razem są identyczne.

Moje dłonie drżą. Palce lepią się od potu.

Czy mój odczyt bratniej duszy został zmanipulowany?

Biegnę do komnat Byers. Walę w drzwi, dopóki nie otwiera – w czepku, z rozczochranymi włosami, zaspana i rozdrażniona. Wpadam do środka z chusteczką w dłoni.

Pokój jest schludny, miękko oświetlony, z białymi zasłonami i ścianą wymalowaną w baobaby i kwitnące pnącza. Pamiętam jej opowieści o domku nad jeziorem. Może sama to namalowała?

– A jeśli jednak nie jestem bratnią duszą Isaaca? – pytam, splatając dłonie jak do modlitwy.

– I właśnie z tego powodu mnie obudziłaś? – burczy, przecierając oczy. – Jesteś jego bratnią duszą, Arnett. Nie próbuj się z tego wykręcać.

– Ale wysłuchaj mnie – nalegam i przedstawiam swoją teorię.

Senność znika z jej twarzy. Oczy zaczynają błyszczeć.

– To niemożliwe. Prawda? Jak znaleźć prawdziwy odczyt?

Może teraz, z nową mocą, zdołam rozróżnić prawdę od fałszu. Pręży mi się ciało.

Ściskam chusteczkę i zamykam oczy.

Kto jest prawdziwą bratnią duszą króla Isaaca?

Pytanie rozbłyska w głowie jak błyskawica. Fałsz kruszy się, a prawda spada z hukiem. Otwieram oczy.

I śmieję się.

– To ona! – Rzucam się w ramiona Byers. Ona odwzajemnia uścisk niemal histerycznie. – To Elsie! Ona jest bratnią duszą Isaaca! Wcześniejszy odczyt był sfałszowany – ale to ona, Byers. To ona!

– Elsie jest królową – szepcze Byers. – Bogowie, to naprawdę ona.

Zakrywam drżące usta rękami.

– Ktoś próbował ingerować w moją wróżbę – mówię. – Po co, nie wiem. Ale nie przewidzieli jednego: że spędzę dwa tygodnie w Przypływie i zdobędę moc, by przejrzeć ich oszustwo.

– Faktycznie na to wygląda – mówi Byers, patrząc w dal. – Słyszałaś o Simonie Hansenie? Tym podejrzanym?

Potakuję. Dwie siły działające niezależnie? Mało prawdopodobne. Jeśli Hansen lub jego zleceniodawca zmanipulował wróżbę, to wiele wyjaśnia. Ale dlaczego? Co chcieli osiągnąć, udając, że jestem bratnią duszą króla? Musiał to zrobić ktoś równie potężny, jak Tasha. Ale dlaczego ktoś taki miałby działać przeciwko mnie?

– Król Isaac musi się o tym dowiedzieć – mówi Byers. – I rada.

– Zgoda. – Skaczę na równe nogi. Kręci mi się w głowie, ale nie mogę przestać się uśmiechać. – Ja powiem Whitmanowi. Ty zbierz mistrzów.

Działa bez słowa sprzeciwu.

Ruszamy w przeciwnych kierunkach. Pędzę do komnat Whitmana i walę w drzwi. Po długiej chwili otwiera – zaspany, z zarostem i rozchełstaną koszulą. Wpadam do środka.

– Nie jestem bratnią duszą Isaaca – mówię bez tchu. – To Elsie Tanner. Ktoś ingerował w moją przepowiednię.

Whitman potrząsa głową, przeczesując włosy dłonią. Próbuje coś powiedzieć, ale nie wydobywa z siebie ani słowa – tylko cichy dźwięk zaskoczenia. Jest wystarczająco blisko, bym mogła go objąć ramionami.

Zaciskam pięści przy bokach, żeby nie wyciągnąć do niego ręki.

– Nie wiem dlaczego, Delmar, ale ktoś zmanipulował moją wróżbę. Prawdopodobnie ta sama osoba, która nakazała

Simonowi Hansenowi zabić Parsonsa. Ale teraz udało mi się przejrzeć ich sztuczki. Elsie to ta, która ma zasiąść na tronie. Jestem tego pewna.

Jego brwi marszczą się w wyrazie troski. Tak bardzo chciałabym scałować mu z czoła to zmartwienie.

– Jesteś pewna? – pyta.

– Absolutnie. – Nigdy nie miałam większej pewności w żadnej sprawie.

Wciąż jest głęboko zamyślony.

– Jeśli Elsie jest bratnią duszą Isaaca, a ona jest kobietą z przepowiedni Tellermana... – mówi, po czym milknie. W jego oczach nie ma już niepokoju. – To kończy sprawę. Konkurs jest zamknięty.

Uśmiecham się do niego promiennie.

– Gratulacje, mistrzu. Znalazłeś królową dla Isaaca.

Whitman patrzy na mnie podejrzliwie.

– Więc ty i Isaac...

– Nie ma żadnego „ja i Isaac” – śmieję się. – Nigdy nie było.

Spogląda na mnie nieprzekonany, wręcz zły.

– To po co było to całe flirtowanie? To jakieś... manipulacyjne sztuczki?

Cofam się, urażona.

– Mnie nazywasz manipulatorką? A twoje kłamstwa? Twoje udawanie, że coś we mnie widzisz – jakbym naprawdę mogła kiedykolwiek poczuć się tu na swoim miejscu! –

Wciągam głośno powietrze, a złość zamienia się w ból. – Zrobiłeś ze mnie idiotkę.

Jego usta ściągają się w surową linię.

– Nie przerzucaj tego na mnie. Od dnia, w którym się poznaliśmy, nie robiłaś nic poza manipulowaniem mną! Te propozycje, to... dotykanie...

– O bogowie na niskościach – mówię, chwytając się za skronie. – Jak możesz być aż tak głupi?

Whitman milczy, oszołomiony.

– Co takiego?

Patrzę na niego z mieszaniną gniewu i zdumienia. Naprawdę tego nie rozumie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że nie próbuję go zmanipulować seksem.

Co jeszcze mogę zrobić, żeby to pojął?

Zbliżam się ostrożnie. Wbija we mnie niepewne, szeroko otwarte oczy. Nadal nic nie rozumie.

Staję na palcach, obejmuję go za głowę i przyciągam jego usta do swoich.

Zastyga w miejscu, gdy go całuję – najpierw delikatnie. Moje wargi ledwo muskają jego usta. A potem się odrywam.

– Niczego od ciebie nie potrzebuję – mówię, po czym całuję go ponownie, mocniej.

Tym razem odwzajemnia pocałunek, choć niepewnie. Ciepło wzbiera we mnie, gdy pogłębiam pocałunek, wplatając palce w jego włosy. Trzymam go za głowę, odchylam ją lekko, patrzę mu w oczy z determinacją. W jego spojrzeniu błyszczą pożądanie i pytania, ale nie protestuje.

– Nie potrzebuję przysług. – Całuję go. – Nie mam ukrytych motywów. – Nasze wargi muskają się przy każdym słowie. Jego dłonie wbijają się w moją skórę, jakby nie potrafił się oderwać.

Brakuje mi słów. Wtulam twarz w jego szyję, czuję pod wargami jego puls. Jęczy cicho, a we mnie coś eksploduje. Całuję go wzdłuż linii szczęki, obejmuję ciaśniej. Jego oddech przyspiesza.

Kiedy docieram do jego ucha, odchyla głowę. Jego oczy lśnią mocniej niż kiedykolwiek.

– Muszę zwołać radę – mruczy, wciąż patrząc na moje usta. – Musimy natychmiast ustalić datę ślubu Isaaca.

– Czy to nie może poczekać? – pytam, zbliżając się do niego znowu. Nie chcę, żeby odszedł.

Wciąga powietrze.

– Nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.

– Więc nie mów.

Zaciska szczękę – nie ze złości, tylko z wysiłku.

– Nie możemy tego robić.

– Dlaczego? – W moim głosie czają się strach, frustracja. Za każdym razem, gdy przekraczamy granicę, Whitman zachowuje się, jakby nic się nie wydarzyło. Jakby nie powinno było się wydarzyć. Traktuje mnie jak problem, jak zagrożenie. Może właśnie dlatego mnie tu sprowadził?

Czuję zimno tam, gdzie przed chwilą było ciepło.

Muszę zapytać, choć się boję.

– Wstydzisz się mnie? – szepczę, a mój głos jest słaby i niepewny, co tylko pogarsza sprawę.

– Co? Nie! – odpowiada natychmiast, urażony do głębi. Rumienię się mimowolnie. – Ale teraz najważniejsze jest, żeby chronić wiarygodność konkursu. Jeśli wyjdzie na jaw, że sypiałaś z jednym z mistrzów, rada będzie miała podstawy, by podważyć małżeństwo Isaaca. Jeśli będą mogli przekonywać, że plotki wpłynęły na postrzeganie Elsie...

– To wtedy byłoby zbyt ryzykowne, by ją koronować – kończę za niego. Podnoszę podbródek. – Ale nie cofniemy już tych plotek.

– Ale nie musimy ich pogarszać – odpowiada cicho.

To wszystko? Koniec? Patrzę na niego – nie wiem, czy mam go spoliczkować, czy pocałować. To nie tylko pożądanie mnie przy nim trzyma. Nie chcę go stracić. Nie chcę być sama jak Tasha. Nie chcę pustki.

Chcę być cała.

Choćby przez chwilę udawać, że jestem.

Bez kontroli, biorę jego twarz w dłonie, całuję go zachłannie. Whitman jęczy cicho, moje zęby ocierają się o jego wargi, a palce błądzą po jego ciele. Chcę go doprowadzić do utraty zmysłów, uczynić go tylko ciałem i oddechem.

Ale Whitman przerywa pocałunek. Dyszy ciężko. Patrzy na mnie tak intensywnie, że aż drżę.

Już chcę się wycofać – gdy całuje mnie znowu, głęboko, nienasycenie. Popycha mnie do tyłu, aż uderzam plecami o ścianę i jęczę. Jego usta suną w dół mojej szyi, muskają obojczyk, jedna dłoń wślizguje się pod moją koszulkę, druga chwyta mnie za pośladek.

– O bogowie, Whitman – szepczę, wodząc dłońmi po jego ramionach.

– Co wy tu wyprawiacie, na litość Siedmiorga?

Odrywamy się od siebie jak oparzeni. W drzwiach stoi Byers, oświetlona światłem z korytarza, w postawie pełnej grozy. Widok najmniej spodziewany na świecie.

– Dlaczego nie zapukałaś? – warczy Whitman, zapinając koszulę.

– Drzwi nie były zamknięte! – syczy. – Spodziewałam się tego po niej – nie może się powstrzymać – wytyka mnie palcem, a ja się wzdrygam – ale ty, mistrzu, powinieneś być rozsądniejszy! Jeśli naprawdę zależy ci na koronacji Elsie, nie możesz podważać wiarygodności konkursu!

– Dziękuję, panno Byers – mówi Whitman. – Wystarczy. – Przeciera twarz dłońmi. – Obie się przygotujcie. Zwołuję nadzwyczajną konferencję.

– Chodźmy – mówi Byers, chwytając mnie za nadgarstek, jakby nie ufała, że wyjdę sama.

Patrzę na Whitmana, kiedy Bernadette prowadzi mnie do drzwi.

– Wciąż jestem na ciebie zła – mówię. – Nie zapomniałam, że mnie zdradziłeś.

W półmroku widzę jego słaby uśmiech.

– Rozumiem.

Byers ciągnie mnie mocniej. Z niechęcią odwracam wzrok.

– Zgoda – mówię w końcu, wyrywając się z jej uścisku i ruszając przodem. Uśmiecham się szeroko. – W takim razie teraz możemy przejść do historii.

CZĘŚĆ VI
KRÓLOWA

31

Jest trzecia nad ranem, gdy zebranie się rozpoczyna. Mistrzowie zajmują miejsca, podobnie jak bogowie. Powinnam się ich spodziewać – są teraz częścią rady. A jednak wciąż uderza mnie ich obecność w sali obrad, ich beznamiętne twarze, kiedy nas obserwują.

Okłamywali nas całe życie – Bernadette i mnie. Trzymali nas, śmiertelników, z dala od Przypływu bez innego powodu niż ten, byśmy byli posłuszni. Kontrolowalni. A potem pojawia się jakiś zbuntowany mag, steruje mordercą, a my okazujemy bezsilność, nie potrafimy go powstrzymać. Bogowie zawiedli nasze zaufanie i odebrali nam narzędzia, które mogłyby pozwolić nam się chronić.

A jednak gdy patrzę na Irinorra przez migoczące światło nexusa, czuję tę samą miłość, co zawsze. I wiem, że tak już pozostanie.

– Zmieniłam swoją interpretację magicznego odczytu – oznajmiam w sali, dokładnie tak, jak polecił mi Whitman. – W sprawie bratniej duszy króla Isaaca.

– Zmieniłaś? – pyta sceptycznie mistrzyni Renfield. – Utrzymywałaś, że twój pierwszy odczyt to niepodważalna prawda.

Rzucam w jej stronę spojrzenie pełne niechęci. Jej zdrady też nie zapomniałam.

– Pomyliłam się raz czy dwa w życiu. Jestem pewna, że znasz to uczucie.

– Mona – odzywa się Irinorr łagodnie, z delikatnym wyrzutem.

Zatrzymuję kolejne słowa i przechodzę do rzeczy.

– Mój pierwszy odczyt był sfałszowany. Ktoś ingerował w moją wróżbę – potężny mag. Ale to nie ma już znaczenia. – Mimo woli uśmiecham się szeroko. – Nie jestem bratnią duszą króla Isaaca. Jest nią Elsie Tanner.

W sali rozlegają się westchnienia i szepty. Mój uśmiech staje się coraz szerszy, gdy kieruję spojrzenie na Isaaca. Patrzy przed siebie, pocierając brew, oparty łokciami o stół. Jest wyraźnie oszołomiony.

W końcu odchrząkuje i prostuje się.

– Jak się o tym dowiedziałaś?

W skrócie opowiadam im, jak wzmocniłyśmy swoją magię i zdołałyśmy dostrzec fałsz w poprzednim odczycie. Bogowie nie zdradzają niczego wyrazem twarzy, ale wiem, że znają prawdę. Byers i ja zniknęłyśmy na kilka tygodni i wróciłyśmy dziesięciokrotnie silniejsze. Gdzie mogłybyśmy być, jeśli nie w Przypływie?

Isaac rozjaśnia się z każdą chwilą. Wygląda na to, że im dłużej o tym myśli, tym bardziej mu się to podoba. Pozostali są mniej entuzjastyczni.

– Jeśli skłamałaś wcześniej, dlaczego mamy ci wierzyć teraz? – pyta Soph, mistrzyni handlu. – Może zmieniasz

przepowiednię, żeby odsunąć od siebie podejrzenia w sprawie śmierci pana Parsonsa?

– Nie musicie mi wierzyć. – Przenoszę wzrok na bogów. Mistrzowie również patrzą na Semyanadda.

– Jak mówiłem wcześniej, wciąż odzyskujemy naszą moc – odpowiada Semyanadd tonem, w którym pobrzmiewa chłód. – Nasza magia nie odzyskała jeszcze pełnej siły.

Cóż, nie jest to świadectwo, na jakie liczyłam. Nawet jeśli ich magia jest osłabiona, mogli to przemilczeć, by wesprzeć mnie w oczach rady.

– Ale potrafilibyście rozpoznać, gdyby panna Arnett kłamała, prawda? – pyta Whitman.

Spinam się i modlę w duchu, by to pytanie nie obróciło się przeciwko mnie.

– Tak – mówi cicho Irinorr. – Wiedziałbym.

Semyanadd milczy. Podobnie jak reszta bogów. Mistrzowie uznają to milczenie za potwierdzenie – mówiłam prawdę.

– Ale dlaczego panna Arnett? – pyta mistrzyni Renfield, marszcząc nos z niezrozumieniem i pogardą. – Po co było temu magowi ingerować w jej odczyt, by wskazać ją jako bratnią duszę króla Isaaca? Co chciał osiągnąć?

– Wciąż mamy wiele do odkrycia – odpowiada Whitman. – Teraz musimy skupić się na zorganizowaniu ślubu Jego Wysokości, zanim ktoś znów spróbuje ingerować.

– W takim razie niech to będzie dzień przed turniejem równonocy – ogłasza Isaac.

Poza cieniem zarostu i wiecznie podkrążonymi oczami nie zdradza żadnych oznak zmęczenia. Nikt by nie zgadł, że

wyrwano go z łóżka o nieludzkiej porze ani że niedawno był chory.

Zaciskam usta. Gdy opada ekscytacja, świadomość, że nie jestem bratnią duszą Isaaca, wydaje się… dziwna. Nie bolesna, ale też nie do końca dobra. Sama nie wiem.

– To chyba bardzo mało czasu na organizację ślubu. Mistrzu Gan?

Gan wygląda, jakby cieszyło go wyzwanie.

– To mój najwyższy priorytet, Wasza Wysokość.

Zebranie dobiega końca. Poszło lepiej, niż mogłam sobie wymarzyć. Uczucie, które rozlewa się w moim wnętrzu, rozpoznaję dopiero po chwili. Nadzieja. Nie czułam jej od dawna.

Kiedy sala pustoszeje, nachylam się do Whitmana i szepczę:

– Więc… nadal jesteś na mnie zły za moje wagary?

Marszczy brwi z surową miną.

– Nie jestem zły. Ale błagam – nigdy więcej tego nie rób.

Obserwuję go, idąc przez korytarz. Latarnie na zaklęty sok rzucają upiorne cienie na jego twarz. Jak długo czekałby, zanim uznałby nas za zaginione albo martwe? Co powiedziałby moim rodzicom?

Odpędzam ponure myśli.

Teraz mam być pełna nadziei.

Tydzień. Tyle mamy czasu, by przygotować królewski ślub stulecia. Powiedzieć, że w zamku panuje pełna mobilizacja, to nic nie powiedzieć. Nawet bogowie biorą w tym udział.

Na dzień przed ceremonią odwiedzam Irinorra. Idę sama – bez straży. Mój przydział ochrony nie jest już potrzebny, teraz, gdy Simon Hansen siedzi w celi. A raczej: teraz, gdy mistrzowie nie mają już powodu, by mnie szpiegować.

Wchodzę do jego pokoju. Stoi przy stole, bokiem do mnie. Zamykam za sobą drzwi.

– Iri?

– Spójrz tylko, Mono.

Podchodzę. Na okrągłym stole przed nim leży mapa, tak wielka, że niemal zakrywa cały blat. Ale to nie jest zwykła mapa. Cieniutkie jak pajęcza nić linie wyznaczają granice państw Kręgu oraz Morze Środkowe – tak blade, że muszę zmrużyć oczy, by je dostrzec. Na mapie, niczym rozlane plamy farby, widnieją świecące, zielone smugi – niektóre większe i jaśniejsze od innych.

Irinorr uśmiecha się do mnie. To ulga. Nadal nie rozmawialiśmy o Przypływie ani o tym, że go nie posłuchałam.

– Mapujemy wyrwy – mówi.

– Co takiego?

Spogląda na mnie z lekkim zaskoczeniem, jakby zapomniał, że jestem tylko nieświadomą śmiertelniczką.

– To obszary, gdzie zasłona jest cieńsza. Tam, gdzie sady czarodrzewu uległy największym zniszczeniom.

Przyglądam się mapie z marsową miną. Jako zwykła śmiertelniczka nie potrafię powstrzymać uczucia niepokoju. Nastrój na zamku unosi się na fali przygotowań do ślubu, ale kiedy to się skończy, nadal będziemy tkwić w tym samym bałaganie. Nadal nie będziemy wiedzieć, dlaczego Simon Hansen zabił Parsonsa – ani czy to on zmanipulował moją przepowiednię bratniej duszy. Ani, jeśli nie działał sam, komu służył.

W tej chwili Hansen siedzi w lochach i odmawia współpracy. Mogłabym tam pójść i zadać mu pytania osobiście, ale coś mnie powstrzymuje – irracjonalny, uporczywy lęk. Jakby wystarczyło się zbliżyć, by jego groźby stały się rzeczywistością.

Z ciepłym uśmiechem Irinorr wskazuje fotele.

– Ale chyba nie przyszłaś tu rozmawiać o wyrwach w zasłonie.

– Niestety nie – odpowiadam, podciągając nogi pod siebie. Nadal nie przywykłam do siedzenia na krzesłach po pobycie u Tashy. – Jak wygląda ślub, Iri?

Śmieje się, a jego idealne oczy marszczą się z wdziękiem.

– Czyżbym aż tak zaniedbał twoją edukację?

Uśmiecham się lekko. Przez dekadę Irinorr szkolił mnie w zakresie magii, nie religii. Poruszaliśmy temat kultu i rytuałów tu i ówdzie – doktryny, incydentalne ceremonie – ale te bardziej przyziemne sprawy, jak śluby, pojawiały się rzadko.

– Po prostu zastanawiam się nad podstawami – mówię, podwijając suknię pod kolana. Czuję się jak dziecko, które

zadaje głupie pytania. – No wiesz: kiedy wstać, kiedy usiąść, co powiedzieć.

– Ach, ale jutro to nie będzie zwykły ślub. To ślub królewski. – Śmieje się, widząc moje rosnące zaniepokojenie. – Poradzisz sobie, moje dziecko. Wystarczy, że tam będziesz. Dla swojego królestwa. – Ze skinieniem dodaje: – Dla przyjaciół.

Wiercę się niespokojnie na fotelu. Z jakiegoś powodu czuję się jeszcze mniej pewna niż wcześniej.

– Żałuję, że kiedykolwiek przyjechałam do zamku – wyrzucam z siebie. Sama nie wiem, skąd to się bierze. W obecności Irinorra wszystkie moje lęki i wątpliwości jakby się ze mnie sączyły. – Wszystko wydaje się takie obce. Nie wiem już, czego chcę. Nigdy nie czułam się tu jak w domu.

– Zmiana często bywa nieprzyjemna – mówi łagodnie Irinorr. – To nie znaczy, że należy jej unikać. Niektóre zmiany mogą być piękne. A nawet konieczne.

Uśmiecham się do niego, aż w końcu, w tej komfortowej ciszy, mówi:

– Może powinniśmy porozmawiać o okresie, który spędziłaś w Przypływie.

Puls mi przyspiesza. Nie mam się czego obawiać – poza ewentualnym kazaniem – ale moje ciało i tak nie chce się uspokoić.

Unoszę brodę w wyzywającym geście.

– Tak, byłam w Przypływie. A ty mnie okłamałeś. Mamy więc remis.

– Czy przyszło ci do głowy, że w wypadku niektórych śmiertelników mogliśmy mieć ku temu dobry powód?

– Na przykład jaki?

– Przypływ nie tylko wzmacnia twoją magię. – Jego ton przyciąga mnie bliżej. – Odbiera ci człowieczeństwo, Mono. Zamienia śmiertelników w potwory.

Myślę o Tashy. Jej umiejętności społeczne są może trochę stępione, ale czy to czyni ją potworem? Groziła, że nas zabije – owszem – ale nie zrobiła tego.

A jeśli Irinorr ma rację – jeśli Tasha naprawdę straciła swoje człowieczeństwo – to czy chciała mi pomóc? Czy tylko mnie wykorzystała?

– Dlaczego nie powiedzieliście nam tego od razu? – pytam.

– Ciekawość śmiertelników trudno poskromić. – Jego ciepły, pobłażliwy uśmiech budzi we mnie iskrę gniewu. – Powiedz człowiekowi, że jego dusza jest zagrożona, a zrobi wszystko, by ci udowodnić, że się mylisz. Ale jeśli zagrożone jest jego życie – zwykle słucha.

– Nie możesz być pewien, co zrobimy. Nigdy nie daliście nam szansy, by to udowodnić.

– To nieuniknione – mówi łagodnie. – Taki już wasz los.

Spuszczam głowę. Nie mam do powiedzenia nic, co nie skończyłoby się kolejną kłótnią. Kątem oka widzę, jak Irinorr zbliża się do mnie. Pochyla się i składa chłodny pocałunek na moim czole.

– Zawsze będę się tobą opiekował, Mono – mówi cicho przy mojej skroni. – Pamiętaj o tym. Wszystko, co robię, robię z miłości.

32

Rano, w dniu ślubu, zamek staje się żywym wcieleniem chaosu. Większość czasu spędzam w swoim pokoju. Nie mogę pozbyć się przeczucia, że coś pójdzie nie tak. Nawet z Simonem Hansenem wyeliminowanym z gry wszystko może się posypać na milion sposobów – wliczając w to wciąż wiszące nad nami zagrożenie ze strony jego mocodawcy. Z każdym dniem coraz bardziej obawiam się, że za wszystkim stoi Gildia Wzbierającej Fali. Ale może to tylko nadinterpretacja. Prawda?

Zamartwiam się aż do popołudnia, potem ubieram się z pomocą Elizabety. Dziś jest wyjątkowo rozmowna. Dziękuję jej w duchu – przynajmniej odrywa mnie to od narastającego niepokoju.

– Panna Tanner jest dla niego idealna – wzdycha, zbierając moje włosy z karku i splatając je w warkocze.

– Mhm – mamroczę, zaciskając dłonie.

– Będą razem wyglądać olśniewająco.

– Och, tak. – Rozglądam się po pokoju, próbując ukryć nerwowość. – Co myślisz o tej tapecie?

– Tapecie, panienko?

– Tak, o tym adamaszkowym wzorze. Róż to nie do końca mój kolor. Myślę nad zmianą.

– Och. – Zastanawia się. – W pastelowej żółci pokój wyglądałby ładnie, prawda?

Obejmuję się ramionami i próbuję to sobie wyobrazić. Mój umysł jeszcze nie potrafi się oswoić z taką wizją.

– Może – mówię z niepewnym uśmiechem.

Gdy już jestem gotowa, spotykam się z Bernadette w saloniku. Dogasający ogień w kominku rzuca na niemal pusty pokój drżące cienie. Byers czeka przy zamkniętym oknie. Wygląda olśniewająco w sukni z błękitnego atłasu i lekkiego szyfonu, jej usta błyszczą koralowym pigmentem. Ja mam na sobie kremowożółtą suknię, której spód rozlewa się regularnym kształtem od zwężonej talii. Elizabeta upięła moje jasne włosy w małą koronę z warkoczy. W zestawieniu z Bernadette czuję się jak wyblakły obraz.

Byers, ze swoją niezrównaną towarzyską ogładą, nie omieszkuje tego skomentować:

– Wyglądasz jak duch.

Jakże to trafne.

– Staram się wtopić w tło – odpowiadam, unosząc brodę – bo to dzień Elsie. To ona ma olśniewać.

– Rozumiem. – Mruży oczy. – Wszystko w porządku, Arnett?

– Tak – mówię trochę zbyt szybko. – No, chodźmy już na ten ślub. Będę kopiować wszystko, co robisz, więc wiesz. Nie mam zamiaru się dziś zbłaźnić.

– O? To byłby pierwszy raz.

Nie brzmi to jak żart. Wypuszczam powietrze i popycham ją lekko, byśmy się nie spóźniły.

Widziałam wielką salę przystrojoną na wiele różnych okazji, ale żadna dekoracja nie dorównuje obecnej. Girlandy różowych i złotych pąków róży, wykonane z połyskliwej folii, wiją się po suficie i ścianach, lśniąc w świetle czarodrzewu. Na królewskim podium rozrzucono warstwę złotego pyłu. Całość sprawia wrażenie zamglonej, błogiej krainy, jakbyśmy zostali przeniesieni do ogrodu umarłych.

Tłum krąży niespokojnie – co najmniej jedna trzecia to gwardziści, rozmieszczeni wokół sali, by zapewnić bezpieczeństwo. Jesteśmy tak blisko chwili, gdy królowa zasiądzie na tronie. Jeszcze tylko kilka godzin – o ile nie dojdzie do jakiegoś dramatycznego zwrotu – i Opalvale w końcu odetchnie. W tłumie dostrzegam także wielu delegatów z państw Kręgu, przedstawicieli wszystkich sześciu narodów. To chyba ich sposób na zamanifestowanie braku urazy wobec Isaaca po tym, jak wykluczył ich z matrymonialnych negocjacji.

Razem z Bernadette przeciskamy się przez tłum, zmierzając ku przodowi sali. Omijam trójkę kelnerów roznoszących miseczki z poświęconą wodą morską; jej zapach zbyt mocno przypomina mi herbatę z wodorostów Tashy i nagle ogarnia mnie niespodziewana fala nostalgii. Zaciskam powieki i czekam, aż minie.

Blisko sceny dostrzegam coś, co sprawia, że zamieram: Elsie Tanner przechadza się wśród gości. Po chwili jednak dostrzegam swoją pomyłkę. To nie Elsie – ta kobieta ma cieplejszy odcień skóry, grubsze i ciemniejsze włosy. Ale podobieństwo jest uderzające. Nosi pomarańczową, jedwabną spódnicę wiązaną na boku i białą bluzkę z długim rękawem – odważne, kontrastowe kolory tradycyjnego stroju

odświętnego w Ahn Dien. Trzyma ją pod ramię wysoki mężczyzna o jasnej cerze, blond włosach i identycznym podbródku jak Elsie. Jej rodzice. Kurczowo trzymają się siebie, rozpromienieni i ze łzami w oczach. Oczywiście – ich córka zostanie koronowaną królową Opalvale. Ciekawe, czy Isaac zaoferował wykupienie ich kontraktu z lordem Severinem.

Rozglądam się po sali w poszukiwaniu Whitmana. Isaac to nie tylko jego król – to także jego przyjaciel. Nic na świecie nie zatrzymałoby go przed przybyciem.

Ta zagadka rozwiązuje się w ułamku sekundy.

Światła dookoła jaśnieją złotym blaskiem, po czym przygasają do subtelnej poświaty, gdy z prawej strony sceny wychodzi mistrz Gan i wchodzi na podium. Wyciągam szyję, obserwując, jak podążają za nim pozostali mistrzowie, na czele z Whitmanem. Z przeciwnej strony wchodzą bogowie. Ubrani są w stroje z najczarniejszego materiału, jaki kiedykolwiek widziałam, zdobione złotą nicią, która musi być przędzą utkaną ze światła gwiazd.

Próbuję złapać spojrzenie Whitmana, gdy Gan rozpoczyna archaiczną przemowę o boskim połączeniu, którego zaraz będziemy świadkami. Whitman mnie nie zauważa – albo mnie ignoruje. Prawie w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy przez cały tydzień. Byliśmy zajęci, oczywiście, ale... co, jeśli po namyśle, w zimnym świetle dnia, zmienił zdanie co do... nas? Ludzie podejmują różne szalone decyzje nocą, w ciemności.

Przełykam ślinę. Elsie i Isaac. To ich dzień powinien być najważniejszy.

Jakby na zawołanie król i przyszła królowa pojawiają się po przeciwnych stronach podium. Nad tłumem rozlewa się cisza. Elsie i Isaac wspinają się po wypolerowanych dębowych stopniach, król porusza się nieco wolniej, ale bez pomocy laski. Uśmiechnięci i zarumienieni, spotykają się pośrodku. Gan owija ich nadgarstki czarną, jedwabną wstęgą, łącząc ich w jedno. Para młoda uśmiecha się jeszcze szerzej, splatając palce. Obok mnie Byers pociąga nosem.

Dopiero w tej chwili coś naprawdę do mnie dociera, gdy słowa Gana odbijają się echem od sufitu, a Elsie i Isaac pochylają się, by się pocałować, i gdy Byers chwyta mnie za łokieć, szlochając: udało się. Zrobiliśmy to.

Kładę rękę na jej dłoni, śmiejąc się, gdy z tłumu podnosi się wiwat.

Ceremonia dobiega końca. Ludzie napierają na siebie, popychając mnie w różne strony. Gdy wreszcie odzyskuję równowagę, bogowie znikają, a straż honorowa eskortuje Elsie i Isaaca przez tłum; za nimi podążają mistrzowie. Teraz Elsie po raz pierwszy przywita się ze swoimi poddanymi jako królowa. Wszyscy tłoczą się i przepychają, by zająć jak najlepsze pozycje blisko monarchów. Wymykam się na bok sali. Z krańca tłumu obserwuję, jak Isaac i Elsie uśmiechają się i ściskają dłonie z zebranymi ludźmi. Mistrzowie już zniknęli.

Staję na palcach, szukając wzrokiem Whitmana, gdy nagle przykuwa moją uwagę czyjś okrzyk.

– Panno Arnett! Mono!

Królowa Elsie staje na palcach i macha ręką w sposób bardzo niekrólewski.

– Tędy, panno Arnett! – woła.

Przeciskam się przez tłum, by do nich dotrzeć. Elsie od razu chwyta mnie za dłonie, unosi je do ust i całuje moje palce. Śmieję się zaskoczona.

– Isaac powiedział mi, co zrobiłaś – szepcze. Wszystko w niej – jej głos, twarz, złoto-szara suknia z warstwami jedwabnej organzy – promienieje blaskiem. – Jak przejrzałaś fałszywe przepowiednie. Mono, dziękuję ci. – Ściska moje dłonie. – Zawdzięczamy ci wszystko.

Znów się śmieję, choć jestem spięta.

– Cieszę się, że na tronie zasiadła właściwa kobieta.

Puszczam oko do Isaaca, a on przygryza wargę, tłumiąc uśmiech. Może powinnam mocniej odczuwać to, że monarcha nie jest już moją bratnią duszą. Wciąż czasem czuję dziwną, nieokreśloną stratę. Ale jeszcze nigdy nie było to tak łatwe do zaakceptowania jak teraz, gdy oboje stoją przede mną, promieniujący szczęściem.

Niemal pozwala mi to zapomnieć, że za rok Isaac będzie martwy, a Elsie zostanie wdową.

Odchrząkuję.

– Widzieliście może, dokąd poszli mistrzowie? Chciałam pogratulować Ganowi. Wspaniała ceremonia.

Isaac uśmiecha się szeroko.

– Delmar nie mógł zajść daleko. Powinien być gdzieś w pobliżu.

Przewracam oczami.

– Bardzo śmieszne. Sama znajdę mistrza Gana.

Obejmuję Elsie, a Isaacowi silnie ściskam dłoń z udawaną irytacją.

Przysiadam obok samotnej kolumny z piaskowca i wzdycham, gdy gdzieś w sali rozbrzmiewa radosna muzyka. Obejmuję kolana, wpatrując się w przestrzeń i wsłuchując w melodię.

– Co ty tam robisz?

Podnoszę wzrok. Byers pochyla się nade mną, spoglądając z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W rękach trzyma dwa kieliszki. Jeden musi być dla Elizabety.

– Śluby najlepiej ogląda się z poziomu podłogi – mówię. – Chodź, przekonasz się.

Przykuca obok mnie i podaje mi kieliszek, który przyjmuję z lekkim zdziwieniem.

– Gdzie Elizabeta? – pytam.

– Tańczy – odpowiada Bebe. – No dobrze, Arnett. Czemu się smucisz?

– Nie smucę się – pojękuję.

– Owszem, smucisz. Nie udawaj, przecież widzę.

Czuję, jak narasta we mnie potrzeba powiedzenia czegoś banalnego. Czegoś pustego i bezpiecznego, jak zawsze. Ale tym razem udaje mi się to zwalczyć.

– Nie mogę znaleźć mistrza Whitmana – przyznaję ponuro.

Widzę, jak ledwo powstrzymuje śmiech.

– Dlaczego masz na jego punkcie taką obsesję?

– Widziałaś go w ogóle? – Macham rękami, jakbym chciała nakreślić pełną sylwetkę Delmara. – Jest jak piękny, neurotyczny mnich.

– Wiesz co, zapomnij. Nie chcę tego wiedzieć.

– Tyle stłumionych emocji, Byers. Chciałabym po prostu wybić mu je z głowy i z...

– Jesteś obrzydliwa – mówi, marszcząc nos.

Uśmiecham się do niej psotnie, po czym spuszczam wzrok na swoje dłonie, nagle poważniejąc.

– Byers, ja... Nie chcę być jak Tasha. Nie chcę już dłużej być sama.

Milczy przez chwilę, rozważając moje słowa. A potem prycha śmiechem, jakby dłużej nie mogła się powstrzymać. Ten kieliszek w jej dłoni nie jest pierwszym dzisiejszego wieczoru.

– Nie jesteś sama, idiotko – mówi. – Masz mnie.

Wpatruję się w nią. Uśmiecha się, jej koralowe usta lśnią.

– No dobrze, w porządku – chichoczę w swój kieliszek i upijam łyk. – Ale mimo wszystko chciałabym znaleźć Whitmana.

– Znajdziesz go. – Unosi kieliszek z szampanem. – Za królową. Za to, że nas połączyła.

Usiłując zachować powagę, stukam swoim kieliszkiem w jej.

– Za królową Elsie.

Pijemy. Bernadette przez cały czas ma na twarzy nieokreślony uśmiech, który zupełnie do niej nie pasuje. Śluby wprawiają ją w dziwny nastrój.

– Idziemy tańczyć? – pyta.

Kierujemy się ku wschodniej części sali, gdzie na parkiecie wirują pary, splatając się i rozdzielając niczym igły haftujące gobelin. Szerokie, jedwabne suknie kobiet ocierają się o siebie z cichym szelestem. Jestem tym zahipnotyzowana. Byers dołącza do wibrującego tłumu; wkrótce dostrzegam ją, gdy sunie po parkiecie, uśmiechając się do swojego wyobrażonego partnera. Niezła z niej tancerka.

Patrzę poza tancerzy, ku linii obserwatorów po drugiej stronie, i w końcu, nareszcie, dostrzegam Whitmana. Stoi samotnie. Czuję mrowienie w kończynach, podnoszę rękę i macham nią w powietrzu, aż zauważa mnie i odwzajemnia spojrzenie. Z niepozornym uśmiechem okrąża parkiet i rusza w moją stronę. Czekam, zacisnąwszy dłonie. Gdy dociera do mnie, zatrzymuje się w pół kroku i formalnie pochyla głowę.

Rozbawiona, robię przesadny dyg.

– Jak się pan miewa tego wieczoru, mistrzu Whitman?

Uśmiecha się.

– Najstarszy z moich przyjaciół właśnie się ożenił. Mam się więc całkiem dobrze.

Spacerujemy wzdłuż sali, zostawiając między sobą odstęp. Mijamy filar, przy którym w cieniu stoi Onyamarr w sukni ze zwiewnych pasów materiału. Uśmiecha się do mnie kpiąco z oddali. Reszta z Siedmiorga musi być gdzieś w pobliżu.

– Cieszę się, że to już koniec – mówi Whitman.

– Jeszcze nie całkiem. Został Simon Hansen. – Wypluwam to nazwisko jak istne przekleństwo. Po królewskim weselu nie będę już miała wymówek, by odwlekać spotkanie z nim, choć sama myśl o tej rozmowie mnie paraliżuje. Czym innym jest

pragnąć odpowiedzi, a czym innym rzeczywiście po nie sięgnąć.

– Ale Opalvale ma królową. – Rzuca mi krótkie spojrzenie, jakby czekał, aż coś powiem. – Wiesz już, co zrobisz, gdy to wszystko naprawdę się skończy? Zostaniesz?

Nie odpowiadam od razu. Idę dalej, podziwiając rzędy haftowanych gobelinów, wywieszonych specjalnie na tę okazję, z herbami rodów z całego królestwa.

– Pytasz mnie teraz, czy dołączę do Kompanii Praktyków? – mówię w końcu.

– Chyba tak.

– W takim razie chyba zależy to od szczegółów twojej propozycji.

Delmar zatrzymuje ręce za plecami. Kącik jego ust lekko drga.

– Ty i panna Byers wydajecie się być sobie bliskie.

Mruczę, ale nie potwierdzam.

– Co jeszcze możesz mi zaoferować? Pensję? Większe mieszkanie?

– Czy zaczęliśmy już negocjacje?

– Owszem, ja zaczęłam. Ale muszę powiedzieć, że jeśli nie zaczniesz uwzględniać moich oczekiwań, będę miała wrażenie, że nie traktujesz mnie poważnie.

Wychodzimy na ciemny korytarz, prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku zamkowych strażników. Na moment przychodzi mi do głowy, że powinniśmy wrócić w bardziej zatłoczone miejsce.

– Dokąd idziemy? – pytam cicho, żeby nikt nie zauważył naszej obecności. Ciepło przenika mnie do szpiku kości.

– Donikąd. – Unika mojego wzroku. – Po prostu spacerujemy.

Patrzę wzdłuż korytarza. Pusty. Wszyscy są na weselu.

– Powinnaś zostać – stwierdza Whitman, wpatrzony w swoje buty. – To twoje miejsce. Pasujesz do Kompanii.

Próbuję sobie to wyobrazić: przesiadywanie na konferencjach, potakiwanie w wielce poważnym zamyśleniu, może nawet wtrącanie własnych opinii od czasu do czasu. Czy Byers też by została? Czy spotykałybyśmy się w moim mieszkaniu po każdej sesji, by omówić wyniki? Nie, to zupełnie absurdalne. Nie mogę przestać się uśmiechać.

Dotykam łokcia Delmara, a on zwalnia. Moja dłoń owija się wokół jego przedramienia. Ostrożnie zbliżam się do niego, kładąc wargi na jego ustach. Whitman nie odwzajemnia pocałunku, ale nie odsuwa się. Kiedy się cofam, marszczy brwi.

– Elsie jest teraz na tronie – mówię z odrobiną frustracji.

– Wciąż istnieje możliwość, że ktoś zakwestionuje jej legalność. Trudniej usunąć królową z urzędu niż uniemożliwić małżeństwo, ale to wciąż możliwe.

– Więc ta sprawa ma nad nami wisieć jak miecz do końca życia, prawda? – szydzę, starając się nie ujawniać całego bólu w głosie.

– Może nie do końca życia. Z czasem kompetencje Elsie obronią ją same. – Robi głęboki wdech. – Ale teraz narażanie się na takie ryzyko to głupota. Nie warto.

Nie oczekuję od niego tłumaczeń. Ja nie jestem tego warta. Opuszczam głowę i potrząsam nią.

– Przepraszam za swoje ryzykowne zachowanie – mamroczę, po czym szybko znikam w korytarzu. Żadne kroki nie podążają za mną.

Skręcam za rogiem, idę aż do wspólnych łaźni i wchodzę do środka. Połączone kamienne komnaty pachną gorącą parą i perfumami. Mozaika z niebieskich płytek ceramiki zdobi ścianę, za którą kryją się trzy głębokie baseny – teraz puste. Zatrzymuję się i pochylam nad kamienną ławą, podpierając czoło dłońmi.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Czy dawał mi wiele sygnałów przez ostatnie tygodnie? Czy kiedykolwiek naprawdę odważyłam się mieć nadzieję na coś więcej?

Mija minuta, a potem słyszę czyjeś kroki. Podnoszę się i patrzę przez ramię. Whitman zbliża się, trzymając ręce w kieszeniach. Można by powiedzieć, że wygląda niemal na skruszonego.

Wzrusza jednym ramieniem.

– Mono…

– Nie musisz mi się tłumaczyć – mówię ze smutkiem. – Rozumiem. Nie jestem przecież warta ryzyka…

– Nie o to chodzi – przerywa mi. – To nie ma nic wspólnego z tobą. Po prostu… to głupie. Mamy odpowiedzialne zadania.

– Wiesz, jak uwielbiam odpowiedzialne zadania – kontruję, krzyżując ramiona. – Wciąż jesteśmy młodzi, Delmar. Młodzi ludzie podejmują ryzyko.

– Jestem członkiem królewskiej rady.

Jakby to miało cokolwiek do rzeczy.

– Czego się boisz? – pytam, szukając odpowiedzi w jego poważnym wyrazie twarzy. – Cieszenia się życiem? Nie uważasz, że na to zasłużyłeś?

– Boję się, że zawiodę w wypełnianiu obowiązków wobec Opalvale, co do których złożyłem przysięgę – mówi cicho i szorstko. – Nie mogę sobie pozwolić na błędy. Inni mistrzowie w sekundę dostrzegą wtedy otwartą furtkę i mnie wypchną. Nie mogę dać im wygodnego pretekstu.

– Musisz więc być doskonały przez cały czas? – Uśmiecham się smutno, wyciągając rękę, by chwycić jego dłoń. – Kiedyś wreszcie musisz przestać wymierzać sobie karę.

Whitman cofa się, ale nie odsuwa. Kto wie, co przechodzi mu właśnie przez myśl – jego siostra, jego matka oszustka czy może król Isaac, który codziennie stopniowo przegrywa ze śmiertelną chorobą, a Delmar nie może nic zrobić – ale widzę w jego oczach, że to jest ten moment. Nie odpowiada, tylko przełyka ślinę i wpatruje się w moje czoło, jakby szukał tam rozwiązania zagadki: jak się wydostać z tej sytuacji.

– Dobrze – przyznaję z westchnieniem. – Wygrałeś. – Ściskam jego dłoń i odwracam się.

Ale palce Whitmana zaciskają się wokół mojej dłoni i przyciąga mnie z powrotem. Tracę równowagę, aż moje ramię odbija się od jego piersi. Kiedy się prostuję, obejmuje mnie ramionami, przyciągając blisko.

Jego twarz jest tuż przy mojej. Serce bije mi szybko, gdy jego ręce przesuwają się po moich plecach i biodrach,

chwytając i gniotąc sukienkę – niepewnie, jakby obawiał się, że się sprzeciwię. Nie jestem pewna, czy wie, co robi. Nie jestem też pewna, czy mnie to obchodzi.

– Powinniśmy być mądrzejsi. – Jego oddech łaskocze mnie w ucho. – Nigdy czegoś takiego nie robiłem.

– Przestań starać się podejmować dobre decyzje – mruczę, wsuwając palce między guziki jego kurtki. – Nie ma czegoś takiego. Wszystko i tak kończy się identycznie.

– To nieprawda – parska cicho w odpowiedzi.

Wciąż jednak trzyma mnie za biodra i popycha mnie w stronę ściany. Potykam się i robię kilka kroków w tył, uwieszona na jego koszuli.

Uderzam pośladkami o wypolerowany marmurowy blat, który ciągnie się dookoła pokoju. Wciąż manipuluję przy guzikach Whitmana, niepewna, co robić dalej. Nie chcę wykonać fałszywego kroku. Delmar z drżeniem oddycha przez nos i zacieśnia uścisk. Jednym szybkim ruchem podnosi mnie na blat. Wydaję z siebie zduszony jęk zdziwienia.

Moje nogi swobodnie zwisają po obu stronach jego ciała. Delikatnie przesuwa mi kosmyk włosów za ucho. Wygląda na zmieszanego.

– Powinniśmy wrócić na przyjęcie – szepcze.

– Próbowałam to zrobić – odpowiadam, ale żadne z nas się nie rusza. Kiedy staje się jasne, że nigdzie się nie wybieramy, pochylam się do przodu, aż nasze usta się spotykają. Jego wargi drżą pod moimi.

Wtedy odwzajemnia mój pocałunek, przywierając do mnie, tak że muszę szerzej ułożyć nogi. Czuję, jak jego język wiruje

wokół mojego; chwytam go rękami pod ramiona. Jakaś racjonalna część mojej świadomości mówi mi, że powinniśmy przestać albo chociaż zmienić miejsce. Rzadko jednak słucham rozsądku. Jak więc mogłabym zacząć teraz? Whitman szarpie się z zapięciami mojej sukni, gdy liżę i pieszczę jego szyję.

Próbuję rozpiąć mu guziki marynarki, są jednak tak gładko wypolerowane, że ślizgają mi się palce. Wiązania sukienki ustępują, a Delmar ściąga ze mnie gorset, odsłaniając biust. Cała się trzęsę w chłodnym powietrzu, aż w końcu Whitman bierze w dłonie moje piersi, a ja jęczę cicho. Daję spokój jego kurtce, kierując się tym razem w stronę guzików rozporka. Wkładam dłoń za pasek, gdy Delmar wydaje z siebie niski, drżący odgłos, całując mnie znów i wyginając do tyłu, w stronę ściany.

Gdybym nie znała się na tym lepiej, mogłabym uznać, że dobrze się bawi. Jego dłonie opuszczają mój biust, na co moje ciało odgina się do przodu w geście sprzeciwu, on jednak dotyka znów moich ud, podciągając satynowy materiał aż pod biodra. Podnoszę pośladki z blatu, gdy Whitman pospiesznie ściąga ze mnie bieliznę. Czuję, że mnie zadrapał w pośpiechu, czuję też chłód marmurowego blatu. Odchylam się do tyłu, a on całuje mnie od obojczyków w dół, aż do piersi.

Blat okazuje się zbyt płytki, odchylam głowę w bok, przytulona do ściany. Ledwie jednak udaje mi się to zauważyć. Jedna z rąk Whitmana znajduje drogę między moimi nogami, drugą zasłania mi usta, tłumiąc krzyk, przez co zapominam o niewygodach. Wchodzi we mnie z nagłym pchnięciem, przytrzymując mocno. Jest delikatny i niespieszny, jakby próbował mnie ukarać. Oddech mu przyspiesza, co

przyprawia mnie o najgłębszy dreszcz, gdy czuję jego bezbronność. Gdy widzę, jak nie może nic poradzić i musi opuścić gardę.

Patrzy na mnie i marszczy brwi.

– Bogowie, jaka jesteś piękna – pomrukuje, jak gdyby zdał sobie z tego sprawę właśnie w tej chwili. Pochyla się dalej, aż oddechem ogrzewa mi usta. Pachnie szampanem. Podnoszę głowę i liżę jego dolną wargę.

Palcami pieści mnie dalej, a ja jęczę wprost w jego usta, próbując jednocześnie zacumować biodra w jednym miejscu. A potem on porusza się we mnie, potęgując moją rozkosz między nogami i gdzieś głęboko w trzewiach. Zaciskam na nim uda; wczepiam paznokcie w rękawy jego kurtki, a on trzyma mnie za biodra, gdy wiję się, desperacko chcąc poczuć go bliżej. Zaćmiewa mi umysł, aż wreszcie łapię oddech, wybucham śmiechem, podnoszę biodra i wyginam plecy. Czuję, jak kładzie się na mnie z przyduszonym jęknięciem.

Leżymy tam przez chwilę, na twardym, zimnym blacie. Głaszczę mu włosy i całą głowę, którą położył na mojej piersi, łapiąc oddech. Nie chcę wracać na wesele. W ogóle nie chcę wracać do prawdziwego życia.

Nagle Delmar staje na baczność, w półprzytomnym pośpiechu, jakby dopiero zdał sobie sprawę, gdzie i w jakim stanie się znajduje.

– To było bardzo głupie – mruczy, zapinając kurtkę. Siadam lekko nadąsana, sprawdzając stan swoich warkoczyków.

– Oto, co każda dziewczyna chce usłyszeć, gdy jest po wszystkim.

Whitman przybiera łagodniejszą minę. Trzyma teraz mój podbródek między kciukiem a palcem wskazującym. Wyobrażam sobie, że chce coś powiedzieć – coś uroczego i romantycznego – lecz zamiast tego pochyla się i mnie całuje.

To czuły pocałunek – taki, który ofiarowujesz komuś, o kogo chcesz się troszczyć, a nie wykorzystać i porzucić. Na razie wystarczy. Sama nie umiałabym się zachować lepiej. Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć, gdybym miała wyznać swoje uczucia wobec Whitmana.

Szybko się ogarniamy i ruszamy ku wyjściu, lecz on w ostatniej chwili łapie mnie za rękę.

– Powinniśmy wychodzić osobno – mówi, rzucając szybkie spojrzenie w głąb korytarza. – Na wypadek, gdyby ktoś nas obserwował.

Tłumię śmiech, kładąc rękę na ustach.

– Na bogów, Whitman. Wiedziałam, że masz paranoję, ale jednak...

– Wcale tak bardzo nie przesadzam. Każdy, kto chciałby podważyć status Elsie, będzie szukał pretekstów. Jesteśmy łatwym celem.

– Może w takim razie nie powinieneś był mnie brać we wspólnych łaźniach?

Whitman wbija we mnie wzrok, ale już po chwili jego mina przechodzi od dezorientacji do kompletnego szoku. Gapi się w przestrzeń za moim ramieniem. Odwracam się więc.

W łukowatym wejściu do łaźni stoi mistrzyni Renfield. Ma na sobie krwistoczerwony kostium, a jej obcięta na jeża

fryzura oprószona jest złotym pyłem. Jej wyraziste brwi biegną ku linii włosów.

– Słyszałam odgłosy.

– No i co? – odparowuję. Mój głos brzmi lekceważąco, ale dłonie mam spocone.

– Przyszłam się upewnić, że wszystko w porządku – mówi Renfield. – Co tu robiliście?

Przełykam ślinę. Renfield może nie jest sojuszniczką, ale czy należy do wrogów? Wie przecież, że nie miałam nic wspólnego z zabójstwem Parsonsa. Mimo to nie mogę powstrzymać się od wewnętrznego drżenia, gdy przypominam sobie, jak kłamała o mojej roli w dochodzeniu – jak podstępem sprawiła, że śledziłam samą siebie.

– Nic specjalnego – odpowiada Whitman cichym, uspokajającym tonem.

– Doprawdy? Bo już samo wasze wspólne przebywanie tutaj może wystarczyć, by przykryć koronację królowej Elsie atmosferą skandalu.

– Jedziemy na jednym wózku, mistrzyni Renfield – odpowiadam niepewnie, uśmiechając się lekko, na próbę.

– Naprawdę na jednym? – Unosi brew. – Nie wiem, o jaki wózek ci chodzi, ale nie mam zamiaru ponosić kosztów głupich błędów i niezręczności moich młodszych kolegów.

Wstrzymuję oddech. To było ostrzeżenie? A może już pogróżka?

Czy Renfield porzuciła wszelkie pozory chronienia pozycji Whitmana w radzie?

– Nie prosimy cię o ponoszenie jakichkolwiek kosztów – odpowiada Whitman, a jego twarz przybiera niezdrową, szarą barwę. – Jeśli jednak tak bardzo się martwisz o nasz wizerunek, to może rozsądnie będzie, jeśli zatrzymasz to dla siebie.

Renfield prycha, kręcąc głową.

– Jasne. Bawcie się dobrze w ten wieczór.

Z tymi słowami odwraca się na pięcie, a po chwili słychać już tylko klekotanie jej butów w korytarzu. Przerzucam wzrok na Whitmana.

– Sądzisz, że komuś powie?

– Nie wydaje mi się. – Kolor jego twarzy przechodzi raz w szarość, raz w zieleń. – Ale pewności nie mam.

– Ona oczywiście wie, że rozgłaszanie plotek mogłoby zaszkodzić panowaniu Elsie. Nie jest tak głupia, by tego nie rozumieć, prawda? – Z trudem przełykam ślinę.

– Głupia? Nie. A czy potrafi zdradzić? – Wzrusza ramionami i targa się za włosy. – Już wcześniej mówiłem – każdy z mistrzów miał potencjalny motyw, by przekupić wróżbitę i zainstalować na tronie wybraną przez siebie królową. Tu nic się nie zmieniło.

I nie zawęziliśmy kręgu podejrzanych. Jaki mógłby być teoretyczny motyw Renfield? Do głowy przychodzi mi niepokojąca myśl.

– A co ze sprawą wygnania twojej matki? Po tym, jak... no wiesz... – pytam, gestykulując w stronę Whitmana, jakby to miało wszystko wyjaśniać. Rzuca mi lekko urażone spojrzenie. – Renfield powiedziała mi, że wcześniej były

kochankami. Jeżeli przekupiła któregoś z jasnowidzów, być może chce teraz wykorzystać ten wpływ, by rozgrzeszyć przestępstwa twojej matki.

– Nie mam pojęcia. – Delmar oddycha z zakłopotaniem. – To możliwe. Wciąż mi nie wybaczyła tego, co zrobiłem. – W jego szczęce drga mięsień. – Nie wiem, czy kiedykolwiek się na to zdobędzie.

– Ale czy z tego powodu zagroziłaby panowaniu Elsie?

Whitman macha ręką w stronę wyjścia. Ruszamy z powrotem ku weselnej zabawie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

Bez przerwy bawię się rękawiczkami, gdy przemykamy ciemnym korytarzem, milcząc przez całą drogę. W końcu, zapewne zbyt późno, czuję się równie głupio, jak Whitman twierdzi, że powinniśmy się czuć.

33

Jest jeden sposób, w jaki mogę odkupić swoje winy: ustalić, czy Renfield stanowi zagrożenie dla Elsie. Albo dla Whitmana, co w sumie na jedno wychodzi.

Od powrotu z Przypływu moja magia była na tyle silna, że mogłabym odczytać imiona tych, którzy opłacili wieszczów, ale nie było to moim priorytetem. Nasze spotkanie z Renfield zmieniło sytuację. Jeśli Renfield należy do grona łapówkarzy, nie może być w sojuszu z Elsie, a to, co wie, jest silną bronią w jej rękach.

Natychmiast po rozstaniu z Whitmanem na weselu pędzę do swoich apartamentów, by przeprowadzić wróżbę. I, ku mojej uldze, otrzymuję nazwiska. Trzy nazwiska. A Renfield nie jest jednym z nich.

Soph i Oversea – mistrzowie handlu i sprawiedliwości – opłacili wieszczów, aby przedstawili ich preferowane kandydatki. Tak samo zrobił Czcigodny Delfin.

Tylko dwóch wieszczów skłamało na konkursie – trzech, jeśli wliczyć mnie. Dlaczego więc trzech łapówkarzy? Przynajmniej nazwisko Renfield jest nieobecne. Odczuwam ulgę w całym ciele, gdy dociera do mnie ta pocieszająca świadomość.

To nie oznacza jeszcze, że Renfield nie jest zagrożeniem. Może planuje własny zdradziecki plan, niezwiązany z łapówkami – ale nie mam na to żadnych dowodów. O ile wiem, jej jedyną motywacją jest upokorzenie Whitmana i wyeliminowanie go z rady.

Przez cały poranek przed turniejem poślubnym ostry ból zmartwienia pali mnie w środku mostka. Czuję się lepiej w sprawie Renfield niż wczoraj wieczorem, ale nie na tyle, by przestać się niepokoić. Whitman i ja naraziliśmy status Elsie. Byłam świadoma ryzyka, ale nie cieszę się na myśl o konsekwencjach. Wpatruję się w świetlisty błękit nieba za oknem, rozważając znaczenie własnej przepowiedni, aż słyszę pukanie do drzwi.

Nie zapominam wszystkiego, co zaszło, dlatego spodziewałam się, że Whitman odwiedzi moje apartamenty tego ranka – i miałam rację. Jestem jednak zaskoczona, widząc, że przyprowadził nowożeńców.

Para wygląda dość obco w moim salonie, trochę jak wazy ze złota i porcelany wciśnięte na tył zakurzonej półki. Są ubrani w pełne królewskie stroje. Isaac ma na sobie biały uniform haftowany złotem, z grubymi, czarnymi wstęgami wzdłuż obu rękawów. Ktoś nałożył mu na policzki pokaźną warstwę różu, maskując bladość skóry. Ma dziś laskę – kości muszą go znów przyprawiać o dotkliwy ból – ale ta jest wyrzeźbiona z onyksu i wypolerowana na błysk, a nie z prostego drewna, które widywałam wcześniej.

Ubiór Elsie jest równie wykwintny. Kształt jej sukni musi być wzmocniony drutem, by utrzymać tak dużą ilość materiału w szerokim, łukowatym dzwonie. Szlaczek ze złotych piór spływa ku dolnym brzegom. Czarna tiara

błyszczy nad puklami kasztanowych włosów, a jej skóra lśni miedzianym proszkiem. Jakiś rys na jej twarzy wydaje się dziwny, nienaturalny, ale nie potrafię go zdefiniować.

Whitman uśmiecha się, ale jego oczy są otoczone czarnymi obwódkami – najgorszymi, odkąd się poznaliśmy. Nie ogolił się w jednym miejscu na szyi. Czy powiedział Isaacowi, co się między nami wydarzyło, czy raczej się wstydzi?

Wszechobecni gwardziści Isaaca ustawiają się w rogu, poza zasięgiem wzroku. Ich praca musi być naprawdę niewygodna – zmuszeni są uczestniczyć w spotkaniach, które ich nie dotyczą, podczas gdy wszyscy udają, że ich tam nie ma. Nagle czuję się winna, że traktowałam ich jak meble podczas wszystkich wcześniejszych wizyt. Rzucam strażnikom niezręczny uśmiech uznania, ale wydają się go nie zauważać.

Isaac i Elsie stoją przy moich drzwiach, sztywni jak posągi – co pewnie ma więcej wspólnego z ich strojami niż humorem, skoro oboje się uśmiechają – podczas gdy Whitman siada naprzeciwko mnie.

Patrzę na całą trójkę.

– Czyżbym miała kłopoty? – mówię, zmuszając się do żartobliwego uśmiechu. Trzeba przyznać, że taka właśnie myśl przeszła mi przez głowę. Ale ich miny są zbyt beztroskie, by wskazywały na coś poważnego.

– Nie jestem tego świadom – mówi Isaac, chociaż jego oczy kierują się w stronę Whitmana. To słuszne z jego strony, by zakładać, że w taki czy inny sposób mam kłopot z mistrzem magów. – Idziemy na dziedziniec. Ceremonia otwarcia powinna się wkrótce rozpocząć. Ale chciałem tylko... hm... – rzuca ukradkowe spojrzenie na żonę – Elsie chciała...

– Chcieliśmy ci jeszcze raz podziękować – mówi Elsie z czułością. W końcu zdaję sobie sprawę, co jest nie tak z jej wyglądem: brakuje okularów w miedzianych oprawkach. Nigdy jej nie widziałam bez nich. – Za wszystko, co zrobiłaś. Och, chciałabym, żebyś poszła na turniej razem z nami!

– To byłoby miłe. – Tłumię uśmiech. – Ale mieli czelność zorganizować go na zewnątrz.

– Może mogłabyś spróbować? Tylko dziś, ten jeden raz?

Sposób, w jaki to mówi, jest szczególny – tak szczery, bezpretensjonalny i autentyczny, jak może nikt wcześniej nie próbował mnie prosić. Serce mi zamiera. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie słychać w jej głosie frustracji ani lizusostwa. Jeśli już, to słychać smutek – z mojego powodu, z powodu tego, co tracę.

– Przykro mi – mówię. – Chciałabym, żeby to było możliwe.

– Przynajmniej możesz nas odprowadzić do wejściowego holu – mówi król Isaac. Nie potrafię znaleźć wymówki, by się temu sprzeciwić.

Cała nasza czwórka, z gwardzistami podążającymi w pewnym oddaleniu, w niespiesznym tempie zmierza ku wejściu do zamku. Korytarze znów tętnią życiem, jak wczoraj rano, przed weselem. Tyle jeszcze ostatnich poprawek do wprowadzenia. Idę blisko Whitmana – tak blisko, że promieniuje na mnie ciepło jego ciała. Wydaje się torturą, że nie mogę go dotknąć – zasłużona kara, która pasuje do naszego występku. Skupiam się na utrzymaniu dystansu, aż docieramy do podnóża schodów.

Na końcu korytarza masywne, łukowate drzwi warowni, inkrustowane brązowymi runami, są otwarte i wpuszczają intensywne letnie powietrze. Dworzanie i personel zamku przechodzą tam i z powrotem. Zatrzymuję się na ostatnim stopniu schodów.

Whitman spogląda za siebie.

– Czy właśnie tutaj nas opuszczasz, pani?

Isaac i Elsie również się zatrzymują. Wszyscy patrzą teraz na mnie. Uśmiecham się blado, a mój wzrok wędruje ku frontowym drzwiom. Oczywiście, sprawiłoby im radość, gdybym to zrobiła – gdybym po prostu oświadczyła: Kiedy, jeśli nie teraz? – i zakasała suknię, by pomaszerować tam z nimi, prosto w słońce.

Nie rozumieją – jeszcze nie. To nie to samo, co przyzwyczajanie się do nowej wersji zamkniętej przestrzeni. To część mnie, której nie mogę zmienić, tak samo jak koloru moich oczu czy brzmienia mojego głosu. Z czasem to zobaczą. Myślę o propozycji Whitmana z zeszłej nocy: stanowisku wśród królewskich magów, gdy będą pogłębiać poszukiwania zdrajców wśród nas i przyczyn przerwania barier Przypływu. To szansa, by służyć królowi Isaacowi i królowej Elsie. Wierzę, że dam radę – naprawdę wierzę.

O ile będę mogła zostać w środku.

– Idźcie – mówię. – Bawcie się dobrze.

Elsie przygląda mi się jeszcze przez chwilę, po czym skinieniem głowy przyjmuje moje słowa. A potem, ku mojemu zdumieniu, rzuca się na mnie – niezdarnie, skrępowana warstwami lnu, satyny i tafty – i obejmuje mnie mocno. Stoję nieruchomo jak posąg, gdy mnie tuli, kołysząc

jak dziecko. Zanim do końca to pojmę, podnoszę ręce i odwzajemniam uścisk.

– Jesteś wspaniałą osobą, Mono Arnett – mamrocze w moje ramię.

Mrugam, by osuszyć oczy, wpatrując się w sufit. Głupia, wdzięczna Elsie. Co ja kiedykolwiek dla niej zrobiłam? Usłyszałam wiadomość, która mi się nie spodobała, więc skłamałam. A potem kłamałam dalej, narażając monarchię, tak długo, jak tylko mogłam, aż dostałam odpowiedź, która bardziej mi odpowiadała. To była ta wielka przysługa, którą wyświadczyłam. W końcu przestałam kłamać. A potem, na dokładkę, spałam z Whitmanem i zagroziłam jej panowaniu jeszcze przed zakończeniem wesela.

Elsie odsuwa się ode mnie, a łzy żłobią mokre ślady w jej miedzianorudym makijażu. Potem cofa się do boku Isaaca. Król kiwa mi głową, unosząc rękę w krótkim, niezgrabnym geście pożegnania. Przy kilku innych zrządzeniach losu to ja mogłabym stać u jego boku, ukoronowana złoto-czarną tiarą, w pełnym królewskim rynsztunku.

Whitman waha się, gdy Isaac i Elsie ruszają ku drzwiom. Zatrzymuje się na podeście schodów, tuż pode mną; jesteśmy teraz niemal równego wzrostu. Gdybym pochyliła się o parę centymetrów, nasze nosy by się zetknęły. Niskim głosem pyta:

– Jak się czujesz?

– Martwię się tym, co stało się wczoraj w nocy. – Nie ma sensu owijać w bawełnę, zwłaszcza po tym, jak Elsie mi się zwierzyła. – Nie chodzi o te dobre chwile. Tylko o to, co się wydarzyło później.

– Ja też – przyznaje. – Nie wiem, czy możemy ufać mistrzyni Renfield.

– A właśnie. Zrobiłam wróżbę. Nie jest jedną z przekupionych, przynajmniej tyle.

Brwi Whitmana unoszą się wysoko.

– I dowiedziałaś się, kto jest winny?

– Oversea i Soph – mówię, a Whitman klnie, szarpiąc się za włosy. – Przepraszam. Wiem, że to niezręczny moment na rzucanie oskarżeń, z trwającym weselem i orszakiem bogów na zamku.

– I nie mamy żadnych innych dowodów – mruczy Whitman. – Poza tym, co może potwierdzić panna Byers, ale to za mało. Magiczny dowód przestępstwa może być uznany tylko wtedy, gdy co najmniej trzech jasnowidzów poświadczy wróżbę. Ci dranie będą siedzieć w radzie, dopóki nie znajdziemy materialnych dowodów.

– Chyba czas na nowe prawa – mówię, tylko częściowo żartując. – Patrz na jasną stronę. Renfield raczej nie wykorzysta nas przeciw Elsie. Chyba. Nie wiem. – Wzdycham ciężko. Renfield nadal może planować coś przeciwko Whitmanowi, ale nie chcę mu tego teraz przypominać. – Czuję się z tym okropnie.

– Wiem.

Moje ciało bezwiednie pochyla się w jego stronę. Zaciskam pięści po bokach.

– Więc dlaczego nadal mam ochotę cię pocałować? – szepczę.

– Mono – mówi ledwie słyszalnie, rozglądając się. Nie ma nikogo w pobliżu, tylko my. Przełyka ślinę. – Wiem.

Jestem niebezpiecznie bliska płaczu.

– Idź – mówię, zmuszając się do uśmiechu. – Obejrzyj turniej. Poradzę sobie.

Odchrząkując, kiwa głową. Potem odwraca się i odchodzi szybkim, długim krokiem ku drzwiom twierdzy, ku słońcu, ciepłemu wiatrowi i całemu szerokiemu światu na zewnątrz.

Służba zamkowa przygotowała dla mnie pokój gościnny z widokiem na dziedziniec przez zachodnie okno – wysokie stosy ławek przyozdobionych girlandami i szerokie, zabłocone pole, przecięte wzdłuż barierą turniejową. Przy tym oknie rozkładam poranne stanowisko obserwacyjne. Ławki na zewnątrz wypełniają się wesołymi widzami, szlachtą i pospólstwem.

Nadchodzą Elsie i Isaac, kroczący przed tłumem, prowadzeni przez legion gwardzistów na swoje honorowe miejsca. Oboje promienieją, a ja, ku własnemu zdziwieniu, również się uśmiecham. Obserwuję oglądający ich tłum. Elsie wciąż jeszcze nie jest wszystkim dobrze znana, mimo to co najmniej kilkanaście osób na trybunach zrywa się na równe nogi i składa ukłon – kłaniając się jej, a nie królowi czy monarszej parze. Każdy czuje ulgę dzięki świadomości, że mamy królową.

A potem zaczyna się ceremonia otwarcia. Z obu stron dziedzińca wytaczają się konie, okryte ciężkozbrojnymi derkami, a gdy zbliżają się do środka, z ziemi wzbija się jasny snop iskier, jak rozżarzone węgielki, na wysokość piętnastu metrów. Sztuczka alchemiczna – dzieło Umbera.

Nigdy wcześniej nie widziałam turnieju. Uśmiechając się jak uczennica, znów zerkam na Elsie. Jej twarz również jaśnieje zachwytem. Żadna z nas nie była wychowana na królewskim dworze; nie jesteśmy przyzwyczajone do podobnych spektakli. Może zresztą są takie rzeczy, które budzą zachwyt i nigdy się nie nużą. Uśmiecham się do królowej Elsie, z ręką przyciśniętą do zimnej, szklanej szyby.

A potem dzieje się coś, czego nie pojmuję. Nie od razu.

Elsie osuwa się na bok w swym tronie. Mrugam powiekami, niepewna tego, co widzę. Jest tak odległa. Oczy robią mi chyba psikusy.

Coś tkwi w jej piersi. Jak to możliwe? Mój umysł nie potrafi tego objąć, odmawia zrozumienia.

Isaac rzuca się w stronę żony, gdy przód jej sukni spływa rzeką czerwieni. Drugi bełt z kuszy – bo to dokładnie, jak właśnie sobie uświadamiam, przeszywa Elsie niczym pal – wbija się w oparcie królewskiego tronu, dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się ciało króla. Gwardziści natychmiast rzucają się przed parę królewską, by ich osłonić. Jeden ze strażników dostaje strzałą w ramię i osuwa się na ziemię.

Walczę o płytkie oddechy, każdy z nich to wysiłek. Nie mogłam chyba być świadkiem czegoś takiego. To nie może być prawda.

Uderza we mnie zamęt myśli – splątanych i pozbawionych sensu – a potem nagle jestem już na nogach, biegnę korytarzem, krzycząc z całych sił.

– Pomocy! – wołam, choć kto miałby mnie usłyszeć? Wszyscy są przecież na turnieju.

– Niech ktoś pomoże!

Biegnę i krzyczę, ale nikt nie przychodzi. To jak koszmar, w którym wszyscy poza mną rozpłynęli się we mgle. Potykam się na schodach; moja suknia zahacza o nadłamane poręcze i rozdziera się. Zatrzymuję się przed podwójnymi, łukowymi drzwiami – drzwiami do dziedzińca. Są teraz zamknięte, górują nade mną, odlane w brązie, błyszczące jak krwiste słońce, które odbija się od morskich fal. Unoszę się tam, podrygując na palcach, aż w końcu opadam na framugę i zjeżdżam na ziemię. Moja pierś szarpie się w panicznym rytmie: wdech – wydech. Wpatruję się we własne kolana.

W końcu strażnik wpada zza rogu i klęka przede mną. Chwyta mnie za ramiona.

– Pani – mówi ostrym, pełnym niepokoju tonem. – Co się dzieje?

Otwieram usta, ale słowa głęboko się skrywają. Moje ciało dygocze tak mocno.

– Elsie – wydobywam z siebie. – Coś się jej stało. Potrzebuje lekarza. Myślę, że jest ranna.

– Wszystko w porządku, pani – mówi, a jego ton, teraz łagodny i uspokajający, sprawia, że prawie mu wierzę. – Zaraz poślę po pomoc.

Zabiera mnie na górę do pustego pokoju – kolejnych kwater dla gości – i prowadzi na miękki fotel, gdzie opadam do tyłu, chowając drżące ręce pod udami.

– Proszę tu zostać – mówi życzliwie, ale stanowczo. Potem mnie opuszcza.

Stopniowo mgła opada, jakby z umysłu znikał gęsty opar. A potem zaczynam rozumieć. W pełni to pojmuję – tę wiedzę, którą mała część mojej świadomości nosiła od momentu, gdy to się wydarzyło.

Królowa nie żyje.

34

Po tym, jak zabiłam Patricka, odbył się pogrzeb. Nie brałam w nim udziału. Został pochowany na cmentarzu komunalnym, za główną kaplicą prowincji, godzinę drogi na południe od Selledore. Mój ojciec nie wierzy w groby rodzinne. Wszyscy nasi zmarli mieszają się w ogrodzie śmierci – mówił mi często – więc nasze kości i ciała, tak samo jak modlitewne amulety kładzione na naszych niewidzących oczach, również nie powinny być odseparowane.

Nie wiem, gdzie zostanie pochowane ciało Elsie. Na razie leży wystawione dla żałobników w czarnym marmurowym sarkofagu w kaplicy w zamkowych podziemiach. Jest tam już od trzech dni. O dziesiątej wieczorem trzeciego dnia dwór królewski zorganizuje nabożeństwo. Najpierw odbędzie się publiczna ceremonia, podczas której każdy będzie mógł przyjść i wysłuchać mistrza Gana, recytującego święte pisma w głównej sali.

I ja tam jestem. Mogłabym poczekać do północy, kiedy rozpocznie się prywatna ceremonia, ale chcę być na wszystkim, chcę przeżyć każdą sekundę. Nie piję ani kropli. W końcu schodzę po schodach ze skrzydła przeznaczonego dla magów. Jestem trzeźwa jak nigdy wcześniej na terenie zamku.

Główna sala jest nie do poznania, kiedy wchodzę do środka. Jej ściany, okna, a nawet podłoga są przystrojone błyszczącą granatową tkaniną, której brzegi otacza fiolet przypominający barwy nieba. Żałobnicy tłoczą się w pomieszczeniu. Znajduję sobie miejsce przy odległej kolumnie, z dala od tłumu, i słucham, jak Gan recytuje *Lament Eledorru*, a krew pulsuje mi w uszach.

Elsie nie żyje. Elsie, która mogła zostać akuszerką, która się ze mną zaprzyjaźniła, gdy inni, mniej łaskawi, woleliby mnie skrzywdzić. Którą Isaac poślubił. Szloch rozrywa mi pierś, ale go przełykam, choć walczy ze mną w moim gardle. Zasłużyłam na to. To, co zrobiłam tym razem, jest gorsze niż jakikolwiek mój wcześniejszy grzech. Spotkałam Elsie, pokochałam ją, a potem poprowadziłam na rzeź.

Nie zadziałałam na czas i przez to Elsie zginęła. Zabójca wciąż jest wśród nas. Cokolwiek zrobił Simon Hansen, wiedziałam, że nie działał sam. A jednak nie szukałam dalej. Powinnam była go przesłuchać przed ślubem.

Gdy mija pół godziny, Whitman podchodzi do mnie i staje obok w milczeniu. Skinieniem głowy go witam, ale nie odwracam się w jego stronę. Gdybym się poruszyła choć odrobinę, upadłabym mu w ramiona. Słuchamy Gana, nie zwracając na siebie uwagi.

Po chwili jednak ogarnia mnie dziwna, szalona i okrutna myśl.

– Następna będzie ceremonia Isaaca – mówię.

Whitman wpatruje się we mnie i widzę, jak ukrywa swój ból za żelazną maską na twarzy.

– Dlaczego tak mówisz? – wydusza z siebie.

– Bo to prawda. – Patrzę mu w oczy, odważnie i z bólem, jak on sam, choć on jest chyba mniej szczery. – Rozmawiałeś z nim?

W sali panuje cisza, pełna szacunku, przerywana jedynie donośnym głosem Gana. Musimy mówić szeptem jak plotkarze w kościele. Whitman wydaje niemal niesłyszalne westchnienie.

– Trudno byłoby omawiać jego plany małżeńskie bez poruszenia kwestii pilności...

– Nie o to mi chodzi. – I Delmar o tym wie. – Musisz z nim porozmawiać, Whitman. Zanim będzie za późno. Isaac musi usłyszeć twoje pożegnanie.

Kręci głową, ale ogień w jego oczach przygasa. Może wreszcie do niego dotarłam. Obejmując się ramionami, próbuję ponownie skupić się na słowach Gana, ale nie mogę tego znieść. Każde jego słowo tylko podsyca moją wściekłość.

Gdy znów się odzywam, mój głos jest zimny jak lód.

– Znajdę tego, kto to zrobił.

Whitman stoi w milczeniu, ze szczęką twardą jak zahartowany metal. Wie to tak samo dobrze jak ja: ktokolwiek zabił Elsie, jest to jakoś powiązane ze mną, z moją przepowiednią, z groźbami i śmiercią Parsonsa. Elsie to najnowsza ofiara mojego kultysty.

Gan odmawia modlitwy przez kolejną godzinę. Potem następuje krótka przerwa przed prywatnym czuwaniem. Whitman i ja przesuwamy się na skraj sali, z dala od innych.

Poprzez szczelinę w długich zasłonach widać smugę gwiezdnego światła, padającego z wysokiego okna.

– A ty rozmawiałaś z Isaakiem? – pyta ponuro Whitman.

– Nie sądzę, byśmy byli sobie na tyle bliscy.

– Byliście niemal bratnimi duszami.

Rzucam mu dziwne spojrzenie. Mogłabym go oskarżyć o zazdrość, gdyby nie to, gdzie jesteśmy i z jakiego powodu.

– Ale nie jesteśmy.

– Żałujesz tego?

No nie, on jest ewidentnie zazdrosny. Wzdycham i prostuję kark. Mogłabym go uspokoić łatwym kłamstwem. Zamiast tego z moich ust wymyka się dziwna, impulsywna prawda.

– Trochę.

Whitman mruży oczy, a ja wymuszam uśmiech.

– To nie to, co myślisz.

Po raz pierwszy próbuję to wyrazić słowami.

– Nigdy… Isaac jest… szlachetnie urodzony. Nie sądziłam, że ktoś taki mógłby mnie pokochać. To była ulga. To… oznaczało jakąś część prawdy o mnie…

Słowa wylewają się ze mnie w pośpiechu. Gdy już wypłyną, czuję się lepiej niż od kilku dni, jakbym pozbyła się czegoś bolesnego jak zakażonej drzazgi.

– Szlachetnie urodzony to i ja jestem – mówi Whitman, dotknięty.

Nie mogę się powstrzymać. Śmieję się głośno – na pogrzebie Elsie.

– Nie sądziłam, że ci na mnie zależy – przyznaję.

Cokolwiek Whitman zamierzał odpowiedzieć, ginie w dźwięku dzwonów, które w oddali uderzają siedem razy.

Północ – czas na ostatnie pożegnanie z Elsie.

Podążamy za strumieniem żałobników schodzących do kaplicy. Przed jej masywnymi, kamiennymi drzwiami ustawia się kolejka. Strażnicy wpuszczają ludzi pojedynczo. Kiedy nadchodzi nasza kolej, patrzę na Whitmana.

– Ty pierwsza – mówi szorstkim głosem. Albo chce być uprzejmy, albo próbuje uniknąć bolesnej rozmowy z królem, który czeka w środku.

Drżąc, wchodzę do zimnej kaplicy. Przed filarami bogów znajduje się wysoki marmurowy sarkofag, wciśnięty do pomieszczenia. Isaac stoi przed nim, a wspaniały biały futrzany płaszcz okrywa jego przygarbione ramiona. Dziś podpiera się laską. Patrzy w bok, niezainteresowany petentami, którzy przyszli oddać hołd jego żonie.

– Wasza Wysokość – mówię, wykonując płytki, niepewny ukłon.

– Panno Arnett – odpowiada z lekkim skinieniem głowy. Wszystko w nim – jego ton, postawa, spojrzenie – zionie pustką, jakby ktoś mu wydrążył duszę.

Przepełniona lękiem, podchodzę do krawędzi sarkofagu. Na jej widok – leżącej tam, w królewskim stroju, z dwoma modlitewnymi amuletami, po jednym dla Eledorra i dla Irinorra, położonymi na jej oczach – moim ciałem wstrząsają konwulsje. Nie ma na sobie okularów. Jak ma teraz widzieć? Wewnątrz trumny rozsypano więcej amuletów, zostawionych przez jej wiernych poddanych.

– Mogę o coś zapytać, panno Arnett? – odzywa się Isaac.

Kiwam nerwowo głową, a jego zaczerwienione oczy spotykają mój wzrok.

– Czy jestem przeklęty?

Zastygam w bezruchu.

– Oczywiście, że nie.

– Więc dlaczego? – Z jego ust wydobywa się gorzki śmiech. – Dlaczego wszyscy wokół mnie kończą martwi?

Kręcę głową, przerażona.

– Wszystko z tobą jest w porządku. Wasza Wysokość. Isaacu. To nie twoja wina.

– Możesz mi to przysiąc?

– Bogowie powiedzieliby to samo – zapewniam go. Ale tak naprawdę – nie wiem. Czy klątwy istnieją? Nigdy o to nie pytałam.

– Wybacz mi – mówi Isaac bezbarwnym tonem. – Jestem w podłym nastroju.

– Oczywiście. – Wyciągam rękę, by dotknąć jego dłoni, ale cały się kuli w skurczonym, zamkniętym ciele. Cofam się. – Bardzo mi przykro, Isaac. Elsie na to nie zasługiwała.

Podnosi na mnie wzrok, jakby dopiero teraz mnie zauważył.

– Nie, nie zasługiwała.

Nic więcej nie mam do powiedzenia. Mamrocząc kolejne przeprosiny, pospiesznie wychodzę z kaplicy. Kiwam głową Whitmanowi, gdy nasze ścieżki się krzyżują, ale nie zatrzymuję się na rozmowę. Odrętwiała, drepczę do swoich apartamentów.

Jestem kompletnie wyczerpana, za bardzo zmęczona, by zasnąć. Nieporadnie rozwiązuję sznurowania z tyłu sukni i kładę się na szezlongu, nawet nie zdejmując ubrania. Moje

myśli przelatują przez każde wydarzenie ostatnich dni i jego konsekwencje, układając je w jakiś porządek. Rozwiązałam zagadkę proroctwa bratnich dusz dla Isaaca. Potem król poślubił Elsie. Elsie została zamordowana. Gdybym chciała, mogłabym dalej prowadzić tę nić zdarzeń, zszywając ją w konkluzję – ciągnąc ją z przeszłości, przez igielne ucho teraźniejszości, do kolejnego ściegu, przyszłości – ale nie mogę. Nie jestem gotowa, by zaakceptować to, co nadejdzie. Leżę w ciemności, a moje mięśnie pulsują napięciem.

Po godzinie bezsennego przewracania się z boku na bok poddaję się. Wiem, czego teraz potrzebuję – kogo potrzebuję. Kogoś, kto przekona mnie o prawdzie, która wydaje się zbyt przytłaczająca, by ją zaakceptować. Mojego starszego brata.

Leżę na szezlongu, przygryzając wargi i cicho odmawiam modlitwę do Eledorra – choć to kompletnie bez sensu. Eledorr jest w zamku, na górze. Jak bogowie mogliby mnie teraz usłyszeć i odpowiedzieć? Jak mogą mi pomóc, skoro nie zdołali ochronić Elsie? Ale modlitwy na bok, czuję w kościach, że jeśli będę tu siedzieć sama, pogrążona w swojej winie i wstydzie, Patrick do mnie przyjdzie. Tak właśnie było za każdym poprzednim razem.

Z sypialnianych drzwi wpada nagły podmuch wiatru i od razu wiem. Odwracam się i widzę ducha Patricka, rozświetlającego framugę, jego twarz posępnie pustą. Drżąc, zmuszam się, by unieść ciało mimo osłabionych mięśni. Patrzy na mnie bez ruchu. Jak zawsze cichy, tak ponury, tak inny od Patricka, którego znałam za życia. Boję się go – bogowie na niskościach, tak bardzo się boję – ale muszę wiedzieć.

– Patricku – szepczę. – Porozmawiaj ze mną.

Milczy. Całe moje ciało napina się z rozczarowania, choć nie miałam powodu, by oczekiwać czegoś innego. Wtedy jego duch rusza do przodu. Przechodzi o krok bliżej i zatrzymuje się. Jego opadające brwi marszczą się, gdy patrzy na mnie zmieszany. Może to właśnie to popycha go do gniewu. Nie rozumie, dlaczego tu jest. Ale ja tym razem zachowuję spokój, a to uspokaja też jego.

– Proszę. – Spoglądam na niego, a w moich oczach zbierają się łzy. Ta potrzeba jest silniejsza niż cokolwiek innego – niż moje obawy przed tronem, niż moje pragnienie ochrony przed bólem. – Dlaczego nie mówisz?

Spogląda na mnie z góry jak sędzia z wyżyn. To nie mogę być ja, nie tak wyobrażał sobie moją przyszłość – osobę, którą chciał, żebym się stała. Starał się wychować mnie, jak należy. Jeśli jego duch obserwował mnie przez cały ten czas, musi się wstydzić. Spodziewałby się, że naprawię to wszystko.

Istnieje sposób – jeden sposób, w jaki mogłabym odpokutować za swoje kłamstwa, za swoją słabość, swój brak odwagi. Musiałabym przyjąć swoje przeznaczenie, tak jak powiedział mi Irinorr. Chcę krzyczeć, płakać, wybuchnąć śmiechem w twarz sobie samej, wyrywać sobie włosy. Całe to cierpienie i śmierć, a w końcu i tak nic z tego nie wyszło. Od samego początku nie miałam wyboru.

– Dobrze – mamroczę do Patricka. – Porozmawiam z radą.

Jeśli myślałam, że to wystarczy, że otworzy usta i mi odpowie, myliłam się. Patrzę, jak stoi, płonąc eterycznym światłem. Patrzę na niego godzinami, tak długo, że oczy zaczynają mnie piec, a głowa staje się ciężka. Świt kładzie kres tej chwili. Gdy promienie porannego słońca pełzną po

dywanie i dotykają stóp ducha, ciało Patricka zaczyna się rozmywać. Jak mgła staje się coraz cieńsze, niematerialne, powoli, stopniowo, aż zostaje po nim już tylko wrażenie.

Nie próbuję się powstrzymywać. Płaczę bez końca, gdy mój brat znika.

35

Podwójne, szerokie drzwi do sali obrad rady otwierają się i przez szparę wychyla się głowa gwardzisty.

– Twoja kolej – mówi ze współczuciem.

Z głębokim oddechem zbieram fałdy sukni i wchodzę do środka. W błękitnym świetle nexusa oczekuje na mnie wszystkich siedmioro mistrzów i siedmioro bogów. Król Isaac nie jest obecny. Publicznie nie widziano go od wczoraj, od pogrzebu. Krążą pogłoski, że jego choroba się pogorszyła. Biorąc pod uwagę, jak wyglądał, gdy widziałam go ostatni raz, nie jestem zaskoczona – ale martwię się o niego bardziej, niż chciałabym przyznać.

Walczę ze sobą, nie wiedząc, gdzie skupić wzrok. Whitman siedzi naprzeciwko mnie, na swoim miejscu obok pustego tronu Isaaca, a Irinorr jest tuż przy nim. Decyduję się spojrzeć na Semyanadda – to neutralny wybór.

Semyanadd zatrzymuje mnie spojrzeniem.

– Opowiedz nam, co widziałaś, Mono.

Właśnie po to mnie wezwano – bym złożyła zeznania jako naoczny świadek zamachu na królową. Ale zamiast relacji stwierdzam:

– Musicie mieć jakieś podejrzenia co do sprawcy.

Po ciężkiej chwili ciszy odzywa się Korimarr:

– Bełty strzał były pokryte runami celności i przebicia. Musiał to być potężny mag. Można z dużym prawdopodobieństwem podejrzewać, że to ta sama osoba, która zakłóciła twoje magiczne odczyty.

Celność i przebicie. To potwierdza moje przypuszczenia. Zbieram myśli i tym razem nawet nie zerkam w stronę Whitmana.

– Więc wiecie, dlaczego Elsie została zamordowana.

– Oczywiście – mówi mistrz Soph, którego okrągła twarz lśni w niebieskim świetle. – To była próba zakończenia królewskiej linii. Zakończenia magii w świecie śmiertelników.

– Nie, nie była – mówię zjadliwym tonem. Soph to zdrajca. Gdyby nie ważniejsze sprawy, oskarżyłabym go tu i teraz. – Strzał, który zabił Elsie, oddano z jednej z zamkowych wież, prawda? Z setek metrów odległości? Tylko mistrz łucznictwa mógł tego dokonać.

Nikt mi nie zaprzecza, więc muszę mieć rację.

– A z pomocą zaklęcia celności? Nie ma szans, że oszczędzili Isaaca przypadkiem.

– To było odwrócenie uwagi – mówi Whitman, splatając palce pod brodą. On już wie, do czego zmierzam, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ściska mnie w gardle. – Zabójca mógł trafić, gdyby chciał. Elsie była jedynym celem. Król miał przeżyć.

– I ponownie się ożenić – kończy Irinorr, z żalem na idealnym obliczu. Wie, tak jak ja, że ten dzień nadchodził od dawna.

– Nie jest tajemnicą, czego chce ten morderca. – Unoszę podbródek. – Wpłynął na moje przepowiednie kochanków. Zabił żonę Isaaca. Chce mnie na tronie. Może pora dowiedzieć się dlaczego.

Pytanie „dlaczego" przeraża mnie prawie tak samo jak „kto". Jeśli za zabójstwami Parsonsa i Elsie stoi Gildia Wzbierającej Fali – a póki co jest to mój jedyny namacalny trop – to co spodziewają się uzyskać dzięki osadzeniu mnie na tronie? Cokolwiek to jest, wątpię, by leżało w interesie Opalvale. Albo w moim.

Mistrzyni Renfield ledwie zauważalnie kręci głową.

– I jak zamierzasz to zrobić? – mówi, a w jej kąśliwym tonie słychać, że już odgadła mój plan. Usta mi wysychają. A jeśli wspomni o tym, co wie o mnie i Whitmanie? Może zrujnować wszystko przez zwykłą złośliwość. Ale muszę iść naprzód.

– Wydajcie mnie za Isaaca.

Omal się nie dławię tymi słowami, ale w myślach przywołuję obraz ducha Patricka – jego milczącą, osądzającą twarz, gdy tak wczoraj patrzył na mnie z góry. Robię wszystko, by naprawić swoje błędy. By go nie zawieść.

– Najwyraźniej ktoś chce czegoś ode mnie. Jeśli mnie ukoronujecie, być może się tego dowiemy.

– Och – Renfield uśmiecha się bez cienia szczerości – i oczywiście nie kieruje tobą żaden osobisty interes, królowo Mono...

I wtedy ja i Whitman wybuchamy, krzycząc na nią, choć ledwie wiem i ledwie mnie obchodzi, co mówię. To wypływa ze mnie jak rwąca rzeka, jak woda przelewająca się przez

pękniętą tamę. Nie mogę pojąć, jaka ona jest głupia. Władza to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Wraz z nią przyjdzie publiczna kontrola, a potem cały świat zobaczy, że jestem zbyt głupia, okrutna i nieudolna, by unieść tę odpowiedzialność. Dopóki jestem nikim – poza światem – moje poczucie upokorzenia jest prywatne. Teraz stanie się własnością Opalvale.

Semyanadd przerywa naszą kłótnię ostrym gwizdem, a w sali zapada cisza.

Oddycham głęboko przez nos.

– Nie macie pojęcia – mówię – ile mnie kosztuje ta propozycja. Ale król Isaac potrzebuje żony, a każda kobieta, którą osadzicie na tronie zamiast mnie, zginie. Więc ile ich poświęcicie, by udowodnić jakiś swój argument?

Renfield nie znajduje na to odpowiedzi.

Gdy Whitman znów się odzywa, brzmi, jakby był wyczerpany, zdarty do cna.

– To nie my o tym decydujemy. To Isaac.

– Isaac jest chory – mówi mistrz Oversea – a ty sam miałeś wątpliwości co do tego, jak królowa będzie postrzegana przez poddanych. Jak to będzie wyglądać, jeśli wepchniemy na tron… tę dziewczynę?

Prycham, rozumiejąc, że „dziewczyna" na pewno nie była dla niego słowem pierwszego wyboru.

– Poprzemy ją – oznajmia Semyanadd.

Mistrzowie wymieniają zszokowane spojrzenia – wszyscy poza Whitmanem, który nie odrywa ode mnie wzroku.

– Ogłosicie pannę Arnett prawowitą władczynią? – powtarza z niedowierzaniem mistrzyni Renfield. –

Myślałam, że nie interesujecie się sprawami śmiertelników.

– Interesuje nas powstrzymanie maga, który morduje śmiertelników – mówi Irinorr. – Oraz zakończenie zamętu w waszym świecie. Jeśli w tym celu Mona musi zostać królową, niech i tak będzie.

– A dlaczego król Isaac miałby się na to zgodzić? – pyta mistrz Gan, choć w jego głosie brzmi bardziej strach niż podejrzliwość.

– Bo z nim porozmawiam – mówię. – Sprawię, że zrozumie.

Królewskie komnaty sypialne są wystawne, bogato zdobione, ale nie ostentacyjne. Aksamitne zasłony zasłaniają okna i czterokolumnowe łoże, zanurzając Isaaca w cieniu. Wyrzeźbione gargulce, zamocowane na ścianach w kręgu, spoglądają na nas, przypominając mi w niepokojący sposób zamaskowane demony. Pomiędzy ich łupkowymi zębami wystają kule z opalu – kamienia Semyanadda.

Rama łoża Isaaca jest wykuta z ciepłego, różowawego kamienia, inkrustowanego złotem. W kominku trzaskają płomienie, ogrzewając pokój do nieznośnie wysokiej temperatury. Król musi mieć dreszcze z gorączki.

Whitman i ja siedzimy na stołkach przy łóżku. Król jest zgarbiony, oparty o wezgłowie. Jego blada skóra błyszczy od potu, a jasne włosy kleją się do czoła. A jednak, o dziwo, próbuje się uśmiechnąć.

– Nie martwcie się – mówi. – Nie zarażam.

Nie zamierzam go obrażać pytaniem, jak się czuje. Odpowiedź jest aż nazbyt widoczna. Starannie dobierając słowa, mówię z troską:

– Isaac, to nie powinno było się wydarzyć. Powinniśmy byli temu zapobiec. Tak mi przykro.

Próbuje pokręcić głową.

– Cóż mogliście zrobić?

– Jak bardzo jesteś chory? – Może to niegrzeczne, ale muszę wiedzieć.

– Medycy twierdzą, że to psychosomatyczne. Że wszystko siedzi w mojej głowie. Choć prawdę mówiąc, nie wydaje mi się.

– A co z chorobą w twoich kościach?

– Mam te same objawy, co zawsze. – Stęka z bólu, poprawiając się pod kocami. – Ale nie postępuje. Lekarze wbijają mi igły w udo, pobierają coś... – Drży. – Wartości się nie zmieniły.

Kiwam głową, życząc sobie, bym mogła znaleźć jakieś słowa pocieszenia. Proponuję mu najlepsze, jakie mam.

– Zamierzam złapać mordercę Elsie.

Isaac przełyka ślinę i zamyka oczy.

– Tak. Cokolwiek będzie trzeba. Masz pełne upoważnienie do...

– Musisz poślubić Monę – mówi Whitman bardzo cicho.

Isaac milknie, ale nie wygląda na zaskoczonego. Musiał dojść do tego samego wniosku – zabójstwo Elsie sprowadza

się do mnie.

Jak to możliwe, że nie znienawidził mnie za to?

– Myślicie, że wspólnik Hansena się ujawni, jeśli to zrobię? – pyta Isaac, wpatrując się w przestrzeń gdzieś ponad nami.

– Będzie musiał – odpowiadam. – Nie robi mi przysługi, czyniąc mnie królową. Cokolwiek nim kieruje, jego plan się nie powiedzie, jeśli mnie w niego nie wtajemniczy.

Isaac rozważa to w milczeniu. Krzyżuję spojrzenie z Whitmanem; w przytłumionym świetle jego oczy wydają się niemal czarne. Gdy już nie mogę tego dłużej znieść, odwracam wzrok.

– Musimy działać szybko – odzywa się w końcu Isaac. Jego spocone czoło marszczy się. – Nie chcę tracić czasu. Mały ślub.

Dziwne uczucie ogarnia mnie całkowicie – ulga zmieszana z przerażeniem, wrzucona do kotła kipiącego strachu. Nigdy nie miałam snu, który wydawałby się choć w połowie tak surrealistyczny.

– Porozmawiam z mistrzem Ganem – mówi Whitman, ściskając przyjaciela za ramię i wstając.

Odwracam się na stołku, by wyjść razem z Whitmanem, ale wilgotna dłoń Isaaca dotyka mojego nadgarstka.

– Zostań jeszcze chwilę – mówi.

W momencie zawahania zerkam na Whitmana, ale z jego twarzy nie da się nic wyczytać. Chciałabym, żeby został ze mną. Jakaś część mojej świadomości boi się rozmowy z Isaakiem sam na sam. Ale jak mogłabym odmówić umierającemu, owdowiałemu królowi?

Gdy Whitman opuszcza pokój, cisza rośnie, rozszerzając się w przestrzeni, którą po sobie zostawił. Isaac odchrząkuje.

– Czy popełniliśmy błąd?

Mój puls przyspiesza.

– Co?

– Mogliśmy pobrać się wcześniej. Gdy ujawniłaś się jako moja bratnia dusza. Nigdy bym się nie zakochał w Elsie, ale ona by...

Nie mogę znieść bólu, który wykrzywia jego twarz. Gdyby jej nie pokochał, byłaby teraz żywa. To rodzaj trucizny, który potrafi zniszczyć nawet najlepsze wspomnienia.

– Isaacu. – Mój głos drży. – Tak mi przykro.

I naprawdę jest mi przykro – za o wiele więcej niż tylko to, co zrobiłam. Przykro mi z powodu życia, jakie mu przypadło w udziale.

– Mnie też – wzdycha, opierając się z powrotem na poduszce. – Więc co zamierzamy z tym zrobić?

36

Mój ojciec zawsze pragnął dożyć dnia mojego ślubu. Zazwyczaj odpowiadałam mu, że powinien modlić się o nieśmiertelność.

Dwór królewski wysyła powóz i świtę do domu moich rodziców. Są już starzy; podróż będzie dla nich trudna. Ale i tak przyjadą. Oczywiście, że przyjadą.

Gdy spotykają mnie w moich apartamentach, jestem już ubrana w suknię – miedziany atłas, połyskujący metalicznym blaskiem. Siedzę na skraju łóżka, obracając w palcach modlitewny talizman Irinorra. Rodzice siadają po obu moich stronach. Ojciec ujmuje moją dłoń – jego oczy są zamglone.

– Kochamy cię, Mono – mówi łamiącym się głosem.

Matka oplata mnie ręką, przyciska mi do ramienia swój miękki policzek.

– Ja też was kocham – mamroczę.

Przez dłuższą chwilę nie rozmawiamy. Od niechcenia bawię się piórkowatymi włosami matki. A potem mówię coś, co od dawna chciałam z siebie wyrzucić.

– Musicie wiedzieć, że jest mi przykro z powodu Patricka – mówię. – Zrobiłabym wszystko, żeby cofnąć to, co się stało.

Matka pociąga nosem.

– Mono, my przecież nie...

– A jednak Patrick mnie obwinia – przerywam jej cicho, ale stanowczo. – Ale nie mogę go przeprosić, więc musi mi wystarczyć rozmowa z wami. Czy możecie mi wybaczyć?

– Patrick nigdy by cię nie obwiniał. Nigdy. Nie ma nic do wybaczenia.

– Ale on...

Matka ucisza mnie łagodnie.

– Nie ma nic do wybaczenia.

Uśmiecham się do niej, starając się nie zapłakać.

Wspólnie schodzimy do głównej sali. Tym razem jest tu niewiele osób – poza mistrzami i bogami. Stoją na podwyższeniu w schludnych rzędach, jak wcześniej. Skinieniem witam Byers, gdy zaczynam ją obchodzić, zmierzając w stronę sceny. Ona jednak wchodzi mi w drogę i kładzie rękę na moim ramieniu.

– Tasha miała rację co do ciebie – szepcze.

Kręcę głową, niezdolna do odpowiedzi. Tasha powiedziała, że jestem silniejsza, niż sama sądzę. Owszem, zgodziłam się poślubić Isaaca, ale to tylko tymczasowe rozwiązanie – dopóki nie znajdziemy mordercy Elsie. To nie jest prawdziwe małżeństwo. Nadal nie mogę się pogodzić z myślą, że czeka mnie życie poza wschodnim skrzydłem. A przecież ta przyszłość nadejdzie, czy mi się to podoba, czy nie.

Unikam spojrzenia Whitmana, idąc po szerokich schodach platformy, by stanąć naprzeciw Isaaca. Król opiera się na prostej drewnianej lasce, jego palce zaciśnięte są na niej tak mocno, że aż bieleją. Twarz ma spoconą, a zapadnięte oczy otacza ciemna purpura. Jestem zaskoczona, że w ogóle daje

radę ustać, nawet z pomocą laski. Kiwając poważnie głową, wita mnie bez słów.

Ceremonia jest sprawna, uporządkowana – bez zbędnych sentymentów. Gan wiąże nam nadgarstki. Następnie mistrz umieszcza na mojej głowie cienki okrąg z czarnego kobaltu, jakby kontrapunkt dla złota Isaaca. To dopełnia przemianę.

Nic więcej nie potrzeba, by zmienić to, kim jestem.

– Musimy teraz udać się na wschodni balkon – mówi Semyanadd.

Jego rysy zdają się falować, rozmazywać, gdy wpatruję się w jego twarz. Nic z tego nie wydaje się rzeczywiste.

– Dlaczego? – pytam.

– Aby przedstawić cię twoim poddanym.

Wewnątrz mnie aż się gotuje, gdy ruszamy – ja, król oraz mistrzowie i bogowie – w kierunku północno-wschodniej wieży, na balkon z widokiem na zewnętrzny dziedziniec. Królowa Elsie została przedstawiona publicznie podczas turnieju, ale teraz świętowanie byłoby niestosowne.

Zatrzymujemy się przed ścianą szklanych drzwi. Na zewnątrz niebo ma barwę pudrowego błękitu. Mój puls szaleje; serce bije mi w gardle. Gdy Semyanadd otwiera drzwi i zaprasza nas na balkon, waham się tylko przez moment. Przełykam mdłości i wychodzę na ciepłe, przyjemne powietrze. Król Isaac zajmuje miejsce obok mnie.

Ludzie wypełniają trawnik wokół wieży – dzisiaj bramy zostały otwarte dla wszystkich. Nie potrafię dostrzec twarzy – widzę jedynie morze kolorów i hałasu, daleko pode mną. Nie wyglądają nawet jak ludzie – bardziej przypominają

rozkołysane źdźbła jakiejś dziwnej rośliny, zajmujące całe pole. Czuję się oszołomiona, jakbym miała za chwilę stracić równowagę, przechylić się przez marmurową balustradę i spaść na dziedziniec.

Semyanadd podchodzi do krawędzi balkonu. Jego głos, nienaturalnie donośny, niesie się nad tłumem:

– Obywatele Opalvale, pozwólcie mi przedstawić wam waszą królową.

Ktoś – nie wiem kto – popycha mnie lekko od tyłu.

– Królowa Mona – mówi Semyanadd. – Pierwsza tego imienia.

Moi poddani wiwatują, bo muszą. Patrzę prosto przed siebie.

Tasha się myliła. W tej chwili nie czuję dumy. Odczuwam tylko współczucie – dla samej siebie.

37

Moje nowe komnaty przylegają do królewskich komnat sypialnianych, stanowiących część apartamentów Isaaca. Jego rezydencja zajmuje niemal całe ósme piętro – labirynt przepychu. W każdej sali – komnacie słonecznej, bibliotece, pokoju dziecięcym – zimne, kamienne podłogi pokrywają kosztowne dywany. Ostatnia z komnat przeznaczona jest dla potencjalnego spadkobiercy. Teraz stoi pusta, z wyjątkiem drewnianej kołyski w rogu, której biały lakier odpada pasami. Inne puste pokoje niegdyś należały do dalszej rodziny monarchy. Ale dziś Isaac nie ma już rodziny.

W tym zamku było zbyt wiele śmierci.

Ciała niedawno zmarłych – jak się dowiedziałam – przechowuje się w komnacie sąsiadującej z biurem mistrza Penny w kaplicy. Tam właśnie Byers zaproponowała mi spotkanie tego ranka. Gdy wchodzę, chłodne światło przebija się przez witrażowe okna, uderzając mnie prosto w twarz. Powietrze jest stęchłe, choć nie cuchnie rozkładem, jakiego się spodziewałam. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono kilkanaście ruchomych platform w krzywym szeregu. Pośrodku sali stoi Byers – otoczona przez naszych martwych.

Zbliżam się powoli, jakbym mogła to jeszcze jakoś odwlec. Słyszy, że nadchodzę, i zerka przez ramię zmęczonym wzrokiem.

– Co ci tak długo zajęło, Wasza Wysokość?

– Ech, nawet nie zaczynaj.

Zbieram w sobie odwagę i spoglądam na ciała spoczywające na platformach. Parsons, nagi, wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam. Przełykam ślinę, próbując zdusić odruch wymiotny, i przenoszę wzrok na drugie ciało – Elsie. Spowita w długi, biały całun, który zdawał się szary, dopóki nie dostrzegłam setek, tysięcy czarnych runów haftowanych na całej powierzchni. Mrużę oczy, poruszona dziwnym uczuciem znajomości.

– To całun nieśmiertelności – szepczę.

Byers kiwa głową z miną zadowolonej nauczycielki.

– Tak właśnie.

Wpatruję się w runy. Wirują mi w oczach. Całun nieśmiertelności może powstrzymać rozkład na wiele dni, a nawet miesięcy – zależnie od warunków. Istnieje ich zaledwie garstka. Rzekomo stworzone wspólnie przez bogów i śmiertelników, gdy Siódemka po raz pierwszy pojawiła się wśród ludzi, by uformować nexusa.

Spoglądam raz jeszcze na ciało Parsonsa – i rzeczywiście, brak oznak rozkładu. Byers podąża za moim spojrzeniem.

– Był pod całunem, zanim położono tam Elsie.

– Dlaczego go jeszcze nie pochowano?

– Śledztwo wciąż trwa. Mamy Simona Hansena, ale nie zamkniemy sprawy, dopóki nie ustalimy, dlaczego to zrobił i czy ktoś mu pomagał. Ale Elsie ma pierwszeństwo.

Sięgam dłonią, by dotknąć szorstkiego brzegu całunu.

– Skąd go macie?

– Należy do monarszego dworu. Przekazywany od pokoleń.

Kręcę głową z niedowierzaniem. Koncentruję się na tkaninie – na tej dziwnej, archaicznej magii – a nie na tym, co spoczywa pod nią. Na Elsie. Prawdopodobnie nie ma już znaku Korimarr – został zmyty przy obmywaniu ciała. Łzy ściskają mi gardło, ale je tłumię. Płacz niczego nie zmieni.

Odwracam się do Bernadette, zaciskając szczękę.

– Czego się dowiedziałaś?

– Niczego sensownego – mówi z marsową miną.

Na pustej platformie obok niej spoczywa schludny stos papierów, owinięty pergaminem – akta Kompanii. Byers spędziła tu ostatnio większość czasu.

– Jakiekolwiek tropy? – pytam.

– Chyba tak. Wszystko wskazuje na to, że Elsie nie została zabita przez tego samego sprawcę co Parsons.

Przeszywa mnie dreszcz – choć to przecież logiczne. Simon Hansen był już wtedy w celi.

– Możesz to powiedzieć z pewnością?

– Kształt intencji – mówi – w obu przypadkach jest jak dwa rozmiary tego samego przedmiotu. Jeden po prostu znacznie, znacznie większy. Rozumiesz?

Patrzę na nią oszołomiona.

– Ani trochę.

– Chodź.

Chwyta mnie za łokieć i ciągnie bliżej ciał mimo mojego oporu.

– Zrób własną przepowiednię. Zrozumiesz, co mam na myśli.

Z niechęcią zamykam oczy i koncentruję się. Przenikam przez fizyczność ciał, wyczuwam esencję, która pozostała – mglistą, świecącą obecność. Pytam: Czy zabiła ich ta sama osoba?

Poświata Parsonsa kondensuje się w zwartą, bladą kulę. Mgła Elsie – świetlista, pomarańczowa, rozproszona. Te same formy, różne rozmiary. Intencja. Tak mówiła Byers.

Dlaczego zginęli?

Mgła Elsie rozciąga się i pęcznieje, jakby próbowała objąć cały pokój. Parsons – mniejszy, bardziej skupiony, ale oba tańczą ten sam taniec. Te same praprzyczyny, inne natężenie. Czy większy blask to Gildia? Jeśli to oni kryją się za Hansenem, to ich cel musi być potężniejszy niż jego.

I wtedy zauważam coś jeszcze. Mgła Parsonsa emanuje znajomym światłem i dźwiękiem. Coś we mnie się kurczy. To blask kopuły biblioteki Tashy. To oczy Byers w mdłym świetle lampy. To księżyc na pustym popołudniowym niebie.

Otwieram oczy z nagłym wdechem.

– On był w Przypływie.

Byers patrzy na mnie z niemal wdzięcznym wyrazem twarzy.

– Ale tylko Parsons – mówi. – Nie Elsie. Nie widziałam tego, dopóki nie spojrzałam na nich razem.

Gorączkowo próbuję złożyć wszystko w całość. Byers podnosi z platformy coś ciężkiego. Gruby, złamany bełt z wyrytymi runami i złotymi piórami.

Wpatruję się w niego, jednocześnie zafascynowana i przerażona.

– To bełt, który ją zabił?

– Większość z niego. Pochodzi z zamkowej zbrojowni, ale to niewiele znaczy. Mógł zostać ukradziony.

– Ale strażnicy mieli do niego dostęp.

– Tak. To prawda.

Z ponurą miną patrzę na posiniałą twarz Parsonsa. W jakiś sposób jego ciało przeszło przez Przypływ. I wróciło.

– Czy mógł widzieć okna? – pytam. – Może nikomu o tym nie powiedział.

Byers zamiera. Wpatruje się gdzieś w dal.

– Verimall – mówi.

– Co z nią?

– Pamiętasz jej wybrańca?

Marszczę brwi.

– Calvin... coś. Meekus?

– Meeker. Calvin Meeker. Pamiętasz, jaka była jego magia?

Przewracam oczami.

– Po prostu powiedz, do czego zmierzasz.

– Jest strategiem bojowym. Potrafi manipulować oknami do Przypływu.

Olśnienie uderza mnie jak grom. Uderzam się dłonią w czoło.

– Mógł dostać się do moich apartamentów, omijając strażników.

Co za niesłychana moc: możliwość swobodnego poruszania się przez Przypływ. Meeker mógł zabić Parsonsa gdzie indziej, a potem przenieść jego ciało wprost do mojego pokoju. Nikt by tego nie zauważył. To tłumaczy każdą niemożliwą sztuczkę kultysty.

Podekscytowana uderzam Byers pięścią w ramię.

– Czemu nie pomyślałaś o tym wcześniej?

Krzywi się, pocierając obolałe miejsce.

– Bo Calvin Meeker podobno nie żyje. Usłyszałam to niedługo przed twoim przybyciem. Był w straży granicznej Ashclaud, miał starcie z gangiem kłusowników.

Opuszczam ramiona.

– Dzięki, że narobiłaś mi nadziei.

– Nie rozumiesz. A może on wcale nie umarł? Być może jest teraz na zamku pod innym nazwiskiem?

Oczy mi się rozszerzają, gdy nabieram coraz większej świadomości.

– Jak Simon Hansen?

– Dokładnie. Jest tylko jedna rzecz, której jeszcze nie rozgryzłam. – Kąciki jej ust opadają. – Jeśli to wszystko prawda, to dlaczego on siedzi w tej celi? Mógłby wyjść w każdym momencie.

Marszczę brwi. Reszta teorii składa się w całość perfekcyjnie. Musi być jakieś wyjaśnienie.

– Może już wyszedł – mówię nagle. – Żeby zabić królową Elsie.

– Być może, ale moje wróżby wciąż sugerują dwóch zabójców.

– A co mówi bełt z kuszy?

Bernadette spogląda na złamaną strzałę, porzuconą na stole. Drewno jest zaplamione kilkoma kroplami krwi.

– Na razie nic.

– Wobec tego jedźmy z tym, co mamy. – Odwracam się, by po raz ostatni spojrzeć na ciało Elsie, spoczywające pod całunem. Krew się we mnie gotuje. Zrobię wszystko, by jej zadośćuczynić, cokolwiek będzie trzeba. – Poinformuję Irinorra o naszej teorii.

– Nie. – Byers oponuje tak stanowczo, że jestem zaskoczona. – Zabierzmy go przed bogów i mistrzów bez uprzedzenia. Co, jeśli Verimall wydaje mu rozkazy? Nie chcemy przecież, by coś wywęszyła.

Ta myśl przyprawia mnie o obrzydzenie. Chciałabym desperacko wierzyć, że żadna bogini nie byłaby zdolna do zdrady na takim poziomie, nawet tak krwiożercza, jak Verimall. Ale patrząc na Byers, widząc w jej oczach tak pełne przekonanie, zdaję sobie sprawę, że ufam jej w tej sprawie. Prawdopodobnie bardziej niż sobie.

– W takim razie zwołajmy radę. – Ściskam strzałę w spoconej dłoni. – Simon Hansen może zdradzić swojego wspólnika.

W sali rady siadam na tronie Isaaca i obserwuję pokój z tej dziwnej, nowej perspektywy, czując się nieswojo. Tron jest wyścielany gąbką, formowaną tak, by zmniejszyć nacisk na

kości Isaaca. Król wciąż leży w łóżku, coraz bardziej chory, ale to zebranie nie może czekać. Whitman siedzi obok mnie, oświetlony wodnistym światłem nexusa. Pozostali mistrzowie rozsiedli się wokół stołu, poprzedzielani Siedmiorgiem. Obracam w palcach złamany bełt, który zabił Elsie. Nikt nie zwraca na to uwagi. Może niektórzy uznają to za dziwny przedmiot do obnoszenia, ale przypuszczam, że będę go potrzebować.

– Pierwsza rzecz. – Moje spojrzenie prześlizguje się po stole. – Mistrzowie Soph i Oversea. Jesteście winni spiskowania w celu popełnienia zdrady stanu. Proszę gwardię o zabranie tych mężczyzn do lochów.

W pokoju wzbiera szum paniki; nawet Whitman odwraca się w moim kierunku z zaciekawieniem. Mistrzowie, których wymieniłam, siedzą nieruchomo, jakby czekali na kogoś, kto ich obroni.

– Każdy z was opłacił królewskiego maga, by wstawić swojego ulubionego kandydata na tron – kontynuuję. – Udowodniłam to. Jeśli chcecie uniknąć egzekucji, możecie złożyć pełne zeznania. – Nadal nikt się nie rusza. Zerkam na strażników. – Aresztujcie ich.

Gwardziści przechodzą do działania. Pozostali mistrzowie kręcą się nerwowo, gdy strażnicy chwytają Sopha i Oversea. Twarz Oversea jest wykrzywiona gniewem i strachem.

– To absurdalne. Nie macie żadnych dowodów.

Oversea szarpie się, jakby chciał pokazać, jak brutalnie jest traktowany.

– Nie będziesz królową zawsze, panno Arnett. Pamiętaj o tym.

– Dla ciebie jestem „Wasza Wysokość” – mówię chłodno, gdy gwardzista wyprowadza go z sali.

Powietrze gęstnieje. Spoglądam na Whitmana.

– Mistrzu, proszę, by po tym zebraniu jasnowidze John Hawkes i Alice Janieux zostali aresztowani i otrzymali taką samą ofertę.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odpowiada z tępym wzrokiem. Nie wydaje się zachwycony moimi metodami. Ale nie jest już moim przełożonym. Renfield też patrzy na mnie badawczo, ale nie wydaje się wkurzona. Może nawet jest pod wrażeniem.

Składam ręce na stole.

– Straż! – wołam. – Wprowadzić więźnia.

Dwóch strażników wprowadza Hansena, związanego między nimi. Jego duże oczy błyszczą zza zasłony rzadkich włosów. Nie opiera się.

Nie może mieć więcej niż szesnaście lat. Ten chłopak zabił Parsonsa i wywrócił moje życie do góry nogami. Studiuję jego mało wyraziste rysy w poświacie nexusa. Czy już go gdzieś widziałam?

I wtedy mnie olśniewa – to jeden ze strażników przed moimi apartamentami. Ten, który próbował mnie powstrzymać, gdy włamałam się do biura Whitmana. W zbroi i uniformie wydawał się starszy. Wtedy już zabił Parsonsa. Wzdrygam się z obrzydzenia.

Ściskam strzałę w dłoni.

– Panie Hansen. Musimy porozmawiać.

Milczy. Spoglądam na bogów – ich twarze są bierne. Czy to nie Calvin Meeker? Ale wtedy zerkam na Verimall. Jej wzrok płonie uczuciem, jakie Irinorr rezerwuje tylko dla mnie. To spojrzenie miłości. Simon Hansen to Calvin Meeker.

Dlaczego inni bogowie udają, że tego nie widzą? Chronią Verimall? Trzymają się z dala od mordercy? W obu przypadkach to niedopuszczalne. To nie czas na polityczne gierki.

Mówię wprost do więźnia:

– Czy dobrze rozumiem, że nie masz zamiaru rozmawiać teraz ani później?

Milczy.

– W porządku. W takim razie skazuję cię na śmierć.

Cisza krystalizuje się w coś głębszego, cięższego niż brak dźwięku. To pustka. Wszystkie spojrzenia kierują się na mnie.

Mistrzyni Renfield odchrząkuje.

– Pani Ar... Wasza Wysokość – zaczyna – rozumiemy gniew, ale większość więźniów współpracuje, gdy nie grozi im bezpośrednio egzekucja. Jeśli mamy zdobyć informacje o wspólnikach, być może warto...

Stanowczym gestem kładę złamaną strzałę na stole.

– Żadne zagrożenie nie będzie wisieć nad skazańcem. Egzekucja odbędzie się dzisiaj wieczorem. Teraz.

38

Calvin Meeker szarpie się, jakby chciał uciec, ale strażnicy trzymają go mocno. Ponownie obserwuję reakcje bogów. Większość z nich ma ponure miny, ale twarz Verimall napina się w wymuszonej powściągliwości.

Strażnik po lewej stronie Calvina ociera pot z czoła.

– E-egzekucja... W jaki sposób?

Leniwie macham ręką.

– Macie miecze. Wymyślcie coś.

Nikt się nie rusza. Przesuwam się niespokojnie na tronie, zaczynając żałować teatralności całej sytuacji. Jaki jest sens bycia królową, jeśli nikt mnie nie słucha? Ale zabrnęłam za daleko, żeby teraz odpuścić. Wciągam powietrze, uderzam dłońmi w stół i się podnoszę.

– Dobrze – mówię, okrążając pomieszczenie, aż staję przed Calvinem. Pochylam się i chwytam nóż przy bucie strażnika, zanim ten zdąży zaprotestować. Zarówno Calvin, jak i gwardzista wydają z siebie zduszone okrzyki przerażenia, gdy prostuję się i staję na baczność.

– Zrobię to sama.

Wszyscy mistrzowie przy stole podrywają się na równe nogi. Whitman krzyczy:

– Mono, nie!

Kieruję ostrze noża ku gardłu Calvina. Drży, a jego usta poruszają się, jakby próbował błagać, ale nie mógł znaleźć słów. Najwidoczniej nie jest w tym wprawiony.

– Zrujnowałeś mi życie – syczę pod nosem. Robię zamach ręką.

– Stój!

Zatrzymuję się i odwracam. Verimall zatacza się w moją stronę, trzęsąc się jak dziecko.

– Przestań, Mono. Wygrałaś. Brawo dla ciebie. Po prostu odłóż nóż.

Opuszczam ramię, ale się nie cofam.

– Dlaczego miałabym go odłożyć?

Semyanadd również wstaje.

– Najlepiej będzie, jeśli śmiertelnicy teraz opuszczą pokój. Mamy sprawy do omówienia.

Jego słowa rozbrzmiewają w ciszy, są jedynym dźwiękiem oprócz ciężkich oddechów Calvina tuż przy moim uchu. Z pewnością poza królem nikt nigdy wcześniej nie rozkazał mistrzom opuścić sali. Ale kto ośmieliłby się sprzeciwić bogom?

– Puśćcie Calvina – mówi Verimall pustym głosem, patrząc na swojego faworyta. – Zabierzcie go stąd, ona postradała zmysły.

Krzywię usta. Trochę w tym dramatyzowania, ale zgadzam się, że należy pozbyć się Calvina. Wyrzućmy go, żebym mogła rozmawiać z bogami sama.

– Zabierzcie go do lochów – mówię strażnikom. – I przykujcie do czegoś.

Nie mogę pozwolić, żeby uciekł przez Przypływ.

Mistrzowie zaczynają opuszczać pokój, omijając mnie szerokim łukiem. Calvin i strażnicy wychodzą za nimi. Whitman rzuca mi zatroskane spojrzenie, a po chwili drzwi zamykają się za nim.

Wracając do tronu, staram się ukryć swoje nerwowe tiki, ale nic nie poradzę na drżące kończyny i spoconą górną wargę. Siadam wyprostowana – przynajmniej moja postawa świadczy o wewnętrznej dyscyplinie.

– Ten chłopak to faworyt jednego z bogów – mówię. Teraz nie da się już temu zaprzeczyć. – Jak długo wiedzieliście o tym, co zrobił?

Semyanadd badawczo się przygląda, patrzy mi prosto w oczy. Cokolwiek w nich dostrzega, jego postawa ulega zmianie. Wzdycha, usta mu się zaciskają w bladą linię, a on sam siada z rezygnacją więźnia gotowego do zeznań.

– Może to już czas, by ci powiedzieć. W końcu jesteś teraz królową.

– Powiedzieć mi co? – Staram się ignorować wściekłe spojrzenie Verimall. Nie wybaczy mi szybko groźby wobec Calvina.

Semyanadd splata dłonie – białe jak kość – jedna na drugiej. Sześciu bogów przy stole zachowuje swoje dostojeństwo, nieruchomi, nie mrugają.

– Mono – mówi – poznaliśmy przyczynę powstawania wyrw w waszym świecie. Przez nexusa…

Siadam wyprostowana, czując mrowienie na skórze głowy.

– Naprawdę? Kiedy? – Potrząsam głową, przypominając sobie, co się właśnie wydarzyło. – A co z Simonem Hansenem, Calvinem czy kimkolwiek on jest? – domagam się wyjaśnień. – Zamordował Parsonsa i pomógł zamachowcom w zabiciu królowej!

(Groził również mnie, ale to się wydaje najmniej ważną z jego zbrodni).

Semyanadd pomija to pytanie milczeniem.

– To może być trudne do przyjęcia. Potrzebujemy, byś była silna.

Zimny strach uderza mnie w żołądek.

– Po prostu mi to powiedz.

– Dobrze – mówi ciężko, pochylając głowę. – To nie sam nexus, ale to, co reprezentuje. Nexus to pomost między Przypływem a światem śmiertelników. Od czterech tysiącleci nasycał wasz świat magią. Ale światy się zmieniają. – Zaciska usta i wciąga powietrze, jakby zastanawiał się, jak najlepiej wytłumaczyć to głupiej śmiertelniczce takiej jak ja. – Przypływ jest dynamiczny. Świat śmiertelników jest statyczny. Nasza sfera ciągle się rozszerza, podczas gdy wasza pozostaje niezmienna. Na krótką metę, w skali kosmicznej, nie stanowi to problemu. Ale jeśli pozostaną połączone, Przypływ rozerwie wasz świat na strzępy. Stąd umierające sady czarodrzewu, duchy, które ty i inni widzieliście, przechodzące przez wyrwy.

Marszczę brwi. Coś mi w tym wyjaśnieniu nie pasuje. Nie potrafię określić, co dokładnie.

– Jak możemy to naprawić?

– Tylko ty możesz to zrobić, Mono – mówi Onyamarr. – Zgodnie z kontraktem bogowie i monarcha Opalvale muszą wyrazić zgodę na zerwanie nexusa. I wyłącznie śmiertelnik, który ma więź z Przypływem, taką, jaką masz ty, jest w stanie wykonać ostatni akt magii, który to umożliwi.

Nie rozumiem.

– Dlaczego faworyt boga?

Bogowie wymieniają nieprzeniknione spojrzenia, aż w końcu Korimarr odpowiada:

– Nie miało tak być. Król śmiertelników, który zawarł kontrakt, miał te same zdolności co ty. Magia bywa… nieprzewidywalna.

Nagle ze wstrząsającą siłą uderza mnie pewna świadomość.

– Jak długo o tym wiedzieliście?

Żadne z Siedmiorga mi nie odpowiada. Bardzo bym chciała, żeby powiedzieli mi, że to coś nowego. Że to po prostu dziwny zbieg okoliczności. Ale milczą. Spoglądam na Irinorra, a on patrzy na mnie i oczy mu błyszczą.

– Jak długo o tym wiedzieliście? – powtarzam głośniej.

– Musisz to zrozumieć, Mono – zaczyna Semyanadd, a czułość w jego głosie uderza mnie jak cios pięścią. Bogowie na niskościach, to prawda. – Jeśli nexus nie zostanie szybko przerwany, wasz świat bardzo ucierpi. Sady to dopiero początek. – Następne będą demony, a potem sama tkanka waszego świata się rozerwie. Śmiertelne królestwo przestanie istnieć.

– Więc to wy zmieniliście wyniki moich wróżb. – Wpatruję się we własne kolana, niezdolna spojrzeć im w twarz. – To wy

chcieliście posadzić mnie na tronie.

Bogowie nie odpowiadają. Przełykam falę mdłości. A więc mam rację.

Nigdy nie byłam tak załamana, tak zagubiona. Całe moje życie, wszystko, w co wierzyłam, było oparte na kłamstwach.

Kropla potu spływa mi za uchem, w dół szyi.

– Czy to wy zabiliście Elsie i Parsonsa? – pytam cicho. – Czy Calvin cały czas dla was pracował?

– Nie, nie pracował dla nas. – Semyanadd przenosi wzrok na Verimall. – Chyba że masz coś do wyznania, siostro?

Verimall wydaje z siebie zachrypnięty, pusty śmiech, tak głośny, że podskakuję.

– Żadnych zabójstw, mówiliście! – rechocze. – Och nie, nie chcieliśmy jeszcze bardziej pogłębiać ich cierpienia! Pozwólcie jej dojść do decyzji samodzielnie – niech dojrzeje do swojej roli. Ha! A na koniec i tak to zrobiliście! Mordercy.

Spoglądam na bogów z rozdziawionymi ustami. Nie mówi składnie, ale jej słowa mnie rozpalają; pod tym bełkotem kryje się prawda, której reszta nie ma odwagi wypowiedzieć.

– Więc to było to? – Semyanadd rzuca zimne, gniewne spojrzenie na Verimall. – Twoja próba przyspieszenia spraw?

– Mówiłam wam od początku – syczy, plując śliną przy każdym słowie – że dziewczyna nigdy nie przyzna się do swojej wróżby, dopóki nie wywrzemy na nią presji. Tak, kazałam Calvinowi zostawiać groźby. Nie chciał zabić tego chłopaka. Mały drań przyłapał Calvina na paleniu szkiców listów. Doszło do szamotaniny – i stało się po prostu. Więc Calvin zrobił ze zwłok użytek. To nie było częścią planu, ale

podtrzymuję tę decyzję. Była konieczna, żeby wyrównać jej niedostatki.

Verimall wymachuje palcem w moją stronę, a ja odruchowo się cofam.

– Nigdy by się nie przyznała, ta samolubna suka!

Moje myśli poruszają się ospale, ale jedna przebija się na powierzchnię. Jeśli Verimall mówi prawdę, to musiała nakazać Calvinowi zostać zamkniętym w celi, nie rozmawiać z nikim, żeby odwrócić podejrzenia ode mnie. Trudno sprzedać oskarżoną o morderstwo jako przyszłą królową. Sądząc po pełnych pogardy spojrzeniach bogów, nie byli wtajemniczeni w plan Verimall.

– Calvin zabił niewinnego człowieka – mówię cicho do Verimall. Brakuje mi powietrza. – Nawet jeśli to był wypadek, jak możesz... jak możesz to usprawiedliwiać?

– Jak? – powtarza, odsłaniając kły. – Jak mogłam poświęcić kilka istnień, żeby zapobiec cierpieniu milionów? Może zapytasz swojego ukochanego Irinorra albo resztę?

Patrzę na Irinorra, błagając go wzrokiem, by zaprzeczył. Ale on tylko pochyla głowę.

Z dreszczem akceptuję prawdę, która musiała tkwić gdzieś głęboko w mojej podświadomości. Oczywiście, że to Siódemka zabiła Elsie. Kto inny mógł dostać się na szczyt wieży i wrócić, nie zostając zauważonym? Kto inny mógł oddać strzał z takiej odległości? To musiał być czyn o boskich proporcjach. Calvin Meeker zamordował Parsonsa, ale to bogowie zabili królową.

Ściskam złamany bełt. Jego faktura jest śliska od mojego potu. Miałam zamiar przeprowadzić wróżbę, będąc blisko

Calvina, żeby zobaczyć, czy ujawni coś nowego. Teraz już nie muszę.

Chwieję się na nogach, choć nie pamiętam, kiedy wstałam.

– Nie musieliście zabijać Elsie. Dlaczego to zrobiliście? – W oczach zbierają mi się łzy, aż w końcu spływają po policzkach. – Dlaczego ją zabiliście? Ona nigdy wam nic nie zrobiła!

– Była przeszkodą – mówi Wayvadd.

Koci bóg odchyla się na krześle, opierając stopy na stole. Moje cierpienie zdaje się go bawić.

– Potrzebowaliśmy cię na tronie. Nie zostawiłaś nam wielu opcji, moja słodka.

– Więc czemu po prostu mi nie powiedzieliście! – Krążę za moim tronem. – Gdybyście po prostu, do cholery, powiedzieli mi, że chcecie mnie zrobić królową, nigdy bym nie skłamała! Nigdy nie posadziłabym Elsie na tronie!

– A co byś zrobiła? – pyta Irinorr z bolesną cierpliwością.

Odwracam się do niego, dławiąc szloch.

– Gdybyśmy przyszli do ciebie i powiedzieli, że musisz zostać królową? Uciekłabyś do Przypływu, prawda? Moglibyśmy stracić cię na zawsze.

Pochyla się, prosząc mnie spojrzeniem o przebaczenie.

– W ten sposób miałaś wybór. To była twoja decyzja.

Moje policzki płoną. Oczywiście, że ma rację. Verimall też ma rację. Gdyby postawili mnie przed faktem dokonanym, walczyłabym z nimi do upadłego. Zmusiłam ich do działania.

Elsie nie żyje przeze mnie.

– Dlaczego ja? – Opieram się o tron, ścierając łzy z policzków. – Czemu nie inny ze śmiertelnych ulubieńców?

Korimarr, z podniesionym podbródkiem i jawnie lekceważącym wyrazem twarzy, mówi:

– Twoja ścieżka była najprostsza. Mogliśmy posadzić cię na tronie przy najmniejszej liczbie ruchów.

– Jak daleko wstecz sięgają te plany? Całej linii rodowej Isaaca? Czy to wy zabiliście osoby z jego rodziny, żeby przerwać nexus?

– To była opcja awaryjna – odpowiada Semyanadd, splatając długie palce.

Gdybym go nie znała, powiedziałabym, że jego głos brzmi nerwowo. Mam przynajmniej nadzieję, że czuje wstyd.

– Nie nasz pierwszy wybór. Musieliśmy dostać możliwość zakończenia linii królewskiej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zrozum, Mono: jeśli nexus zostanie przerwany w ten sposób, nastąpi pewne rozerwanie zasłony. To może spowodować w waszym świecie spustoszenie, ale przynajmniej świat śmiertelników ma szanse przetrwać. Jeśli nexus pozostanie niezmieniony, nie będzie już żadnego świata.

Wpatruję się w przestrzeń. Bogowie milczą, gdy przetwarzam te słowa.

Jeśli zdrada Whitmana była bolesna, to ta boli znacznie bardziej. Od początku siedmioro bogów wiedziało, jak to się skończy. Może nawet od dnia, w którym Irinorr znalazł mnie w Przypływie. Wychowano mnie jak marionetkę przeznaczoną na tron, tresowano jak cenne zwierzę hodowlane. Irinorr na każdym kroku wzmacniał moją uległość. Wbijał kliny w pęknięcia, które zostawiła śmierć

Patricka, rozpychał je coraz szerzej. Bo tak było łatwiej – łatwiej mnie przewidzieć, łatwiej pokierować. Łatwiej kontrolować. Jeśli przesadzili i ukształtowali mnie na zbyt kruchą, zbyt łamliwą do roli, jaką mieli dla mnie w planach – cóż, to już ich problem, nie mój.

Stabilizuję głos.

– Co się stanie, kiedy złamię nexusa?

– Magia zniknie ze świata śmiertelników – mówi Semyanadd. – Runy stracą moc, sok czarodrzewu pozostanie uśpiony.

– A moja magia?

– Twoje zdolności nie są związane z nexusem. Nie zmienią się.

– Jasne.

To wydaje się nierzeczywiste. Jak jeszcze jeden rozdział w trwającym od kilku dni śnie, w tym dziwnym półmroku, w którym unosi mnie los. Patrzę Semyanaddowi w oczy i pytam:

– Jak mam to zrobić?

– Poprzez serię wypowiedzianych run.

– Run? – Marszczę brwi. – Nie jestem zaklinaczką.

– To nie są runy, które znasz. Są znacznie starsze. Nauczę cię.

I rzeczywiście, robi to szybko i bez ceremonii. Trzy krótkie, gardłowe sylaby, inne niż jakiekolwiek runy, które kiedykolwiek słyszałam. Zapamiętuję je, gdy Semyanadd powtarza każdą z nich – i jakoś wbijają się w moją głowę, jasne i wyraźne, jakby ktoś je wytatuował w moim mózgu. To

nie jest magia śmiertelników, w którą się dotąd bawiłam. To magia bogów. Kiedy wypowiem runy na głos w obecności nexusa, rzecz zostanie dokonana.

Odwrócona plecami do bogów powtarzam je w myślach. Gdy już je znam, odwracam się.

– Chciałabym chwilę pomyśleć – mówię.

Siedmioro nie protestuje. Wstają uprzejmie i z gracją jedno po drugim. Verimall krzywi się do mnie, gdy odchodzi. Przeze mnie życie jej ulubionego śmiertelnika legło w gruzach. Dziesięć minut temu byłoby mi jej bardzo żal. Teraz zastanawiam się, czy bogowie w ogóle dbają o swoich ulubieńców. Jak mogli się troszczyć i jednocześnie zrobić to, co zrobili?

Sama krążę wokół stołu, obserwując kolumnę światła nexusa, skandując runy w myślach. Chłodne powietrze w pokoju przenika przez moją suknię. Komu mogę zaufać? Bogowie mnie zdradzili, ale to nie znaczy, że każde słowo z ich ust jest kłamstwem. Tasha ostrzegałaby mnie, bym kwestionowała głos ich autorytetu. Z drugiej strony, Irinorr mówił, że Przypływ przemienił serce Tashy w papkę. Ból by mnie ogarnął, gdybym odkryła kolejne kłamstwo zaserwowane przez mojego boga-patrona, ale Tasha nie wydawała mi się potworem.

Dygocząc, spędzam pół godziny na krążeniu wokół tego stołu jak pętla zaciskająca się coraz mocniej. W trakcie spaceru myślę o Bernadette Byers. Jest jedyną osobą, której ufam z całego serca. I która jednocześnie potrafi oddzielić prawdy od kłamstw.

Wychylam głowę przez drzwi.

– Przyprowadź mi pannę Byers – mówię do gwardzistki po lewej stronie drzwi.

Strażniczka salutuje i biegnie w głąb korytarza. Znowu krążę po pokoju, aż w końcu Bernadette przybywa. Zatrzaskuje drzwi, ze wzrokiem utkwionym we mnie.

– Co się stało, Wasza Wysokość? – pyta.

– Przestań mnie tak nazywać. Potrzebuję twojej pomocy.

– W czym? – Byers podchodzi bliżej, ale moje oczy nie odrywają się od nexusa.

– Nie jestem wystarczająco silna, aby w oparciu o to zrobić przepowiednię. – Wskazuję pionowy snop światła. – Chyba żebym go dotknęła, a nie wiem, co by się stało, gdybym to zrobiła.

Nawet po okresie spędzonym w Przypływie nigdy nie umiałam odczytać magicznego znaczenia obiektu o takiej mocy, jak nexus albo bogowie, bez punktu odniesienia. Ale Byers zawsze była silniejsza ode mnie.

– Czego chcesz się właściwie dowiedzieć? – Zbliża się do stołu i pochyla lekko.

– Co się stanie, jeśli nexus zostanie złamany.

– Wiesz, co się stanie – mówi, zdziwiona. – Magia zniknie.

– Muszę poznać szerszą prawdę. Po prostu… daj mi ogólne zrozumienie. Jaki byłby ostateczny skutek zerwania naszego związku z Przypływem?

Byers przygląda się uważnie mojej twarzy, a potem wzrusza ramionami. Wypuszcza powietrze, zamykając oczy. Czekam i pocieram ręce.

Powieki Bernadette podnoszą się. Wydaje z siebie okropny dźwięk, przeraźliwy krzyk. Nagle robi krok wstecz i się potyka. Doskakuję, by ją złapać, chwytając pod ramionami.

– Co się dzieje? – pytam, przesuwając jej bezwładne ciało.

Byers oddycha z wielkim wysiłkiem. Kładzie drżącą rękę na mojej dłoni.

– Dlaczego mnie o to zapytałaś?

– Ponieważ bogowie kazali mi złamać nexusa. Co się dzieje, Byers? Po prostu mi powiedz!

Skurcz mdłości przeszywa jej ciało, a może to zwykły szloch. Moje mięśnie napinają się, gdy próbuję ją podtrzymać.

– Arnett, nie ma nic. Nie wyczuwam nic, ja... Ja zupełnie nic nie czuję.

– Ktoś blokuje odczyt twojej wróżby?

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu... no po prostu niczego tam nie ma. Jeśli złamiesz nexusa, wszystko się skończy.

– Wszystko? – powtarzam, serce mi wali, jego rytm pulsuje w uszach.

Stopy Bernadette ślizgają się po podłodze, gdy próbuje stanąć o własnych siłach.

– Co to znaczy „wszystko”?

– Kraina śmiertelników – mówi, łapiąc oddech. – Świat.

39

Siedzimy na podłodze, oparte o ściany, naprzeciwko siebie. Głośny, powolny oddech Byers odbija się echem w ciszy. Minęły już długie minuty od jej przepowiedni, a ona wciąż nie doszła do siebie.

– Spróbuj jeszcze raz – mówię, opierając podbródek na kolanach.

Jej wilgotne oczy łapią światło nexusa.

– Moja wizja jest prawdziwa, Arnett – odpowiada bezbarwnym głosem. – Przestań na siłę szukać innego wyjścia.

Wtulam twarz między kolana. Jak to możliwe, że ma rację? Dlaczego bogowie kazali mi zniszczyć nexusa, jeśli rezultat miałby być właśnie taki? Potrafią być okrutni, owszem – ale nie bez powodu. Nie zniszczyliby naszego świata dla kaprysu.

– A co się stanie, jeśli nie zniszczę nexusa? – pytam.

Po chwili zawahania jej ciało zaczyna drżeć.

– Wtedy będzie cierpienie – mówi cicho. – Ogromny ból, a potem... potem znów nic.

– Dlatego mnie wybrali – mówię. Oczy pieką mnie, jakbym nie spała od wielu dni. – Siódemka wiedziała, że nie będę zadawać pytań. Że zrobię wszystko, co mi każą, byle zejść z tego cholernego tronu. – Obejmuję głowę rękami, szarpiąc

za włosy. Zostałam wykorzystana. Irinorr mnie wykorzystał. Wychował mnie jak zwierzę prowadzone na rzeź.

Ból przeszywa mi mostek – ostry, głęboki, odbierający dech. Dopiero po chwili rozpoznaję, co to za uczucie.

To złość. Prawdziwa, paląca wściekłość. Gdyby bogowie weszli teraz do pokoju, rzuciłabym się na nich z gołymi rękami.

– Nie rozumiem – mamrocze Byers. Jej nogi leżą bezwładnie na posadzce. – Jeśli to wszystko... jeśli to naprawdę Wzbierająca Fala... to moi rodzice... mieli rację. Nigdy nie było żadnego sensu. Nic nie ma znaczenia.

I nagle zaczyna szlochać, zaciskając dłonie na twarzy jak szpony.

Zastygam tylko na chwilę, po czym podpełzam bliżej. Niezgrabnie obejmuję ją ramieniem. Jej mokry policzek spoczywa na mojej piersi. Kołyszę ją lekko, szepcząc uspokajające słowa.

Nie wiem, co innego mogę zrobić.

– Chciałabym, żeby Tasha tu była – mówi przez spazmatyczne oddechy.

Pociągam nosem.

– Po co? Żeby nam wygarnęła, jakie jesteśmy idiotki, że wcześniej się nie domyśliłyśmy?

– Nie wiem. Chciałabym po prostu usłyszeć jej głos. Myślę, że wtedy... może... łatwiej byłoby mi się z tym pogodzić.

Parskam śmiechem. Jakby to było zabawne. Wielki żart. Jeśli zniszczę nexusa, świat przestanie istnieć. Jeśli tego nie zrobię, świat będzie cierpiał... a potem też przestanie istnieć.

To właśnie ten wybór, przed którym stanęli bogowie – i który przekazali mnie. Zaciskam szczękę tak mocno, że bolą mnie zęby. Jak łatwo Siódemka była gotowa pozbyć się nas, śmiertelników, jak zużytej wody po kąpieli. A ja miałam nie tylko pomóc – miałam być ich narzędziem. Ich toporem.

Splatam palce na karku, zaciskając powieki. Bogowie wychowywali mnie i chronili od dziecka. Chcę wierzyć, że nie mieli wyboru. Że nie zrobiliby tego, gdyby istniała inna droga.

Podnoszę głowę.

– Wayvadd kiedyś coś powiedział – mówię, odsuwając się od Bernadette i prostując. – Tuż po tym, jak przybyłam do zamku. Powiedział, że gdyby to od niego zależało, wszystko potoczyłoby się inaczej. Wtedy nie rozumiałam, co miał na myśli.

Byers sztywnieje.

– Myślisz, że mówił o tym?

Zrywam się na nogi, przytrzymując dół sukni, by się nie potknąć.

– Może zna inny sposób, by to zakończyć.

Bernadette również wstaje, pospiesznie, i obie wybiegamy z pokoju.

Gwardziści królewscy dołączają do nas, idąc za nami po krętych schodach. Na czwartym piętrze mijamy rząd drzwi, jedno po drugim, aż stajemy przed tymi, które należą do Wayvadda. Pukam w nie z całej siły. Gdy się uchylają, zza szpary wyglądają jego blade oczy.

– Słodka Mono – mruczy, otwierając drzwi szerzej. – I Bernadette. Cóż za urocza niespodzianka.

– Przesuń się – rzucam sucho.

Wpuszcza nas bez słowa sprzeciwu.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – pyta, podnosząc kieliszek szampana ze stolika. Obraca go w palcach, przyglądając się bąbelkom.

– Wayvadd, powiedziałeś kiedyś, że mnie lubisz – mówię. Chichocze, ale ja kontynuuję, zaciskając zęby: – I że gdyby to zależało od ciebie, wszystko wyglądałoby inaczej. Co miałeś na myśli?

Rzuca nam przelotne spojrzenie.

– A czemuż to pytasz, jeśli łaska?

– Wiem o nexusie. I o tym, co się stanie, jeśli go rozerwę. Świat śmiertelników przestanie istnieć. A jeśli go nie rozerwę – efekt będzie ten sam. Może więc mi to wyjaśnisz?

Napina się na moment. Po czym uśmiecha się lekko i śmieje – cicho, ale z wyraźnym rozbawieniem.

– Nawet nie chcę wiedzieć, skąd masz te informacje.

– Co to ma znaczyć? – Patrzę mu prosto w oczy. Jestem królową Opalvale. Należy mi się jego lojalność. – Dlaczego Siódemka powiedziała mi, że zniszczenie nexusa zatrzyma rozdarcia w zasłonie?

– Zatrzyma. W pewnym sensie – mówi, wzruszając ramionami z udawaną obojętnością.

Rzucam mu ostre spojrzenie. Westchnąwszy, dodaje:

– Posłuchaj, królowo Mono – wiele z tego, co ci powiedziano, jest prawdą. Przypływ to siła dynamiczna. Twój świat – statyczny.

Unosi dłoń i kreśli nią koła w powietrzu. Z cichym pyknięciem między jego palcami materializuje się sprężyna. Chwyta jej końce obiema rękami, trzymając ją poziomo.

– To jest Przypływ. A to… – między zwojami pojawia się mała czerwona kulka – …to twój świat. Przez jakiś czas wszystko działało. Ale Przypływ stale się rozszerza… – Rozciąga sprężynę. Odstępy między zwojami rosną. Czerwona kulka wypada i odbija się od podłogi. – Twój świat straci równowagę i wypadnie z istnienia. To tragiczne, ale taki jest los wszystkich rzeczy śmiertelnych. Wszystko kiedyś się kończy.

Obserwuję, jak kulka toczy się po dywanie.

– I to właśnie się stanie, gdy zniszczę nexusa?

– Tak, Wasza Wysokość. A jeśli nie zerwiesz połączenia, będzie gorzej. Przypływ wciąż będzie się rozszerzał, a twój świat pozostanie do niego przytwierdzony. Siła tej zależności rozerwie królestwo śmiertelników na strzępy. Wierz mi lub nie, ale poprosiliśmy cię o zniszczenie nexusa z litości.

– Musi być inny sposób – mówi Byers, robiąc krok naprzód. – Nie wmówisz mi, że nasze opcje to umrzeć… albo umrzeć szybciej.

– Przykro mi, szanowne panie, ale życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Tego nie da się naprawić. – Chichocze pod nosem. – Możecie sprawić, że będzie gorzej. Ale lepiej – niestety nie.

Podnoszę głowę. Wayvadd nigdy nie mówi nic przypadkiem.

– Możemy sprawić, że będzie gorzej?

Spogląda na mnie z leniwym mrugnięciem.

– Być może. Ale ja…

Podchodzę do niego szybko. Odchyla głowę w tył.

– Jak możemy sprawić, że będzie gorzej, Wayvaddzie? – pytam. Nasze twarze niemal się stykają.

Na jego ustach pojawia się uśmiech. Wybucha krótkim, stłumionym śmiechem.

– Och, Mono – mówi z rozbawieniem. Klepie mnie lekko po ramieniu. – Nigdy nie przestajesz mnie zaskakiwać. Chcesz spotęgować cierpienie swoich współśmiertelników?

– Po prostu powiedz.

Mruczy pod nosem:

– Teoretycznie można stworzyć dodatkowe połączenia między Przypływem a królestwem śmiertelników. Rozdarcia w zasłonie stałyby się większe. Wasz lud cierpiałby znacznie dłużej. Może nawet całymi latami. Wojny, klęska głodu. Gorsze od szybkiego unicestwienia, gorsze niż tydzień napaści demonów. Tak – ktoś o wyjątkowo sadystycznych zapędach mógłby wybrać właśnie tę ścieżkę.

Odwracam wzrok od lodowatych oczu Wayvadda. Można to przeciągnąć? Więc czemu nie? Lepiej cierpieć latami niż umrzeć w kilka minut. Lata oznaczają czas. Czas, by znaleźć inne rozwiązanie.

– Jak to zrobić? – pytam Wayvadda. – Jak stworzyć kolejne połączenie z Przypływem?

Cofa się o kilka kroków, a jego oczy rozszerzają się ze zdumienia.

– Mono, nie brałem cię za taką osobę. Kto by pomyślał, że potrafisz być aż tak okrutna?

Śmieje się, widząc wyraz mojej twarzy.

– Daj spokój. Nie zamierzam cię tego uczyć. Reszta z Siedmiorga urwałaby mi głowę. A żeby wykonać rytuał, musiałabyś dostać się do fortecy. Powodzenia z tym.

– Czemu sam mi nie powiesz, jak się tam dostać?

– Bo nie mogę? – odpowiada najbardziej kpiącym tonem, na jaki go stać. – Do fortecy można wejść tylko wtedy, gdy się zna drogę.

– Właśnie dlatego cię pytam...

– Nie – przerywa mi. – Otrzymanie wskazówek to nie to samo, co wiedza.

– Powiedz mi cokolwiek, Wayvadd! – wybucham, unosząc ręce. On zaś uśmiecha się złośliwie i unosi brwi. – Musisz mi coś dać – mówię – bo inaczej wszyscy zginiemy! Rozumiesz to, prawda?

– Oczywiście, że rozumiem.

Podnosi kieliszek do ust.

– Ale to nie mój problem.

Wściekła odwracam się do Byers, jakby mogła mnie uratować. Ona jednak tylko ledwo zauważalnie kręci głową. Nie ma odpowiedzi.

Chwytam Wayvadda za nadgarstek. Zatrzymuje się w pół łyka.

– Proszę – mówię. – Chciałeś mi kiedyś pomóc. Wiem, że chciałeś. To twoja szansa.

– Przykro mi, Mono. – Jego drapieżny uśmiech się poszerza. – Twój wybór leży przed tobą. Świat się kończy, kochanie. Jedyne, co możesz kontrolować, to sposób zakończenia.

40

W chłodzie i niemal zupełnej ciemności siedzę na twardej, kamiennej posadzce sali obrad. Mało królewski gest – ale co z tego? Jestem sama, a świat się kończy. Odprawiłam Byers, wysyłając ją do Elizabety. Nie ma sensu zmuszać jej, by siedziała tu i zamartwiała się razem ze mną.

Czy powinnam wrócić do domu, by po raz ostatni odwiedzić rodzinę? Nie. Od razu by się zorientowali, że coś jest nie tak. Chcę, żeby byli spokojni, gdy wszystko się skończy. Nie spanikowani. Nie pogrążeni w rozpaczy.

Siedzę tak godzinami, aż moje nogi zupełnie drętwieją. Czuję mrowienie w kikucie małego palca. Nexus migocze przede mną, przesłaniając wszystko inne, aż nie widzę nic poza nim.

Na świecie pozostał tylko jeden problem. Jeden jedyny, którego nie da się rozwiązać.

A śmierć jeszcze mnie nie pokonała.

41

Kiedy uświadamiam sobie, co muszę zrobić, nie mam już żadnych wątpliwości. Wniosek jest nieunikniony – kwestia przeznaczenia, jak sądzę. Tym razem przeznaczenie działa na moją korzyść.

Pędzę na czwarte piętro, do skrzydła bogów, i wpadam do pokoju Wayvadda. Wstaje z kanapy, zaskoczony moim powrotem. Zastanawiam się, czy myślał, że już zdążyłam zakończyć świat. Co by się wtedy stało z bogami? Czy ich śmiertelne ciała rozerwałoby na strzępy, a dusze odbiłyby się od zasłony i wróciły do Przypływu?

– Czy mogę ci jakoś pomóc, słodka Mono? – pyta.

Wciągam głęboko powietrze, starając się uspokoić drżące dłonie. Wszystko zależy od tego, ile Wayvadd podejrzewa. Czy wie, jak długo przebywałam w Przypływie? Jak bardzo się zmieniłam?

– Chciałam ci podziękować – mówię. – Jesteś jedynym z Siedmiorga, który miał odwagę powiedzieć mi prawdę. Nienawidzę cię, ale cię szanuję.

I wyciągam dłoń.

Wayvadd patrzy na nią, rozbawiony. Kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

– Szacunek, Mono? – chichocze, brzmiąc jak ktoś, kto wypił o jeden kieliszek za dużo. – Zasługuję na znacznie więcej niż szacunek. Na uwielbienie. Na cześć, z pewnością. Ale przyjmę i to.

Wayvadd chwyta moją dłoń i nią potrząsa.

Mam tylko sekundy na działanie. Nie spuszczam z niego wzroku, gdy w myślach zadaję pytania. Jak dostać się do fortecy. Jak stworzyć nowy nexus.

Wiedza przenika mnie natychmiast.

42

Aby stworzyć nowy nexus, potrzebuję połączeń po obu stronach – w Przypływie i w świecie śmiertelników. Wiem dokładnie, dokąd się udać: do sali konferencyjnej magów. Pierwszy nexus Opalvale należy do królewskiego dworu. Drugi będzie należał do Kompanii.

Kroczę przez zamek z determinacją, unikając spojrzeń gwardzistów i dworzan. Jakby mogli wyczytać z mojej twarzy nieznośną prawdę, którą noszę w sobie. Gdy docieram do sali konferencyjnej, światła czarodrzewu są przygaszone, jak zawsze, gdy nikt z niej nie korzysta. Ale wciąż dostrzegam mleczne marmurowe panele i brązową boazerię.

Podchodzę do stołu, odsuwam pustą misę po wodzie morskiej i wdrapuję się na blat, jak dziecko wspinające się na pień drzewa. Mam chwilę, by się zastanowić. Moi strażnicy stoją na warcie za drzwiami, gotowi nie wpuścić nikogo.

Wystarczy wypowiedzenie runów – podobnie jak przy zrywaniu nexusa, ale z innym zaklęciem. To nie sam rytuał budzi moje wahanie. To wybór. Czy to na pewno słuszna decyzja? Ratować świat śmiertelników? A może bogowie mają rację – może walczę z nieuniknionym. Wszystko, co śmiertelne, kiedyś się kończy. Czy właśnie teraz ingeruję w samą strukturę rzeczywistości?

Może tak. Ale już mnie to nie obchodzi. Zbyt długo stałam w miejscu, sparaliżowana niezdecydowaniem, zbyt przerażona, by działać. Teraz jestem gotowa. Wpatruję się w słoje drewna na stole i przygotowuję.

Drzwi do sali konferencyjnej otwierają się z hukiem.

Wstrzymuję oddech i odwracam się. Do środka wpada Whitman. Najwyraźniej moi strażnicy nie mają uprawnień, by powstrzymać mistrza praktyków przed wejściem do własnej sali.

– Widziałem twoją świtę na zewnątrz – mówi. Przygląda się temu, w jakim jestem stanie: rozpuszczone włosy, rozczochrana, skulona na stole. – Mono, rada jest w szoku. Co to miało znaczyć z Simonem Hansenem? Co ty tutaj robisz?

Z ustami rozchylonymi w poszukiwaniu odpowiedzi szukam wymówki. Nie chcę mówić mu prawdy. Nie mogę znieść myśli, że miałby dźwigać ten ciężar. Gdyby poznał stawkę, musiałby zaangażować radę, potem dwór Kręgu, a to oznaczałoby długie dni, może nawet miesiące debat.

– Ufasz mi, mistrzu? – pytam.

Zdezorientowany poprawia mankiety swojej szaty.

– Tak. Ufam ci.

– Nie mogę ci powiedzieć, co robię. Ale to pomoże Opalvale. To… – głos mi się łamie – to nie przywróci Elsie życia. Nie wiem, czy przyniesie sprawiedliwość jej imieniu. Ale jeśli tego nie zrobię, jej śmierć nie będzie miała żadnego znaczenia.

Kręci głową, jakbym mówiła rzeczy niedorzeczne. I może faktycznie tak jest. Nie miałabym mu za złe, gdyby po prostu się odwrócił i wyszedł. Ale zamiast tego podchodzi bez słowa,

wspina się na stół i siada obok mnie. Jego długie kończyny układają się pod dziwnymi kątami, co niemal wywołuje u mnie śmiech – albo płacz.

Prostując poły szaty, siada po turecku naprzeciwko mnie i mówi:

– No dobrze, to co my tu robimy?

Chwytam jego dłoń i kładę ją płasko na stole. Moje serce bije jak oszalałe, kiedy kładę na niej swoją.

– Robimy magię.

Zaciskam powieki. Potem, rozedrganym głosem, wypowiadam runy – krótkie, szorstkie słowa, które zostawiają metaliczny posmak na języku. Nagły podmuch wiatru odrzuca moje loki do tyłu. Otwieram oczy.

Sala wygląda tak samo.

To nic. Niektóre runy potrzebują czasu, by zadziałać. Odchylam się na rękach i mówię cicho:

– Może będziemy musieli poczekać.

Whitman kiwa głową i składa dłonie na kolanach. Z jego perspektywy mogłam kompletnie postradać zmysły. Albo naprawdę mi ufa, albo zależy mu na mnie na tyle, by pozwolić mi na te szaleństwa.

W brzuchu aż mi się kotłuje, gdy czekamy, aż coś się wydarzy. Nie mam żadnego planu, jeśli zaklęcie nie zadziała.

– Chyba powinnam ci coś powiedzieć – wyrzucam z siebie.

– Co?

– Nie wiem. Ja... nie wiem, jak to ująć. – Nawet nie jestem pewna, co właściwie chcę powiedzieć.

Delmar milczy. Przechyla się przez stół i muska moje ramię. Czy się mnie boi? Mam nadzieję, że nie. Chcę, żeby zaznał spokoju, tak jak ja próbuję go znaleźć.

– Nie jestem dobra w takich sprawach. – Ku mojemu zawstydzeniu oczy mi wilgotnieją. Płaczę? Nad czymś takim? Kiedy cała egzystencja wisi na włosku? – Chciałam tylko, żebyś wiedział, że gdybym miała więcej czasu, znalazłabym sposób, żeby ci to powiedzieć... Myślę, że mogłabym się tego nauczyć. Być prawdziwą osobą. I jest tyle rzeczy, które chciałabym ci teraz wyznać, ale nawet nie wiem, jak to zrobić.

– Mono – mówi, unosząc mój podbródek palcem.

Pociągam nosem, wpatrując się w jego ciemne oczy.

– Nie będziesz królową na zawsze. Mamy czas.

Coś niewidzialnego ściska mi serce. Przełykam szloch, który chce się wyrwać, i zamieniam go w wilgotny śmiech.

– Masz rację – mówię, odgarniając mu z czoła kosmyk włosów. – Oczywiście, że masz rację.

– Co tu się dzieje? – odzywa się głos za nami.

Byers stoi w drzwiach z nieufnym grymasem na twarzy. Whitman i ja musimy wyglądać co najmniej osobliwie, siedząc na stole w sali konferencyjnej. Otwieram usta, by się wytłumaczyć.

Przerywa mi błysk światła.

Wzdrygam się i obracam w stronę jego źródła. Pośrodku stołu wyrasta migoczący tunel o barwie morskiej zieleni, sięgający aż do sufitu. Śmiertelny koniec drugiego nexusa.

– Udało się – szepczę, a mój głos wibruje podekscytowaniem. – Udało się! – Odwracam się do Byers. –

To jest to. Możemy jeszcze coś naprawić.

Jej oczy rozszerzają się w zrozumieniu. Pojmuje, co to znaczy. Możemy opóźnić koniec świata śmiertelników.

– Co mogę zrobić? – pyta, podchodząc. – Mogę pomóc?

– Co to takiego? – wtrąca Whitman.

Prawie zapomniałam, że tu jest. Twarz ma wykrzywioną zdumieniem i podziwem.

– Czy to nexus?

– Prawie – odpowiadam. – Nie mogę ci jeszcze wszystkiego wyjaśnić. Musisz to po prostu zachować dla siebie, dopóki nie skończę tego z Bernadette.

Obejmuje się ramionami, nie odrywając wzroku od kolumny światła. Chciałabym go przytulić, zapewnić, że wszystko się ułoży.

– Co zamierzacie zrobić? – pyta.

Spoglądam na Byers.

– Musimy iść do Przypływu – mówię. – Potrzebujemy Tashy.

43

Dysponując wiedzą, którą wykradłam Wayvaddowi, mam sposób, by się dostać do fortecy, i sposób, by dokonać rytuału. Brakuje mi tylko odpowiedniej osoby.

Podróż do domu Tashy mija szybko. Razem z Bernadette znamy tę trasę na pamięć. Gdy docieramy do klifów i wywołuję gospodynię po imieniu, natychmiast wychodzi na balkon – jakby nas oczekiwała. Marszczy nos.

– Jesteś jeszcze głupsza, niż myślałam – mówi. – Wracasz tutaj?

Uśmiecham się smutno.

– Miałaś rację, Tasha. Jestem niebezpieczna.

To przykuwa jej uwagę.

Mimo chłodnego powitania opuszcza windę i prowadzi nas do domu, do swojego salonu. Bez słowa zabiera się za przygotowywanie dla każdej z nas kubka gorącej herbaty. Mam ochotę ją popędzić – sprawa jest zbyt pilna, by czekać, aż liście się zaparzą. Ale wiem, jak Tasha reaguje na pośpiech.

Kiedy napar jest gotowy, siadamy na poduszkach naprzeciwko siebie, jak za dawnych czasów.

– Czego potrzebujecie? – pyta Tasha bez owijania w bawełnę.

– Bernadette tęskniła za tobą – odpowiadam. – Powinnaś czasem pozwalać jej na odwiedziny.

Byers rzuca mi spojrzenie pełne wyrzutu, odwracając się w miejscu.

Tasha prycha.

– Jeśli właśnie po to przyszłyście, to...

– Proszę. Nie wróciłabym, gdybym miała inny wybór.

Opowiadam jej wszystko. O tym, co się wydarzyło. O tym, co musi zostać zrobione.

Tasha słucha w ciszy. Jej herbata stygnie, nietknięta.

– I chcecie ode mnie, żebym...

– To musisz być ty – przerywam jej. – Nie ma nikogo innego. – Wyciągam rękę i kładę ją na jej dłoni. Tasha się wzdryga, jakby chciała się odsunąć. – Przyjęłaś mnie pod swój dach z jakiegoś powodu. Wiedziałaś, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Teraz potrzebuję cię, by to dokończyć.

Jej spojrzenie wędruje od mojej twarzy do twarzy Byers. Nie mam planu B, jeśli odmówi. Nikt inny nie posiada jej umiejętności. Potrzebuję jej, by uformować drugi nexus.

Tasha zaciska usta w cienką linię, po czym kiwa głową.

Wypuszczam powietrze przez nos w cichym geście ulgi. Jeden problem mniej. Teraz zostało tylko powstrzymać koniec świata. To już prawie nic w porównaniu z przekonywaniem Tashy.

– Czeka nas wyprawa do fortecy – oznajmiam.

Tasha marszczy brwi, jakby właśnie uświadomiła sobie, że zgodziła się zbyt pochopnie, nie wiedząc, jak szalony jest ten plan.

– Śmiertelnicy nie mogą wejść do fortecy.

– Chyba że wiedzą, jak to zrobić.

– Co to niby ma znaczyć?

Uśmiecham się szelmowsko.

– Chodźcie. Pokażę wam.

Prowadzę je – dwie ulubione śmiertelniczki bogini Korimarr – do zatoczki niedaleko wyspy. Skupiam się na intencji i świadomie wybieram drogę. Zatrzymujemy się na plaży pokrytej potłuczonymi, perłowymi muszlami, gdzie fale gęstej jak rtęć wody muskają brzeg. Ocean wewnątrz oceanu, w sercu Przypływu.

Byers i Tasha wpatrują się w wyspę po drugiej stronie zatoki. Woda jest nieprzenikniona, głęboka i nieustępliwa, zupełnie inna niż miękka, magiczna substancja otaczająca nas na co dzień. W normalnych okolicznościach nigdy nie odważyłybyśmy się próbować przejścia.

Kucam przy linii wody. Na jej powierzchni rysuję palcem runę: *mohelo*, oznaczającą poznanie.

W miejscu, gdzie ją tworzę, ocean zaczyna się krystalizować.

Wstaję i obserwuję, jak z runy rozchodzi się srebrzysto-niebieska tafla szkła, która szybko rozciąga się po zalewie, tworząc wąską, lśniącą ścieżkę. Szkło pnie się w górę i w dół,

falując, aż dociera do przeciwległego brzegu i twardo osiada na plaży przy wyspie.

– To zagadka – mówię do Tashy i Byers. – Żeby przejść, trzeba z n a ć drogę.

– To już? – Byers przełyka ślinę. Na jej czole pojawiają się krople potu. – Włamujemy się do fortecy?

– A czy mamy inne wyjście? – pyta Tasha.

Kiwam głową z całą stanowczością. Żadnej dalszej debaty. Bogowie nie zostawili mi wyboru. Muszę im się sprzeciwić.

Stawiam pierwszy krok na ścieżce.

CZĘŚĆ VII
WYSPA W PRZYPŁYWIE

44

Marzyłam o tym miejscu, odkąd skończyłam osiem lat – wyspa w Przypływie, gdzie za murami twierdzy kryje się siedziba Siedmiorga bogów i ogród umarłych. Aby wejść, trzeba już znać drogę.

Za murami wznosi się twierdza – monumentalna i wspaniała. Sufity, pod którymi mógłby przepłynąć wieloryb, wspierają łuki z piaskowca, unoszące się i opadające, podtrzymywane przez kolumny grube na kilka łokci. Świetliste korytarze błyszczą szlachetnymi metalami i klejnotami. Sala tronowa jest tak ogromna, że mogłaby pomieścić cały zamek Selledore. Na jej końcu stoi tron wyrzeźbiony z pradawnego kamienia – tron Semyanadda.

Pędzę przez puste, jaskiniowe korytarze. Nie mam czasu na zatrzymanie się, choć bardzo bym chciała. Nie wiem, ile mamy godzin, zanim bogowie nas dopadną. Przemierzamy kolejne bramy, skręcone w niemal nierealnych kątach, drapiące popielate niebo. Ostatnie prowadzą do najświętszego miejsca wyspy.

Ogród umarłych.

Mętna zieleń pokrywa ziemię jak dywan, rozciągając się na kilometry pod burzliwym, fioletowym niebem. Płaczące wierzby, wielkie jak domy, posadzono wzdłuż schludnych, wijących się ścieżek. Baseny krystalicznie czystej wody

rozsiane są jak nieregularne kropki. Między drzewami przesuwają się zamglone sylwetki. Moje serce przyspiesza – to dusze zmarłych śmiertelników.

Tasha i ja stoimy naprzeciw siebie u podnóża wielkich schodów. Byers zostaje z tyłu, splatając dłonie. Ogród rozpościera się wokół nas.

– Co teraz? – pyta Tasha. Nie wygląda na przestraszoną. Właściwie nie okazuje żadnych emocji.

Przyklękam, wyjmuję z kieszeni sukni złamany bełt z kuszy Elsie i wbijam go w gliniastą ziemię. To znak.

– Zawrzemy umowę – mówię, podnosząc się. – A potem ty wypowiadasz runy. Ja już zrobiłam to po stronie śmiertelnej.

Kiwa głową, ale moją uwagę przykuwa perłowa ściana formująca się tuż obok nas. Oddech zamiera mi w piersi. Setki duchów zbierają się, tworząc migotliwy mur. Obserwują nas.

Z bijącym sercem zwracam się do nich.

– Wiem, że naruszamy porządek. Ale przyszłyśmy, by pomóc śmiertelnemu światu. Czy mamy wasze pozwolenie?

Patrzą pustym wzrokiem.

Mówię ponownie, potykając się o własne słowa.

– Czy... czy jest tu Patrick Arnett?

Żaden z duchów się nie porusza. Tasha szczypie mnie w ramię, zmuszając do spojrzenia.

– Nie mamy czasu na rodzinne spotkania – mówi. – Załatwmy to i kończmy.

Ma rację. Podaję jej runy do powtórzenia. Nowe połączenie powstanie tutaj, między nami.

– Mona?

Poznaję ten głos. Szukam wzrokiem wśród duchów, serce wali mi z nadziei.

Jeden z duchów wychodzi z tłumu. Patrick marszczy brwi, jego blada postać lekko faluje. Ma mój czerwony szalik owinięty wokół nadgarstka.

– Tu jesteś! – mówi, wyciągając do mnie ręce. – Nie możesz tak uciekać. Myślałem, że cię straciłem. Wiesz, jak zła byłaby matka?

Zasłaniam usta, wypuszczając z piersi cichy szloch. Podchodzę bliżej.

– Patrick?

– Oczywiście. – Macha ręką. – Chodź, robi się późno. Musimy wrócić przed zachodem słońca.

Mówi do mnie. To nie ten sam upiór, który mnie nawiedzał – ten mściwy, milczący cień. Twarz Patricka znów nosi znajome, ciepłe rysy. Pamiętam, co powiedział mi Irinorr: „Poza Przypływem Patrick może nie być sobą".

Ale tutaj, w ogrodzie – właśnie jest.

Rozpoznaje mnie. Mówi do mnie, jakby nie minęła ani chwila, jakbym wciąż była tą samą ośmioletnią urwiską, którą każdego wieczora przyprowadzał do domu.

Ocieram mokry policzek dłonią.

– Nie nienawidzisz mnie?

Patrick parska śmiechem.

– O czym ty mówisz? – Podchodzi bliżej, kładzie dłoń na moim ramieniu. Nie czuję nic. – Nigdy bym cię nie znienawidził, Mono.

Sięgam dłonią do jego policzka, ale moje palce przechodzą przez niego. Wciągam powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Będę gotowa za chwilę. Muszę tylko dokończyć jedną rzecz.

Rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie, ale kiwa głową i cofa się, aż znowu stapia się z tłumem.

Zwracam się do Tashy. Jej kamienna twarz mnie wzmacnia. Kiwam głową. Otwiera usta i wypowiada runy.

W jej ustach brzmią niemal pięknie.

Nic się nie dzieje od razu. Tym razem się tego spodziewam. Tak jak po stronie śmiertelnej runy potrzebują czasu, by się uformować. Kątem oka widzę, jak Byers podciąga ramiona do uszu. Wygląda, jakby płakała. Zastanawiam się, czy zobaczyła swoich rodziców. Czy także z nią rozmawiali?

Gwałtowny, głuchy łomot wstrząsa ziemią pod naszymi stopami – jakby ogromne wrota właśnie się zamknęły. Czy nexus mógł powstać tak szybko? Obracam się, ale nie widzę światła.

– Ktoś tu jest – mówi Tasha. – Ktoś jest na wyspie.

Strzała strachu przebija mi żołądek. Bogowie. Przyszli nas powstrzymać. Czy mogą cofnąć wypowiedziane właśnie runy?

Zerkam między nią a Bernadette.

– Zostańcie tutaj – mówię. – Pilnujcie tego miejsca. Ja ich powstrzymam.

Byers zbliża się.

– Jedna z nas powinna iść z tobą...

– Nie. Nie chcę, żeby podejrzewali, że nie jestem sama. – Muszę dać się zlekceważyć. Mona, którą znają, zawsze

działała w pojedynkę. Nigdy nie pozwalała innym na siebie liczyć.

Ale to właśnie dlatego tamta Mona nie zaszła tak daleko.

Tasha kiwa głową.

– Poradzimy sobie. Idź.

Odwracam się na pięcie i biegnę.

Docieram do głównej sali twierdzy w ostatniej chwili. Kiedy wpadam do środka, po schodach wejściowych rozlega się wściekły stukot ciężkich kroków. Zaraz ich zobaczę. Rzucam się w stronę tronu Semyanadda.

Kiedy Irinorr mnie znajduje, siedzę skulona na tronie – nogi skrzyżowane, broda oparta na palcach. Staram się nie oddychać zbyt głośno.

– Nie tak przyjemnie z drugiej strony tronu, co? – wołam, gdy przechodzi przez niekończącą się salę. Nikt mu nie towarzyszy. Spodziewałam się demonstracji siły, ale może bogowie uznali, że Irinorr sam poradzi sobie z negocjacjami.

Przybrał swoją boską postać. Jego ptasia głowa pochyla się w trosce – i wygląda to na szczere – gdy przygląda się mojej ubłoconej sukni, przekrzywionemu czarnemu diademowi na czole. Zbliża się powoli, omijając słup światła, który wybucha z podłogi. To pierwotny nexus Opalvale – punkt styku po stronie Przypływu. Oświetla pobliskie kafelki błękitną poświatą.

Irinorr podchodzi bliżej.

– Dlaczego tu przyszłaś, Mono?

– Może lepsze pytanie brzmi: jak tu przyszłam?

– Nie interesuje mnie jak. Chcę wiedzieć, czy nic ci się nie stało. Czy nie zrobiłaś niczego pochopnego.

Zaciskam pięści, aż knykcie bieleją.

– Dlaczego musiałeś to zrobić w ten sposób, Iri? Dlaczego nie mogłeś powiedzieć nam prawdy? Dać nam wyboru?

– Bo żadnego wyboru nie ma – odpowiada. W jego głosie słychać napięcie. – Istnieje tylko droga miłosierdzia i droga cierpienia. Kocham cię, Mono. Kocham wszystkie moje śmiertelne dzieci. Nigdy nie wybrałbym cierpienia.

– Ale to nie twój wybór – odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam. – To nasz wybór, a ty próbowałeś nam go odebrać.

– To nie chodzi wyłącznie o śmiertelników…

– Wykorzystałeś mnie, Iri. Przez wszystkie te lata… czy naprawdę byłeś moim mentorem? Czy tylko szlifowałeś narzędzie?

– Musisz uwierzyć, że cię kocham. Nie wiesz, jak bardzo bolało mnie, gdy musiałem postawić cię na tej drodze. Ale nie mogłem znieść myśli, że będziesz cierpieć, Mono. Nie mogłem tego znieść.

Moje oczy pieką, kiedy odwracam wzrok. Zbliża się, robi kilka kroków w moją stronę.

– Już po wszystkim – mówi cicho. – Cokolwiek chciałaś tu zrobić, nie udało się. Zabiorę cię do zamku. Zrobimy to razem. Co ty na to? – Wyciąga rękę.

Patrzę na nią z pogardą.

– Jak mnie znalazłeś? Wayvadd ci powiedział?

– Domyślił się, co zrobiłaś, po waszym ostatnim spotkaniu. Semyanadd... no cóż, nie jest zadowolony, że pozwolił ci wykonać tę sztuczkę.

Uśmiecham się. To przynajmniej daje mi odrobinę satysfakcji.

– Mono – wzdycha Irinorr. Jego czarne oczy są wilgotne jak ciecz obsydianu. – To nie ma sensu. Aby nawiązać nowe połączenie między Przypływem a światem śmiertelników, potrzebna jest zgoda mieszkańca Przypływu. Wiedziałaś, że bogowie się nie zgodzą. Myślałaś, że demoniczne klany to zrobią?

Wzruszam ramionami. Musi sądzić, że jestem dumna i naiwna. Często ma rację.

– Radziłam sobie z demonami wcześniej.

– Tak czy inaczej, jest już za późno. Połączenie potrzebuje czasu, by się uformować. Jeśli zaczniesz teraz, przerwę to. Nie zostało ci już nic. Wracaj do domu, Mono. Pożegnaj się. Już czas.

Opadam z powrotem na tron i zaczynam cicho nucić. Mona, którą zna, nie dałaby się łatwo przekonać. Lepiej udawać niedostępną.

– Więc chcesz, żebym zerwała to połączenie, tak? A co z tego będę miała, jeśli się zgodzę? Możemy negocjować?

Czarne oczy Irinorra stają się głębsze, jakby lśniły płynnym węglem.

– Mono, kiedy nexus zostanie przerwany, ty sama umrzesz.

– A jeśli nie chcę umierać? Jesteś bogiem, Iri. Nie możesz temu zapobiec?

– Chcesz zostać obywatelką Przypływu? Zamieszkać tutaj, gdy świat śmiertelników przestanie istnieć?

– Tak – mówię, kiwając głową z powolną aprobatą. – Czy mógłbyś to zrobić, jeśli poproszę?

Na moment w jego oczach pojawia się cień obrzydzenia.

– Musiałbym się skonsultować z pozostałymi.

Wtem głęboki wstrząs porusza ściany twierdzy, strząsając kurz z sufitu. Tynk unosi się w powietrzu jak gęsta, leniwa mgła. Irinorr spogląda w górę, obracając się zdezorientowany.

To już koniec.

– Nie ma sprawy – mówię, a z moich ust wybucha śmiech – histeryczny, niepowstrzymany. – Teraz już po wszystkim.

Irinorr krąży wokół mnie, gdy wstrząsy ustają.

– Co zrobiłaś?

Wstaję z tronu.

– Mogę ci pokazać, jeśli chcesz.

W scenie jak ze snu prowadzę Irinorra przez korytarze twierdzy do ogrodu umarłych. Na dole schodów, na pierwszym planie ogrodu, lśni snop światła. Wyrasta z ziemi wokół złamanej strzały Elsie, niczym przezroczysty, niebieski pień drzewa. Migocze, a z jego pnia spływają promienie jak deszcz.

Oddech Irinorra przyspiesza. Słyszę go przez jego dziób. Nie odrywa wzroku od kolumny światła.

– Ale jak…?

Uśmiecham się do niego.

– Bogowie i demony nie są jedynymi, którzy żyją w Przypływie.

– Witaj, Irinorze – mówi Tasha, pojawiając się w samą porę.

Wychodzi z ukrycia przy szklanej sadzawce, zatrzymując się po drugiej stronie świetlistego strumienia, który razem stworzyłyśmy.

Zjawia się także Byers. Na jej twarzy maluje się determinacja.

– Irinorr – mówi z szacunkiem, kłaniając się lekko.

Irinorr patrzy na nas, napięty, jakby spodziewał się ciosu.

– Coście zrobiły? – pyta. Jego głos brzmi jak ciężar, który trudno mu unieść. – Zaryzykowałyście los Przypływu. Połączyłyście te dwa światy tak ściśle, że oba mogą zostać zniszczone.

– Dobrze – odpowiadam. – To powinno dać ci wystarczającą motywację, by znaleźć sposób naprawy.

– Nie ma rozwiązania. Nie da się tego zatrzymać.

– To spróbuj podejść do tego… kreatywnie.

Irinorr pozostaje nieruchomy. Jego zwierzęca twarz niczego nie zdradza.

– Pęknięcia będą się pogłębiać. Armie demonów wyruszą na wasze ziemie. Masakra…

– Oszczędź mi – mówię, unosząc rękę. Nie chcę tego słuchać. Nie dzisiaj. W końcu będę musiała się z tym zmierzyć. Ale nie teraz. – Chcę tylko, żebyś zebrał Siedmioro i wymyślił, jak naprawić to, co zrobiliście.

Irinorr potrząsa głową.

– Najlepszym i najszybszym rozwiązaniem będzie odwołanie kontraktu – zerwanie połączenia.

– Nie ma mowy – przerywa mu Tasha. – Zgadzam się z Moną. Świat to może być podła dziura, ale zasługuje na szansę.

Kątem oka widzę, jak duchy krążą po ogrodzie, lśniąc między drzewami. Gdzieś wśród nich jest Patrick. Spokojny. Nie wiem, czy naprawdę mi wybaczył. Nie wiem, czy ja sama kiedykolwiek wybaczę sobie. Ale wiem, że mój brat mnie kocha – nawet po tym, jak go zabiłam.

Gdy Irinorr znów się odzywa, jego głos jest cichy, przepełniony smutkiem.

– Będziesz żałować tego, co dziś zrobiłaś, Mono. Boli mnie myśl o cierpieniu, jakie sprowadziłaś na siebie i innych. – Unosi rękę. – Gdy nadejdzie właściwy moment i będziesz chciała to odwrócić, będę gotów, by ci pomóc.

Rzuca zaklęcie, a obraz przed moimi oczami rozpływa się w szarości.

45

Widzę, że Irinorr przeniósł nas – Bernadette i mnie – do sali obrad rady.

Zebrali się mistrzowie, obecny jest nawet sam król. Domyślam się, że to spotkanie zwołano z powodu naszego nagłego zniknięcia. Siódemka wróciła już na dobre do Przypływu. Na miejscach ich tronów znów stoją stare, marmurowe misy – jakby nic się tu nigdy nie wydarzyło.

Gdy pojawiamy się w tej sali, wszystkie twarze obracają się w naszą stronę. Ich miny są skamieniałe, oczy szeroko otwarte.

Poprawiam szybko tiarę. Teraz jest idealnie symetryczna.

– Jest kilka spraw, o których powinniście wiedzieć – mówię.

46

W swoich królewskich komnatach czekam na wieści. Spodziewałam się, że powinnam już coś usłyszeć – minęły trzy dni, odkąd utworzyłyśmy drugi nexus. Raporty o inwazjach, o katastrofach. Dowody na to, że wyrwy się powiększają. Ale jak dotąd – nic.

Kiedy Whitman wreszcie przychodzi, przez okno wpada ciepłe, późnopopołudniowe światło. Zatrzymuje się w progu i spogląda za siebie; strażnik podtrzymuje drzwi, nie przekraczając ich linii. Od kiedy zostałam królową, obcy mężczyźni nie mogą wchodzić do mojej sypialni bez przyzwoitki. Whitman tego nie komentuje. Zaciska szczękę i wchodzi.

– Masz jakieś wiadomości? – pytam.

Kiwa głową, jednocześnie pocierając kark.

– Pierwsza inwazja. Mały oddział demonów w Essen. Dziesiątki ofiar.

– Jaki klan?

– Raport tego nie precyzuje, ale nosili czerwone mundury.

– Klan dzików – mówię, marszcząc nos. Demony Verimalla zawsze były najokrutniejsze spośród siedmiu klanów. Ta świadomość przepływa przez moje żyły jak lodowata

trucizna. Moja wina. Każda chwila bólu, każdy krzyk – wszystko to spadnie na mnie.

Ale też każda chwila nadziei. Każde życie ocalone.

Nie mogę się powstrzymać. Muszę zapytać.

– Czy postąpiłam słusznie?

Whitman pochyla głowę. Brzuch ściska mi się z niepokoju.

– Czy słusznie? – powtarza. – Wydaje mi się, że słuszniej byłoby oddać sprawę pod obrady Kręgu. Wtedy byłaby to prawdziwa decyzja śmiertelnych. Nie tylko twoja czy moja, ale nas wszystkich. – Krzywię się, ale on dodaje: – Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

To zdumiewające, jak wiele dla mnie znaczy jego opinia. Skoro Whitman podjąłby identyczną decyzję, to nie może być aż tak źle.

Posyłam mu słaby uśmiech i zmieniam temat.

– Co z Czcigodnym Delfinem?

Czyli z trzecim zdrajcą. Patrole Zakonu Mistrza Sprawiedliwości – tymczasowo podległe Lane, mistrzyni wojny, dopóki nie znajdzie się następca dla Oversea – przeczesują królestwo w poszukiwaniu Delfina, choć szanse, że nadal przebywa w jego granicach, są nikłe. Najpewniej uciekł prosto do Deveneaux.

A jednak zostawił po sobie ślad: dossier z trzema nazwiskami. Trzy łapówki, choć tylko dwóch jasnowidzów złożyło fałszywe przepowiednie. Delfin próbował też przekupić Tellermana, ale ten w ostatniej chwili się wycofał. Powiedział prawdę. Bogowie nie zmanipulowali jego wizji – zresztą nie było potrzeby. Wszystkie przewidywania

sugerowały, że Tellerman skłamie. Siódemka z pewnością to widziała.

Ale Tellerman, jak to ludzie mają w zwyczaju, okazał się nieprzewidywalny.

I przepowiedział prawdziwą królową.

Technicznie rzecz biorąc, Tellerman popełnił przestępstwo, przyjmując łapówkę. Ale nie zamierzam się spieszyć z oskarżeniem.

Każdy zasługuje na drugą szansę, prawda?

– Myślę, że Delfin jest już bezpieczny w Deveneaux – mówi Whitman, jakby czytał w moich myślach. – Możesz zwrócić się do Kręgu o jego ekstradycję.

– To kłopot, na który nie możemy sobie teraz pozwolić.

Kiwa głową. Twarz ma posępną.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi pospiesznie. – Zostałem usunięty z funkcji mistrza praktyków.

– Co? – Palce zaciskają mi się na fałdach sukni. – Rada nie może tego zrobić!

Próbuje się uśmiechnąć, ale wychodzi mu to blado.

– Może. Isaac to podpisał. Myślę, że obwinia mnie za śmierć Elsie.

– To głupota – rzucam przez zaciśnięte zęby. – Jeśli już czyjaś wina, to tylko moja.

– A to ja cię tu sprowadziłem. – Wzrusza ramionami. Ręce wsuwa do kieszeni. Jest pogodny, ale nie pokonany. – Nie żałuję. Rada i tak chciała mnie usunąć. Po prostu dostali pretekst.

Dolna warga mi drży. Whitman zawsze marzył o przynależności do Królewskiej Kompanii Praktyków. To go określało. To było jego życie. A może... może to właśnie okazja, by wyszedł z cienia swojej matki.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – pytam.

– Wyruszam w objazd po Opalvale z oddziałem. Muszę zobaczyć, z czym mamy do czynienia.

– Co takiego!? – Zrywam się z miejsca. – Na jak długo?

– Tak długo, jak będzie trzeba. Według uznania Jego Wysokości.

Przełykam ślinę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie mamy pojęcia, jak bardzo ten świat stanie się niebezpieczny. Dlaczego Isaac wysyła Whitmana w sam jego środek?

Nie może tego zrobić. Nie pozwolę mu.

Podchodzę do Whitmana i chwytam go za poły płaszcza.

– Co ty w ogóle wiesz o walce z demonami? – syczę, potrząsając nim. – Chcesz się zabić?

Potrząsam jeszcze raz, mocniej.

– Będę ostrożny. – Obejmuje mnie w pasie, przyciąga do siebie. – W ten sposób mogę pomóc, Mono. To moja rola. Nie bardziej ryzykowna niż to, co ty zrobiłaś, obejmując tron.

Zaciskam pięści na jego ubraniu. W myślach szukam czegokolwiek, co mogłoby go powstrzymać. Ale nie znajduję nic. Kolejne cierpienie, które zgotowałam temu światu.

Odgarnia kosmyk włosów z mojej twarzy.

– To nie potrwa wiecznie.

– Ach tak? Tak jak to, że nie będę królową na zawsze? – Marszczę brwi. Teraz, gdy wiemy, jak poważne są wyrwy i jak wiele zależy od nexusa, abdykacja byłaby szaleństwem. Zwłaszcza przy stanie zdrowia Isaaca.

– Tak – mówi cicho. – Właśnie tak. Na końcu tego tunelu jest światło. Obiecuję.

Pochyla się i całuje mnie w usta. Zamykam oczy. Próbuję zatrzymać w sobie ciepło tej chwili.

Czuję, jak się odsuwa. Kieruje się do drzwi. I nagle rozumiem, że to dla mnie za wiele.

Nie mogę pozwolić, by odszedł – nie tak.

– Wiem, że mnie kochasz, Delmar – wołam, wstrzymując oddech.

Rzucam mu ukradkowe spojrzenie. Zatrzymuje się w połowie drogi do drzwi.

– Pomyślałam, że powinniśmy to sobie wyjaśnić, zanim wyjedziesz – mówię.

Uśmiecha się przez ramię.

– A ja wiem, że ty jesteś zakochana we mnie. Ale mam wrażenie, że takie deklaracje to za mało.

Odwzajemniam uśmiech. Whitman znika za drzwiami.

Nie czekam ani chwili. Pędzę korytarzem łączącym moje komnaty z komnatami króla. Pukam i wchodzę bez czekania.

Isaac siedzi na łóżku. Wygląda lepiej niż ostatnio. Opuszcza nogi i wstaje.

– Dlaczego zwalniasz Whitmana? – pytam, krzyżując ramiona na piersi.

Stęka, przeciągając się.

– Nie zwalniam go, tylko przenoszę. Mistrz Whitman to najlepszy człowiek do oceny zagrożenia.

– Bzdura – cedzę, celując w niego palcem. – Chcesz go ukarać. Nie rób tego, Isaacu. Nie wyładowuj swojego bólu na najlepszym przyjacielu.

Isaac podchodzi do okien sięgających od podłogi do sufitu, wpatrując się w krajobraz za szybą.

– Delmar musi wyruszyć w podróż, a ty to porównujesz z tym, co ja przeszedłem?

– Nie o to mi chodziło. Ja... po prostu chciałabym, żebyś go nie wysyłał.

Rzuca mi ukradkowe spojrzenie, splatając ramiona.

– Jest też kwestia tego, co powiedziała mi mistrzyni Renfield.

Krew odpływa mi z twarzy.

– Ona... powiedziała? Co powiedziała?

– O tobie i Delmarze. O tym, jak was przyłapała.

– Isaac, ja...

– Nie martw się, przyszła bezpośrednio do mnie. Reszta rady nic nie wie. Renfield jest wystarczająco bystra, by zrozumieć, że publiczne podważenie twojej wiarygodności nie leży w niczyim interesie. Ale jeśli sprawa wyjdzie na jaw, ktoś w końcu zada pytanie: co, jeśli urodzisz dziecko, które nie jest moje? Potencjalny dziedzic tronu mógłby zostać odrzucony. Jak widzisz, Delmar nie może tu zostać.

Rozpacz ściska mnie za gardło. Nie potrafię znieść myśli o żadnym scenariuszu, w którym rodzę królewskiego

potomka. Zawsze zakładałam, że jakoś uda mi się tego uniknąć. Teraz to wydaje się niemądre. I najgorsze – to wszystko moja wina. Whitman ostrzegał, by być ostrożnym. To ja go naciskałam. Wciągnęłam go do tej gry. Nawet nie potrafię się złościć na Renfield. Zapewne zrobiła to, co uważała za słuszne.

Isaac odwraca się do mnie i robi krok naprzód.

– Widziałaś ogród umarłych, prawda?

Kręci mi się w głowie od nagłej zmiany tematu.

– Cóż... tak, ale...

– Mogłabyś mnie tam zaprowadzić?

Otwieram usta. Nie spodziewałam się tego pytania. Nie wiem, jak odpowiedzieć.

– Nie, Isaacu – mówię najdelikatniej, jak potrafię. – Nie ma takiej możliwości.

Podchodzi jeszcze bliżej, staje tuż przede mną. Jego przekrwione oczy płoną.

– Proszę, Mono. Zrób to dla mnie, a przysięgam, że przywrócę Delmara do rady – możecie nawet dostać wspólne apartamenty, wszystko jedno. Po prostu pozwól mi ją zobaczyć. Pozwól mi zobaczyć Elsie.

– Nie mogę. Naprawdę... Nie ma...

– Proszę! – wykrzykuje, a łzy spływają mu po policzkach. Opada do przodu, wtulając twarz w moje ramię, jakby chciał się we mnie schować. – Proszę, pozwól mi ją zobaczyć.

Szlocha, drży. Nie wiem, co powiedzieć. Patrzę nieruchomo przed siebie, potem unoszę ręce i kładę mu je na plecach.

W końcu zaczynam go delikatnie kołysać – mojego męża, króla – kiedy wypłakuje się w moją suknię.

W salonie magów pojawia się nietypowy gość.

A właściwie dwóch. Pierwszym jestem ja – rozwalona na kanapie z butelką wina zwisającą z dłoni. Drugim – piękny pręgowany kot o lśniącym futrze. Przekracza próg, wskakuje na poduszkę obok mnie i zwija się w kłębek. Nigdy wcześniej nie widziałam kota na zamku.

– Skąd się tu wziąłeś, kiciu? – pytam, sięgając ręką, by go pogłaskać.

Podnosi głowę.

– Z domu twojej matki.

Zastygam, gdy elementy układanki wskakują na miejsce.

– Wayvadd?

– Ach, jakaś ty bystra – mruczy przeciągle i układa łeb na łapach.

– Co ty tu robisz? I w takiej postaci?

– Och, wiesz – wzdycha. – Po tym numerze, który mi wycięłaś, Semyanadd się nie ucieszył. Wręcz przeciwnie – wpadł w szał. Odebrał mi status boskości, zmieniając w śmiertelnika. Takie rzeczy się zdarzają.

Moje oczy robią się wielkie jak spodki.

– Więc on może zrobić coś takiego?

– Nie musiał przez ostatni miliard lat, ale tak, może.

– A Verimall? Spotkał ją ten sam los?

– Dzika locha? – syczy z rozbawieniem. – Była znacznie sprytniejsza ode mnie. Wiedziała, jak rozwścieczyć Semyanadda, więc uciekła.

– Uciekła? Dokąd?

– Któż to wie? Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem.

Obrzucam go czujnym spojrzeniem.

– I nie jesteś na mnie wściekły?

Parska śmiechem, odsłaniając ostre, błyszczące zęby.

– A kto powiedział, że nie jestem? Nie, Mono. Gardzę tobą. I lepiej przyzwyczajaj się do mojego towarzystwa, bo planuję zostać. Chcę być świadkiem każdej pysznej sekundy twojego upadku.

Przełykam ślinę, próbując rozluźnić napięcie w gardle.

– Co to ma znaczyć – mój upadek?

Znowu chichocze.

– Nie masz pojęcia, prawda? Co zrobiłaś? Te wszystkie wyrwy w strukturze rzeczywistości? Kiedy zasłona się rwie w świecie śmiertelników, wychodzą przez nią demony. Ale co dzieje się w Przypływie? Co się stamtąd wydostaje? – Przewraca się na grzbiet, wyciąga przednią łapę. – Nie masz nawet cienia wyobrażenia. Twój umysł nie potrafi tego objąć.

Na czoło występuje mi zimny pot.

– To naprawdę jest Wzbierająca Fala, prawda?

– Znowu ta pieprzona Wzbierająca Fala! – Przewraca oczami. Nie wiedziałam, że koty potrafią robić coś takiego. A może to tylko on. – Jeszcze nie rozgryzłaś, że to tylko

śmiertelna bajeczka? Bogowie udawali, że to coś realnego, bo chcieli, żebyście się bali. Jeśli już, to ty stworzyłaś Wzbierającą Falę. Przestań zrzucać winę na jakąś apokaliptyczną przepowiednię. To po prostu twój wielki pech.

Ręce mi drżą. Próbuję się uspokoić.

– Myślę, że chciałeś, żebym to zrobiła – mówię stanowczo.

Jego wąsy drżą, gdy znów się śmieje, miaucząc szyderczo.

– Ależ oczywiście! Rozgryzłaś mnie, sprytna dziewczynko. To wszystko było częścią mojego genialnego planu zniszczenia wszechświata. Posłuchaj siebie.

Mrużę oczy. Nieważne, co mówi Wayvadd – nie wspomniałby o drugim nexusie, gdyby choć cząstka jego istoty nie miała nadziei, że go stworzę. Po co w ogóle o tym wspominać, jeśli nie po to?

Dla niego koniec świata śmiertelników musiał być nie do zniesienia. Wieczność bez wiernych wyznawców, bez tych maleńkich ludzkich umysłów, którymi można się bawić? Gorsze niż śmierć. Może nie planował utraty boskości, ale przecież rzadko kiedy wszystko idzie zgodnie z planem.

– Nie wierzę ci – mówię.

– Nie obchodzi mnie to. – Ziewa. – Twój upadek i tak już nadchodzi.

Mam dość.

– Sio, zmykaj, kocie – mówię, zrzucając go z poduszki.

Wayvadd miaukliwie protestuje i ucieka z pokoju, wyskakując przez drzwi akurat w momencie, gdy ktoś inny wchodzi do środka.

To Bernadette Byers, ubrana w wykrochmalony, czarno-złoty mundur mistrzyni. Tłumię śmiech zaskoczenia.

– Dlaczego nagle uważam cię za nieodparcie atrakcyjną? – mówię, stukając się w podbródek z udawaną powagą.

Bernadette marszczy brwi, opada na kanapę i wzdycha.

– To tylko tymczasowe. Do czasu, aż znajdą nowego mistrza praktyków.

– Masz na myśli: dopóki mistrz Whitman nie wróci – mówię ostro. Nie porzuciłam jeszcze nadziei, że go przywrócą.

Nie odpowiada.

– Czemu pijesz akurat tutaj?

– Jestem królową, do cholery. Mogę pić, gdzie tylko chcę.

Prawda jest taka, że sama nie wiem, czemu tu przyszłam. Ale to lepsze niż siedzenie w apartamentach i użalanie się nad sobą. Może to jakiś krok. Pierwszy krok do innych części zamku. Innych części świata.

Od czegoś trzeba zacząć.

Byers zakłada nogę na nogę i opada w fotelu. Jej oczy są podkrążone, twarz zmęczona – pewnie znów nie spała przez koszmary.

– Spójrz na nas, Arnett. Dwie najpotężniejsze kobiety na świecie.

– Zaraz, zaraz. – Podaję jej butelkę wina. – Bez kwalifikatorów. Jesteśmy dwiema najpotężniejszymi osobami na świecie.

– No to zdrowie. – Bierze łyk z butelki i podaje ją z powrotem.

Byers ma rację. Ona i ja – królowa i mistrzyni praktyków – dysponujemy potężną magią i stanowiskami, które się z nią wiążą. Nie istnieje nic poza naszym zasięgiem, żadna krzywda, której nie mogłybyśmy naprawić. Możemy odeprzeć armie demonów. Chronić mieszkańców Opalvale. Podtrzymywać w nich nadzieję w ponurych czasach, które nadchodzą.

Przywrócić prawowitych władców na tron.

– Hipotetycznie, Byers – mówię, bębniąc palcami o butelkę – gdybyś chciała przywrócić kogoś do życia, jak byś się za to zabrała?

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym z całego serca podziękować:

Mojej niezłomnej agentce, Laurze Rennert, za to, że trwała przy mnie nawet wtedy, gdy wydawało się, że nie ma już nadziei; to dzięki Twojej wytrwałości i niezłomnemu duchowi dotarłyśmy do tego miejsca. Mojej redaktorce, Rachel Stark, i asystentce redakcyjnej, Elannie Hedzie, za dostrzeżenie sedna tej książki i pomoc w stworzeniu idealnej wersji YA. Swoją najgłębszą wdzięczność kieruję do czytelników beta za wszystkie ich wnikliwe uwagi. Całemu zespołowi wydawnictwa Hyperion – w tym osobom, których jeszcze nie miałam okazji poznać – za ożywienie tej historii.

Moim mentorkom, Rachel Morris i Avie Reid, za wsparcie, wskazówki i za to, że w ogóle wybrałyście moją książkę – wciąż mam wrażenie, że to był cudowny łut szczęścia. Specjalne podziękowania dla WF/FW/NDZ czy jakkolwiek się teraz nazywamy – dosłownie dzielicie ze mną każdą komórkę mózgu; każde z Was znajduje się na tej liście, więc nie każcie mi tego wszystkiego wypisywać. Jeszcze bardziej wyjątkowe podziękowania dla Vaishnavi Patel za trzymanie mnie za rękę podczas prezentacji oraz dla Sami B. Ellis za webtoonowe podsumowania.

Ogromne podziękowania, uściski i przybicia piątki dla moich „wczesnych czytelników" za ich bezcenne uwagi

i wsparcie: Lore Austin, Catherine Bakewell, Cate Baumer, Connie Chang, A.Y. Chao, Micah Clarke, Kate Dylan, Chandra Fisher, Lani Frank, Gigi Griffis, R. K. Justice, Mary Li, Victor Manibo, Erik Mercer, Briana Miano, Shelley Parker-Chan, Sarah Mughal Rana, Allison Saft, Bee Shabbir, E. J. Sidle, Jen St. Jude, Lauri Starling, Emily Varga – oraz każdej osobie, którą mogłam przypadkiem pominąć.

Zespołowi Fox Ballard – za całe wsparcie przez długie, wyczerpujące lata porażek (i nieco krótsze lata sukcesów). Specjalne podziękowania i uznanie dla Taliah Ahdut – za to, że pozwoliłaś mi wprost ukraść Twoje imię. Dziękuję Overlake BHU za użyczenie mi ołówka i papieru. Mojej terapeutce – z oczywistych powodów.

Moim rodzicom: brak mi słów, by wyrazić wdzięczność za idylliczne dzieciństwo, jakie nam zapewniliście, i za całkiem niezłe dorosłe życie, w którym nadal uczestniczycie. Całym rodzinom Helander, Jones, Smail i Correia – za wkład w moje szczęśliwe wspomnienia. Allison i Emily – moim pierwszym przyjaciółkom i najwcześniejszym czytelniczkom: jesteście moimi prawdziwymi bratnimi duszami.

I wreszcie Mikeyowi – mojemu największemu kibicowi: pod względem emocjonalnym, żywieniowym, psychiatrycznym i każdym innym. Osiemnaście lat minęło, a ja wciąż nie spotkałam nikogo takiego jak Ty. Zaczynam podejrzewać, że nigdy nie spotkam. Dziękuję Ci za to, że dostrzegłeś, dlaczego inni mogliby pokochać tę książkę.